

Marcin Ciszewski
Krzysztof Liedel

GLINIARZ

znak *litera*
nova
Kraków 2013

*Tę opowieść dedykuję moim Rodzicom –
Dance i Staśkowi. Mam nadzieję, że przeczytają
ją i pokiwią głowami z przekonaniem,
że „jednak coś dobrego z niego wyrosło”...*

Krzysztof Liedel

Od autorów

Nie każde życie to bajka, nie każda książka to biografia. Jednak jak w życiu wielu osób pojawiają się bajkowe motywy tak w tej książce w zasadzie wszystko jest z życia wzięte. Czytelnik nie znajdzie tu prawdziwych nazwisk, dat urodzenia i miejsc zamieszkania bohaterów. Jeśli jednak miał szczęście - albo nieszczęście! - poznać ich osobiście, nie pomyli się i rozpozna ich bez pudła. Rozpozna, ponieważ wszystkie te historie wydarzyły się w rzeczywistości - może nie w tych samych miejscach, w nieco innym czasie i okolicznościach, ale prawda kryje się w ludziach i ich przygodach, a nie w suchych datach i statystykach.

Opowieść o świecie nowej, kształtującej się policji, niekończącym się okresie przejściowym, który w moim wypadku objął cały okres służby w tej formacji, jest dla mnie ważna osobiście. Te historie stanowią część tego, kim jestem, a ludzie, którzy tu zostali sportretowani, byli towarzyszami i świadkami najważniejszych chwil mojego życia. Chciałem pokazać młodość „górną i durną” kumpli i swoją, graniczącą z artystycznym doskonałością rzemiosła policyjnego moich mistrzów i fantazję przeciwnika. Wśród mentorów, przyjaciół, partnerów i współpracowników r policyjnych lat chciałbym wskazać zwłaszcza Stanisława Pomarańskiego, Andrzeja Bogusza i Dariusza Osucha - szczególnie ten ostatni był towarzyszem większości moich najdzikszych przygód. Trudno się temu dziwić - szczerze wyznawał zasadę, że aby złapać łobuza, trzeba za nim posłać innego łobuza. A my ganialiśmy wspólnie za najgorszymi rodzajami łobuzów...

Chciałem też uświadomić niedowiarkom i wątpiącym, że służba w policji nie była wtedy - i do dziś nie jest - jedynie polem dla afer, sensacji, teczek i polityki. Dla 99 procent funkcjonariuszy to - po pierwsze - misja i życiowy cel, po drugie - wielka przygoda, która zmienia całe życie, i po trzecie - praca zawodowa, którą, jak większość przedstawicieli innych zawodów, starają się wykonywać dobrze.

Krzysztof Liedel

Szanowny Czytelniku, jeśli trzymasz tę książkę w ręku, być może o mnie słyszałeś. Mam na swoim koncie kilka powieści, w których szybka akcja i wyraziści bohaterowie są głównym motorem zdarzeń. Jednak tym razem mam nielichą tremę, właściwą raczej debiutantom. Po raz pierwszy bowiem nie wymyśliłem fabuły do tekstu, który sygnuję nazwiskiem. Nie uruchomiłem wyobraźni, by wykreować zdarzenia, postaci, relacje pomiędzy nimi. Moja wyobraźnia nie miała tu nic do roboty.

Mojego szanownego współautora poznałem przy okazji pracy nad Upałem. Niezwykle mi wtedy pomógł swą wiedzą i znajomością niuansów praktycznej działalności służb specjalnych.

Poznał mnie z wieloma fascynującymi ludźmi. Przegadaliśmy dziesiątki godzin, częściowo na tematy dalece wykraczające poza fabułę powieści. Z tych spotkań, niejako naturalnie, narodził się pomysł przelania na papier choć małej części zdarzeń, w których Krzysztof brał udział jako uczestnik bądź świadek.

Media na ogół rozpisują się o wielkich przestępstwach, głośnych zbrodniach, gigantycznych defraudacjach i wielkomińskiej policji, która prowadzi efektowne śledztwa za pomocą najnowszych zdobyczy techniki, czasem kończąc sprawę świetnie wyglądającym w telewizji helikopterowym pościgiem za sprawcą.

Tu, Szanowny Czytelniku, przeczytasz o czymś zupełnie innym. Przeczytasz o policji z wczesnych lat dziewięćdziesiątych operującej przeważnie w małych miastach. Na kartach książki nie znajdziesz wyrafinowanej techniki i przekrętów na miliardy. Spotkasz za to twardzieli jeżdżących polonezami, piszących na maszynach do pisanie albo ręcznie i strzelających z wiecznie zacinających się pistoletów P-64. Ludzi często spętanych biurokratycznymi nonsensami i wiecznymi reformami, ale oddanych pracy, na swój sposób ideowych. Mam nadzieję, że w ciągu lektury nie zabraknie Ci emocji: akcja goni bowiem akcję, a puenty bywają zgoła nieoczekiwane. Policjanci czasami ponoszą porażki, przestępcy natomiast często nie grzeszą nadmiarem inteligencji, a niekiedy nawet zwykłym sprytem. Bywa strasznie, ale i nieodparcie śmiesznie.

Chciałbym podziękować mojej żonie Kasi, która w ten projekt włożyła więcej czasu i cierpliwości niż zazwyczaj. Osobne podziękowania należą się także Tadeuszowi Michrowskiemu za wydatną pomoc merytoryczną i organizacyjną.

Marcin Ciszewski

Prolog

- Szefie, jak to Rusczy, to mają kałachy, a na kałacha żadna kamizelka nie pomoże. Tylko niewygodnie będzie siedzieć - powiedział jakiś głos.

Część zebranych zarechotała nerwowo.

- Beż dyskusji! - Naczelnik lekko się zaróżowił. - Jak kogoś zobaczą bez sprzętu, wylatuje z akcji. Rozumiemy się?

Widać było wyraźnie, że facet nie ustąpi. Choć używane wtedy przez policję kamizelki były dalekie od doskonałości, nie chcieliśmy ryzykować udziału w akcji dla jakichś głupich obiekcji.

Czterech policjantów schowało się na tylnych siedzeniach zaparkowanych samochodów. Następnym dwóch w śmietniku. Kolejnych dwóch w samochodzie zaparkowanym kilkadziesiąt metrów dalej, w głębi ulicy. Jogi i ja tuż koło drzwi wejściowych na klatkę schodową. Piętro nad nami, przy okienku obserwacyjnym: jeszcze jeden gliniarz.

Trzech policjantów w odwodzie.

Czas ciągnął się jak guma do żucia. W końcu, parę minut po 1.00, w słuchawce coś zachrobotało.

- Jedzie figurant - usłyszałem.

Wyjrzałem ostrożnie. W głębi uliczki ukazał się terenowy mercedes z przyciemnionymi szybami. Powoli zmierzał ku parkingowi. Dałem znak Jogiemu. Wyjęliśmy broń. Trzask przeładowania rozbrzmiał ostro w ciszy bezludnej klatki schodowej.

Samochód zatrzymał się. Przez chwilę stał z włączonym silnikiem, jakby kierowca oceniał sytuację, w razie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa gotów natychmiast odjechać. Po chwili usłyszałem, jak silnik przestaje pracować. Niemal jednocześnie otworzyło się troje drzwi auta. Trzech barczystych, wyraźnie widocznych w świetle latarni facetów stanęło na chodniku i rozejrzało się uważnie.

Od tego momentu wydarzenia zaczęły się toczyć z prędkością międzynarodowego ekspresu.

- Stój, policja! - rozległ się krzyk gdzieś na lewo od mercedesa.

Wypadłem z klatki. Kątem oka dostrzegłem ruch, po czym usłyszałem huk wystrzału, a pół sekundy później - to zadziwiające, jak precyzyjnie umysł potrafi rejestrować błyskawicznie następujące po sobie wydarzenia - odgłos odłupywanego przez kulę tynku i przeciągły chichot rykoszetu gdzieś za plecami. Nie widziałem dokładnie, kto strzelał. Klęknąłem. Złożyłem się, pociągnąłem dwukrotnie za spust. Cezetka skoczyła w rękę, kierowca mercedesa zachwiał się, po czym przewrócił na plecy. Padły kolejne strzały. Słyszałem wyraźnie świst powietrza niebezpiecznie blisko głowy. Moi koledzy odpowiedzieli ogniem, po czym, wśród gromkich okrzyków („Stój, policja!” oraz „Gleba!”), ruszyli do przodu.

Sześciu ludzi dopadło pozostałych pasażerów terenówki, którzy zostali błyskawicznie rzućeni na ziemię i skuci kajdankami.

Podniosłem się i ruszyłem w kierunku samochodu.

W tym momencie raniony przeze mnie mężczyzna obrócił się na brzuch, w jego rękę coś błysnęło metalicznie, rozległ się huk...

Bólu początkowo nie czułem. Po prostu w jednej sekundzie szedłem równym krokiem, w następnej - siedziałem na chodniku i z niedowierzaniem wpatrywałem się w rosnącą szybko na prawym udzie plamę krwi.

Mój partner w dwóch dużych susach doskoczył do napastnika, wycelował mu lufę prosto w głowę i wycedził:

- Rusz palcem, to zajebię.

Tamten nie dyskutował. Powolnym ruchem odrzucił broń i splótł ręce na karku. Jogi szybkim ruchem skuł mu ręce na plecach, ignorując okrzyk bólu.

Spróbowałem wstać. Plama krwi powiększała się jednak tak szybko i w głowie zaczęło mi się kręcić tak mocno, że zrezygnowałem na razie z prób samodzielnego działania. Poczułem ostry, szarpiący ból promieniujący w górę uda.

- Dostałeś? - usłyszałem pytanie. Nawet nie bardzo wiedziałem, kto je zadał. Przed oczami miałem gęstniejącą z każdą chwilą mgłę.

- Tak jakby - mruknąłem. Poczułem senność.

- Karetka już jedzie. Nie odpływaj.

Rzeczywiście, gdzieś w oddali usłyszałem syrenę. Narastała i oddalała się, falowała niczym wzburzone morze. Poczułem przemożną chęć snu. Położyć się i zasnąć, położyć się i zasnąć, położyć...

Łódź

W czasach kiedy chodziłem do liceum, prawie wszyscy, którzy umieli dłużej niż przez pięć minut skupić wzrok na literach, czytali Sienkiewicza. To chyba jedyny obok Karola Maya autor lektur, po którego uczniowie sięgali także poza szkołę. Nawet na balangach koledzy rzucali cytatami z Trylogii. Oczywiście, prawie każdy chciał zostać Kmicicem. Nie wiem, jaki wpływ na ich przyszłość miały książki, które czytali.

Na moją miały zasadniczą.

- Zaręba!

Nie dogadywałem się z nauczycielami. Spory wynikały głównie z tego, że moje jasno sprecyzowane zainteresowania niezbyt współgrały z ich, równie jasno i niestety bardzo dobitnie wyrażanymi, oczekiwaniami.

- Zaręba!

Oderwanie się od dobrej powieści jest jak wybudzanie z transu. Trwa dłuższą chwilę i jeszcze przez moment po otwarciu oczu nie wiesz, co się dzieje dookoła.

- Zaręba!

Spojrzałem przed siebie. Sztukę dedukcji opanowałem na tyle, by po temacie na tablicy wywnioskować, że znajdowałem się na lekcji polskiego. Pioruny we wściekłych oczach stojącej nade mną nauczycielki nie wróżyły niczego dobrego.

- Słucham? - spytałem niewinnie, próbując kolanem przycisnąć książkę do spodu ławki.

- Co robisz?

-...Nic.

- Czemu nie odpowiadasz na pytanie?

- Ale jakie?

Tego dla polonistki było już za wiele.

- Wstań!

Wykonałem polecenie. Dolina trwogi Conan Doylea spadła z trzaskiem na podłogę. Poczulem, że się czerwienię.

- Co to jest? - Jad sączący się z tego zdania mógłby uśmiercić tygrysa, a co dopiero licealistę.

- Książka...? - odpowiedziałem pytaniem, mając jak najlepsze intencje.

Nie byle jaka książka. Chęć przetrwania w szkole i doczołgania się do ostatniej klasy walczyła we mnie z pragnieniem poznania dalszych losów Sherlocka Holmesa.

- Wyjź. Na zebraniu pogadam z twoim rodzicami. - Padł wyrok. Przyjąłem go z ulgą. Zebrałem rzeczy do plecaka i szybkim ruchem wcisnąłem pod pachę Dolinę trwogi. Przygody ukochanego detektywa skończyłem czytać na korytarzu. Przeżycia w tym stylu przydarzały mi się przez całe liceum.

Po maturze nie miałem wątpliwości, co chcę robić w życiu. W roku 1989, przełomowym okresie we współczesnej historii Polski, możliwości zostania oficerem policji (wtedy: milicji) były dwie. Odслужиć wojsko, a potem iść do pracy w MO albo pójść na służbę zastępczą do prewencji, a po półtora roku zdać do szkoły oficerskiej. Wybrałem drugi wariant.

Decydując się na prewencję, wychodziłem z założenia, że zamiast marnować czas, biegając z karabinem po poligonie czy siedząc w czołgu, nauczę się czegoś, co jako gliniarzowi później mi się przyda. Przeszedłem stosowne badania, po czym trafiłem do Łodzi, na tak zwaną unitarkę.

Ulica Pienista. Będę pamiętał ją do końca życia.

Szary baraczek wartowni pełniący funkcję biura przepustek, w głębi szare jedno - i dwupiętrowe budynki koszar, dalej sala gimnastyczna, garaże i warsztaty, wszystko w kolorze szaroburym. Pomiędzy tym wszystkim obszerny betonowy plac apelowy, też, jak się można domyślić, nierażący oczu nadmiernie intensywnymi barwami. Z boku placu park samochodowy: nyski, polonezy, stary z naczepami osobowymi (tak zwane dyskoteki), armatka wodna, kilka transporterów opancerzonych SKOT i.BTR.

Miejsce, w którym miałem spędzić najbliższych kilkanaście miesięcy życia, wyglądało jak koszary wojskowe i nie napawało nadmiernym optymizmem. Również pierwszy dzień służby odarł mnie z wielu złudzeń.

Kapral o wyglądzie i manierach troglodyty kazał nowo zaciągniętym rekrutom ustawić się w dwuszeregu, po czym wyczytał kilkanaście nazwisk, wśród których „Zaręba” lśniło niczym najcenniejszy klejnot.

- Misie! - ryknął. - Sprzątanie rejonów!

- Jakich rejonów? - wyrwało się komuś.

- Morda, misiu! Jazda do magazynu!

W magazynie czekał na nas zestaw cuchnących szmat i stos pięknie ułożonych opakowań pasty do podłóg. Domyślenie się, co należy z nimi zrobić, nie wymagało ani wielkiej filozofii, ani specjalnej dedukcji. Ze zrezygnowanymi minami zabraliśmy się do czyszczenia parkietu.

Pierwsze tygodnie policyjnej unitarki różniło od wojska tylko jedno: kolor mundurów. Ostrzyżono nas na krótko, podzielono na plutony, skoszarowano, nie udzielano przepustek. I kazano czyścić rejon. Określenie „misiu” też nie było przypadkowe i bynajmniej nie należało do pieśniodobych. Stanowiło element czegoś w rodzaju fali. Sprowadzała się ona do dość prostej reguły: wobec „starych” nie mieliśmy żadnych praw. Nie dotyczyła ich kolejka w stołówce, mogli na nas zrzucać część obowiązków, a jeśli „młodemu” trafiła się większa porcja obiadu, zaraz słyszał: „misiu, wymieniamy się”.

Co wieczór szorowaliśmy posadzki do późnej nocy. Jedni psioczyli, inni próbowali przyjąć to z humorem, a jeszcze inni w milczeniu zajmowali się swoim fragmentem podłogi.

Nie tak wyobrażałem sobie służbę.

Czarny beret

W stołówce codziennie widywaliśmy chłopaków z plutonu specjalnego. Obserwowaliśmy ich z nieukrywanym podziwem. Mieszkali na terenie jednostki, ale jadali osobno. Siadali przy długim stole, dostawali znacznie lepsze jedzenie i prawie nie utrzymywali kontaktów z ludźmi spoza swojego oddziału. Nie wyglądali jak my, zwyczajnie, raczej jakby ich gdzieś hodowano. Wysocy, przystojni i wysportowani, bił od nich spokój, który dodatkowo potęgował wrażenie dzielącego nas dystansu. Różnili się od nas każdym szczegółem. Mieli moro z ogromną ilością kieszeni - jak komandos - i spadochronowe buty, a nie byle jakie, workowate mundury. Spali w osobnym bloku, w dwu, a nie dwunastoosobowych pokojach. Przy ich coltach astra (które, nawiasem mówiąc, też nie stanowiły szczytu militarnej techniki) nasze wiekowe P-64 wyglądały jak straszaki z wiejskiej potańcówki. Trenowali na strzelnicy, siłowni, basenie, skakali ze spadochronem...

No i nosili jawny dowód przynależności do elity: niedbale przekrzywiony czarny beret.

My natomiast chodziliśmy na patrole i szorowaliśmy rejon.

Rzecz jasna, marzeniem większości z nas stało się dostanie w szeregi tej elitarnej jednostki. Kiedy ogłoszono nabór, zgłosiło się sześćdziesięciu młodych. W tym ja. Grupa przeszła szereg testów: sprawnościowych, zdrowotnych, odporności na stres, strzeleckich.

Niestety, liczyły się też inne uwarunkowania.

Po pierwsze, niezbyt chętnie brali młodych. Należało wyjątkowo się wykazać, żeby się zdecydowali. Nie tylko na testach. Po drugie: same dobre wyniki nie przesądzały o niczym, o ile człowiek nie wiedział, komu należy postawić wódkę. Nie wiem, jak oceniono moje pozostałe umiejętności, tej ostatniej zabrakło mi na pewno.

Ze wszystkich młodych, którzy się wtedy zgłosili, do plutonu ostatecznie trafiło dwóch. Niestety, nie było mnie pośród nich. Po opanowaniu rozgoryczenia uznałem, że widać taki los mi pisany, i postanowiłem skoncentrować się na drodze do szkoły oficerskiej.

Wkrótce potem rekruci zaczęli odbywać służby.

Termin ten oznaczał osiem godzin kręcenia się bez sensu i celu po blokowiskach, wśród których i tak nigdy nic się nie działo. Chodziliśmy parami i parami umieraliśmy z nudów. Nikt nie znajdował w sobie serca do takiej pracy. W ciepłe dni jeszcze jakoś wytrzymywaliśmy, ale kiedy robiło się zimno, robota wysysała resztki wigoru nawet z najbardziej odpornych. Chowaliśmy się wtedy po klatkach schodowych i przeczekiwaliśmy w ten nieskomplikowany sposób całą służbę, a czasem nawet naciągaliśmy na siebie płaszcze i spaliśmy. Dla kogoś postronnego widok musiał być co najmniej szokujący. Wyglądem zapewne przypominaliśmy bezdomnych.

Chłopakowi wychowanemu na Sherlocku Holmesie i 07, zgłoś się robiło się coraz bardziej markotno. Lista zawiedzionych nadziei robiła się coraz dłuższa.

Nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, co działałoby się dalej, gdyby nie pewne zdarzenie, mające miejsce jakieś pół roku po rozpoczęciu szkolenia rekruckiego. Monotonia dnia codziennego została mianowicie przerwana przez tak zwane uderzenie ze łba.

Tak.

Miałem popołudniówkę - kolejny nudny dzień, który zaczął się o 14.00, a skończył o 22.00. Zanim zdałem sprzęt i uwolniłem się od ostatnich rygorów formalności, zrobiła się prawie 23.00. Czułem się jak chodzące zwłoki. Jedyne, o czym wtedy marzyłem, to wrzucenie w siebie czegoś do jedzenia i pójście spać. W stołówce kłębiło się sporo osób. Część chłopaków po patrolach w milczeniu pałaszowała kolację. Przy stole w głębi sali siedział dowódca plutonu

specjalnego razem z kilkoma swoimi podkomendnymi. W kolejce za mną stało trzech „starych”, w tym jeden kapral. Byli zajęci bluzganiem i sprośnymi żartami, więc jakoś nie przyszło im do głowy, żeby wepchnąć się przede mnie. Stałem spokojnie, nie wadząc nikomu. Dowlokłem się do okienka, odebrałem swoją porcję i ruszyłem do stolika. A przynajmniej chciałem ruszyć.

- Koniec szamy. - Usłyszałem dobiegający z „wydawki” głos kuchennego. - Czekać na nową turę.

Obwieszczenie nie powinno „starym” robić większej różnicy, żaden z nich nie pełnił tego dnia służby; wszyscy większość czasu spędzili pewnie na szeroko pojętej rekreacji. Stało się jednak inaczej.

- Z chuja chyba spadłeś! - stwierdził jeden sentencjonalnie. W tej samej chwili na moje ramię spadła ciężka łapa kaprała.

- Chodź, misiu. Poczekaś sobie, a starsi zjedzą. Dawaj michę.

W sekundę znaleźli się przede mną. Nie wiem, czemu im tak zależało. Jedną porcją na trzech i tak by się nie najedli, ale najwyraźniej górę wzięła rytualna konieczność przypomnienia, kto tu rządzi.

Nie mam pojęcia, jak zachowałbym się w normalny dzień. Może dałbym im tę porcję na odczepnego i spokojnie zaczekał na swoją. W końcu jeden z nich był kapralem, a nam od samego początku wpajano szacunek dla starszych stopniem. Wtedy jednak wezbrały we mnie tylko wściekłość i upór. Czułem, że po całym dniu bezsensownego patrolowania ulic mam prawo chociaż do tej pieprzonej kolacji, którą uczciwie wystawem w kolejce.

- Nie będę na nic czekał. Po służbie jestem - powiedziałem, jednocześnie strącając jego rękę z ramienia.

Nie dyskutowali. Jeszcze nawet nie skończyłem zdania, kiedy drugi z nich trafił mnie plaskaczem w twarz. Nie od razu zareagowałem. Najpierw z pietyzmem odłożyłem miskę z jedzeniem, a potem się odwróciłem.

Zacząłem od tego, który mnie uderzył.

Szybki wykrok, strzał czołem w nos i facet poleciał do tyłu. Obaj kumple skoczyli jak na sprężynie. Kaprała zatrzymałem solidnym kopnięciem w brzuch, ostatniemu przyłożyłem solidnym taborettem, który, sam nie wiem w jaki sposób, znalazł się w moim ręku. Kapral wyprostował się i ponownie skoczył w moim kierunku. Wybiłem się, wykonałem półobrót i moja stopa znowu trafiła go nieco poniżej splotu słonecznego, tym razem znacznie silniej niż za

pierwszym razem. Stęknął i z rozmachem usiadł na ziemi. Ten, który dostał taboret, miał najwyraźniej stalową czaszkę, bo zabierał się do następnego ataku. Złożyłem się i posłałem go na ścianę kombinacją prostych i sierpów.

Miałem sekundę na oddech przed drugą rundą.

Dopiero wtedy zauważyłem, że stoję pośrodku wielkiego kręgu złożonego z rekrutów i oficerów, którzy krzykami i klaskaniem zachęcali mnie oraz moich oponentów do dalszych wysiłków. Publika chciała krwi (jak każda publika na świecie). Było w tym coś z pojedynku gladiatorów.

„Starzy” nie poddawali się łatwo, ale kiedy już zyskałem inicjatywę, nie dałem żadnemu z nich otrząsnąć się na tyle, by mogli mi zagrozić. Nie pozwalałem im wstać. Jedna porcja jedzenia kosztowała ich kilka solidnych siniaków.

Koniec końców żaden z nas nie zjadł tego wieczoru kolacji. Zajście przerwało bowiem wejście oficera dyżurnego i dwóch wartowników.

Kiedy nas wyprowadzali, dostrzegłem, że tylko cztery osoby nie wstały od swojego stołu, żeby obserwować walkę: dowódca plutonu specjalnego i jego ludzie. Jedyne oni nie krzyczeli. Po prostu siedzieli spokojnie, jedli kolację i zdawali się w ogóle nie zwracać uwagi na to, co się stało.

- Mówcie, jak było - rzucił oficer dyżurny, kiedy już znaleźliśmy się przed jego biurkiem. Nie wydawał się zaaferowany, raczej zmęczony. Do północy zostało ledwie kilka minut.

Pytanie zadał w przestrzeń. Nikt nie odpowiedział. Prześlizgnął się wzrokiem po całej czwórce, ale milczeliśmy nadal. W końcu spojrzał mi prosto w oczy. Wzruszyłem ramionami.

- Takie tam... - zacząłem, zupełnie bez pomysłu, co powiedzieć dalej.

Dyżurny pokręcił głową.

- Pisać umiesz?

- Ta jest...

Wyciągnął z szuflady kilka długopisów i kartki.

- Raport. I wasz interes, żeby szło wam lepiej od gadania.

Zdałem sobie sprawę, że niechcący zadziałałem na własną korzyść. „Starzy” nie mieli czasu ustalić wspólnej wersji, więc wszystko, co napiszą, nie będzie prawdopodobnie trzymać się kupy.

Kiedy skończyliśmy, dyżurny zebrał nasze notatki i schował do szuflady.

- A teraz spieprzać do łóżek. I żebym nie musiał już dzisiaj wychodzić.

Wyszliśmy potulnie. Dziwnie się czułem. Myśli kłębiły się pod czaszką, nie przybierając żadnego konkretnego kształtu. Z jednej strony miałem niezłego pietra. Możliwe, że właśnie zaprzepąściłem szansę na szkołę oficerską. Ale z drugiej... jeśli moje życie miało dalej wyglądać tak jak do tej pory, może nie było czego żałować?

W pewnym sensie byłem też dumny, że poradziłem sobie z trzema starymi wygami.

Po wyjściu od dyżurnego poszliśmy każdy w swoją stronę. Szybko przekonałem się, że wieści rozchodzą się z prędkością błyskawicy, gdy bowiem ukazałem się w korytarzu swojego bloku, powitała mnie owacja na stojąco. Koledzy klepali mnie po plecach i serdecznie gratulowali. Cudownym sposobem pojawiło się też kilka puszek idealnie schłodzonego piwa.

Tak przeżyłem swoje pięć minut sławy w prewencji.

Następnego ranka obudziłem się wcześniej niż zwykle. Sporo czasu zmitrężyłem w łazience, a potem jeszcze dłużej wkładałem mundur. Nigdzie mi się nie spieszyło. Czekala mnie wizyta u dowódcy i miałem niemal stuprocentową pewność, co od niego usłyszę.

Wyrzucenie nie tylko przekreślało marzenia o pracy w policji. Oznaczało pójście na dwa lata do wojska. Mój dotychczasowy staż w prewencji nie wliczałby się do tej służby.

Pod gabinetem dowódcy jednostki kazano mi czekać. Usiadłem grzecznie i następne pół godziny siedziałem w pustym korytarzu. Audycja zaczynała się od przetestowana cierpliwości interesanta.

Rozejrzałem się. Nigdzie śladu „starych”. Dziwne. Powinni warować razem ze mną.

Wreszcie w drzwiach pojawiła się sekretarka.

- Dowódca prosi.

Odetchnąłem głęboko i na lekko drżących nogach ruszyłem na spotkanie losu.

Przywitała mnie ekipa, którą razem widywałem dotąd tylko na oficjalnych uroczystościach. W pokoju siedzieli dowódca, jego zastępca, dowódca plutonu specjalnego i jeden z oficerów kadrowych. Dowódca spojrzał na mnie, po czym westchnął.

- Opowiedz, jak było.

- Tak jest, panie inspektorze.

Opowiedziałem, mając pełną świadomość, że jeden z nich widział zajście na własne oczy. Gadałem i gadałem, a oni nie sprawiali wrażenia, jakby naprawdę interesowało ich, co mówię.

Często pospieszali narrację. „Co dalej?”, pytali. Kiedy skończyłem, żaden nie odniósł się do moich słów, za to dowódca plutonu specjalnego zaczął mi się uważnie przyglądać.

- Jakież sporty w cywilu uprawiałeś? - spytał.

- W nogę trochę grałem, ale głównie sztuki walki. Takie kopane bardziej.

- Jaki styl konkretnie?

- Taekwondo WTF. Boks też trochę.

Uśmiechnął się pod nosem.

- A tu po co przyszedłeś? Wojska się bałeś?

- Nie... Chciałem zdawać do szkoły oficerskiej.

- A jak się nie uda?

O tym nie pomyślałem. Ale nie była to też zbyt trudna zagadka.

- Zostanę w prewencji.

Kiwnął głową. Pozostali nie odzywali się, co było zgoła nietypowe: facet nominalnie nie był przecież moim dowódcą.

- A do mnie byś nie wolał przejść? - zapytał beznamiętnie.

Zrobiłem minę tak głupią, że aż się zaśmiał. Za pobicie trzech kolegów, w tym jednego wyższego stopniem, spodziewałem się kary, nie nagrody.

- Tak jest! - krzyknąłem, jakby aktualność propozycji zależała od mojego refleksu i siły głosu.

- Chwila, Zaręba. Źle ci u mnie?- obruszył się lekko komendant.

Zawahałem się. Mama uczyła mnie, że należy być uprzejmym, ale w końcu nie uprzejmość, tylko, można by rzec, bolesna szczerłość sprawiła, że w ogóle znalazłem się w tym pokoju.

- Tak jest, panie pułkowniku!

Zbaraniał.

- Słucham?

- No bo... nudno tu, panie pułkowniku. Albo szorowanie rejonów, albo włóczenie się po osiedlach. Tak czy siak, mało się dzieje.

- A tam?

- A tam może będzie trochę akcji. Wieczorem należałem do elity.

Pluton specjalny

Dopiero kiedy obładowany rzeczami wszedłem na blok, a szef kompanii wskazał mi lokum, zrozumiałem, jak wielka przepaść dzieliła zwykłą prewencję od plutonu specjalnego. Jakby porównać Disneyland do wesołego miasteczka w Kaczyczych Dołach. Tutaj wszystko, w co przestawałem już wierzyć, wydawało się możliwe.

Maszerując powoli w stronę przydzielonej kwatery, zerkąłem do pokoi. Prawie wszystkie drzwi były pootwierane. Widziałem książki na biurkach, plakaty na ścianach, nawet rowerki stacjonarne, a przede wszystkim różnorodną, wysokiej klasy broń. Leżała na stołach, krzesłach i łóżkach, przez nikogo niepilnowana.

Tutaj nie trafiał nikt przypadkowy. Wszyscy mieli do siebie zaufanie.

Moim współlokatorem okazał się niewysoki facecik, nienależący do szczególnie wylewnych. Minęło trochę czasu, zanim go trochę poznałem. Okazało się, że z wykształcenia był filozofem, skrajnie zdystansowanym od świata i to do tego stopnia, że różnica między życiem a śmiercią wydawała mu się drobna i nieistotna, wręcz niewarta dłuższych rozważań.

Gdy wszedłem, spojrzał na mnie, podał rękę, wymieniając nazwisko, a potem wrócił do czyszczenia pistoletu. Zanim rzuciłem swoje manatki na łóżko, w drzwiach zjawił się chorąży.

- Po coś tu pamiątki targal? - spytał, wskazując na moje owinięte w koc rzeczy. - Idziesz wszystko zdać, misiu.

Co prawda w jednostce specjalnej nigdy nie spotkałem się z takimi przejawami fali jak w prewencji, ale tu też byłem nowy, o czym nikt nie zamierzał dać mi zapomnieć. Miś to miś.

- Bierz szpeje i chodź ze mną - powiedział chorąży. Wciągnąłem więc toból z powrotem na plecy. Pół godziny później byłem znowu w pokoju ubrany w moro plutonu specjalnego. Na stanowiącym moją fryzurę krótkim języku dumnie panoszył się czarny beret.

Współlokator natychmiast sprowadził mnie na ziemię.

- Na prawo noszenia beretu trzeba zasłużyć.

- Mam go w ręku nosić?

- Pod pagonami. Tu czy tam, do czasu chrztu jesteś tylko misiem.

Zrobiłem, jak powiedział, starając się ukryć rozczarowanie. Później okazało się, że niepisanych praw jest więcej, na przykład nie wolno mi iść z grupą na poligon czy trening.

Musiało minąć parę tygodni, zanim zaczęto traktować mnie jak swojego i dopuszczać do ćwiczeń.

Tymczasem pozostawało mi... szorowanie rejonów.

Prawdziwym członkiem plutonu specjalnego zostałem po oddaniu pierwszego skoku ze spadochronem. Skoczyłem, o dziwo, nie odczuwając specjalnych emocji, a tego samego dnia wieczorem odbyły się chrzciny.

Dowódca zebrał oddział w świetlicy.

- Zaręba, wystąp!

Wyszedłem przed szereg. Pośrodku czekało krzesło. Wódz usiadł na nim i kazał mi włożyć głowę między swoje nogi. Rytuał dosyć prymitywny, ale nikt nie zamierzał dyskutować z tradycjami. Z boku stała dębowa deska. Wypisano na niej nazwiska wszystkich członków jednostki.

- Starszy, ile batów? - spytał dowódca.

- Dyszka.

Zanim zorientowałem się, co się dzieje, na mój tyłek spadł pierwszy cios. O ich liczbie decydowało trzech najdłużej służących w oddziale. Zasada była boleśnie prosta: lubią kogoś, uderzeń mniej. Jeśli ktoś ich wkurzał... no cóż, nikt nie przejmował się górnym limitem.

Dziesięć to był duży kredyt zaufania.

- A teraz pompuj pięćdziesiąt. Za oddział.

Wykonałem polecenie z ochotą. Czułem rosnącą dumę, że zaraz stanę się pełnoprawnym członkiem czegoś, co podziwiałem od początku służby.

Gdy lekko zdyszany skoczyłem na równe nogi, dowódca włożył mi czarny beret na głowę i uściśnął dłoń.

- Witamy w plutonie - powiedział. Potem było coś na kształt lakonicznych i w dużej mierze niecenzuralnych gratulacji od starszych z oddziału. A później zacząłem uczyć się prawdziwej policji.

Trening, który odbyłem w plutonie specjalnym, uważam za bardzo dobry, zwłaszcza biorąc pod uwagę czas i okoliczności, w których miał miejsce. W Polsce trwały obrady Okrągłego Stołu, opozycja dogadywała się z dawną władzą, a kształt nowej Rzeczypospolitej dla nikogo nie był oczywisty. My jednak funkcjonowaliśmy na poziomie, którego nie powstydzilyby się podobne oddziały w ówczesnej Europie.

Mieliśmy dostęp do różnych rodzajów broni, począwszy od starych P64, na RAKach i kałachach kończąc. Szczegółowo poznawaliśmy każdy z nich. Zawiodł mnie tylko brazylijski colt astra - marzenie każdego chłopaka z przewencji. W życiu nie miałem w ręku większego szajsu, choć przyznać trzeba, że broń wyglądała pięknie.

Uczyliśmy się strzelać w różnego rodzaju sytuacjach bojowych. W ruchu, zza osłony czy nawet - sięgając po wzorce z filmów akcji - z obu rąk.

Skakaliśmy ze spadochronem, operowaliśmy z transportera opancerzonego, łącznie z trenowaniem skoków z wozu w czasie jazdy. Sporo ćwiczyliśmy fizycznie. Basen i siłownia były obowiązkiem. Do tego dochodziły zajęcia z walki wręcz. Pamiętam, jak podśmiewałem się w duchu z potężnie zbudowanych kolegów. Dziś określono by ich mianem „koksów”. Bawiło mnie, gdy jęczeli potępieńczo, próbując podnieść wyprostowaną nogę na wysokość biodra albo chociaż... kolana. Dopiero później doceniłem ich atuty. Mając kogoś takiego, nie potrzeba już tarana do forsowania drzwi.

Wiedzę praktyczną pogłębiały szkolenia teoretyczne. Lektura przygód Sherlocka Holmesa nie przygotowała mnie na to, jak wiele tej wiedzy trzeba było wchłonąć. Zasady dedukcji angielskiego detektywa były niczym przy zasadach użycia broni, przepisach prawa, procedurach operacyjnych czy pozornie oczywistych drobnostkach w rodzaju taktyki wchodzenia do pomieszczeń.

Na treningach zeszło kilka miesięcy.

Ćwiczyliśmy właśnie samoobronę. Zajęcia nagle przerwało wejście dowódcy w towarzystwie dwóch nieznanym nam oficerów. Kiedy otworzyły się drzwi, a oni równym krokiem ruszyli przez salę, natychmiast rozległy się ciche szepty.

- Cisza! - Wódz wydawał się odrobinę podenerwowany. - Koniec zajęć. Do 13.00 chcę widzieć każdego w pełnej gotowości. Mamy robotę.

Nie czekał na reakcję. Ruszył z powrotem do wyjścia, a jeden z oficerów zaczął czytać listę przydziałów. Usłyszałem swoje nazwisko i serce zabiło mi mocniej.

- Boisz się, Krzysiek? - spytał mnie Filozof, kiedy wracaliśmy po rzeczy do pokoju. - A ty? Parsknął śmiechem. - Kwestia podejścia. Stoik nie ma się czego bać. - Klepnął mnie po plecach. - Ale misiek, owszem.

- Nie jestem miśkiem - obruszyłem się.

- Się dopiero okaże.

Ponoć tylko głupi się nie boją, ale naprawdę: jedyne, co wtedy czułem, to podekscytowanie. Miałem dwadzieścia lat. Chciałem zobaczyć, ile warte są dziesiątki godzin treningów i zajęć. Łaknąłem akcji. Rwałem się do boju.

Na odprawie dowiedziałem się, że jedziemy do Czarnego. W tamtejszym więzieniu wybuchł bunt z powodu... amnestii. Brzmi absurdalnie, ale właśnie amnestia była zapalnikiem, który zdetonował ładunek. Problem polegał na tym, że nie dotyczyła wszystkich.

- Zabójcy i recydywiści zrobili strajk - tłumaczył nam dowódca. - Nie spodobało im się, że polityczni wychodzą, a oni nie.

Nagle wszyscy, łącznie ze złodziejami rowerów, poczuli się więźniami politycznymi zamkniętymi za próbę obalenia ustroju.

- Rozwiesili plakaty. Chcieli negocjacji. A kiedy to nic nie dało, przejęli obiekt. Wczoraj weszła służba więzienna, dwustu chłopca. Doszło do strzelaniny, były ofiary śmiertelne. Klawisze zostali wypchnięci na zewnątrz. Więźniowie zabarykadowali się w dwóch blokach i od jakiegoś czasu okupują je.

- Zakładnicy? - spytał jeden z chłopaków.

- Dwóch klawiszy i pielęgniarka. Więźniowie wynieśli na dach plandekę z żądaniami i zaczyna się z tego robić duża sprawa. Czekamy na decyzję góry. Albo wchodzi ZOMO, albo wchodzimy my i załatwiamy temat precyzyjnie. „Chirurgicznie”, tak powiedzieli. Na razie jesteście w gotowości.

Kiedy wychodziliśmy, odwróciłem się w stronę Filozofa.

- Ciekawe, czego żądają.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Kogo to, kurwa, obchodzi?

Potem nastąpił nerwowy okres oczekiwania. Politycy i dowódcy dywagowali. Polska zaczynała być demokracją, ale poza deklaracjami niewiele jeszcze za tym szło. Władza nie chciała działać jak komuniści, służbom brakowało natomiast jakichkolwiek nowych wzorców i procedur.

Bardziej chyba dla zabicia nudy niż z realnej potrzeby zapoznano nas z aktami więźniów. W ogniu walki i tak nie będzie czasu patrzeć, kto jest kim. Przeglądaliśmy leniwie dossier prymitywnych zakapiorów i w ten sposób spędziliśmy blisko pięć godzin.

W końcu władze zdecydowały się posłać negocjatora. Naturalnie, zawód negocjatora w PRLu nie istniał, więc dowódca po prostu wyznaczył jednego z nas. Poszedł ten, który wydał nam się najsprytniejszy, ale prawdę mówiąc, nie spodziewaliśmy się wielkiego sukcesu. Nie przygotowywano nas do podobnych zadań.

Negocjator osiągnął jednak nielichy sukces, po godzinie więźniowie wypuścili bowiem dwóch strażników więziennych, których wzięli jako zakładników. Wtedy zaczęliśmy się zastanawiać, czy do interwencji w ogóle dojdzie. Jednych cieszyła taka możliwość, innych wręcz przeciwnie. Wątpliwości rozwiązały się niedługo.

Jeszcze z korytarza słyszeliśmy, jak wódz rzuca mięsem pod adresem góry. Kiedy wszedł do pokoju, było jasne, że coś tu nie gra. Spojrzał na nas i powiedział tylko:

- Wchodzimy.

Popatrzyliśmy po sobie.

- To chyba dobrze, nie?

Nie zwrócił na nas uwagi. Wydawał się zły i zmartwiony.

- Wchodzimy jednocześnie do całego więzienia. Rejon, w który uderzacie, olcupuje mniej więcej trzydziestu więźniów. Z boku macie osłonę ZOMO, żeby nie połączyli się z buntownikami z innych części.

Zaczęliśmy się zbierać, każdy chciał jeszcze raz sprawdzić broń i poprawić sprzęt.

- Zostawcie broń.

Z kilkunastu gadeł jednocześnie wyrwały się okrzyki niedowierzania.

- Media podchwyciły, że doszło do strzelaniny, i góra nie chce, żeby coś takiego się powtórzyło.

- Znaczy co?

- Znaczy, że macie pałki i gaz.

Wtedy wszyscy zrozumieli nagle, dlaczego dowódca był tak wściekły. Nie szliśmy na szturm ani pacyfikację. Góra wysyłała nas na bijatykę rodem z wiejskiego wesela.

Nie pojmowałem tego. Decydentom naprawdę zdawało się, że ktoś pomyli próbę usadzenia kilku morderców i recydywistów z Kopalnią Wujek? Wychodziło na to, że ich bezpieczeństwo miało być ważniejsze od naszego.

Naiwna refleksja gówniarza. Politykom nieodmiennie chodzi o chronienie własnej dupy.

Przydzielono mnie do drużyny numer dwa. Było nas dziesięciu i wyglądaliśmy jak imitacja rzymskiego legionu. Każdy z wielką plastikową tarczą, hełmem z przyłbicą i pałką. Tak wyekwipowani, ruszyliśmy na akcję.

Zbliżając się do bloku więziennego, wiedzieliśmy, że wokół porozstawiani są strzelcy wyborowi, z czego zresztą więźniowie również zdawali sobie doskonale sprawę, tyle że niewiele ich to obchodziło. Od czasu do czasu któryś z nich wychodził na dach i machał do kamer, a nasi snajperzy mogli sobie co najwyżej popatrzeć przez lunety. O strzelaniu nie było mowy. Nikt nic nie wiedział i każdy bał się podjąć jakąkolwiek ryzykowną decyzję.

Weszliśmy do budynku.

Blok wyglądał jak po przejściu huraganu. Wszystko, co dało się zniszczyć, zostało zdemolowane. W wielu miejscach skruszono nawet tynk na ścianach. Jego kawałki leżały na podłodze wśród papierów, powyrywanych muszli klozetowych, resztek ubrań, naczyń i mebli. Cały ten bajzel chrzęścił pod stopami.

Przez pierwsze kilkadziesiąt metrów nikt nie zwrócił na nas uwagi. Przed nami znajdowała się krata, którą musieliśmy rozpiłować. Dalej zbudowano barykadę z szaf. Dopiero po sforsowaniu tego wszystkiego czekała nas walka wręcz.

Kątem oka zobaczyłem, jak głowa jednego z moich kolegów odskakuje, a on sam zatacza się do tyłu. Spojrzałem przed siebie i zasłoniłem tarczą głowę. Więźniowie zarzucili nas gradem wszelkich możliwych pocisków, jakie mieli pod ręką.

Gdy tylko sforsowaliśmy kratę, natychmiast rzuciło się w naszym kierunku kilku skazanych.

- Nie strzelajcie! Poddajemy się.

Padli na kolana, unosząc ręce w górę. To koniec?, pomyślałem. Przestraszyli się szturm i poddali, tak po prostu? Oto cała akcja?

Otrzeźwieniem był lecący w moją stronę stołek. Podało się tylko kilku facetów, którzy prawdopodobnie nawet nie chcieli brać udziału w buncie. Odesłaliśmy ich na tyły, po czym ruszyliśmy forsować barykadę z mebli.

Grupa dwudziestu więźniów zerwała się do wściekłego.

Zaczęła się młócka. Młócka i chaos.

Myli się ten, kto sądzi, że w takich warunkach kordon policji wytrzymuje uderzenie i w sposób zdyscyplinowany postępuje naprzód. Tak nie było. Nie wtedy. W ruch poszły pięści,

pałki, nogi, nogi od krzeseł i wszelkie możliwe przyrządy nadające się do zrobienia bliźniemu krzywdy. Oni rzucali w nas, a my w nich. Kopaliśmy się. Uderzaliśmy. Nikt nie zważał na rany, złamania i krew.

Nagle stanął przede mną wysoki drab o twarzy pokrytej bliznami. Zamachnąłem się pałką. On, nie czekając na cios, wskoczył na moją tarczę - poczułem, że w mojej ręce coś chrupnęło i nagle zaczął promieniować z niej coraz silniejszy ból. Był wściekły, a w swojej wściekłości potwornie silny. Szarpnąłem utwardzonym plastikiem, ale nie mogłem go strącić. Ruszyłem do przodu, po czym gwałtownie zrobiłem krok w tył. Tkwił jak wielki kleszcz.

Opuściłem nieco tarczę i uderzyłem go czołem w twarz. Miałem na sobie policyjny hełm z przyłbicą, więc uderzenie musiało zrobić na facecie wrażenie. Osunął się z tarczy na ziemię niczym martwa mucha starta z szyby samochodu, a ja przestałem cokolwiek widzieć, ponieważ pleksiglasowa szyba przyłbicy zalana była krwią.

Przetarłem szybę rękawicą.

Zobaczyłem chaos. Wokół latały krzesła i stoły; wszystko, co dało się podnieść albo wyrwać ze ściany, leciało w naszym kierunku. Mimo to szliśmy naprzód. Bez broni palnej, jedynie z tarczami i pałkami naprzeciw kotłującej się ludzkiej masy. Zraniona ręka bolała mnie coraz bardziej. Tarcza opadała. Spazmy bólu rozlewały się po całym ramieniu za każdym razem, gdy choćby najmniejszy przedmiot odbił się od tarczy.

Zacisnąłem zęby i ruszyłem przed siebie.

Zdałem sobie sprawę, że nikt już nad tym nie panuje. Nie było mowy o taktyce ani o koordynacji działań. Kiedy nasz szyk zaczął się rwać, nastąpił moment krytyczny. Kilka najbliższych sekund miało zadecydować o tym, czy więźniowie wypchną nas na zewnątrz, czy się złamią. Obie strony walczyły resztką sił.

Prostym kopnięciem potraktowałem zbliżającego się w moją stronę więźnia, a potem poprawiłem pałką przez twarz. Facet upadł. Rzuciłem go do tyłu, gdzie zaopiekowali się nim koledzy z drugiego szeregu.

W końcu przełamaliśmy zorganizowany opór. Wystarczyło rozbić grupę na tyle, abyśmy byli w stanie wyławiać więźniów pojedynczo. Przykuwaliśmy ich kajdankami do specjalnych prowadnic przy pasie i - już niegroźnych - zostawialiśmy na ziemi. Każdy kolejny „odłowiony” sprawiał, że opór więźniów słabł.

Potem do akcji wkroczyło ZOMO i pozamiatało protest do końca.

Gdy ślaniając się na nogach, wyszliśmy na zewnątrz, spytałem któregoś z policjantów o godzinę. Zdawało mi się, że spędziliśmy w środku pół dnia. W rzeczywistości nie minęły dwa kwadranse.

Mieliśmy trzech rannych, do których - pechowo - należałem także ja. Okazało się, że ręka jest zwichnięta i czeka mnie trzy tygodnie chodzenia z temblakiem.

Podczas powrotu do jednostki prawie nie rozmawialiśmy. Czas na radość z pierwszej akcji przyszedł dopiero później. Na razie byliśmy zbyt zmęczeni. Stres związany z kilkoma godzinami pozostawania w gotowości, szturmem i walką wręcz miał dopiero objąć nas w posiadanie. Na razie wszystkim chciało się spać.

Jeszcze przez kilka tygodni po akcji w Czarnem wierciłem się przed zaśnięciem - kładąc się, szukałem pozycji, w której nie bolałaby mnie ręka - ale pierwszej nocy po tamtym dniu, moim debiucie, spałem jak zabity.

Był grudzień 1989 roku. Miałem dwadzieścia lat i była to moja pierwsza akcja. Ale nie tylko moja. To była pierwsza poważna akcja służb policyjnych III RP.

Pionki

Nadszedł długo oczekiwany moment - skończyłem odrabiać służbę wojskową. Niestety, dobiegła również końca moja przygoda z plutonem specjalnym. Pożegnałem się serdecznie z kolegami, z którymi przeżyłem kilka wspólnych akcji oraz parę tysięcy godzin spędzonych na treningach i z którymi łączyło mnie coś więcej od zwykłego koleżeństwa. Wkrótce potem zostałem przyjęty na zaoczny kurs w szkole oficerskiej oraz otrzymałem pierwszy w życiu przydział służbowy w prawdziwej policji. Taki złotodziób może trafić bardzo różnie; ja już na początku miałem sporo szczęścia. Wylądowałem co prawda w niewielkiej miejscowości Pionki nieopodal Radomia, ale za to od razu w sekcji kryminalnej komisariatu policji. Byłem dumny: znalazłem się w tak zwanej Jedyńce, co oznaczało, że będę zajmował się zabójstwami i rozbojami i łapał najgorszych bandziorów.

Komisariat zajmował dwupiętrową kamienicę wołającą o remont, jednak wewnątrz nie było najgorzej. Sekcja kryminalna miała dla siebie całe pierwsze piętro, w pokojach siedziało przeważnie po dwóch policjantów i choć umeblowanie nie tylko pamiętało lepsze czasy ale również stanowiło kolorową i zdrowo użytą zbieraninę, warunki do pracy były, jak się szybko przekonałem, znośne.

Pierwszego dnia pracy, pięknie wymyty, wyprasowany w kant i zarumieniony z emocji, zameldowałem się u komendanta. Komendant, nieco otyły i rozmemłany jegomość po czterdziestce, spojrzał na mnie wzrokiem, który mówił, że jego właściciel nie bardzo wie, z kim ma do czynienia. Przedstawiłem się grzecznie. Komendant skinął głową, jakby mu się coś przypomniało, wymamrotał swoją funkcję i nazwisko, po czym wezwał do siebie kierownika sekcji kryminalnej.

Kierownik ów był jeszcze bardziej lakoniczny od swego szefa: po prostu skinął głową i kazał iść za sobą, roztaczając wokół aury profesjonalizmu i monarszej niemal władzy. W gabinecie wygłosił parę okrągłych formułek na temat lojalności, konieczności zaangażowania w pracę, uczenia się od starszych. Mówił takim tonem, jakby go to potwornie nudziło. Po kilku minutach monotonnego wykładu poinformował mnie, że zostaję przydzielony do aspiranta Cyprynowskiego.

W ten sposób, jeszcze o tym nie wiedząc, trafiłem pod skrzydła legendy.

Cyprynowski

Aspirant Stanisław Cyprynowski okazał się policjantem bez wyższych studiów, ale za to z dwudziestoletnim stażem. Szybko się zorientowałem, że pomimo stosunkowo niskiego stopnia i braku wykształcenia był kimś w rodzaju lokalnego guru: funkcjonariuszem bardzo cenionym i poważanym zarówno przez kolegów z pracy, jak i mieszkańców tej niewielkiej miejscowości; uchodził za pryncypialnego, sprawnego i fachowego policjanta. To dobrze wróżyło: dla każdego młodego gliniarza to, na kogo trafi u początków swej drogi zawodowej, jest absolutnie kluczowe. Jeśli na mądrego, sporo wiedzącego, zaangażowanego w pracę starego mistrza, ukształtuje go to na całe życie; jeśli natomiast napotka lenia i głąba, nigdy nie stanie się wartościowym łapaczem bandytów. Pewnych rzeczy, choćby nie wiadomo jak pilnym studentem się było, nie sposób nauczyć się w szkole policyjnej.

Młody policjant jest jak biała księga: można w niej zapisać wszystko.

Pełen jak najlepszych chęci, zameldowałem się w pokoju Cyprynowskiego. Aspirant spojrzał na mnie krytycznie, po czym, nie wdając się w żadne powitalne przemowy, powiódł do niewielkiego pomieszczenia znajdującego się na tym samym piętrze. Powoli zaczynało mnie to drażnić - tu wszyscy jacyś okropnie lakoniczni byli.

Pokój po sufit wypełniono regałami i komodami. Na regałach stały setki kartonowych teczek. Zawartość komód miałem wkrótce poznać.

Cyprynowski podszedł do jednej z nich, po czym szybkim ruchem wyciągnął szufladę i z kamienną twarzą wysypał wszystko ze środka na ziemię. Podłogę pokryło kilkaset gęsto zapisanych papierowych fiszek. Nim zdołałem zapytać go o przyczynę tej niszczycielskiej działalności, na podłodze wylądowała zawartość kolejnych trzech szuflad. Góra papieru sięgała niemal kolan.

- Słuchaj, młody - powiedział Cyprynowski, wyciągając z kieszeni paczkę papierosów i podsuwając mi pod nos. - Straszny tu bajzel. Każdy przychodzi, szuka, korzysta, potem nie odkłada na miejsce. Wydział czekał na kogoś tak porządnego jak ty.

- Znaczy, że... - nie dokończyłem, chcąc choć o sekundę odwlec nieszczęście.

- Musisz wszystko ładnie ułożyć. Alfabetycznie.

Poczęstowałem się papierosem, co było błędem, ponieważ pokazało, jak bardzo ze złości drżą mi ręce. Cyprynowski nie przejmował się tym.

- Ale układanie zajmie ze dwa tygodnie - wycodziłem przez zęby. Przypomniało mi się czyszczenie rejonów. W komendzie, jak widać, znowu zaczynałem od początku. Miś to miś, niezależnie od przydziału służbowego.

- Nie spiesz się - odrzekł Cyprynowski łagodnie, po czym ruszył się do wyjścia. - A jakby ci się chciało pić, u mnie w pokoju jest elektryczny czajnik. Możesz sobie herbaty zrobić, tylko kubek przynieś. I pamiętaj, żeby czajnik potem z prądu wyłączyć. Nie patrz tak, zarządzenie komendanta.

Zostawił mnie zgrzytającego zębami. Szybko się okazało, że porządkowanie dokumentacji nie było małą złościwością aspiranta Cyprynowskiego. Miało swój głęboki, choć ukryty sens.

Pewnego ranka na moje biurko trafił list gończy za pewnym mężczyzną.

- Idź do kartoteki, sprawdź, czy tu taki mieszka - powiedział Staszek w przestrzeń.

Nie ruszyłem się z miejsca, tylko dalej gapiłem na trzymaną w rękę kartkę papieru. Fotografia i nazwisko coś mi mówiły.

- No idź. Coś tak zaniemówił? - ponaglił mnie Staszek.

I w tym momencie wszystko sobie przypomniałem.

- Facet mieszka u nas. Na Wiśniowej 7 - powiedziałem.

Cyprynowski szatańsko się uśmiechnął, po czym spojrzął na mnie wzrokiem mądrego nauczyciela. Właśnie przekonałem się na własnej skórze, co miał na myśli, każąc mi porządkować te cholerne fiszki.

Któregoś dnia pojechaliśmy do mieszkania, do którego w biały dzień dokonano włamania, i to podczas obecności właścicieli. Włamywacz dostał się do środka przez otwarte okno, zostawiając pod nim piękny odcisk buta.

- Młody, odlew umiesz robić? - zapytał mój mentor.

- Jasne - odparłem. Nareszcie coś, przy czym będę mógł się wykazać nabytą wiedzą.

- W takim razie dawaj.

Wziąłem z samochodu woreczek z gipsem i miseczkę, po czym rażno zabrałem się do roboty. Po piętnastu minutach katorżniczych mąk miałem ręce unurzane po łokcie w szarej,

zastygłej na kamień brei oraz dysponowałem około dziesięcioma kawałkami odlewu, z których żaden nie nadawał się do niczego z wyjątkiem stuknięcia się w głowę.

Cyprynowski zdążył w tym czasie rozpytać sąsiadów oraz kilka innych osób, które mogły odegrać rolę świadka. Po tym wszystkim stanął nade mną, po czym pokręcił głową ze smutkiem.

- Wiem, że was w szkole tak uczą. Ale nigdy w ten sposób odlewu nie zrobisz - rzekł dobrotliwie.

Inie czekając na odpowiedź, zaczął szukać czegoś w trawie. Po chwili przyszedł do mnie z kilkunastoma patyczkami i gałązkami. Z tego budulca zrobił coś w rodzaju szkieletu, który ustawił dokładnie nad śladem buta złodzieja, z dużą wprawą rozrobił gips, a następnie zalał nim drewnianą konstrukcję. Po kilku minutach otrzymał bardzo dokładnie odwzorowany ślad buta.

- Rozumiesz teraz? - zapytał. - Gips sam z siebie nigdy nie będzie się trzymał.

Pokiwałem głową. Umiejętność wykonania gipsowego odlewu, tak jak kilka innych czynności nauczonych przez Cyprynowskiego, pozostanie mi zapewne do końca życia.

Nadszedł kolejny zwykły dzień.

Staszek Cyprynowski oznajmił, że musimy w mieście dokonać kilku sprawdzeń. Wzięliśmy z szafy broń, po czym wsiedliśmy do służbowego poloneza. Staszek miał rozliczne policyjne specjalizacje, między innymi był też psim przewodnikiem. Często woził kudłatego czworonoga służbowym samochodem, w związku z czym pocziwy trapez, cały w kłakach, niemilosiernie zajeżdżał karmą dla psów. Skrzywiłem się, ale Cyprynowski nie zwracał na mnie uwagi. Kliniczna czystość w miejscu pracy nie należała do jego życiowych priorytetów.

Na jednej z głównych ulic dostrześliśmy jadącego zygzakiem rowerzystę.

- Trafiony, zatopiony - mruknąłem. W nosie mi się kręciło od tej cholernej sierści.

- Tak jakby - odmruknął Cyprynowski, z wyjątkową jak na niego poważną miną.

W normalnych okolicznościach operacyjni nie zajmują się pijanymi rowerzystami, pomyślałem więc, że po prostu szerszym niż zwykle łukiem wyminiemy go, po czym pojedziemy dalej w swoich sprawach. Staszek jednak z zaciętą miną wyprzedził pijaczka, po czym zatrzymał samochód. Wysiadł, trzasnął drzwiami dużo mocniej niż zwykle, następnie podszedł do rowerzysty. Po chwili zaczął gestykulować, coś zatrzymanemu tłumaczyć, niemal krzyczeć. Po odegraniu tej interesującej pantomimy schylił się i wyciągnął wentyle z obu kół. Cisnął rower w trawę, podszedł do samochodu, z kieszeni drzwi wyciągnął bloczek mandatowy i wrócił do

rowerzysty, który z głupią miną stał na poboczu, jakby nie mogąc uwierzyć w taką zawziętość władzy.

Wypisanie mandatu zajęło dosłownie chwilę.

Cyprynowski wręczył go pechowemu rowerzyście, po czym na dobre wrócił do samochodu. Wystartował z piskiem opon.

- Starszy gość jakiś - mruknąłem, nie bardzo wiedząc, co myśleć o całym zajściu. - Może trzeba mu było darować? I tak pewnie nie zapłaci.

- Zapłaci - odmruknął Cyprynowski. - To mój ojciec.

Pewnego dnia przyszedłem do pracy o 7.00 i zabrałem się do potwornej sterty papierów zalegającej na moim biurku. Cyprynowski się spóźnił, co mu się nigdy nie zdarzało. Nawet zacząłem się już niepokoić. W pewnym momencie drzwi otwarły się z hukiem, a Staszek wpadł, jakby się paliło, i od progu krzyknął:

- Pobudka, trzeba zawinąć jednego gościa.

Zgarnął z szafy pistolet i już go nie było.

Nawet nie zdążyłem zapytać, gdzie jedziemy i po co. Złapałem broń i pobiegłem za Staszkiem. Po dziesięciu minutach znaleźliśmy się pośrodku jednego z typowych postkomunistycznych blokowisk, jakimi upstrzona jest cała Polska. Cyprynowski zatrzymał wóz, wyskoczył jak na sprężynie, po czym podszedł do siedzących na ławce trzech młodocianych dresików, wystawiających swe pryszczate facjaty ku pierwszym promieniom nieśmiałego wiosennego słońca.

- Kowalski, idziemy - powiedział Staszek, marszcząc groźnie brwi.

Siedzący w środku chłopak wyglądający na przywódcę grupy otworzył leniwie oczy, ale zobaczywszy aspiranta, posłusznie wstał z ławki. Jakoś nie przyszło mu do głowy, by choć zapytać opróczynę lub cel zaproszenia.

Wsiedliśmy do samochodu. Staszek Cyprynowski zajął miejsce za kierownicą, ja z dresikiem ulokowałem się z tyłu. W milczeniu dojechaliśmy do komendy. Wsiedliśmy. Chłopak nie stawiał oporu, o nic też nie pytał, więc po prostu trzymałem mu dłoń na ramieniu, nie widząc konieczności stosowania żadnych chwytów transportowych ani zakuwania w kajdanki. Dotarliśmy do pokoju przesłuchań.

Dresik usiadł na krześle. Sprawiał wrażenie stałego bywalca tego typu pomieszczeń.

Cyprynowski chodził po pokoju i sapał, a ja stałem pod ścianą, nie bardzo wiedząc, jak się zachować.

Staszek w końcu zakończył proces perypatetyczny, po czym podszedł do chłopaka. Zbliżył twarz na odległość trzydziestu centymetrów do twarzy tamtego, po czym wycedził:

- Jeżeli ona uroni przez ciebie chociaż jedną łzę, osobiście przybiję ci jaja do ściany, rozumiesz?

Kowalski, gwałtownie pobladły, skinął głową. Najwyraźniej ci dwaj mieli pewne wspólne sprawy, o których nie miałem zielonego pojęcia.

Dużo później Staszek wyjawiał mi, że rzecz dotyczyła jego ukochanej dziewiętnastoletniej córki jedynaczki. Cyprynowski dowiedział się, że ów żulik zaczął do niej startować, a ona, ku rozpaczy Stasia, nie powiedziała stanowczo „nie”. Cyprynowski wziął więc sprawy w swoje ręce i z wyżyn policyjnego autorytetu starał się zapobiec ewentualnej katastrofie, w którą mogłaby się wpakować progenitura.

Jakiś czas później Staszek zawinął zresztą Kowalskiego za jakiś napad i sytuacja wróciła do normy, a troskliwemu tacie, jak sądzę, spadł kamień z serca.

Nadeszło lato, panował skwar nie do wytrzymania. W radiu spiker ogłosił, że lada moment zbliżymy się do pobicia rekordu upałów sprzed lat, a my ze Staszkiem siedzieliśmy za biurkami, skrobiąc notatki i spływając potem.

Aż do tego dnia całą moją pracę w Pionkach stanowiły drobne interwencje w przypadkach kradzieży, czasem bójek po pijaku i innych rzeczy, które nie wywołują dreszczyku emocji u młodego, chcącego się wykazać policjanta.

Zmienił to rozbrzmiewający nagle na biurku Cyprynowskiego telefon. Wtedy jeszcze nie reagowałem na ten dźwięk w jakiś specjalny sposób; mogła dzwonić na przykład żona Staszka. Dopiero jakiś czas później ożywiałem się za każdym razem, gdy podskakiwała słuchawka.

- Idziemy - powiedział mój mentor po skończeniu krótkiej rozmowy. W pośpiechu wstał zza biurka.

- Dokąd?

- Zobaczysz.

Ta tajemniczość tylko mnie podkręciła. Łaknąłem akcji. Pościgów, strzelanin, spraw o zabójstwa i rozbijania wielkich gangów.

Przynajmniej tak mi się wydawało.

Wsiedliśmy do rozgrzanego poloneza; na jego masce bez trudu ścięłoby się jajko. Psie kudły wirowały w powietrzu, a upał, pomimo otwartych na oścież okien, oblepiał każdy centymetr ciała. Kilka minut później, gdy wysiadaliśmy na osiedlu oddalonym od komisariatu o ledwie kilometr, czułem się jak niewyżęta ścierka do podłogi.

W okolicy kręciło się kilka osób. Jeden z mężczyzn natychmiast poznał Cyprynowskiego i pomachał mu ręką. Mój mentor był w Pionkach popularny i ci, którzy nie miewali zatargów z prawem, bardzo go lubili.

- Panie Stasiu, pan do tego smrodu spod dwunastki?

- Zgadza się. Sąsiad śmieci nie wyrzucił?

- Panie, od trzech tygodni go nie widziałem. A listonosz mówił, że w skrzynce już się poczta nie mieści. Ale on nie pracował, więc w sumie nikt nie wie, czy nie wyjechał. Może po prostu jakieś jedzenie zostawił na stole.

Cyprynowski kiwał głową, a ja czułem przez skórę, że tym razem wezmę udział w akcji, o której komisariat będzie huczeć przez rok. Tak się zresztą w istocie stało, choć niezupełnie z powodów, o których myślałem.

- Mówił, że gdzieś się wybiera? - dociekał Cyprynowski.

- Panie Stasiu, on w ogóle małomówny jest.

- A ten smród? Długo już czuć?

- Kilka dni. Z początku myśleliśmy, że z rur wali. Czasem w piwnicy ludzie śmieci zostawiają i idzie rurami na górę. Sprawdziliśmy z dozorcą i nic. A spod drzwi coraz bardziej śmierdzi. Bez chustki na nosie nie przejdziesz pan spokojnie.

Cyprynowski podziękował grzecznie. Weszliśmy do bloku, po czym kilkoma susami pokonaliśmy schody prowadzące na pierwsze piętro. Było jeszcze gorzej, niż mówił sąsiad; kwaśny, zatykający dech odór, spotęgowany przez nieruchome, gorące powietrze. Zebrało mi się na mdłości.

- Jak szambo połączone ze spalenizną - mruknąłem.

- Zadzwonimy po strażaków, zajrzą przez okno - stwierdził spokojnie mój mistrz.

Procedury mówiły, że jeśli mieszkanie znajduje się wyżej niż na parterze, czyli w osiemdziesięciu procentach przypadków, należy wezwać straż pożarną, która najpierw zajrzy przez okno do środka i zbada sytuację. Następnie na podstawie uzyskanych informacji należało

podjąć decyzję, czy i w jaki sposób podejmie się interwencję. Chodziło o to, że wchodziliśmy bez nakazu i później nic nie powinno budzić wątpliwości przełożonych.

Dla mnie, żółtodzioba, tak ścisłe trzymanie się procedur było zbrodniczą stratą czasu.

Mojej uwadze nie umknęło, że drzwi, przed którymi stoimy, wykonano z materiału wprost stworzonego do rozbijania, na przykład na pokazach sztuk walki. Paździerzowa płyta wyglądała na tak łatwą do przebicia, że kiedy tylko ją ujrzałem, zdałem sobie sprawę, że muszę spróbować ją wybić z zawiasów.

- Może ja...?

- Nie warto robić rozpierduchy. Zaczekajmy na strażaków.

- Kiedy ja z tym sobie spokojnie dam radę.

- Przyjadą, po drabinach wejdą...

- Szkoda czasu na strażaków - powiedziałem z miną filmowego gwiazdora.

Cyprynowski wzruszył ramionami.

- Naprawdę? - spytał, unosząc znacząco brew.

- Pan się odsunie - poprosiłem, a on pospiesznie odskoczył. Zdziwiło mnie, jak chętnie i szybko to zrobił. Jego zachowanie powinno było mi dać do myślenia. Nie dało. Szkoda.

Byłem młody. Żądny akcji, wykazania swojej wartości.

Nie miałem dość miejsca, by wziąć porządny rozbieg, ale jestem przekonany, że tego kopnięcia z wysokości nie powstydziliby się Bruce Lee. Naprawdę włożyłem w nie serce. Uderzyłem mniej więcej w okolicy klamki i zamek wyleciał, rozrywając płytę.

Huknęło dubeltowo. Źródłem pierwszego dźwięku był paździerz uderzający w ścianę. Drugiego stukilogramowe ciało walące o podłogę. Moje ciało, dodam.

Potem zapanowała przejściowa ciemność.

Pierwsze wrażenie, które odniosłem po wydobyciu się z niebytu, to śmiech Cyprynowskiego. Drugi atak na moje zmysły przypuścił fetor. Potężny fetor, który łatwiej wyobrazić sobie, myśląc o gazie bojowym, niż o woni, że tak powiem, naturalnego pochodzenia.

Kiedy mentor poklepał mnie po ramieniu, spróbowałem zwlec się z podłogi. Koszulę miałem pokrytą śliną i wymiocinami, ledwo widziałem na oczy, kwaśny smród sprawiał, że łzałem. Byłem niemal ślepy i kręciło mi się w głowie.

- No i co, Karate Kid, nie lepiej działać zgodnie z procedurami? - spytał Cyprynowski przez trzymaną przy ustach chusteczkę. - Mówiłem czy nie mówiłem?

- Mówił pan - szepnąłem przez ściśnięte gardło. Musiałem oprzeć się o ścianę.

Miał rację w stu procentach.

Wyprostowałem się i chwiejnie wszedłem do mieszkania. Kiedy odjechałem, uderzony falą smrodu, Cyprynowski zdążył otworzyć okna i przeszukać lokal - straciłem więc przytomność na co najmniej minutę lub dwie. Staszek szedł teraz za mną, być może starając się uchronić mnie przed popełnieniem kolejnych głupstw.

Zatrzymałem się nagle, czując kolejny wstrząs w żołądku.

Starszy mężczyzna wisiał na sznurze przywiązany do rozporowego drążka, na którym ludzie zwykli się podciągać dla poprawienia kondycji. Bujał się lekko, siny i opuchnięty, jakby ktoś go nadmuchał. Miał oczy wybałuszone tak bardzo, że gdyby nie cała brudna otoczka i smród, mógłby przypominać postać z kreskówek. W niewielkim zamkniętym mieszkaniu, w samym środku lata i w asyście lejącego się z nieba żaru, zwłoki rozkładały się w tempie błyskawicznym. A ludzkie ciało to coś, co ma w sobie znacznie więcej gazów i smrodu, niż lubimy się do tego przyznawać. Dość, by zrobić krzywdę żywym. Tak załatwił mnie mój pierwszy wieszak.

Bolo

Już kilka tygodni pobytu w Pionkach pozwoliło mi mniej więcej zorientować się w topografii miejscowego życia przestępczego i, że się tak wyrażę, towarzyskiego. Jeden z takich zapalnych punktów stanowiła knajpa o znanej skądinąd nazwie Adria: klimatyczna mordownia, będąca połączeniem nocnego klubu z dyskoteką. Najbardziej popularne miejsce w mieście.

W piątkowe i sobotnie wieczory zatrudniała połowę komendy. Roboty dostarczała sporo, choć szczerze mówiąc, interwencje, monotonne w swojej powtarzalności, dotyczyły zawsze bójek, szarpanin, prób zgwałceń, demolowania lokalu, niepłacenia rachunków i tym podobnych atrakcji.

Nie ulegało kwestii, że zetknę się z Adrią służbowo. Nastąpiło to szybciej, niż się spodziewałem.

Pewnego piątkowego wieczoru pełniłem ze Stasiem Cyprynowskim służbę patrolową. Jeździliśmy po mieście nieoznakowanym polonezem. Pogoda marna, spać nam się chciało jak diabli, ruch na ulicach niewielki; słowem: panowała policyjna nuda wzorcowej wręcz jakości. Nagle zatrzeszczało radio.

- Dwa jeden, tu dyżurny. Bójka w Adrii. Bolo w akcji.

- Zrozumiałem, dyżurny - powiedział Cyprynowski - Jedziemy.

Dodałem gazu. Pierwsze dwie części komunikatu rzeczywiście zrozumiałem. Trzeciej nie.

- Bolo w akcji? - zapytałem ostrożnie.

- Były bokser. Niezły kozak.

Spojrzałem pytająco, czekając na dalsze wyjaśnienia. Ale Staszek nie miał najwyraźniej nastroju do ich udzielania. Nie dziwiło mnie to. Już dawno zauważyłem, że od długich przemów wolał praktyczne działanie. Uważał, że młody policjant powinien się kształcić i hartować w ogniu walki.

Po kilku minutach zajechaliśmy na niewielki placzyk, w normalnych warunkach pełniący funkcję parkingu. Jednak w ten konkretny wieczór parking stał się areną czegoś, co onegdaj Marek Hłasko nazywał trafnie „bójką towarzyską”.

Naprzeciw siebie stało czterech mężczyzn: trzech całkiem zwykłych kolesi z jednej, a ponad głowę od nich wyższy facet - z drugiej. Solista właśnie zdejmował koszulkę, po czym oczom zgromadzonych ukazała się imponująca płatanina mięśni, nabrzmiałych żył i wijących się w różne strony tatuaży. Paker zacisnął ogromne pięści. Stojąca naprzeciwko niego trójka wyglądała, jakby miała się za chwilę rozpląkać. Żaden z chłopaków nie zdradzał najmniejszej ochoty do walki, przeciwnie: wszyscy trzej zaczęli się solidarnie wycofywać. Rozebrany ruszył do przodu, powalił jednym ciosem pierwszego mężczyznę i zaczął go kopać.

Zatrzymałem poloneza z piskiem opon.

- Masz Bolo w akcji - mruknął Cyprynowski, otwierając drzwi po swojej stronie.

Byłem nieco szybszy. Wsiadłem jak na sprężynie, w biegu wyciągnąłem broń, w niezłym tempie pokonałem dzielącą mnie od walczących odległość, krzyknąłem: „Policja!”, po czym wymierzyłem w Bolo.

- Wypierdalać! - krzyknął i ponownie kopnął leżącego.

- Zostaw go! - odkrzyknąłem, podnosząc nieco lufę. - Gleba! Na ziemię! Już!

Nie posłuchał, ale przynajmniej zaprzestał kopania.

- Won, kurwa! - krzyknął.

Nie odpowiedziałem. Zrobiłem krok do przodu. Bolo cofnął się o pół. Podbiegł Cyprynowski. Wspólnymi siłami przewróciliśmy faceta na ziemię, wykręciłem mu ręce do tyłu, trzasnęły kajdanki...

Akurat zajechał jeszcze jeden radiowóz. Wsadziliśmy do niego aresztanta i w ten oto sposób legendarny Bolo, postrach niesfornych klientów, znalazł się na komisariacie.

Dwudziestosiedmiolatek Bolo w przeszłości rzeczywiście sporo boksował, dochodząc do jakichś wojewódzkich i ogólnopolskich splendorów. Potem przestał uprawiać sport, zaczął pić i wszczynać burdy. Budził strach i przerażenie. Upodobał sobie Adrię, miał tam masę znajomych. Każdy jego pobyt kończył się bójką i mniejszą lub większą demolką. W końcu właściciel wykazał się niemałym zmysłem taktycznym i wykonał ruch genialny w swej prostocie: zatrudnił Bola jako szefa ochrony. Od tej pory Bolo bił klientów niejako z błogosławieństwem swego szefa, no i oczywiście nie demolował lokalu; wyglądało na to, że właściciel osiągnął cel.

Teraz siedziałem naprzeciwko eksboksera, patrzyłem w wąsko osadzone, małe oczy i nie mogłem dojść, co tak naprawdę się wydarzyło. Bolo oczywiście twierdził, że został napadnięty przez trzech klientów, gdy zwrócił im uwagę, że zachowują się odrobinę zbyt głośno. Trzy jego ofiary (a może napastników) łatwo odszukaliśmy, ale młodzi ludzie, solidarnie i stanowczo, odmówili złożenia jakichkolwiek zeznań. Nawet ten pobity przysięgał, że nic mu nie jest, a krwawe wybroczyny na twarzy powstały na skutek nieuwagi przy goleniu.

Musieliśmy Bola wypuścić.

Jednak coś w tej sprawie nie dawało mi spokoju.

W ciągu następnych kilku miesięcy miałem z Bólem do czynienia kilkanaście razy. Akcja zawsze rozgrywała się według tego samego scenariusza: Bolo bez koszulki, ofiara mniej czy bardziej pobita, brak świadków, brak zeznań. Po wszystkim nabuzowany testosteronem i adrenaliną Bolo sztucznie obojętnym tonem składał wyjaśnienia, a my puszczaliśmy go wolno.

Pewnego wieczoru siedziałem w komendzie i prowadziłem przesłuchanie świadka. Nagle drzwi otworzyły się z hukiem, wpadł dyżurny i krzyknął:

- Krzysztof, Adria, Bolo, zadyma.

- Nic nowego - mruknąłem.

- Tym razem na ostro idzie. Dawaj.

Wsiadłem do radiowozu i pojechałem.

No, tym razem rzeczywiście było inaczej. W bójce brało udział kilkanaście osób i na pierwszy rzut oka nawet nie bardzo dało się stwierdzić, gdzie dokładnie przebiega linia podziału zwaśnionych stron. Natomiast od razu dało się zauważyć Bola: stał pośrodku i wymachiwał w amoku kijem bejsbolowym.

Wyskoczyłem z samochodu i zacząłem biec, krzycząc „Policja!” Bolo nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, tylko z furią przyłożył kijem najbliżej stojącemu facetowi. Dосkoczyłem i z rozpędu uderzyłem Bola barkiem w pierś. Bejsbolista fiknął na plecy, ale nim zdołałem wyhamować, zerwał się jak wańkawstańka. Odwróciłem się i wyprowadziłem intuicyjny prawy prosty, a potem poprawiłem lewym sierpem. Jako mańkut lewy sierp miałem naprawdę niezły i na dodatek ważyłem ponad sto kilogramów. Eksbokser znowu się wywalił i znowu zerwał na równe nogi, po czym zaczął ściągać koszulkę. Teatr pod tytułem: „Tak grasz? To teraz ja ci pokażę, tylko się rozbiorę”. Ten szybki striptease nie zrobił na mnie należytego wrażenia, podskoczyłem i zamierzyłem się pięścią.

I tu następuje najciekawszy moment całej tej historii.

Bolo mianowicie, zamiast przyjąć postawę i przystąpić do regularnego mordobicia, cofnął się, po czym skulił jak małe dziecko, wyraźnie pokazując, że nie myśli nie tylko o zwycięstwie, ale nawet o stawianiu oporu.

Zdziwiony i lekko rozbawiony skułem go i powiodłem do radiowozu.

Nagle wszystko ułożyło się we właściwych proporcjach. Legenda Bola bazowała po prostu na zastraszaniu, którego kluczowym elementem stało się zdejmowanie koszulki i pokazywanie muskulatury. Ta taktyka wystarczała do odnoszenia zwycięstw. Zachowywał się jak paw, rozkładał ogon, a przeciwnik porażony tym widokiem kapitulował. Przyjrzałem się bliżej wszystkim sprawom z jego udziałem i zauważyłem, że prawie nigdy nie dochodziło do bójki dwóch równorzędnych rywali: Bolo zawsze bił słabszych i przestraszonych. Pojedynek nie był żadnym pojedyńkiem, tylko rodzajem egzekucji na słabo lub wręcz wcale niebroniącej się ofierze.

Ale to nie koniec historii Bola.

Po epizodzie z bejsbolem właściciel klubu go zwolnił. Bolo strasznie to przeżył i zaczął się codziennie upijać. Pewnego wieczora zawitał do Adrii i wszczął potężną awanturę, po czym został zatrzymany przez prewencjuszy. Dyżurny jednak zdecydował, że to my, kryminalni, mamy go przetransportować na wytrzeźwiałkę, Bolo bowiem, kompletnie nawalony, zachowywał się wyjątkowo agresywnie. Miotał się, bluzgał i pomimo skutych rąk rwał do bitki.

Jako że miałem tego dnia dyżur i przypadła mi ta wątpliwa przyjemność, zdecydowałem, że założymy mu prowadnicę, czyli pas z łańcuchami łączącymi kajdanki na nogach z tymi na

rękach. Posadziliśmy go z tyłu radiowozu, po czym słuchając wyzwisk i pijackich przechwałek, zawieźliśmy do Radomia, do izby wytrzeźwień.

Gdy weszliśmy, dyżurny akurat gapił się na lecący w telewizji fascynujący obraz z serii Różowa Landrynka. Posadziliśmy Bolo na ławie i zaczęliśmy wypełniać papiery, jednocześnie czekając na lekarza, który przed umieszczeniem delikwenta w celi miał go szczegółowo zbadać. Pisaliśmy powoli, w telewizorze tymczasem akcja szybko się rozkręcała. Zaczęliśmy zerkać, raz, drugi, trzeci... W końcu odłożyliśmy długopisy pochłonięci dziejącymi się na ekranie zdarzeniami.

Nie wiem, ile czasu upłynęło. Dwie, może trzy minuty. Tknięty złym przeczuciem, odwróciłem się i nie mogłem uwierzyć własnym oczom - Bolo wyparował jak kamfora. Uciekł nam, pijany, w obcym mieście i w prowadnicy!

Różowa Landrynka momentalnie wywietrzała nam z głowy. Zaczęliśmy poszukiwania, ale Bolo jakby się pod ziemię zapadł. Wokół izby ciągnęły się rudery, jakieś niedokończone budowy, masa krzaków i zarośli: facet przepadł. Pomimo zaangażowania sporych sił z komendy w Radomiu uciekiniera nie udało się odszukać.

Ucieczka więźnia, i to jeszcze w takich okolicznościach, stanowi dla każdego szanującego się gliniarza porażkę i policzek. Nazajutrz już o 6.00 jak niepyszni stawiliśmy się w pracy, po czym, nie czekając na solidną reprimendę od szefa, pojechaliśmy do mieszkania zbiega. Otworzył nam Bolo senior i stanowczym tonem oznajmił, że syna nie ma i nie było. Mimo tych zapewnień przeszukaliśmy mieszkanie. Było puste. Kolega wyszedł na balkon: nic.

Byliśmy o krok od sukcesu, ale mieliśmy kłapki na oczach. W toku późniejszego śledztwa okazało się bowiem, że Bolo po ucieczce zjawił się w mieszkaniu i nikt inny, tylko właśnie ojciec pomógł mu zdjąć prowadnicę. W momencie gdy kolega wyszedł na balkon, Bolo wisiał pod nim, trzymając się dolnej części poręczy, a po naszym odjeździe oddalił się w sobie tylko znanym kierunku.

Ukrywał się, ponieważ za ucieczkę groziła mu odsiadka. Wiedział, że to nie żarty, a my wzięliśmy się na całego za poszukiwania. Wszyscy policjanci w województwie dostali rysopis uciekiniera.

Dwa tygodnie czesania terenu przyniosły wyłącznie fałszywe tropy.

Życie nie składało się jednak wyłącznie z poszukiwań byłego boksera. Wszyscy oprócz tego wykonywali codzienną policyjną ciesiołkę. Pewnego dnia dyżurny przekazał mi zgłoszenie

włamania do jednej z leśniczówek w Puszczy Kozienskiej. Wziąłem jednego z chłopaków i pojechaliśmy w las. Gruntowa droga wiła się wśród wiekowych sosen. W pewnym momencie zobaczyliśmy idącego poboczem barczystego mężczyznę.

- Ty, jeśli mnie wzrok nie myli, nasza gwiazda boksu drózką pomyka - powiedział mój partner. Miałem takie samo podejrzenie. Włączyłem syrenę. Kolega dodał gazu. Radiowóz gwałtownie przyspieszył. Mężczyzna obejrzał się i zaczął biec. Już wiedziałem na pewno, że to Bolo. Uciekał, ale chyba trochę pro forma, bo nie kluczył ani nie skręcił między drzewa. Kiedy go dopadliśmy i skutego posadziliśmy na tylnym siedzeniu, był zmęczony, głodny, brudny i wyraźnie miał dosyć. Dał się zatrzymać bez słowa protestu ani próby oporu.

Dostał spory wyrok.

Potem dowiedziałem się, że kilkakrotnie podejmował próby ucieczki z więzienia. Usiłował zarazić się wirusem HIV, żeby wyjść na leczenie. Nie udało mu się, więc wstrzyknął sobie pod oko jakąś paskudną bakterię. Dostał zakażenia, wskutek czego ciężko zachorował.

Po półtora roku zmarł w więziennym szpitalu.

Darek

Po jakimś czasie Staszek Cyprynowski wypuścił mnie spod swoich skrzydeł. Zacząłem jeździć na patrole z różnymi partnerami, między innymi z prewencji. Pewnego razu za kierownicą radiowozu usiadł barczysty przystojniaczek w okularach.

- Darek jestem - powiedział, zapiął pas, po czym ruszył, a mnie wbiło w fotel. Jeszcze nigdy w ten sposób nie jeździłem pocziwym polonezem: zakręty brane z piskiem opon, gwałtowne przyspieszenia i hamowania, kontrolowane poślizgi, ryk zrozpaczonego silnika. Mój nowy znajomy prowadził samochód z widoczną przyjemnością i dużą wprawą. Jeździł bardzo szybko, a przy tym doskonale technicznie. Nawet przez chwilę nie obawiałem się o własne bezpieczeństwo.

Tak zaczęła się nasza przyjaźń, która trwa do dziś. Darek jako młody człowiek trenował kolarstwo, ale z powodu wady wzroku musiał zarzucić uprawianie sportu wyczynowego. Zgłosił się do policji i został przyjęty. Zaczynał w prewencji, potem (już za moich czasów) przeszedł do kryminalnego. Wielokrotnie proponowano mu pójście do szkoły oficerskiej. Odmawiał. Najlepiej czuł się na ulicy. Jego żywiołem zdecydowanie była akcja, im bardziej niebezpieczna, tym lepiej.

Darek naprawdę dobrze strzelał. Sprawny fizycznie, nie bał się przyłożyć bandziorowi. Alergicznie reagował na jakiegokolwiek próby wręczenia łapówki. Bardzo podobał się kobietom.

Szybko utworzyliśmy zespół. Lubiliśmy razem pracować.

O naszych przygodach można by napisać niejedną sensacyjną, mrozącą krew w żyłach książkę. Ale pierwsza wspólna sprawa była jedną wielką komedią, o której mówiono w komendzie przez kilka miesięcy.

Popierdółka Życie pisze naprawdę dziwne scenariusze. Gdyby na ich podstawie napisać książkę albo nakręcić film, nikt przy zdrowych zmysłach by w taką historię nie uwierzył.

Zaczęło się od tego, że główny bohater jednej z tych najdziwniejszych wsiadł nam do samochodu.

Tamtego dnia robotę skończyliśmy nawet o ludzkiej porze. Nie działo się zbyt wiele, nie byliśmy specjalnie zmęczeni i kiedy zmienialiśmy ubrania, Daro zagadnął:

- Krzychu, do Radomia byś się ze mną nie przejechał?

- Piweczko?

- Wzięlibyśmy moją furę, więc ja nie bardzo. Ale ty - czemu nie. Przy okazji bym tam jedną sprawę załatwił.

Wzruszyłem ramionami.

- Ze mną jak z dzieckiem. Jedziemy.

Daro, maniak motoryzacji, po prostu kochał samochody. Jestem niemal pewien, że główną przyczyną zaproszenia nie była żadna sprawa w Radomiu, a chęć pochwalenia się nowym, świeżo nabytym nissanem. Nie miałem nic przeciw temu. Lubiłem te wariackie jazdy. Wycieczka z Darem jego prywatnym samochodem stanowiła niewątpliwie dużo większą przyjemność aniżeli podróż nawet z tym samym Darem, ale awaryjnym, kiepsko wyposażonym i zajeżdżonym niemal na śmierć służbowym polonezem.

Wsiedliśmy do srebrnego wehikułu, puściliśmy głośno muzykę i na luzie cechującym ludzi, którzy mają wolne popołudnie, ruszyliśmy ostro do przodu.

Niestety, nie tylko nie dojechaliśmy do Radomia, ale nawet nie opuściliśmy Pionek. Jeszcze w centrum, na jednym z największych skrzyżowań, zatrzymało nas czerwone światło. W radiu leciały Mury Kaczmarek. Mniej więcej w połowie wersu: „Wyrwij murom zęby krat”, usłyszeliśmy, jak tylne drzwi nissana otwierają się i ktoś pośpiesznie wsiada do samochodu. Odwróciliśmy się obaj zaskoczeni. Naszym oczom ukazał się mniej więcej pięćdziesięcioletni

mężczyzna, już na pierwszy rzut oka sprawiający wrażenie osobnika będącego za pan brat zarówno z alkoholem, jak i zakładami, w których państwo zapewnia wikt i opierunek. Sam nie wiem czemu, ale przyszło mi na myśl, że facet z pewnością ma na imię Zdzisio.

- Chłopaki, weźcie mnie stąd zabierzcie - wychrypiął Zdzisio, wyglądając nerwowo przez boczną szybę.

- Co? - spytaliśmy jednocześnie.

- Kurwa, no pomóżcie starszemu. Psy za mną zapierdalają!

Wyjrzałem przez okno, patrząc w stronę, z której mógł pojawić się niezapowiedziany gość. Rzeczywiście, zza bloku wybiegli dwaj mundurowi i zaczęli szybko zbliżać się do skrzyżowania. Popatrzyliśmy na siebie z Darkiem. Mój partner puścił oko i uśmiechnął się. Akurat zrobiło się zielone światło.

- Mówisz i masz - powiedział do Zdzisia i wcisnął gaz.

Kilka minut później byliśmy na przedmieściach. Szeregi domów i kamienic ustąpiły miejsca domkom z ogródkami. Dopiero wtedy nasz autostopowicz się rozluźnił.

- Myślały, że mnie wyciągną, frajery jebane - zaśmiał się. - Ale ni chuja. Dzięki chłopaki, bo już nie miałem siły dłużej spierdalać.

Ten sposób mówienia, poza słabością do słów powszechnie uznawanych za wulgarne, zdradzał starego przestępcę. Podróż zapowiadała się coraz ciekawiej.

- Czego od ciebie chcieli? - spytałem.

- Już się półtora roku z nimi bujam, jak z przepustki nie wróciłem. Za dobrze mi wolność pachnie.

- Ale z czegoś żyć trzeba - stwierdził sentencjonalnie Darek. W nas obu odezwał się instynkt policjanta. Delikatna sugestia mogła spowodować ciekawe skutki.

Zdzisio zarechotał i pokiwał głową.

- Coś tam się czasem dźwignie - powiedział, klepiąc czule trzymaną na kolanach torbę. Nie trzeba było geniusza, żeby zgadnąć, że ma w niej fanty. - Rzucilibyście mnie tam pod lasek, nie?

- Nie ma sprawy.

Darek zwolnił, a ja sięgnąłem za pazuchę po broń. Liczyłem na coś więcej, jednak w tej sytuacji pozostawało tylko brać, co jest. Pasażer zbierał się, żeby wysiąść, ale coś go powstrzymało. Cmoknął głośno.

- A chuj tam - stwierdził filozoficznie. - Fajne chłopaki z was. Nie zawieźlibyście mnie jeszcze gdzieś? Dam zarobić.

- Ile? - spytałem.

- Cztery stówki. Pasuje?

Obaj kiwnęliśmy głowami.

- Cztery stówki to cztery stówki - potwierdziłem.

- Zajebiecie. To dawaj, jedź do Suskowoli, tam zaraz w prawo byś skręcił. Podwieziecie mnie w jedno miejsce, potem jeszcze gdzieś i cztery stówy wasze.

- Dobra - odparł Darek, skręcając w drogę, którą nam wskazano.

- Jebana skowernia już mnie długo szuka - mruknął Zdzisio, rozwalając się wygodnie na tylnym siedzeniu. Wyglądał na całkowicie zrelaksowanego. - Dziesiątkę z przedłużeniem ręki wykręciłem...

Na ludzki język: napad rabunkowy z użyciem niebezpiecznego narzędzia.

- Jeszcze taksjarza jednego wyjebałem, a potem to się skończyła kariera. Pogarowałem trochę, ale teraz już mnie, kurwa, na pewno nie capną.

Ta opowieść trwała przez jakieś piętnaście minut. Nie zawierała zbyt wielu szczegółów. Koncentrowała się na przygodach w więzieniu i wszelkich możliwych świństwach, jakie Stróże prawa mogą zrobić uczciwemu, honorowemu i sympatycznemu przestępcy.

Pod koniec byłem niemal wzruszony.

Potem, zgodnie ze wskazówkami, ruszyliśmy pod las, gdzie znajdowały się ogródki działkowe.

Nie miałem jak porozumieć się z Darkiem, ale instynktownie wyczuwaliśmy, jak dalej postąpić. Na zatrzymanie Zdzisia jeszcze mieliśmy czas. Liczyliśmy, że nas gdzieś zaprowadzi.

I instynkt nas nie zawiódł.

- Dobra, stań - zakomenderował Zdzisio.

Darek wykonał polecenie.

- Wy się zatrzymajcie i czekajcie. Skoczę coś załatwić i zaraz wracam.

Znaleźliśmy się przed bramą zamykającą dostęp do pracowniczych ogródków działkowych. Za bramą ciągnęła się szeroka aleja. Po obu jej stronach działki, ze stojącymi na nich mniejszymi i większymi budyneczkami. O tej porze roku nie było tu żywego ducha.

- Cztery stówki, ta? - spytał jeszcze Zdzisio, wysiadając.

Zamknął drzwi i z torbą na ramieniu ruszył w stronę bramy.

Wyciągnął kluczyk z kieszeni, otworzył kłódkę i potruchtał przed siebie alejką.

- To co, czekamy? - spytałem, szczerząc zęby.

Darek parsknął śmiechem, po czym obaj wysiedliśmy z samochodu.

Tymczasem powoli zapadała noc.

Teren ogrodów działkowych nie należał do szczególnie zadbanych. Wokół głównej dróżki rozciągały się polacie niepoprzycinanych krzaków, wysokiej trawy i drzew samosiejek - nie mieliśmy więc problemów z niepostrzeżonym śledzeniem naszego gościa. Nie był zresztą przesadnie ostrożny. Prawdopodobnie niosła go fala radości, że w tak sprytny sposób uniknął złapania przez przedstawicieli nienawistnych sił prawa i porządku.

Blisko końca alejki znajdował się niewysoki drewniany płot. Zdzisio przeskoczył go, uważając, by nie narazić torby na zbyt mocny wstrząs. Minutę później płot przeskoczył Darek. Deptałem mu po piętach.

Działka, na której się znaleźliśmy, wyglądała dla odmiany na należącą do kogoś mającego sporo pieniędzy. Trawy od pewnego czasu nie strzyżono, a krzewów nie przycinano, ale ogólny układ ogródka wskazywał, że ktoś włożył w niego sporo serca i pracy. Pośrodku stał foremny, nieduży dom, zbudowany w stylu zakopiańskim.

Zdzisio zmierzał do niego różnym kroczkiem.

Gdy znalazł się przed schodkami prowadzącymi do drzwi, w środku zapaliło się światło, po czym na ganek wyszedł olbrzymi mężczyzna bez koszulki. Całą klatkę piersiową pokrywały mu więzienne dziargi; wyglądał jak model, na którym trudną sztukę tatuażu trenują długoterminowi.

Zdzisio z gospodarzem wykonali zwyczajowego „misia”, po czym zniknęli w środku.

Ruszyliśmy bokiem, tuż przy ogrodzeniu. Pokój „dzienny” znaleźliśmy z łatwością. Przyczajając się najbardziej, jak to możliwe, zerknąłem do wnętrza.

Z zewnątrz dom nie wyglądał na melinę, ale najwyraźniej były to tylko pozory.

Pośrodku pokoju stał drewniany stół, a na nim napoczęta flaszka taniej wódki. Wokół leżały kiełbasa, chleb i wyjęte ze słoika ogóreczki. Alkohol piło trzech mężczyzn: Zdzisio, Pan Tatuaż oraz wysoki, przeraźliwie chudy mężczyzna, który wyglądał na narkomana. Okna nie należały do szczególnie szczelnych. Wyraźnie słyszeliśmy toczącą się w domku rozmowę.

- Na chatę mi jebani wjechali - żalił się nasz nowy znajomy. Pozostali słuchali w milczeniu, kiwając głowami. - Jakbym przez okno nie skoczył i nie miał trochę fartu, to bym znowu na kadzienniaku zapierdalał.

- A fanty masz? - spytał Chudy.

Zdzisio kiwnął głową, zdejmując z ramienia torbę. O dziwo, nie zrobił tego wcześniej, nawet przystępując do konsumpcji. Teraz położył ją na stole i rozpiął suwak.

- Cały sklep fotograficzny. Giełdę można otworzyć.

Sprawa była jasna. Spojrzałem na Darka.

- Wchodzimy czy wołamy chłopaków?

- Wołamy - odparł Darek. - Jak coś pójdzie nie tak, stary łby nam urwie.

Wiedziałem, ile to stwierdzenie Darka kosztowało. Mój partner kochał akcję i adrenalinę. Nie czuł strachu. Chciał bandziorów zjadać na śniadanie, obiad i kolację. Wiedział jednak, że policję, przynajmniej w pewnym zakresie, obowiązują procedury.

- Pilnuj ich. Wrócę najszybciej, jak się da.

Skinął głową. Wycofałem się cicho, po czym pobiegłem do samochodu. W skrytce

Daro woził radiostację (choć trudno sobie to dziś wyobrazić, rzecz rozgrywała się jeszcze przed epoką powszechnie dostępnych telefonów komórkowych). Połączyłem się z dyżurnym, któremu w paru słowach zreferowałem sytuację. Rozłączyłem się, uzyskawszy obietnicę przysłania wsparcia.

Po powrocie zastałem Darka w tym samym miejscu co poprzednio. Pomimo ciemności dostrzegłem jednak, że minę ma nieco zaniepokojoną.

- Mundurowi w drodze - powiedziałem, kucając.

- Musimy wejść sami. Chcą się zbierać.

Zerknąłem przez okno. Faktycznie, przy stole trwała krzątanina. Pan Tatuż był już w koszulce, Chudy zgarniał fanty do torby, a Zdzisio, stojąc, dojadał ostatniego ogóreczka.

Zakradliśmy się na ganek. Nacisnąłem klamkę.

- Zamknięte.

Daro wzruszył ramionami.

- Wchodzimy na rympał.

Jak na komendę wyciągnęliśmy broń. W wieczornym powietrzu sucho zabrzmiał podwójny klik przeładowania.

Darek uważnie przyjrzał się drzwiom, po czym postąpił krok w tył. Wyciągnąłem spod kurtki teleskopową pałkę. Daro kopnął z całej siły. But trafił idealnie pod klamkę. Drzwi huknęły o ścianę. Runąłem do środka. Lufa dziobała przestrzeń.

- Policja! Na ziemię! - wrzasnąłem.

W życiu nie widziałem tak baranich min.

Zdzisio i Pan Tatuaz padli na podłogę, zasłaniając głowy rękoma. Chudy chyba przeżył zbyt duży szok, bowiem stał jak kołek. Daro dopadł go jednym skokiem, podciął nogi, po czym sprawnie skuł pokryte śladami po igłach ręce.

Miałem tylko jedną parę kajdanek, więc przykułem mojego nowego znajomego do gospodarza. Pan Tatuaz uznał za stosowne wyrazić protest co do celu i formy naszej wizyty.

- Co się dzieje? To jakaś pomyłka!

- Popierdółka, nie pomyłka - powiedział Darek.

Tamten zamilkł oburzony. W więziennym slangu „popierdółka” to przestępca słaby, nieudolny i najczęściej głupi.

Zdzisio patrzył na mnie i gdyby mógł, pewnie przepaliłby mnie na wylot wzrokiem. Po jakimś czasie odzyskał mowę. Długi i dramatyczny monolog składał się głównie z bluzgów, niemniej jego sens był jasny i nie pozostawiał złudzeń co do mojej i Darka kondycji moralnej. Zdzisio uważał nas za zdrajców i nie zanosilo się na to, by miał kiedykolwiek w przyszłości w tej materii zmienić zdanie.

Ponieważ domek wyposażono w całkiem niezłe zaopatrzoną lodówkę oraz telewizor, nie zastanawialiśmy się długo i by skrócić czas oczekiwania na mundurowych, wzięliśmy sobie po piwku, wrzuciliśmy pierwszy z brzegu program i usiedliśmy na kanapie. Zdzisio zaprzestał miotania oskarżeń i zaczął się szeptem naradzać z Panem Tatuazem.

Wsparcie pojawiło się po piętnastu minutach. Domek został starannie przeszukany. Okazało się, że oprócz sprzętu ze sklepu fotograficznego znalezione zostały w nim także przedmioty z rozmaitych innych włamań: srebrne naczynia, biżuteria, telewizor, kosztowności, radia samochodowe i tym podobne rzeczy, bez których uczciwy złodziej nie może się obejść.

Odzyskane fanty i schwytana trójka okazały się niezłym połowem. Zdzisio odsiadywał sześćoletni wyrok za rozbój i aktualnie znajdował się na tak zwanym niepowrocie. Był poszukiwany. Za Panem Tatuazem wystawiono list gończy za czynną napaść na policjanta w

Łodzi. Chudy nie miał aktualnie żadnego ciężącego na nim wyroku, ale wcześniej wielokrotnie karano go za rozmaite przestępstwa.

Dom, naturalnie, nie należał do nich. Sforsowali zamki kilka tygodni wcześniej. Właściciele mieszkali na drugim końcu Polski i rzadko odwiedzali letnią posiadłość. Trudno o lepsze miejsce na dyskretną dziuplę.

Przez następne dni śmiechom w komendzie nie było końca. W końcu rzadko kiedy poszukiwany przestępca z własnej woli wsiada policjantowi do samochodu. Historia zdawała nam się tym weselsza, że Zdzisio okazał się prawdziwym mistrzem ciętej riposty.

Kiedy bowiem mundurowi zabierali go z domku, pośród potoku słów dotyczących współżycia naszych matek znalazło się jedno szczególne zdanie. Perełka, którą pamiętam do dziś.

- Wiecie co, skurwysyny? Chuja, a nie cztery stówy dostaniecie!

Pobicie

Dzień jak co dzień, tyle że po pracy. W mieszkaniu pachniało kolacją, do której się właśnie zabierałem, bezmyślnie zerkając na ściszony telewizor. Byłem zmęczony i wypompowany. Miałem ochotę zjeść, poleżeć w wannie i pójść spać.

Nieoczekiwanie w ciszę wbił się upierdliwy brzęczyk domofonu. Wstałem niezbyt chętnie od stołu, przeklinając w myślach listonoszy i akwizytorów, którzy zawsze wybierają najmniej odpowiedni moment na niezapowiedziane wizyty.

- Słucham?

- Pana Leszka stłukli - usłyszałem przez słuchawkę głos jednego z chłopaków z prewencji, Roberta.

- Jak to stłukli? Kto? - Trafił do szpitala. Poczułem, że przestaję być głodny i zmęczony. - Jest cały? - wykrztusiłem. - Cały, ale w szpitalu. Zbieraj się. Stary robi odprawę za piętnaście minut. - Będę. - Wszyscy będą - usłyszałem. Stałem chwilę ze słuchawką w rękę wsłuchany w cichy szum. Tym razem nie był to jednak telewizor, tylko rosnąca we mnie wściekłość. Pobiegłem się przebrać.

Pan Leszek pracował w komisariacie jako dyżurny. Nie należał do ludzi, którzy wchodzą komuś w drogę. Jakiś czas temu przekroczył sześćdziesiątkę - mając ponad trzydzieści lat stażu pracy w milicji i policji, stanowił przykład, jak powinien zachowywać się funkcjonariusz w wolnej Polsce. Uczynny, zawsze grzeczny i uprzejmy. Bardzo profesjonalny i dokładny. Niemal

nigdy nie podnosił głosu. Nawet do bandziorów odnosił się bez zwykłej w naszej pracy obcesowości. Nie dał się nie lubić.

Starszy, siwy pan tuż przed emeryturą.

Ponieważ komisariat znajdował się nie dalej niż czterysta metrów od mojego domu, znalazłem się w nim po dziesięciu minutach. Nie przyszedłem pierwszy. Salę wypełniała już niemal połowa personelu, a nerwowe rozmowy i pełne zdumienia twarze jasno świadczyły o tym, że wszyscy wiedzą tyle co ja. Dostrzegłem, że nie jestem tu jedynym, który powinien mieć wolne. Sądząc jednak po ogólnym tonie tych konwersacji, większość kolegów była równie wściekła jak ja.

Szum opadł nagle, gdy do pokoju wkroczył komendant.

- Szukamy czterech sprawców - zaczął mówić jeszcze przy drzwiach. - Leszka pobito U Krawca. Wszyscy wiedzą, gdzie to jest?

Odpowiedział mu cichy, potwierdzający pomruk. Pub. Jeden z bardziej popularnych.

- Ruszamy. Nikt nie będzie bił moich ludzi. Nie może być tak, że bandziory rządzą w mieście.

- Będę.

- Wszyscy będą - usłyszałem.

Stałem chwilę ze słuchawką w ręku wsłuchany w cichy szum. Tym razem nie był to jednak telewizor, tylko rosnąca we mnie wściekłość. Pobiegłem się przebrać.

Pan Leszek pracował w komisariacie jako dyżurny. Nie należał do ludzi, którzy wchodził komuś w drogę. Jakiś czas temu przekroczył sześćdziesiątkę - mając ponad trzydzieści lat stażu pracy w milicji i policji, stanowił przykład, jak powinien zachowywać się funkcjonariusz w wolnej Polsce. Uczynny, zawsze grzeczny i uprzejmy. Bardzo profesjonalny i dokładny. Niemal nigdy nie podnosił głosu. Nawet do bandziorów odnosił się bez zwykłej w naszej pracy obcesowości. Nie dał się nie lubić.

Starszy, siwy pan tuż przed emeryturą.

Ponieważ komisariat znajdował się nie dalej niż czterysta metrów od mojego domu, znalazłem się w nim po dziesięciu minutach. Nie przyszedłem pierwszy. Salę wypełniała już niemal połowa personelu, a nerwowe rozmowy i pełne zdumienia twarze jasno świadczyły o tym, że wszyscy wiedzą tyle co ja. Dostrzegłem, że nie jestem tu jedynym, który powinien mieć

wolne. Sądząc jednak po ogólnym tonie tych konwersacji, większość kolegów była równie wściekła jak ja.

Szum opadł nagle, gdy do pokoju wkroczył komendant.

- Szukamy czterech sprawców - zaczął mówić jeszcze przy drzwiach. - Leszka pobito U Krawca. Wszyscy wiedzą, gdzie to jest?

Odpowiedział mu cichy, potwierdzający pomruk. Pub. Jeden z bardziej popularnych.

- Ruszamy. Nikt nie będzie bił moich ludzi. Nie może być tak, że bandziory rządzą w mieście.

Pełen aprobaty pomruk wzmógł się. Szef wskazał na dwóch siedzących najbliżej policjantów.

- Właściciel zatrzymał świadków na miejscu. Pogadacie z nimi.

Spojrzał na mnie.

- Krzysiek. Jedźcie z Darkiem do szpitala, do Leszka. Dzwonili, że odzyskał już przytomność. Może coś pamięta.

Nie czekając na dalsze ponaglenia, zerwaliśmy się obaj z krzeseł. Wychodząc, słyszeliśmy za sobą głos komendanta, który rozdzielał kolejne zadania.

Droga zajęła nam nie więcej niż dziesięć minut.

Otej porze szpital świecił pustkami. Oświetlone zimnym światłem jarzeniówek korytarze były jak wymarłe: ani pacjentów, ani lekarzy. Przy recepcji skierowano nas na drugie piętro, gdzie wreszcie spotkaliśmy kogoś w białym kitlu.

- Panowie z rodziny? - spytał lekarz, który wyglądał, jakby dopiero skończył studia.

- Mniej więcej - odparłem, wyciągając legitymację. - Jak on się czuje?

- Ogólne obrażenia. Typowe dla pobicia - powiedział wielce odkrywczco - Podejrzewamy wstrząs mózgu. Po przyjeździe kilkakrotnie odzyskiwał i tracił przytomność...

Zawahał się, widząc nasze miny. - Jednak to nie musi oznaczać czegoś złego. Prawdopodobnie wszystko będzie w porządku. Niedługo zrobimy dodatkowe badania.

- Możemy z nim porozmawiać?

- Tylko nie męczcie go za bardzo.

Podziękowaliśmy ładnie i każdy poszedł w swoją stronę.

Leszek nie wyglądał dobrze. Głowę miał obandażowaną, a nos złamany. Również prawa ręka, aż do połowy przedramienia, zniknęła gdzieś pod białymi zwojami. Spoglądał przed siebie

z wyrazem oszołomienia na twarzy. Zacząłem się obawiać, że nas nie poznaje, ale on się uśmiechnął.

- Cześć, chłopcy - powiedział.

Siedliśmy przy nim i zaczęliśmy zwykłą w takich sytuacjach gadkę. Że dobrze wygląda, żeby się trzymał i że lekarz mówi, że wszystko z nim w porządku.

Potem przyszedł czas na konkrety.

- Panie Leszku - powiedziałem. Z racji różnicy wieku obaj z Darkiem zwracaliśmy się do niego per „pan”. - Jak to się odbyło?

- Piwo piłem - powiedział głosem odrobinę urywanym, ale świadczącym o tym, że wraca powoli do siebie. - U Krawca... Z sąsiadem.

- I co się stało?

Chyba chciał odruchowo machnąć ręką, że niby nic wielkiego, ale przedramię ze złamanym nadgarstkiem leżało bezwładnie, więc tylko skrzywił się z bólu.

- A siedziało takich czterech obsrańców...

- Pamięta pan któregoś?

- Oczywiście - stwierdził, żywiej. Jakby było naturalne, że stary policjant nie zapomina takich rzeczy. - Rumun i Blacha. Wiecie, którzy.

Starzy znajomi. Kiwnęliśmy głowami, a pan Leszek mówił dalej.

- Pozostałych dwóch nie znam, ale jak zobaczę, rozpoznam.

- Jak to się stało, że pana pobili?

- Siedziałem z kolegą. Tamtych czterech przy stoliku obok. My sobie gadaliśmy, oni sobie gadali. W pewnej chwili Blacha stwierdził, że psem śmierdzi i że wytrzymać ciężko. Gadał coraz głośniej, a pozostali się przyłączyli. Wszyscy nawaleni jak stodoły. Ale nie reagowałem, mówię, gówniarze, szkoda nerwów. No i siedzieliśmy dalej, a oni coraz bardziej bluzgali. A my nic. - Zrobił krótką przerwę na złapanie oddechu.

Milczeliśmy. Przesłuchując zarówno świadka, jak i ofiarę, czasami najlepiej jest dać się wygadać. Bywa, że potem nie trzeba zadawać żadnych pytań.

- A potem któryś z nich wstał i rzucił w naszą stronę kuflem. Nie trafił, ale piwo nas ochlapało i wówczas już nie mogłem nie zareagować. No więc wstałem, wyciągnąłem legitymację i podszedłem do tego stolika. Ale zanim wyjąłem ją całkiem, Rumun się zerwał i

mnie w łeb walnął. Zachwiałem się i spróbowałem chwycić brzeg stołu, przy którym siedzieli. Wtedy Blacha poprawił z kopa. A potem już się przewróciłem.

- A oni?

- Zerwali się i zaczęli kopać. Zasłaniałem się ręką. - Spojrzał wymownie na bandaż. - Dlatego złamana.

- Wszyscy kopali?

- Nie, tamtych dwóch się nie włączało. Zacząłem krzyczeć, żeby ktoś wezwał policję. Zobaczyłem, jak Krawiec sięga do telefonu, i wtedy tamci przestali mnie bić, i wybiegli przez drzwi. A potem... pamiętam Krawca, jak się nade mną pochyla. - Uśmiechnął się przepaszająco. - Potem już nic. Tylko jakiegoś faceta w karetce.

Spojrzałem na Darka. Kiwnął głową. Więcej nam nie było trzeba.

- Okej. Na pewno Rumun i Blacha? - spytałem jeszcze na odchodnym.

- Oni, oni. Tamtych dwóch nic nie robiło.

- Dobra, niech pan odpoczywa, panie Leszku. Złapiemy gnojzków. Przyślemy któregoś z chłopaków, żeby wszystko spisał.

Życzyliśmy pacjentowi szybkiej rekonwalescencji i ruszyliśmy w miasto. Na polowanie. W wozie Daro skontaktował się z komisariatem. Okazało się, że wersja wydarzeń opowiedziana przez świadków z knajpy tylko w szczegółach różniła się od historii podanej przez Leszka. Znowu pojawiły się znajome ksywy. Dyżurny polecił nam przejechać się po knajpach w okolicy i poszukać facetów.

Rumuna znaleźliśmy dość dobrze. Typowy dresiarz, nieszczególnie lotny, za to wyjątkowo skory do używania pięści. Był naszym częstym gościem, zatrzymywaliśmy go przy okazji drobnych kradzieży i pobić. Blacha, jeśli chodzi o dossier, stanowił niemalże kopię Rumuna. Również miał na koncie sporo drobnych przestępstw i wiele z nich stanowiły pobicia. Swego czasu podejrzewano go nawet o gwałt.

Obaj lądowali na komisariacie na tyle często, że mieszkający w ich sąsiedztwie przeciętny człowiek powinien rozważać zmianę zameldowania.

Zaczęliśmy od Adrii, gdzie o tej porze kłębił się tłum. W przewiercającym mózg techno, hałasie i gąszczu pijanych nastolatków potrzebowalibyśmy kilku godzin, żeby ustalić na pewno, czy poszukiwani tu są. Na szczęście jeden ze stojących na bramce chłopaków był kiedyś policjantem (w dużych lokalach za jedną noc stania ekspliny potrafią zarobić jedną czwartą tego,

co kiedyś dostawali jako czynni funkcjonariusze przez miesiąc). Pogadaliśmy z nim, ale ani Rumuna, ani Blachy nikt tam tego dnia nie widział. Podobny rezultat osiągnęliśmy w dwóch następnych dyskotekach.

Na razie szczęście nam nie dopisywało.

- Zero jeden, tu zero jedenaście, zgłoś się - rzuciłem do mikrofonu, kiedy wróciliśmy do wozu.

- Zgłaszam się, co tam, zero jedenaście?

- Znalazł ich ktoś?

- Na razie brak odzewu. Nikt nic nie ma.

Od strony Darka dobiegło ciche „kurwa”.

- Wszystko już sprawdzone?

Chwila ciszy.

- Tak... Został tylko dworzec.

- Dobra - powiedziałem. Bardziej z chęci zrobienia czegokolwiek niż realnej wiary, że to coś da. - Jedziemy.

Lokal na dworcu to było dno dna. Nieduży, obskurny, jedyną atrakcją były parówki w starej bułce i chrzczone piwo. W mieście panowała opinia, że przesiadują tam głównie dzieciaki, w każdym razie nikt ważny. Drobnych bandziorów tam nie ciągnęło; nie mieli przed kim się pokazać. W pobliżu nie było żadnej dyskoteki.

Wizyta na dworcu była krzykiem rozpacz, jakoś jednak musieliśmy skanalizować naszą energię, więc pojechaliśmy i tam. Zastaliśmy puste stoliki, zmęczoną kelnerkę za barem i jakąś przytuloną do siebie parkę w kącie.

Legitymacja. Dzień dobry. Dzień dobry. Blacha. Rumun. Nie wiem. Nie znam. Do widzenia. Do widzenia. Pięć minut później siedzieliśmy z powrotem w samochodzie. Zupełnie bez pomysłu, co zrobimy dalej.

- Jakiś nowy plan? - spytałem.

- Zero - przyznał Darek, wzdychając.

Nie mieliśmy ochoty się poddawać. Ale wyglądało na to, że nie ma innego wyjścia. Uruchomiłem silnik.

- Czekaj - powiedział Darek. - Spójrz w lusterko.

Okazało się, że z baru wyszła kelnerka. Dyskretnie próbowała zwrócić na siebie naszą uwagę. Jasne. Świadczyliście często nie lubią, gdy ktoś widzi, że mają coś do powiedzenia. Mój partner wysiadł, pogadał chwilę, po czym wsiadł z powrotem.

- Bingo. Blacha jest u starych, w Suskowi - powiedział, trzaskając drzwiami. Znowu odpaliłem silnik. Złapaliśmy trop. - A Rumun? - Był tu pół godziny temu, ale się zwinął. Gadał, że będzie się teraz chował. Nie powiedział gdzie.

Kiwnąłem głową.

- Zuch dziewczyna. Jedziemy.

Suskowolę znaleźliśmy z licznych przeszukań i poruszaliśmy się po jej ulicach na pewniaka. Do domu rodziców Blachy trafiliśmy jak po sznurku.

Na ganku niewielkiego murowanego budynku na' planie kwadratu paliło się światło.

- Policja, proszę otworzyć!

Wisząca nad naszymi głowami lampa zgasła. Darek potraktował to jako sygnał do wyważenia drzwi i jednym mocnym kopnięciem wybił zamek. Z bronią w ręku wpadliśmy do środka.

Dom nie był duży, ilość kryjówek ograniczona. Znaleźliśmy Blachę pod stołem w kuchni.

Zabraliśmy go na najbliższy komisariat, gdzie koledzy udostępnili nam pokój przesłuchań.

- Gdzie dzisiaj byłeś? - spytał Darek.

Blacha niestety nie udźwignął intelektualnego ciężaru tej konwersacji.

- Chuj wam do tego.

- Może grzeczniej?

- Wypierdalaj, psie!

Rozmowa była całkowicie jednostronna. Kiwnąłem głową, widząc, że moja obecność nie jest na razie konieczna, i wyszedłem na korytarz. Wcześniej umówiliśmy się z Darkiem, że jeśli dojdzie do podobnej sytuacji, skorzystamy z tak zwanego buta w drzwiach, starej policyjnej taktyki, która opierała się na małym teatryku. Musieliśmy sprawić, by przesłuchany miał wrażenie, że informacje, które dostaje, są prawdziwe i cenne. Naturalnie, to my manipulowaliśmy tymi informacjami.

Stałem więc oparty plecami o ścianę i nasłuchiwałem.

- A może do dyskoteki poszedłeś, co?

- Spierdalaj!

Odgłos otwartej ręki uderzającej w twarz.

- A może do knajpy?

- Chuj ci w dupę. Kolejny plaskacz. Mocniejszy. - Grzeczniej. Byłeś U Krawca?

Uznałem, że minęło już dość czasu. Wszedłem do pokoju i rzuciłem tylko: - Darek, chodź na chwilę. Mój partner wyszedł z pokoju. Naturalnie, postarał się, żeby drzwi nie domknęły się do końca. „But w drzwiach” pełną gębą.

- Zawijamy go do Pionek - powiedziałem grobowym tonem. - Dzwonili ze szpitala.

- Co się stało? - zaskoczenie Darka było niemal autentyczne. Mój partner przejawiał spory talent dramatyczny - to istotna umiejętność w tej pracy.

- Z Leszkiem jest gorzej. Znowu stracił przytomność.

- L..?

- Lekarz mówił, żebyśmy szykowali się na najgorsze.

- O kurwa.

- Mamy usiłowanie zabójstwa - finiszowałem. Bez fajerwerków, ale ze spokojem i powagą. Jak u Szekspira. Też byłem niezgorszym aktorzyną.

PIONKI

Puściłem do Darka oko, po czym razem weszliśmy do pokoju.

- Zbieraj się - powiedziałem. - Nastąpiła zmiana paragrafu. Będziesz odpowiadał za zabójstwo.

Blacha nie przeklinał już więcej. Nie użył nawet słowa „pies”.

Po prostu zaczął mówić.

Opowiedział wszystko, łącznie z detalami. Upierał się, że to Rumun zaczął bójkę. Zdradził nazwiska tych dwóch, którzy siedzieli przy stoliku. Stwierdził, że nie ma pojęcia, gdzie jest Rumun. Wspomniał tylko, że ma nową dupę.

Resztę wieczoru Blacha spędził, tępo gapiąc się w podłogę pokoju przesłuchań. Cały czas był przekonany, że pójdzie siedzieć za morderstwo.

W mieszkaniu rodziców Rumuna niczego nie znaleźliśmy. Prewencja i drogowka dostały jego zdjęcia, patrole nadal odwiedzały okoliczne bary i dyskoteki. Jednak poszukiwania znowu utknęły w martwym punkcie.

Na szczęście nie zawiedli uchole. Jeden z informatorów Darka podał adres dziewczyny, z którą spotykał się Rumun.

Kluczyk w stacyjce. Pisk opon. Sześć minut jazdy. Miejsce parkingowe pod blokiem. Dochodziła 1.00. Zaczęliśmy obserwować klatkę. W zasadzie tylko tyle mogliśmy zrobić, ponieważ bez nakazu nie mieliśmy prawa wkroczyć do mieszkania. Daro połączył się z dyżurnym, który obiecał nakaz, ale nie wcześniej niż o 6.00.

Czekała nas długa noc. Przegadaliśmy ją o typowo policyjnych pierdołach. Cierpliwość to także istotna cecha w tej pracy.

Punkt 6.00 w towarzystwie zarządcy bloku staliśmy na czele sześciuosobowej grupy policjantów pod drzwiami mieszkania dziewczyny Rumuna z nakazem od prokuratora i taranem w rękę. Ponieważ nikt nie odpowiadał na pukanie, taran poszedł w ruch. Paździerz ustąpił po pierwszym uderzeniu. Wyciągnęliśmy broń i rozbiegliśmy się po pokojach. Mieszkanie miało najwyżej pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Przeszukanie nie trwało długo. Sprawdziliśmy szafki, prysznic, przestrzeń pod stołem, za drzwiami i zasłonami. Wreszcie sięgnęliśmy granic absurdu, gdy wyciągnąłem spod zlewu worki na śmieci, wypatrując gdzieś za nimi bandziora.

Mieszkanie było zupełnie puste. Ani Rumuna, ani dziewczyny.

- Czysto! - krzyknąłem z kuchni. - Darek, masz coś?

- To samo co ty - usłyszałem zawiedziony głos partnera.

Towarzyszący nam policjanci mieli do powiedzenia niewiele więcej.

Wszystkiemu przyglądał się z rozbawieniem zarządca bloku.

- Już? - spytał wreszcie, gdy wyglądało na to, że nie mamy żadnych nowych pomysłów.

Kiwnęliśmy powoli głowami i ruszyliśmy w stronę drzwi. Wyjąłem taśmę do ich zabezpieczenia.

Wtedy Darek klepnął mnie w ramię. Odwróciłem się. Mój partner wskazywał głową na wersalkę. Nie przyszło nam do głowy, żeby sprawdzić, co jest w środku.

Wyjąłem pistolet i razem z Darkiem ustawiliśmy się na wprost kanapy. Na dany znak mundurowi otworzyli kufer.

W środku leżał Rumun. Nie stawiał oporu.

Zarówno on, jak i Blacha dostali spore wyroki. Odsiedzieli je co do dnia.

Ćwiczymy młodych

Zdarzają się czasami proste sprawy, których nie sposób rozwiązać. Banalna z pozoru bójka, włamanie czy napad potrafią miesiącami angażować czas, wzbudzać frustrację i złość, a także niezadowolenie przełożonych. Ostatnie, co jest wtedy potrzebne, to niańczenie jakiegoś żółtodzioba.

Jednak na pewne zdarzenia nic się nie poradzi.

- Starszy posterunkowy podchorąży Kamil Żdźbło - przedstawił się wielki, chudy chłopak w wyprasowanym w kant mundurze, stając na baczność przed moim biurkiem. Pisząc „wielki i chudy”, mam na myśli dwa metry wzrostu i może siedemdziesiąt pięć kilogramów wagi. Idealny materiał na maszt przekaźnikowy. Na policjanta niekoniecznie. Żdźbło najwyraźniej miał zresztą problem z tak wybujałym wzrostem, bo garbił się, czyniąc swą sylwetkę jeszcze bardziej groteskową.

- Czego chcesz, synu? - spytałem, osuwając się na krzesło. Pytanie było zbędne. Wiedziałem, co nas czeka. Gdy tylko chłopak pojawił się w drzwiach, stało się jasne, że mamy na głowie nowy kłopot.

- Melduję, że przyjechałem odbyć praktyki.

- A gdzie chcesz je odbywać?

Chwila wahania.

- No... Melduję, że tu.

Westchnąłem.

- Wiesz co, zamelduj się gdzieś indziej, dobra? - poprosił Daro. - Na tym korytarzu jest jeszcze kilka innych pokoi. Tu się pracuje.

- Melduję, że przydzielono mnie do tego pokoju. Do panów.

Westchnęliśmy jednym głosem.

Ani mnie, ani Darkowi sytuacja się nie podobała. Nie mieliśmy czasu na zabawy w przedszkole. Przepisy nakazywały, by praktyki odrabiać po pierwszym roku szkoły policyjnej. Praktykant po roku nauki jest zielony jak szczypiorek na wiosnę. Nic nie wie, na niczym się nie zna, robi i mówi niemal wyłącznie głupstwa. Młody przylepiony do operacyjnego policjanta to prawdziwy wrzód na tyłku.

Przesunięcie go gdzie indziej niestety nie wchodziło w grę. Kamil był synem komendanta z Radomia, a ten znajomym naszego. W ten prosty sposób chudzielec został Darka i moim partnerem.

- Co robimy? - spytał mnie Daro, kiedy następnego dnia rano wysłaliśmy młodego do radiowozu po jakiś zapomniany dokument. Nie potrzebowaliśmy go, ale odrobina ruchu jeszcze nikomu nie zaszkodziła. My za to mogliśmy bez przeszkód pogadać.

- Mam ochotę na kawę - powiedziałem, odzyskując spokój. - W ogóle pijemy dużo kawy, a robić nie ma komu.

- A mnie się wydaje, że jest też trochę akt do posegregowania.

Uśmiechnąłem się.

- Koniec końców to nie muszą być takie złe trzy miesiące.

Kiedy starszy posterunkowy podchorąży Kamil Źdźbło wrócił, czekał już na niego cały stos zadań z kategorii tych, do których normalny policjant nawet się nie zbliża. Chłopak starał się zachować kamienną twarz i zapracować na opinię twardziela. Bez komentarza zabrał się do pracy.

Z jednej strony najchętniej rzucilibyśmy żółtodzioba do zszywania akt i parzenia kawy przez cały okres praktyk. Z drugiej jednak - zdawaliśmy sobie sprawę, że policyjnej roboty można się nauczyć właściwie wyłącznie od starszych kolegów, tak jak ja uczyłem się od Cyprynowskiego. Spoczywała więc na nas przynajmniej część odpowiedzialności za to, jakim gliną Kamil stanie się za kilka lat. A jakieś poczucie odpowiedzialności jeszcze w sobie mieliśmy. Tydzień później uznaliśmy więc, że chłopakowi należy się przerwa od kopania w archiwum. Zabraliśmy go na ulicę.

Pojeździliśmy jakiś czas po mieście, by Źdźbło przyzwyczał się do światła naturalnego i widoku Pionek za dnia (przez siedem dni praktycznie nie opuszczał nie tylko komisariatu, ale nawet pozbawionego okien pomieszczenia archiwum), a potem ruszyliśmy na obiad do jednej z „policyjnych” knajp. Nie miała ona w sobie nic z barów, jakie widzimy niekiedy w kinie. Nie przesiadywali w niej wyłącznie gliniarze, nie upijaliśmy się tam do nieprzytomności i nie gadaliśmy na zapleczu z gangsterami. Po prostu właściciele znali nasze imiona, stosowali drobne upusty i trzymali stolik, przy którym znużony stróż prawa mógł spokojnie zjeść.

Gdy witaliśmy się z kelnerkami, wpadło mi w oko dwóch młodych ludzi ubranych w stroje służbowe: czteropaskowe dresy a la Adidas, sportowe buty i łańcuchy na szyjach.

Podgoleni byli krótko, spojrzenia mieli czujne i ostre, ale zachowywali się spokojnie. Obok nich leżały na podłodze dwie duże skórzane torby, mocno wypchane. Ich jakość nie pasowała do stylu właścicieli. Zajmowali stolik mniej więcej pośrodku knajpy, daleko od naszego zwyczajowego miejsca.

Zapaliło mi się w mózgu światełko. Może jeszcze nie czerwone, ale żółte na pewno. Lekko potrąciłem Dara łokciem.

- Tam pod oknem słońce świeci - powiedziałem. - Na środku jest równie dobrze. Przy okazji młody sobie popatrzy na zgrabne dziewczyny. - Puściłem oko do kelnerki, która zaśmiała się grzecznie.

Kamil lekko poczerwieniał.

Darek omiótł spojrzeniem lokal i zaniechał pytań. Był wyposażony w instynkt nie gorszy od mojego. Kiedy usiedliśmy przy stoliku, od razu zaczął dyskutować z młodym o motoryzacji. Okazało się, że żółtodziób jednak na czymś się zna, dyskusja potoczyła się więc żwawo do przodu.

Udając, że słucham, przyglądałem się siedzącym obok dresikom. Staralem się usłyszeć, o czym rozmawiają. Nie było to nic konkretnego. Ale coraz bardziej mi się nie podobali.

- Mój kuzyn ma automat. Mówi, że to zupełnie inna przyjemność z jazdy. Tylko przestawić się trzeba, bo na początku odruchowo kopiesz po hamulcach.

- Ale przyśpieszenie słabsze. - Daro kręcił głową. - Nie masz takiego kopa, na przykład przy wyprzedzaniu. I pali więcej...

- Młody - wtrąciłem się.

- Tak?

- Chodź ze mną.

- Po co?

- Piwo ci postawię.

- Ale mnie się nie chce pić.

Przycisnąłem mu lekko dłoń do blatu.

- Chce ci się jak cholera - powiedziałem.

To na szczęście wystarczyło. Podeszliśmy do baru, gdzie kelnerka podała nam dwa piwa. Uniosłem kufel, stuknąłem nim w kufel młodego, po czym przyłożyłem do ust, muskając wargami pianę. Pochyliłem się w stronę Kamila. Mój szept tonął w ogólnym gwarze.

- Weźmiesz piwo, wrócisz na miejsce i przyjrzyj się tym chłopakom, co koło ciebie siedzą.

Kamil chciał odwrócić głowę, ale powstrzymałem go.

- Nie teraz. Jak siądziesz. Torba jednego z nich leży praktycznie pod twoim krzesłem i jest częściowo otwarta. Upuść portfel i zobacz, co tam mają.

- Tak jest - odpowiedział dzielny praktykant, a ja pokręciłem tylko głową.

Żdźbło wrócił na swoje miejsce, a ja spokojnie piłem dalej. Nie spodziewałem się, żeby dresiarze byli od razu wielkimi przestępcami. Po prostu byłem ciekaw, co takiego mogą mieć w tych tobołach. Tylko tyle i aż tyle. Z zamyślenia wyrwał mnie krzyk Żdźbła.

- Panie komisarzu! Melduję, że w tej torbie jest aparat fotograficzny.

Zakląłem, obrzucając młodego najbardziej plugawymi określeniami, jakie tylko mogłem wydłubać z pamięci.

Dresiarze przestali gadać i gwałtownie zerwali się od stolika. Nawet postronni klienci wykazali zainteresowanie, gapiąc się na nas ciekawie. Klnąc pod nosem, wyszarpnąłem blachę i doskoczyłem do chłopaków z torbami.

- Policja - powiedziałem na wypadek, gdyby mieli kłopoty ze wzrokiem. - Co tam macie, chłopcy?

Przybrali miny złapanych na ściąganiu pierwszoklasistów. - My? Nic. Takie tam... rzeczy. - To pokażcie te rzeczy - poprosił Daro, wymownym ruchem kładąc rękę na biodrze. Dresiarze w ciągu kilku sekund wykonali gigantyczny wysiłek intelektualny, w wyniku którego doszli do wniosku, że opór nie ma sensu. Jeden z nich zrezygnowanym ruchem sięgnął do torby i rozsunął zamek do końca. W środku leżał stos nowiutkich aparatów fotograficznych i wysokiej klasy obiektywów.

- Skąd je macie? - zapytałem, choć wiedziałem, że pytanie należy do gatunku retorycznych.

Jako że odpowiedzią było milczenie, postawiliśmy obu klientów pod ścianą. Sucho trzasnęły kajdanki. Obaj dresiarze wyglądali na zrezygnowanych i nie protestowali. Potem okazało się, że są równie zaawansowani w swoim fachu jak towarzyszący nam starszy posterunkowy podchorąży Kamil Żdźbło w swoim.

Jeszcze tego samego dnia wyjaśniło się, że sprzęt fotograficzny pochodził z kradzieży. Osiągnęliśmy niewątpliwy, choć nieco przypadkowy sukces.

Wieczorem, gdy rozemocjonowany swą pierwszą niemal bojową akcją Kamil poszedł do domu, zastanawialiśmy się z Darkiem, co powinniśmy z nim zrobić. W jaki sposób uświadomić mu, że popełnił błąd. Wiedzieliśmy dobrze, że zwykła reprimenda nie przyniesie pożądaných rezultatów. Chłopak będzie pamiętał tylko, że z naszą pomocą złapał dwóch złodziei i zapobiegł upłynnieniu towaru o dużej wartości. Chodziło o to, by wyciągnął wnioski ze swego zachowania.

Najlepiej działało prawo kontrastu.

Następnego ranka ponownie wzięliśmy go ze sobą do miasta. Radość młodego równa była jego zaskoczeniu. Wyraźnie sądził, że został już członkiem zespołu.

Podjechaliśmy pod hotel Chemik - stałe miejsce pracy kilku prostytutek z Radomia. Jak wiadomo, dziwki są różne: od steranych wiekiem i zawodem kurew do luksusowych cali girls operujących w najwyższych sferach. Nasze panie balansowały na pograniczu drugiej i trzeciej ligi. Były szpetne, źle ubrane, miały nadwagę i klęły gorzej od niejednego bandziora.

Nie wiem, kim byli ich klienci i jak bardzo musieli być zdesperowani, by korzystać z usług tych niewiast; dla nas stanowiły jednak cenne źródło informacji. Nie owijały w bawełnę i choć z zasady nieszczególnie poważały policjantów, zdarzało nam się dostać od nich niejedną wartościowy cynk.

- To jakieś nowe dziewczyny - powiedziałem Kamilowi jeszcze w samochodzie. - Nie znamy ich, a chyba tu coś kręcą na boku. Musimy się dowiedzieć, co i jak.

Traciłem łokciem Dara, który dostał nieoczekiwane ataku kaszlu. - Co mam zrobić? - spytał Kamil. - No wiesz: idź i pogadaj z nimi. Skąd są, dla kogo robią i co się tu dzieje. Typowa operacyjna robota, bracie.

Żdźbło wziął głęboki oddech i ruszył do boju.

Dziewczyny stały pod hotelem. Alfons dopiero co je zostawił i stary czarny mercedes ze srebrnymi felgami właśnie zniknął za zakrętem. Legendą wśród prostytutek była Hela. Niemłoda, potężna kobieta, która w pewnym sensie zarządzała całym tym kramem. Wątpię, by człowiek o zdrowych zmysłach zapłacił za jej usługi, ale najwyraźniej świetnie sprawdzała się w rajeniu klientów koleżankom.

Młody przeszedł przez ulicę, wyprężył się jak struna (dwumetrowa struna) i wyciągając legitymację, wyrecytował:

- Starszy posterunkowy podchorąży Kamil Żdźbło, komisariat policji Pionki. Proszę o okazanie dokumentów!

Przyznam: w tym momencie obaj z Darkiem musieliśmy porzucić miny typu poker face. Rechotaliśmy jak żaby, patrząc na reakcję „dziewczynek”, które spojrzały na młodego jak na idiotę, po czym same zaczęły chichotać i głośno komentować jego fizjonomię i zachowanie, a także proponować mu znaczące rabaty na swe usługi. Żdźbło przygasł trochę, ale brnął dalej. Podszedł do następnej kobiety, stuknął obcasami i wyrecytował tę samą formułkę, zakończoną prośbą o okazanie dokumentów.

Wreszcie Hela uznała, że brak jej czasu na dalsze zabawy. Rozejrzała się, dostrzegła nasz samochód, po czym machnęła ręką.

- Daaarek! Zabierzcie tego pajaca, bo mi tu wszystkich klientów wypłoszy - ryknęła na całą ulicę.

Od tej pory przez ładnych kilka tygodni panowała w komisariacie moda na powitanie „a la Żdźbło”. Stawialiśmy naprzeciw siebie na baczność, salutowaliśmy, a następnie wymienialiśmy wszelkie oficjalne formułki, niczym heroldowie na średniowiecznych dworach. Cały cymes polegał na tym, by zachować maksymalną powagę. Kto wybuchał śmiechem, stawiał piwo po pracy.

Kamil nie znosił tego najlepiej, ale starał się trzymać.

Kilka lat później, gdy był już prawdziwym policjantem, miałem okazję zetknąć się z nim zawodowo. „Starszy posterunkowy podchorąży Kamil Żdźbło” wyrósł na bardzo dobrego gliniarza. Na Wybrzeżu, gdzie będąc już podkomisarzem, został naczelnikiem wydziału jednej z powiatowych komend, zarówno podwładni, jak i szefowie wyrażali się o nim bardzo pochlebnie.

Nieco inny, ale równie pouczający przypadek wydarzył się jakiś czas później. Do naszego pokoju zawitał kolejny młody chłopak, tym razem po skończonych studiach prawniczych. Jarek był bardzo inteligentny, wygadany, łatwo nawiązywał kontakty i niezwykle szybko się uczył. Nie dał się nie lubić. Na studiach zetknął się z problemem narkomanii, działał w jakichś stowarzyszeniach zapobiegawczych, generalnie był pozytywną i aktywną jednostką, w rodzaju takich, których policja potrzebuje jak kania dżdżu. Oczywiście nie znaczyło to, że mogłyby go ominąć przyjemności inicjacyjnego wkręcania.

Po odbębnienu obowiązkowej rundy porządkowania archiwum i parzenia kawy wzięliśmy go ze sobą na przesłuchanie. Rozpytywaliśmy akurat jakiegoś podrzędnego złodziejaska, przez kilka godzin trzymając go w krzyżowym ogniu pytań. Facet szybko pękł, sprawa należała do rutynowych, bardzo jednak zaciekała Jarka. Po południu zaczął nas

wypytywać o techniki przesłuchań, metody skłaniania aresztantów do mówienia, kontakty ze świadkami i informatorami i tym podobne szczegóły. Spojrzeliśmy po sobie z Darem. Okazja sama wchodziła nam w ręce.

Daro odchylił się na krześle i splótł dłonie na karku.

- Wiesz, młody - rzekł. - Techniki przesłuchań są różne, ale jedna rzecz jest najważniejsza.

- Jaka? - Jarek pochylił się do przodu. Temat go cholernie wciągnął.

- Notatka. Z takiego przesłuchania, obojętnie, czy pytasz bandziora, informatora, czy świadka, musisz zapamiętać każdy detal, każdy najdrobniejszy szczegół, każdy brudek za paznokciem. Pal diabli bandytów, oni zeznają do protokołu, ale świadkowie, a już na pewno informatorzy bardzo nie lubią, jak się ich nagrywa albo notuje przy nich. Pierdolą wtedy trzy po trzy, gwałtownie tracą pamięć, myli im się i takie tam. Rozumiesz?

- Można mieć dyktafon w kieszeni - odparł Jarek. Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. Wyczuwał, że nie robilibyśmy wielkiej tajemnicy z tak banalnego rozwiązania.

- Po pierwsze - włączyłem się do dyskusji - mamy jeden dyktafon w całej komendzie i przeważnie jest zepsuty. Musisz o niego składać specjalne podanie do naczelnika - kłamałem gładko. - Po drugie, bardzo często informatorzy wyczuwają tak czy siak, że ich nagrywasz. I za cholerę nie chcą gadać. A zasada jest prosta: nagrywasz, nie ma cynku.

- Więc co? Trzeba zapamiętać?

- Pamięć bywa zawodna - odparł sentencjonalnie Darek. - Nie. Musisz mieć wszystko na papierze. Mamy na to specjalną technikę, kolego. Technikę Krótkiego Ołówka.

Jarek skinął głową. Na razie wszystko brzmiało całkiem logicznie. - Przygotowujesz sobie króciutki ołówek, im krótszy, tym lepszy. Najlepiej taki na centymetr albo jeszcze mniej. Przed spotkaniem wsadzasz do kieszeni małą kartkę papieru. Najlepsza jest sztywna, może być kartonik.

- Byle nie szary - wtrąciłem.

- No pewnie, że nie, tylko idiota użyłby szarego - skrzywił się mój partner. Naprawdę miał talent dramatyczny. - Na szarym gównu widać. Więc masz w kieszeni kartonik i ołówek. Jak facet albo facetka zaczyna gadać, wsadzasz rękę do kieszeni, jakby nigdy nic, i notujesz.

- Oczywiście tylko najważniejsze detale, bo kartki ci nie starczy - dodałem.

Jarek popatrzył na nas uważnie, ale zobaczył tylko powagę i chłodny profesjonalizm.

- Notuję w kieszeni? Na niewidzianego? - zapytał ostrożnie.

- No, sposób wymaga trochę wprawy - skinąłem głową. - Musisz potrenować. Ale to jedyna skuteczna metoda, mówię ci, bracie.

Na tym zakończyliśmy spotkanie.

Nazajutrz rano zastaliśmy młodego siedzącego przy biurku nad ogromnym stosem złożonym z ołówkowych obierków, kilkunastu połamanych grafitów i masy karteluszków pokrytych nieczytelnymi hieroglifami. Jarek trzymał rękę w kieszeni, był czerwony na twarzy i sprawiał wrażenie bliskiego płaczu. Nie wytrzymał, zaczęliśmy rzeć jak stado żrebaków, a Jarek zerwał się i pobiegł do łazienki. Od tej pory Technika Krótkiego Ołówka stała się miejscową legendą.

Każdy kiedyś zaczynał. Każdy musiał przejść przez podobne małe figle. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że ktoś, komu upiekła się podobna inicjacja, miał zdecydowanie mniejsze szanse, by zostać dobrym gliniarzem.

Jeszcze inną historię ćwiczenia młodego zapamiętałem z czasów mojej późniejszej służby w Puławach. Praktykant rzeczywiście był młody i kompletnie zielony, różnił się jednak od innych tym, że pochodził z Nigerii.

Gabi przyjechał do Polski na studia. Na drugim roku poznał dziewczynę, ożenił się z nią i postanowił zostać w naszym pięknym kraju na stałe. Po zakończeniu nauki powziął decyzję, że zostanie policjantem.

Działo się to w roku 1993, policja zmieniała się, czego wyrazem było choćby masowe przyjmowanie do pracy kobiet. Gabi miał polskie obywatelstwo, nie był karany, słowem: spełniał formalne warunki, by zostać policjantem. Przyjęto go z otwartymi ramionami: szefostwo robiło wszystko, by pokazać, że nowa policja jest instytucją demokratyczną, idącą z duchem czasów. Szybko okazało się, że praktyka szybko przerosła szlachetne założenia.

Gabi zaczynał, jak każdy, w prewencji i nie był to łatwy dla niego czas. Był bardzo niski i dość korpulentny, w mundurze nie wyglądał specjalnie groźnie, ludzie jego obecność na ulicy traktowali przeważnie jako żart. Nikt w zasadzie nie miał pomysłu, jak faceta wykorzystać. Przerzucano go z jednostki do jednostki, w końcu Gabi trafił do szkoły podoficerskiej. Podczas kursu musiał odbyć dwutygodniowe praktyki na komisariacie. Ponieważ jego żona była puławianką, trafił w końcu do nas, a komendant podjął decyzję, że te dwa tygodnie spędzi w

kryminalnym. Mój bezpośredni szef z kolei doszedł do wniosku, że najlepszym opiekunem będę dla chłopaka ja z moim partnerem Bogenem, i w ten sposób Gabi trafił pod moje skrzydła.

Był sympatycznym, wesołym facetem i generalnie bardzo miłym kompanem. Mówił świetnie po polsku, wszystko rozumiał, z policyjnego punktu widzenia miał jednak pewną dość istotną wadę - bardzo słabo pisał. Robił błędy, myliły mu się litery i znaczenia słów, napisanie dwóch zdań zajmowało niemal godzinę. Nie mógł zatem sporządzać raportów czy notatek, co ogromnie ograniczało ilość zadań, do których mógł być delegowany. Szybko okazało się, że podobnie jak góra też niespecjalnie mieliśmy pomysł, co zrobić z facetem.

Po wykonaniu przez Gabiego wielu zadań archiwistycznych (porządkowanie teczek) oraz gastronomicznych (parzenie kawy) doszliśmy jednak do wniosku, że musimy dać mu jakieś samodzielne zadanie, a przy okazji go wkręcić. Uważaliśmy bowiem, że nie powinna dotyczyć go taryfa ulgowa z racji odmiennego koloru skóry. Tradycji musiało stać się zadość.

- Mamy masę papierów do rozniesienia - powiedział mój partner.

- Racja - przytaknąłem. I tak trzeba się było tym zająć, niezależnie od Gabiego i jego problemów. - Facet się przynajmniej przebiegnie po mieście.

Bogen zatarł ręce.

- A potem nam ładnie opowie, jak było.

Następnego ranka wręczyliśmy Gabiemu plik około dwudziestu wezwań oraz cedułkę z dokładnym planem miasta i adresami. Wezwania dotyczyły świadków, którzy w ciągu następnych dni mieli stawić się na komisariacie, byśmy mogli ich przesłuchać. Daliśmy Gabiemu do zrozumienia, że jesteśmy bardzo zajęci, a wezwania roznieść trzeba bardzo pilnie, jest to zatem ważne i odpowiedzialne zadanie, dające dodatkową możliwość poznania miasta, co w pracy operacyjnego policjanta nie jest bez znaczenia. Gabi wyglądał na bardzo zadowolonego, że nareszcie będzie mógł zrobić coś konkretnego.

Wziął papiery i poszedł.

Nie było go coś ze cztery godziny. Gdy po powrocie z rozmachem wszedł do pokoju i huknął plikiem papierów o biurko, wiedziałem, że wyprawa nie zakończyła się sukcesem.

- Pukałem do drzwi - powiedział wyraźnie zirytowany. - Ludzie nie chcieli mi otwierać. A jak już ktoś otworzył i mówiłem mu, że jestem z policji, wybuchał śmiechem. I mówił, żebym sobie nie żartował. Część krzyczała, że pewnie komuś ukradłem legitymację albo pytała, gdzie ją podrobiłem. Nikt mnie nie traktował poważnie.

Chociaż sytuacja była zabawna, jakoś nie było mi do śmiechu. Najwyraźniej czarny policjant przerósł wyobrażenia puławian o tym trudnym i szlachetnym zawodzie.

- Udało ci się coś doręczyć?

- Tylko jedna osoba wzięła wezwanie i pokwitowała odbiór - odparł. Naprawdę miał dosyć.

Resztę praktyk odbył w archiwum, porządkując papiery. Niespecjalnie przeciw temu protestował.

Wiem, że po powrocie do Warszawy na pewien czas zakotwiczył w kompanii wywiadowczej, ale szybko rozniosła się po mieście wieść, że czarny chodzi po ulicy jako wywiadowca, więc tam również nie odniósł specjalnych sukcesów. Dopiero później ktoś wpadł na pomysł, że, z racji bardzo dobrej znajomości angielskiego, mógłby wziąć udział w misji na terenie byłej Jugosławii, polska policja bowiem właśnie wysyłała tam znaczący kontyngent funkcjonariuszy. Idea okazała się strzałem w dziesiątkę. Gabi odnalazł na Bałkanach sens pracy i został bardzo dobrym policjantem. Przełożeni byli z niego bardzo zadowoleni.

Poker

Po dwudziestoczerogodzinnej służbie siły miałem akurat tyle, by otworzyć kluczem drzwi mieszkania, zdjąć płaszcz i powlec się do kuchni. Nastawiłem czajnik, a potem gapiłem się bezmyślnie w ścianę. Po krótkim namyśle postanowiłem nie czekać, aż zagotuje się woda. Rozebrałem się powoli, wziąłem książkę i z ulgą wyciągnąłem się w pościeli. Udało mi się zasnąć, nim doszedłem do połowy strony.

Dzwonek telefonu był natarczywy. Dzwonił i dzwonił, jakby od tego zależało czyjeś życie. Sięgnąłem nieprzytomny po budzik: 2.00. Na oślep podniosłem słuchawkę.

- Na pół litra wam brakuje, pijaki pieprzone? - zapytałem ochryple pewien, że to koledzy w stanie wskazującym na spożycie dzwonią z imprezy. Nieraz tak dowcipkowali.

- Komisarzu, komisarz się szykuje, zaraz przyjedzie radiowóz, mamy zabójstwo - w słuchawce nie usłyszałem bełkotu moich kumpli z roboty, tylko zdenerwowany głos dyżurnego.

Mruknąłem coś niecenzuralnego, po czym wstałem i zacząłem się ubierać. Zabrałem z szuflady pistolet i zapasowe magazynki, do kurtki wsadziłem legitymację. Kiedy rozległ się dzwonek domofonu, byłem gotowy. W nieoznakowanym radiowozie siedziało dwóch młodych z prewencji. Wyglądali na bardzo podekscytowanych.

Samochód ruszył energicznie.

- Jatka - powiedział jeden z nich, odwracając się w moją stronę. - Cztery trupy.

Pionki były miastem, gdzie stosunkowo niewiele się działo. Cztery trupy to była sensacja nie lada. Nadstawiłem ucha.

- Duża willa pod miastem. Czterech facetów. I wszyscy z bliska, pewnie z pistoletu.

- Porachunki? - zapytałem. Byłem nadal zmęczony jak diabli, ale przynajmniej odechciało mi się spać.

- Nie wiadomo - odparł mój rozmówca. - Może napad.

Może. Ale mało prawdopodobne.

Koleś chciał pogadać, ale nie byłem specjalnie rozmowny. Na razie o sprawie nic nie wiedziałem, a na jałowe spekulacje szkoda mi było energii.

Po półgodzinie dotarliśmy do celu. Nie mnie jednego zerwali w środku nocy; na miejscu była już prewencja, był komendant, lekarz patolog, zjeżdżali się policjanci z dochodzeniówki, technicy kryminalistyki. Wszyscy jednakowo szczęśliwi...

Okolicę i sam dom znałem dość dobrze. Okazała willa w stylu gierkowskim należała do niejakiego Kuternogi. W ciągu ostatnich kilku miesięcy miałem okazję kilka razy z nim gadać. Z moich obserwacji wynikało, że Kuternoga chciał zostać zawodowym przestępcą, tyle że nijak nie wiedział, jak się do tego zabrać. Na razie jego działalność ograniczała się do handlu wódką i wynajmowania pokoi na godziny różnym przypadkowym parom.

Wszedłem do środka. Szybko pokonałem przedpokój, a potem znalazłem się w salonie. Wokół kręciło się kilkunastu funkcjonariuszy. Technicy robili zdjęcia i zdejmowali odciski palców, koledzy z dochodzeniówki oglądali pomieszczenie niemal centymetr po centymetrze.

Salon był dużym pomieszczeniem o pomalowanych na biało ścianach i podłodze wyłożonej nieco przetartym dywanem. Dokładnie pośrodku stał okrągły politurowany stół. Leżało na nim kilkanaście rozrzuconych kart do gry, obok parę pudełek jeszcze zapakowanych talii, na środku spora kupka pieniędzy. Wokół przewracane cztery krzesła, na podłodze kilka rozrzuconych banknotów.

I trupy otoczone mdłym zapachem krwi.

Czterech mężczyzn. Dostatnio ubranych, dobrze odżywionych, zadbanych.

Daro stał pośrodku i przyglądał się ciałom. Wyglądał, jakby tej nocy jeszcze nie położył się spać.

- Co jest? - zagadnąłem. - Pokerek - odparł. - Może komuś karta nie szła. Daro uśmiechnął się. Machnął ręką w stronę ciał. - Każdy ma dwie rany postrzałowe - powiedział. - Jeden strzał w głowę, drugi w klatkę piersiową. To egzekucja, bracie.

Przyjrzałem się ciałom. Leżały rozrzucone bezwładnie, jakby po prostu pospadały z krzeseł.

- Dziwne - stwierdziłem. - Faceci siedzieli przy stole i ktoś po prostu ich zastrzelił. Nawet zakładając, że kiler wszedł i od razu zaczął strzelać do jednego, trzech pozostali rzuciliby się do ucieczki. A przynajmniej dwaj. Powinniśmy ich znaleźć gdzie indziej. Ostatniego pewnie w przedpokoju albo przy oknie. Tu nie widzę prób ucieczki, walki, niczego. Nikt się nie bronił.

Darek skinął głową. Mojemu rozumowaniu nie można było nic zarzucić. Nikt nie próbował uciekać, to pewne.

- Pierwszy raz w Lidze tak na ostro poszło - powiedział mój partner.

Święta prawda.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mieliśmy do czynienia z meczem Ligi Pokera. Nieformalnymi zawodowymi rozgrywkami, w ramach których pokerzyści z całej niemal Polski spotykali się na czymś w rodzaju turniejów. Według naszych informacji gra szła o naprawdę niemałe pieniądze. Pokerzyści najczęściej wynajmowali dyskretnie umiejscowione lokum na weekend, od piątku do niedzieli, i przez te dwa i pół dnia gry trwały non stop, zmieniał się tylko skład. Jeśli ktoś przegrywał pieniądze - opuszczał lokal, a na jego miejsce przyjeżdżał następny gracz.

Jednak dotychczas nikt nie posunął się do zabójstwa.

- Motyw rabunkowy odpada - stwierdziłem. - Na stole jest, lekko licząc, kilkanaście tysięcy. Na parkingu cztery fury po sześćosiem dych każda. Założę się, że należały do nieboszczyków.

- Mówię ci, egzekucja. Porachunki.

To było jedyne racjonalne wytłumaczenie, toteż tym razem ja skinąłem głową. Rozejrzałem się.

- Dokumenty mieli jakieś?

- No. Mamy nazwiska, adresy, wszystko. Już poszło na bęben.

- Dobra. Kuternoga gdzie? - zapytałem.

- Nie ma. Szukają go. - Od niego zaczniemy - zarządziłem. - Nic tu po nas. Jak laboranci skończą, przeczytamy se raport.

Skinęliśmy głową komendantowi, który wyglądał na mocno nieszczęśliwego, po czym poszliśmy do nieznakowanego radiowozu, którym przyjechał Darek. Wziąłem do ręki mikrofon.

- Tu zero jedenaście. Szukamy niejakiego Kuternogi. Na biegusiu.

- Tu dyżurny - zatrzeszczało radio. - Wy byście zawsze chcieli na biegusiu. Daję na wszystkie radiowozy, czekaj na sygnał, zero jedenaście.

- Przyjąłem. Coś o tych nieboszczykach macie?

- Tobie się naprawdę wydaje, że to amerykański serial? Przed chwilą zleciłem. Sprawdzenie musi potrwać.

Jasne. Praca w policji jest przede wszystkim nauką cierpliwości. Odłożyłem mikrofon.

- Kuternogi nie ma, bo kropnął tych czterech i właśnie kombinuje, jak by się zapaść pod ziemię - powiedział Darek.

Włączył silnik i ruszył. Jechał wolno, bez zwykłego animuszu. W pewnym sensie nigdzie nam się nie spieszyło. Zawsze najlepsze pomysły przychodziły nam do głowy podczas jazdy.

- Eeeee - powiedziałem. - Kuternoga jest za cienki Marian. Żeby zabić czterech gości strzałem w głowę, trzeba mieć jaja i umieć. Wszedł do wyższej ligi z tym wynajmem, ale zabijanie to nie jego przeloty. To nie on.

- Więc dlaczego go nie ma? Pierwszy raz wynajął chałupę na turniej i nie pilnował interesu?

- Może taki był układ. Maks dyskrecji, zero pytań.

- Może - nieoczekiwanie zgodził się Daro.

Przyjechaliśmy do komendy. Na miejscu czekała na nas informacja, która dodała sprawie dodatkowych rumieńców.

- Jeden trup to ciekawa postać - powiedział zastępca naczelnika, wyznaczony przez komendanta do nadzorowania sprawy. - W Peerelu był katem.

- Katem? - powtórzyłem bezmyślnie.

- Takim funkcjonariuszem, co wyroki wykonuje - odpowiedział cierpliwie szef. - Jak zawiesili wykonywanie kary śmierci, poszedł na emeryturę.

- Zemsta? - bąknąłem.

Szef spojrzał na mnie z politowaniem.

- Na kacie? Daro pokręcił głową. - Niby dawno i nieprawda. Ale sprawdzimy gościa. Coś wiadomo o innych? - Owszem. Jeden to ekscinkciarz, notowany za szantaże i wymuszenia. Miał szerokie kontakty wśród zorganizowanych grup przestępczych z całego kraju. Handlował walutą, posiadał kantor, mieszkał w bloku.

- A dwaj pozostali?

- Na razie plaża.

W drzwi wsadził głowę dyżurny.

- Macie tego waszego Kuternogę. U konkubiny był.

Wstaliśmy, skinęliśmy głową szefowi i poszliśmy rozpytywać właściciela willi. Nie wiem, co powiedzieli mu prewencjusze, ale siedział na krześle skulony i przerażony. Nawet nie bardzo chciał na mnie spojrzeć.

- Kuternoga, przyjacielu, miło cię widzieć. Wygląda na to, że trochę posiedzisz.

- Panie komisarzu, ja nic, ja tylko mieszkanie, nawet ich nie znałem... - wymamrotał w stronę podłogi.

- Nie pierdol, Kuternoga, bo ci współludział przysolimy.

- Ale ja naprawdę nic...

- Nic to też jest coś - stwierdziłem sentencjonalnie. Musiałem go przycisnąć, gdy był przerażony i nie zdążył obmyślić linii obrony. - Twój lokal, w środku cztery trupy, wszędzie twoje odciski palców, a ty się ukrywasz. Prokurator nawet się nie będzie zastanawiał. Dostaniesz sanki minuta siedem.

Blef, ale na Kuternogę wystarczył. Facet podniósł głowę i spojrzał na mnie błagalnie.

- Wszystko powiem. Naprawdę to nie ja, panie komisarzu.

- Mów - zachęciłem go.

Z jego nieskładnej i przetykanej dygresjami opowieści wynikało, że dzisiejszy wynajem willi pokerzystom nie był bynajmniej debiutem. Kuternoga już od dwóch miesięcy udostępniał dom na turnieje Ligi. Odbywały się raz na dwa tygodnie. Klienci płacili gotówką z góry, o nic nie pytali. Ni życzyli sobie również, by o cokolwiek ich pytano. Nie padały żadne nazwiska. Klienci żądali, był na czas rozgrywek właściciel zniknął z lokalu.

Po nużącym, długim przesłuchaniu udało się uzyskać rysopisy kilku innych graczy, którzy kilkakrotnie odwiedzili Kuternogę.

Rano ustaliliśmy z Darkiem, że prowadzimy sprawę na dwóch frontach: badamy życiorysy dwóch zidentyfikowanych ofiar i ustalamy tożsamość dwóch następnych oraz penetrujemy środowisko uczestników Ligi Pokera.

Z miejsca przestępstwa nadchodziły niezbyt pocieszające wieści. Sąsiedzi byli głusi i ślepi, nie tylko nie słyszeli strzałów, ale w ogóle niczego. W willi pełno było odcisków palców, ale należały przede wszystkim do właściciela, jego konkubiny oraz czterech zastrzelonych mężczyzn. Żadnych istotnych dla śledztwa śladów nie znaleziono.

Pojechaliśmy pod Suwałki do domu kata. Na miejscu wbiło nas w siedzenia. Gość mieszkał w takiej willi, że szejk naftowy by się nie powstydział: ręcznie kute balustrady, najwyższej jakości zdobione okna, marmurowe schody, podjazd wyłożony eleganckim granitem, a nawet fontanna. Na dziedzińcu przed domem dwa samochody z górnej półki. To prawda, bycie jednym z kilku wykonawców egzekucji w socjalistycznej Polsce należało do lukratywnych zajęć, ale w żaden sposób nie tłumaczyło oglądanego przez nas bogactwa. Facet musiał być pokerowym królem lub mieć jeszcze jedno, zasobne źródło dochodów. Albo jedno i drugie.

Przesłuchanie członków rodziny nie wniosło niczego nowego.

Właściciel kantoru mniej epatował bogactwem, ale był równie zasobny w gotówkę co eksekutor. Szczegółowe sprawdzenie środowiska, w którym się obracał, nie skierowało nas na żaden nowy trop. Nie pojawił się ani motyw, ani człowiek, który miałby dość determinacji i wprawy, by zastrzelić cztery osoby.

Po jakimś czasie, dzięki pomocy niemieckiej policji, udało nam się ustalić prawdziwą tożsamość dwóch pozostałych ofiar. Obaj mężczyźni mieszkali na stałe za naszą zachodnią granicą. Mieli szereg mocnych powiązań ze grupami przestępczymi zajmującymi się kradzieżami luksusowych aut. Odznaczyli się niemałym sprytem (można powiedzieć, aż do dzisiaj), ponieważ nie byli nigdy notowani ani w Polsce, ani na terenie Niemiec. Tamtejsza policja знаła ich wyłącznie z rozpoznania operacyjnego.

Wszystkie ofiary miały związek ze światem przestępczym, więc jako dominującą przyjmowaliśmy wersję porachunków.

Z punktu widzenia śladów i dowodów, jakie można było wycisnąć z życiorysów ofiar i badania miejsca przestępstwa, sprawa utknęła jednak w martwym punkcie.

Uruchomiłem jednego ze swoich uchoi. Współpracowałem w tym czasie z chłopakiem, który w przeszłości zajmował się handlem walutą, był cinkciarzem, miał dość dobre rozpoznanie, jeśli chodzi o to środowisko. Poprosiłem go, by trochę się rozejrzył.

Kilka dni później zadzwonił do mnie i poprosił o spotkanie.

- Powinien pan prześwietlić kata i cinkciarza - powiedział, gdy już usiedliśmy w kawiarni.

- Lata taka historyjka, że ci dwaj kilka lat temu zorganizowali grupę graczy i pojechali do Kanady. Byli tam jakiś czas. Podobno ograli kilku naprawdę dużych gości.

- Jakież konkrety? - zapytałem. - Tylko tyle wiem - uciął. Wyglądało na to, że reszty musiałem dowiedzieć się sam. Wróciłem do komendy i opowiedziałem o przebiegu spotkania Darkowi. - Patrz, jak się pięknie składa - uśmiechnął się - Moja ucholka tak samo mówiła. Była na zlocie złodziei samochodów w Niemczech. Taką branżową imprezkę se zrobili. Sama pierwsza liga. I tam gadali, że te nasze trupy to zemsta jakiegoś kolesia z Kanady.

Taaa, ciekawe. Dwóch nieznających się informatorów podaje ten sam trop.

Zaczęło się żmudne sprawdzanie. Rzeczywiście, zarówno kat, jak i cinkciarz trzy lata wcześniej przez osiem miesięcy przebywali na terenie Kanady. Wyjechali i wrócili niemal w jednym czasie. Udało nam się dowiedzieć, że w istocie obaj przywieźli spory zasób gotówki. Kanadyjska Królewska Policja Konna nawet przesłuchiwała prewencyjnie obu delikwentów, mając najwyraźniej dobrze rozpracowane środowisko zawodowych pokerzystów. Żadnych zarzutów jednak im nie postawiono, obaj na terenie Kanady zachowywali się poprawnie.

Niewiele konkretów przyniosło również sprawdzenie wszystkich przylatujących w ostatnim okresie z Kanady podróżnych. Dominowali stateczni biznesmeni albo ludzie odwiedzający w Polsce rodziny. Oczywiście można było założyć, że zabójca przyleciał lub przyjechał z innego kraju. Wtedy w grę wchodziłoby kilkadziesiąt tysięcy ludzi do sprawdzenia. Fizyczna niemożliwość.

Jednak trop kanadyjski wydawał nam się najbardziej prawdopodobny. Ponownie skontaktowaliśmy się z naszymi kolegami po fachu z drugiej strony wielkiej wody i poprosiliśmy o sprawdzenie ludzi, z którymi nasi nieboszczycy mogli mieć kontakt. Kanadyjczycy jednak nie ustalili niczego konkretnego. Trudno się dziwić - zadanie było piekielnie trudne. Należało bowiem znaleźć człowieka, który zlecił (bo najpewniej nie zrobił tego sam) dokonanie egzekucji płatnemu zabójcy. Wszystkie ślady, sposób wykonania (jeden strzał w klatkę piersiową, drugi w

głowę), obecność pieniędzy na stole i samochodów na podwórzu wskazywały na profesjonalistę. Niczego jednak nie udało się ustalić ponad wszelką wątpliwość.

Choć śledztwo oficjalnie prowadzone było jeszcze przez dwa lata, sprawcy pozostali niewykryci. Była to jedna z tych spraw, kiedy wszystko układa się w logiczne opowiadanie, sprawca najprawdopodobniej wywodzi się z bardzo konkretnej i stosunkowo niewielkiej grupy ludzi, a pomimo to nie udaje się doprowadzić do schwytania go i postawienia przed sądem.

Czasami trzeba przełknąć i takie gorzkie pigułki. Kibole Peron był pusty. Stałem na nim sam, choć zwykle tym pociągiem do Warszawy jeździło co najmniej kilkanaście osób. Nie dziwiło mnie jednak, że tym razem jest inaczej. Na miejscu matek z dziećmi też wolałbym poczekać na następne połączenie. Kątem oka dostrzegłem, że od strony zbudowanego jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym budynku stacji zbliża się do mnie Darek.

- Uwaga, podróżni - szczeknęły zawieszony na latarni głośniki. - Pociąg osobowy z Radomia przez Pionki, Dęblin, Pilawę do Warszawy Wschodniej wjedzie na tor czwarty przy peronie drugim. Planowany odjazd pociągu godzina 14.02.

Rzeczywiście, zza zakrętu wyłonił się wymalowany sprejem skład.

- Masz bilety? - spytałem partnera.

Kiwnął głową i wyciągnął żółtawe kartoniki. Dobrze. Lepiej, żebyśmy nie musieli świecić przed konduktorem blachami, pomyślałem.

- Szukamy gościa w kowbojskim kapeluszu z herbem Legii - powiedział Darek.

- Okej.

Rozległ się głośny chrzęst trącej o siebie stali i pociąg powoli wtoczył się na peron.

Tak naprawdę nie mogę powiedzieć, że słyszałem ten chrzęst. Byłem po prostu do niego przyzwyczajony i pewnie stąd to wyobrażenie. Tamten skład nie chrzęścił, a przynajmniej nikt w okolicy nie mógłby tego stwierdzić na pewno.

Tamten skład wył i śpiewał.

Przez okna, jak robaki z przeciętego na pół jabłka, wystawały setki rąk i głów. Pomalowane na biało i zielono twarze wykrzykiwały przekleństwa i przyśpiewki, ręce machały flagami Legii Warszawa. Do takiego pociągu nie wsiadał nikt o zdrowych zmysłach. Właśnie dlatego wsiedliśmy do niego my.

Skład huczał śpiewami i zajeżdżał alkoholem, ale przede wszystkim był tak zatłoczony, że sprawne poruszanie się po nim graniczyło z cudem. Mieliśmy jednak szczęście. Facet w kapeluszu z herbem Legii siedział w pierwszym wagonie.

- Zostań - polecił mi Darek, sam ruszając w stronę gościa.

Wzruszyłem ramionami. Jak tak, to tak.

Darek tymczasem przepychał się przez tłum. Wreszcie dotarł do celu, akurat kiedy mężczyzna był odwrócony do niego plecami. Położył mu rękę na ramieniu. Tamten odwrócił się dość gwałtownie.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

A potem padli sobie w ramiona, jak starzy kumple. Widzieli się pierwszy raz w życiu. Jeszcze pół godziny temu ani ja, ani Darek nie spodziewaliśmy się, że w dającej się przewidzieć przyszłości będziemy jechać jakimkolwiek pociągiem.

Historia zaczęła się, jak zwykle, wezwaniem do naczelnika.

- Robicie coś aktualnie? - spytał. Był starym lisem. Prawie uwierzyłem, że go to obchodzi.

- Aktualnie uprawiam szlachetną sztukę pisania raportów - stwierdziłem, rozcierając nadgarstek.

Darek też miał coś do powiedzenia. Podstawowa zasada pracy w policji: nigdy nie przyznawaj, że nie masz nic do roboty. Ludzie, którzy nie pracują, to ludzie niepotrzebni.

Zaczęliśmy więc wymieniać różne obowiązki, którymi obarczyła nas służba dla państwa.

- Dobra - przerwał naczelnik, zanim rozkręciliśmy się na dobre. - Nie mam czasu tego słuchać. Dzwonili chłopcy z Radomia. Jest dla was robota.

Ciekawostka. Rzadko kiedy łapaliśmy bandziorów spoza własnego rejonu, tym bardziej na zlecenie.

- Wczoraj jeden z ich ludzi zachlał na dyskotecę koło Wierzbna - kontynuował nasz wódz.

- Zdarza się najlepszym - wtrącił Daro, ale zaraz umilkł pod groźnym spojrzeniem naczelnika.

- Problem w tym, że ten kretyn był na dyskotecę z bronią. Bóg jeden raczy wiedzieć po co, pewnie małolaty na to lecą, w każdym razie wszedł do klubu z P64, a rano zamiast z bronią obudził się z gigantycznym kacem i własnym fiutem w rękę.

Milczeliśmy zgodnie, jak uczniowie w pierwszej ławce. Sprawa robiła się ciekawa.

- Pukawki zaczął szukać cały Radom. Drogą operacyjną udało się ustalić, że broń znajduje się w posiadaniu jednego z kiboli Legii Warszawa. I tu przechodzimy do sedna.

Spojrzał na zegarek.

- Mniej więcej w tym momencie gość opuszcza Radom. Cały skład kiboli jedzie na mecz do Warszawy. Dojedzie do nas za dwadzieścia minut.

Spojrzeliliśmy z Darkiem po sobie.

- Czekacie na pożegnalny pocałunek? - rozdarł się naczelnik nieoczekiwanie. - Jazda! W pociągu są dwaj policjanci z Radomia. Macie się z nimi skontaktować, a potem przechwycić broń.

Tym prostym sposobem znaleźliśmy się w pociągu. Założyłem szalik i zacząłem śpiewać. Poszła w ruch wyciągnięta z kieszeni półlitrowka. Policjant z Radomia pociągał równo. Kibole traktowali nas jak swoich. Kamuflaż działał.

Po kilku minutach wstaliśmy i poszliśmy wzdłuż składu. Znaleźliśmy przedział konduktorski z kierownikiem w środku. Powiedzieliśmy mu, kim jesteśmy i czego szukamy. Sami mogliśmy pogadać bez przeszkód i ustalić plan działania.

- Facet jest w trzecim wagonie. Wysoki, długie włosy, blondyn. Szrama na twarzy - zakomunikował nam policjant z Radomia. - Siedzi koło niego mój partner.

- Jakkolwiek by liczyć, cztery wagony kiboli - wtrąciłem. - Jeżeli żaden poza naszym nie ma ze sobą nawet nożyka do obierania ziemniaków, to i tak wyłuskanie go z tego tłumu może się zamienić w rzeź.

- Mają broń. - Kierownik pociągu pozbawił nas złudzeń. - Widziałem pałki, kastety, kije bejsbolowe.

- Alternatywa?

Sprawnie przeszliśmy do małej burzy mózgów.

- Mamy dużą grupę kibiców w wąskim pomieszczeniu. W Warszawie będziemy mieli ich jeszcze więcej.

- Na większej przestrzeni.

- Gdzie łatwiej będzie zgubić figuranta.

- Tu przynajmniej jest łatwy do zlokalizowania.

- Mimo wszystko - upierałem się. - Połowa z nich już jest pijana, a nawaleni i w dużej grupie pewnie nawet broni się nie przestraszą. Jeśli mamy po prostu wejść i wyciągnąć figuranta, to albo zorganizujemy ze dwa plutony prewencji, albo będzie jatka.

- Więc?

- Nie spinać się. Moim zdaniem trzeba przyjąć, że w pociągu go nie zdejmujemy. Czekamy na okazję. Nic na siłę.

Wywiadowca z Radomia kiwnął głową.

- Plan jest do dupy, ale innego nie mamy.

Ruszyliśmy z powrotem. Zrządzeniem losu w przedziale zajmowanym przez podejrzanego były wolne miejsca. Usiedliśmy.

Czterech policjantów, próbujących wtopić się w tłum, a między nimi barczysty blondyn z blizną na ogorzałej gębie.

Pociąg jechał dalej, a my śpiewaliśmy piosenki (Mistrzem Polski jest Legia i tym podobne) i staraliśmy się lawirować między kolejnymi pytaniami coraz bardziej pijanych kibiców.

„Skąd jesteś?”, „Która ulica?”, „Znasz tę Kaśkę, taką rudą?”, „Widziałeś ostatni mecz Radomiaka?” Nie był to najłatwiejszy zestaw pytań, nie mieliśmy w końcu czasu na przygotowanie. Każdy z nas musiał wykazać się refleksem i zmysłem improwizacji.

Podzieliliśmy się na dwie grupy. W jednym końcu przedziału siedziałem ja z odzianym w kapelusz wywiadowcą z Radomia, w drugim Darek z kolejnym, po przekątnej. Chłopaki siedzący koło nich zaczęli robić flachę. Naturalnie, nie było mowy, żeby ktokolwiek odmówił.

Figurant wydawał się wyjątkowo spokojny. Śpiewał oczywiście równie głośno jak wszyscy, wymachiwał szalikiem, ale nie sprawiał wrażenia nadmiernie pijanego.

Był czujny.

Ta maskarada trwała jakiś kwadrans, zanim nie zbliżyliśmy się do jednej z małych wiejskich stacji, na której zatrzymywały się tylko niektóre lokalne pociągi. Ktoś pociągnął za hamulec bezpieczeństwa. Nagłe szarpnięcie rzuciło część pasażerów z siedzeń. Dwóch idących akurat korytarzem kiboli przewróciło się na ziemię.

Skład zaczął zwalniać i wtoczył się na peron, wprost przed kolejną grupę ludzi z flagami i szalikami Legii. Kibice nie przejmowali się czymś tak banalnym jak rozkład jazdy.

Kilkanaście osób wyskoczyło z pociągu, by przywitać się z kumplami. Wśród chóralnych śpiewów dał się słyszeć głos konduktora. Wywiązała się sprzeczka między obsługą pociągu a kibolami. Ta jednak nie zaprzętała nam głowy.

Blondyn z blizną ożywił się nagle. Wstał z miejsca, długo wyglądał przez okno, po czym wyszedł na korytarz. To była nasza szansa. Wstałem. Radomski wywiadowca podniósł się także. Ruszyliśmy za figurantem.

Przy końcu wagonu, szczęśliwym trafem, nie było nikogo. Na lepszą okazję nie mogliśmy liczyć. Kiedy nasz klient znalazł się w korytarzyku obok toalety, wywiadowca uderzył go głową w twarz. Trafiony, zachwiał się, a w czasie gdy spadały na niego kolejne ciosy, otworzyłem drzwi od kibla.

- Co jest, kurwa? - wrzasnął siedzący na muszli facet, zasłaniając się szalikiem. W tym samym momencie blondyn zaczął krzyczeć.

Musieliśmy zareagować naprawdę szybko.

Jedne z drzwi wychodziły na peron i były otwarte. Doskoczyłem do drugich, zrywając plombę awaryjną. Skrzydło rozwarło się nagle, a cała nasza trójka z hukiem poleciała na nasyp.

Kilka sekund później figurant był skuty i obezwładniony. Niemal od razu znalazłem broń. Sprawnie wyłuskałem mu ją zza paska, odruchowo sprawdzając, czy jest zabezpieczona.

Poszło dobrze, tyle że w pełnym ludzi pociągu nie było możliwości, by nasza akcja nie zwróciła niczyjej uwagi. W otwartych drzwiach pojawiło się nagle dwóch kiboli, którzy patrzyli na nas z rosnącą błyskawicznie wściekłością.

- E! Co wy odpierdalacie? Zostawcie go, kurwa!

Wyskoczyli na nasyp. Na dzień dobry dostałem pięścią w twarz. Zatoczyłem się do tyłu. Gdy podniosłem pięści, by oddać cios, zobaczyłem wyskakującego z wagonu Darka i drugiego z radomskich wywiadowców. Na ich plecach lądowali kolejni dwaj kibole.

W całym tym bałaganie jakimś cudem proporcje walczących stron były wyrównane. Szybko zaczęliśmy brać górę. Z okien pociągu rozległy się gwizdy i skandowanie. Nie do wiary, ale ta ferajna potraktowała bójkę jako okazję do kibicowania.

Przynajmniej dopóki się nie zdekonspirowaliśmy.

Nie było innego wyjścia. Jeden z mężczyzn, którzy nas zaatakowali, zdołał wskoczyć z powrotem do pociągu, ale pozostałych obezwładniliśmy, a ponieważ nie zamierzaliśmy puszczać ich wolno, musieliśmy wyjąć blachy. Oczywiście razem z bronią.

W naszą stronę zaczęły lecieć wszelkie możliwe przekleństwa i określenia, jakie przeciętnie inteligentny człowiek jest w stanie wymyślić, by poniżyć policjanta. Uszy wędły, ale to i tak była pestka w porównaniu z butelkami, które poszły w ślad za nimi. Musieliśmy zdrowo się nagimnastykować, by uniknąć poważnych obrażeń.

Staliśmy pod nasypem, przyciskając zatrzymanych do ziemi, bez pomysłu, co robić dalej. W tym momencie odezwała się syrena lokomotywy. Pociąg ruszył powoli, a ja poczułem, że spływający po moich plecach pot nie jest już taki zimny jak przed chwilą.

Okazało się jednak, że powiedzenia: „Nie chwal dnia przed zachodem słońca”, nie wymyślono na darmo. Skład pokonał kilkanaście metrów, po czym gwałtownie stanął. Ktoś znowu zerwał hamulec bezpieczeństwa. Przez okna i rozchylane siłą drzwi zaczęli wyskakiwać kolejni kibice.

Usłyszałem ciche jęknięcie stojącego za mną wywiadowcy.

- O kurwa...

Cóż, oddał uczucia nas wszystkich.

Zaczęliśmy wrzeszczeć.

- Policja! Stać!

- Odsuńcie się!

- Kurwa! Stój, gdzie stoisz! W odpowiedzi znowu padły przekleństwa, a w rękach atakujących pojawiły się noże i bejsbole. Tłum zaczął biec w naszą stronę.

Za plecami usłyszałem dwa strzały oddane w powietrze przez wywiadowcę z Radomia. Skutek nie był specjalnie imponujący. Problem z bronią krótką polega na tym, że wcale nie jest tak głośna, jak lubią to pokazywać filmy i gry komputerowe. Odgłos wystrzału z P64 przypomina bardziej mocne uderzenie ręką w stół niż grzmot armaty, po którym wszyscy padają na ziemię.

Kibice zawahali się, jednak tylko przez chwilę.

Parę sekund później znowu nacierali w naszą stronę. Podniosłem w górę broń i krzyząc głośno „Stać!” oddałem w powietrze kolejne strzały.

Znowu ten sam schemat. Tłum zatrzymał się, pierwszy szereg rzucił kilka niepewnych spojrzeń, a potem wszyscy zaczęli coraz bardziej agresywnie wrzeszczeć. Kilkanaście sekund później kibole wykonali pierwszy ruch w naszą stronę, po nim kolejne.

- Mamy przejebane - stwierdził Darek. Trudno było się z nim nie zgodzić.

Wybór, który mieliśmy przed sobą, nie był prosty, choć prawdę powiedziawszy, nazywanie go wyborem należałoby określić jako eufemizm. Właściwsze byłoby określenie: „diabelska alternatywa”. Mogliśmy zacząć strzelać albo dać się rozerwać na strzepy. Zresztą nawet gdybyśmy otworzyli ogień, itak nie było żadnej pewności, że nie zostaniemy zatluczeni na śmierć. Mieliśmy cztery pistolety, sześć naboji w każdym i po dwa zapasowe magazynki. Tamtych było kilkudziesięciu.

Nigdy nie strzelałem do człowieka, który nie miałby w ręku broni palnej. Wyglądało na to, że czeka mnie debiut.

Wciąż przyciskałem zatrzymanego kolanem do ziemi, co blokowało mi swobodę ruchu. Facet zaczął wierzgać. Przyłożyłem mu w głowę rękojęścią, po czym podniosłem broń i wycelowałem w najbliższego napastnika. Kątem oka widziałem, że trzy pozostałe lufy celują w tę samą stronę.

Tłum znajdował się siedem, może osiem metrów od nas. Zapowiadała się rzeź.

W tym momencie ponownie zawyła syrena lokomotywy. Kiedy umilkła, zdałem sobie sprawę, że obok wrzasków i obelg słyszę jeszcze coś. Spojrzałem przez ramię.

Na wybojach brukowanej drogi podskakiwała cholerna kawaleria, jak w klasycznym amerykańskim westernie. Trzy wyjące syrenami suki wiozły co najmniej osiemnastu funkcjonariuszy prewencji, niech im Pan Bóg w dzieciach wynagrodzi. Kolejne trzy minuty pamiętam, jakby trwały wieczność. Dający nadzieję policyjny sygnał w tle, a wokół nas skupisko wykrzywionych wściekłością twarzy. Nikt się na nas nie rzucił bezpośrednio, broń, a przede wszystkim bliskość odsieczy robiła swoje, jednak krąg kiboli zacieśniał się coraz bardziej. Kroczył po kroczku, centymetr za centymetrem.

Kiedy samochody wreszcie zahamowały, piszcząc oponami, miałem ochotę krzyknąć: „Alleluja!”. Natychmiast rozwinął się kordon prewencji, który odgrodził nas od kiboli. Pałki i kastety zaczęły uderzać o tarcze, a my razem z zatrzymanymi uciekliśmy do wozów.

Na drodze ukazały się kolejne radiowozy.

Część kibiców cofnęła się do pociągu. Kanonada kamieni i butelek nie słabła. Gdy schowaliśmy się w samochodzie, mieliśmy wrażenie, że o dach i szyby uderza grad. Tylne szyby pękły, a szkło posypało się na podłogę.

Kierowca wdusił gaz do podłogi.

Jadąc na komisariat, słyszeliśmy przez radio wymianę zdań między dowództwem a walczącym z kibolami oddziałem prewencji. Trwało to przez całą drogę, blisko pół godziny, dopóki wreszcie nie padła informacja, że sytuacja jest pod kontrolą.

Jednak sprawa na tym się nie zakończyła. Tego wieczoru, po meczu, doszło w Warszawie do poważnych zamieszek. Wiele osób zostało rannych. Walki policji z kibolami trwały kilka godzin.

Na szczęście gotowy na wszystko blondyn z blizną i P-64 nie wziął w nich udziału.

Lublin

- DrrrL. drrr!... drrr!... - rozdarł się telefon arogancko i głośno. Przykryłem głowę poduszką, modląc się, żeby pajac po drugiej stronie zrozumiał, że jeśli nie odebrałem po dziesięciu sygnałach, nie odbiorę również po piętnastu. Błogi spokój, spełnienie moich marzeń, trwał jednak nader krótko.

- Drrr! - zabrzmiało ponownie z subtelnością dentystycznej bormaszyny.

Mój detektywistyczny umysł podpowiadał mi, że maniak po drugiej stronie nie zrezygnuje.

- Czego? - warknąłem. Biorąc pod uwagę, że spałem może pół godziny po dwunastogodzinnej służbie, i tak nie byłem taki do końca nieuprzejmy.

- Dzień dobry, z tej strony Andrzej Bielak, czy dodzwoniłem się do Krzysztofa? - usłyszałem rzeński męski głos. Zbaraniałem kompletnie, bo facet niby pytał o mnie, a ja nie miałem pojęcia, kim jest Andrzej Bielak.

- Kto? Kogo? - zapytałem niezbyt inteligentnie.

- Andrzej Bielak - powtórzył głos po drugiej stronie linii. - Biały. Ze Szczytna.

Oświeciło mnie. Nawet nieco oprzytomniałem.

- Biały, chłopie, co u ciebie?!

- Okej. Nie obudziłem?

- Eee - ziewnąłem. - Ale jak dzwonisz z jakąś dobrą nowiną, to ci odpuszczę.

Białego znałem z Wyższej Szkoły Policji, w której w tym samym czasie studiowaliśmy zaocznie. Lubiliśmy się. Doskonale wiedział, że w środku tygodnia o tej porze prawie na pewno odsypiam nockę - w końcu kto miał odwalać nocne wachty, jeśli nie młodzi? Wszyscy tak mieliśmy. Raczej nie dzwonił dla głupiego żartu. Nie on.

- Z bardzo dobrą. Robimy w sobotę w Lublinie imprezę, przyjedziesz?

- Na imprezę do ciebie? Zawsze. Brać coś ze sobą?

- Nie, tym razem elegancja Francja. Bawimy się w Hadesie.

- Będę na pewno.

Ustaliliśmy szczegóły, po czym odłożyłem słuchawkę. W sobotni wieczór zameldowałem się na - jak się okazało - największej policyjnej imprezie kwartału. Impreza miała tak zwany charakter dynamiczny i działy się różne rzeczy, o których lepiej nie opowiadać ze względu na tajemnicę służbową. Jednego, czego jednak nie da się pominąć, to faktu, że pierwszy raz w życiu trafiłem do VIP roomu z prawdziwego zdarzenia. Jeden z siedzących w nim VIPów wkrótce okazał się dla mnie, prostego funkcjonarza z Pionek, przepustką do prawdziwej policji. Poznałem tego wieczoru faceta, który dowodził Kompanią Wywiadowczą w Lublinie.

- Krzysiek, zbieram mocną grupę do pogonienia Ruskich po Lublinie. Robota będzie ciężka, ale ciekawa. Piszesz się?

W tym momencie wyjaśnił się powód, dla którego kilka dni wcześniej zostałem wyrwany ze snu o 8.00. Impreza, owszem, bardzo miła, jednak stanowiła tylko wabik. Przez chwilę nie mogłem odpowiedzieć, bo bałem się, że z tych emocji zapiszczę jak panienka, co raczej nie potwierdzi pozytywnych rekomendacji Białego.

- Tak jest, panie komisarzu! - Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy w tak oficjalny sposób zwróciłem się do Marka.

Tak miał na imię człowiek, który na następne dwa lata został moim szefem. Bardzo mocna osobowość - i bardzo, jak się później okazało, niejednoznaczna. Dla swoich chłopców był jednak w stanie sporo zrobić. Dał tego dowód już na samym początku, bo jego poparcie sprawiło, że mój raport w sprawie przeniesienia został pozytywnie rozpatrzony w ekspresowym tempie dwóch tygodni.

Jogi i dziupla

Zameldowałem się w mojej nowej jednostce, noszącej niezbyt imponującą nazwę „Kompania Wywiadowcza Komendy Powiatowej w Lublinie” i niemal z marszu zostałem rzucony na głęboką wodę. Przydzielono mnie do zespołu, którego zadaniem było wykrycie sprawców brutalnego morderstwa dwóch mężczyzn. Ich okaleczone zwłoki znaleziono w lesie. Nasze informacje wskazywały, że mogła być to sprawka kogoś z członków pewnej rosyjskiej grupy przestępczej, mającej w swoim repertuarze całą wiązaną przebojów: handel narkotykami i żywym towarem, haracze oraz kradzieże luksusowych samochodów, połączone z przetrzuceniem tych ostatnich z Europy Zachodniej przez Polskę na Wschód. Istniało podejrzenie, że morderstwa są powiązane z porachunkami wewnątrz grupy albo zemstą wobec nierzetelnego kontrahenta.

Moim partnerem został wtedy facet o wdzięcznej ksywce

Jogi.

Jego rodzice pracowali w dyplomacji i chłopak większość dzieciństwa spędził, jeżdżąc po świecie z mamą i tatą, co kilka lat zmieniając szkoły. Dla kogoś z takiego domu, kogoś, kto w życiu mógł robić praktyczne wszystko, wybór pracy w policji był zgoła niestandardowym rozwiązaniem. Podejrzewam, że rodzina nie zareagowała na jego decyzję najlepiej.

Dobrze go rozumiałem. On po prostu nade wszystko chciał zostać psem. Miał w sobie sporo odwagi i brawury. Był przy tym cholernie bystry. W Belgii skończył prawo, w Polsce dowództwo kilkakrotnie próbowało posłać go do szkoły oficerskiej. Jogi nigdy się na to nie zgodził. Uwielbiał adrenalinę ulicy.

Nie wiódł życia typowego policjanta. Nie próbował ukrywać, że ma pieniądze. Wynajmował wypasione mieszkanie przy rynku, jeździł nowym audikiem, a jego ubrania czy kosmetyki zwykle nosiły logo znanych marek.

Należał do tego typu policjantów, którzy kochają pokazywać zachodnie filmy akcji. Typu w prawdziwym życiu praktycznie niewystępującego. Tak, Jogi zdecydowanie był jedyny w swoim rodzaju.

Kryptonim sprawy, nad którą pracował nasz zespół, brzmiał „Ruski”, co dość dobrze oddawało zarówno finezję naszego dowództwa, jak i proveniencję przestępstw, którymi się zajmowaliśmy. Z początku szło jak po grudzie. O świadków było bardzo trudno, a jeśli już ich znajdowaliśmy, zapadali na ostrą i nieuleczalną amnezję, ślady nijak nie chciały się przełożyć na dowody procesowe, dedukcja i natężanie mózgownic też nie dawały efektów. Wyglądało na to, że zwłoki, które znaleźliśmy w lesie, najwyraźniej same się poszatkowały, a potem zakopały. Lub odwrotnie.

Jogi z rozmachem wszedł do pokoju. Siedziałem akurat za biurkiem i pisałem kolejny raport.

- Co tam bazgrzesz? - spytał.

- Taką tam... laurkę dla szefa.

- Długie to?

Jogi z całych sił unikał wypełniania papierów. Cwaniaczek wyrobił sobie podziwu godną umiejętność zrzucania na mnie tego przykrego obowiązku.

- Bardzo. Ale w sumie da się streścić w jednym zdaniu: nic nowego.

- I tu się akurat mylisz.

Odłożyłem papiery na bok i spojrzałem na niego z oczekiwaniem.

- Uchol? - spytałem.

- Całą niespodziankę psujesz.

- Może powinienem pisać scenariusze do filmów sensacyjnych. Więc?

Jogi wziął krzesło i usiadł na nim oparciem do przodu. Jak w westernach.

- Abramowice kojarzysz?

- Psychiatryk, zalew, trochę pól. Rozjaśnisz?

- Mój uchol mówi, że Ruscy mają tam dziuplę.

- Wszędzie mają. Statystyka działa na ich korzyść. Co to ma do naszych trupów? Spojrzał na mnie z niesmakiem, ale postanowił nie dać się sprowokować. - Ruscy mają tam przystanek przerzutowy. Przebijają numery, a potem furki jadą na Wschód. Mało używane, niebite i tak dalej. Uchol gadał, że za dobry hajs da nam znać, kiedy zwiozą towar. Idziesz ze mną do naczelnika? Chodź, pochwalimy się. W sprawie trupów nic, ale dobra dziupla nie jest zła.

Fakt. Rzuciłem niedokończony raport na biurko i poszliśmy do dowódcy. Działania Jogiego, wbrew pozorom, miały sens. Wprawdzie nominalnie obaj zajmowaliśmy się sprawą morderstw, działaliśmy jednak również w ramach zespołu zadaniowego, który rozpracowywał konkretną grupę przestępczą. W takich wypadkach rzadko udaje się udowodnić podejrzanym najcięższe przestępstwa. Ważniejsze od wymierzenia sprawiedliwości za konkretny czyn jest zdjęcie grupy i posłanie do pierdła za cokolwiek. Sprawienie, żeby przestała działać. Wtedy sprawdza się przysłowie „Lepszy wróbel w garści...”.

Szef był oczywiście zadowolony. Pojawiła się szansa na przełom w sprawie, którą tłukliśmy już od jakiegoś czasu, więc przez następne dwie godziny maglował nas w swoim biurze. Kim jest uchol Jogiego? Czy informacja jest pewna? Jak chcemy działać? Czy informacja jest pewna? Gdzie to dokładnie jest? Ilu Ruskich tam może być? Czy informacja jest na pewno pewna?

Zanim od niego wyszliśmy, powstał praktycznie gotowy plan działania dla całego zespołu. Koledzy mieli czekać na sygnał i po otrzymaniu cynku od informatora wkraczać do akcji.

- Krzysiu... - powiedział Jogi, kiedy wyszliśmy na zewnątrz.

Uśmiechał się w ten swój kowbojski sposób, a ja już wiedziałem, że ewentualne plany na wieczór muszę przelożyć na kiedy indziej.

- No, co tam?

- A może by pojechać?

- Gdzie pojechać?

- No, do tej dziupli. Zobaczyć co i jak, żebyśmy potem w ciemno nie szli.

Zwykle widząc ten uśmiech, przewencyjnie go opieprzałem, ale wtedy mnie zaskoczył. Nie miałem planów na wieczór. Przecież mogłem się przejechać. Pomysł nie wyglądał na specjalnie ryzykowny czy niebezpieczny. Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało.

- Wieczorem?

- Wieczorem.

Gospodarstwo wyglądało typowo. Jestem przekonany, że w promieniu paru kilometrów dałoby się znaleźć kilkadziesiąt podobnych. Pośrodku podwórka znajdowała się studnia w starym wiejskim stylu, nieco dalej dom, który co drugi gospodarz okolicy mógłby po pijaku pomylić z własnym, a na samym końcu tego wszystkiego wielka, kryta eternitem stodoła. Całości dopełniało rozciągające się za zabudowaniami pole.

Zatrzymaliśmy samochód niedaleko bramy wjazdowej. W domu paliło się światło. Jogi przez lornetkę uważnie przyjrzał się gospodarstwu.

- Ładną stodołę mają - powiedział w końcu.

- No, ładną - potwierdziłem.

- Może byśmy poszli zobaczyć?

- Nie zaszkodzi.

Dziś, patrząc z perspektywy czasu, widzę, że była to dziecinada, na dodatek niebezpieczna. Nieco na bakier z profesjonalizmem. Bez wsparcia, bez właściwego rozpoznania i konkretnego planu mogliśmy spalić całą operację. Takie działanie odpowiadało Jogiemu - miało w sobie emocje, której zwykła robota nie dostarczała. Mnie z kolei zabrakło zdecydowania, żeby się kategorycznie sprzeciwić.

W końcu pojechać, popatrzeć, a potem nie wejść? To jak jeść cukierka przez papierek.

Podjechaliśmy od tyłu, zaparkowaliśmy w mało widocznym miejscu przy pustej wiejskiej drodze i jakieś pięć minut później staliśmy pośrodku stodoły. Na betonowej szlichcie nie

znajdowało się nic oprócz kilku par widel pod ścianami i wielkiego kopca siana na środku. Dziupła była pusta.

Ale Jogi miał inne zdanie.

- Nosz kurwa, jak w filmie! - stwierdził podekscytowany.

- Co jak w filmie?

- Łap za widły.

- Jogi, siano będziesz przerzucał?

- Stary, przecież jak na dłoni widać, że tam jest jakaś skrytka.

Pobiegł do ściany i wziął widły w garść. Chciało mi się śmiać.

- Nie chce mi się - powiedziałem i odwróciłem się w stronę wyjścia. - Swoje zrobiliśmy.

Chodź.

Zabrakło może emocji, ale dobrze poznaliśmy teren, więc w zasadzie plan został zrealizowany. Jogi nie słuchał. Zawzięcie dziobał widłami siano. Uznałem, że jak wyjdę, zniechęci się szybciej. Kiedy uchylałem już drzwi stodoły, widły szczęknęły metalicznie.

- Wiedziałem! - krzyknął Jogi.

Takie rzeczy nie dzieją się naprawdę, pomyślałem. Ale się działy. Pod wielkim stogiem siana znajdowała się skrytka, w której ruskie bandziory trzymały skradzione samochody. Jogi triumfował.

- No i komu należy się nagroda dla złych i brzydkich? - rzucił cytatem.

Weszliśmy do czegoś w rodzaju blaszanego garażu. W środku czekała kolejna niespodzianka: na oko dziesięcioletni Volkswagen golf. Przeżarty rdzą trup. Nagle wszystkiego mi się odechciało.

- Bryka jak malowanie - stwierdziłem z niesmakiem. - W sam raz dla nowych Ruskich.

- Człowieku - Jogiego niełatwo było zniechęcić. - To musi być jakiś haczyk, rozumiesz?

- Jasne. I ryby się na niego łowią.

- A żebyś wiedział. - Jogi za wszelką cenę nie chciał uznać naszej wyprawy za porażkę. -

Może fura specjalnie taka. A pod spodem skrytka na prochy...

Nie zdążył rozwinąć tej odkrywczej myśli ani tym bardziej zabrać się za poszukiwania. Naszą małą wymianę zdań przerwał bowiem szum silnika i pisk opon, który doszedł nas od strony podwórka.

Wybiegliśmy z blaszaka. Przez prześwit w deskach stodoły zobaczyliśmy bmw i czterech karków, którzy wyskoczyli z auta, jakby się paliło.

Po czym ruszyli biegiem w naszą stronę.

Mieliśmy kilka sekund na podjęcie decyzji. Upływały bardzo, bardzo szybko, a my... Nie podjęliśmy żadnej decyzji. Sam nie wiem: może nas sparaliżowało - tamci szli wprost na nas, a my jeszcze przed chwilą żywiliśmy głębokie przekonanie, że jesteśmy najcichszą i najbardziej nieuchwytną parą wywiadowców na świecie. A może - zwyczajnie i po prostu - nie wpadliśmy na pomysł, co należy w tej sytuacji zrobić.

Czas na myślenie upłynął, drzwi od stodoły otworzyły się, a nas poraziło światło reflektorów beamki.

Tamci stanęli jak wryci.

Chwilę trwał pojedynek spojrzeń, wreszcie dwóch z nich zaczęło krzyczeć coś po rosyjsku i ruszyli do przodu. Jak na komendę wyjęliśmy legitymacje i broń, po czym zaczęliśmy wrzeszczeć: „Stać, policja!”.

Sukces był połowiczny. Dwaj odwrócili się na pięcie i czym prędzej opuścili stodołę. Pozostali dwaj niespecjalnie się przejęli naszymi krzykami. Jeden wyciągnął spod kurtki teleskopową pałkę.

Uniosłem broń w górę i oddałem dwa strzały w powietrze. Równie dobrze mógłbym zanucić najnowszy przebój Madonny.

Biegli dalej. Filmowy policjant w takiej sytuacji zwykle strzela przestępcy w kolano. Co zabawne, z prawnego punktu widzenia mogliśmy postąpić w ten sposób i nie czekałaby nas żadna kara. Chodziło raczej o nasze własne podejście. Obaj byliśmy chłopakami mającymi za sobą służbę w specjalnym plutonie prewencji. Nie baliśmy się bójk, w pewnym sensie nawet je lubiliśmy. Mieliśmy za to pewne opory przed strzelaniem do ludzi, którym za jedyne uzbrojenie służyły baton i dwie pary pięści.

Oceniliśmy zagrożenie i uznaliśmy, że damy sobie z nimi radę bez broni. Dlatego niemal równocześnie schowaliśmy pistolety.

Naturalne jest, że walka dwóch na dwóch musi przerodzić się w dwa oddzielne pojedynki. Byłem w tamtym okresie w gazie i sprawny fizycznie. Miałem swój popisowy numer: coś z pogranicza sztuk walki, podstaw akrobatyki i gier na automatach. Wybijałem się z dwóch nóg,

uderzałem przeciwnika obiema piętami w klatkę piersiową, po czym lądowałem z powrotem na stopach.

Potraktowałem mojego klienta firmowym zagranem. Kopnięcie było na tyle udane, że facet poleciał do tyłu z dużą prędkością i wpadł do wciąż otwartej kryjówki na samochody. Ruszyłem za nim, tracąc Jogiego i jego przeciwnika z oczu. Okładałem pięściami Rosjanina, starając się nie pozwolić mu wstać, ale trzeba przyznać, że nie dawał łatwo za wygraną.

Szarпалиśmy się przez chwilę, wreszcie udało mi się lekko go ogłuszyć. Wyjąłem kajdanki i założyłem mu bransoletkę na jeden z przegubów. Drugą przykułem do... własnego.

Jest to jedna z najgłupszych i najmniej przemyślanych rzeczy, jakie zrobiłem w trakcie swojej kariery policyjnej. Do dzisiaj nie jestem w stanie zrozumieć, co mną kierowało i czemu zamiast poszukać jakiegoś słupka czy czegośkolwiek innego, postanowiłem sam skuć się z większym i silniejszym ode mnie przeciwnikiem. W samym środku bójki.

Tymczasem Jogi stracił przewagę. Dotąd radził sobie całkiem nieźle, sam też miał w rękę batona, ale w pewnym momencie dostał potężny cios, który obalił go na ziemię, a jego przeciwnik - widząc, że sytuacja nie sprzyja kontynuowaniu walki - zaczął wspinać się po drabinie, na poddasze stodoły. Stamtąd prawdopodobnie chciał zwiać przez okno umieszczone wysoko w szczytowej ścianie.

Moja walka dobiegła końca, ale skuty z piętnaście kilo cięższym chłopem, nie mogłem pomóc partnerowi, tylko wywlokłem Ruskiego na zewnątrz blaszaka, rozpaczliwie szukając w kieszeniach kluczyka, który oczywiście gdzieś się zawieruszył. Tymczasem Jogi zebrał się na ostatni wysiłek i złapał uciekającego Rosjanina za nogawkę. Tamten szarpnął się rozpaczliwie, ale Jogi trzymał niczym buldog. Bandyta rozejrzał się szybko, po czym wyrzucił ręce w górę. Złapał za coś, co znajdowało się poza zasięgiem mojego wzroku, stęknął, natężył się, po czym szybkim rzutem zwałił na głowę Jogiego skrzynkę z narzędziami.

Rozległ się huk walącego się na klepisko ciała i brzęk rozsypywanego żelastwa. Jogi nie stracił przytomności, ale jęczał gromko i sprawiał wrażenie oślepionego. Ruski uciekł. Pościg z oczywistych przyczyn był niemożliwy. Nie mogłem także wezwać wsparcia - krótkofalówki zostały w wozie.

W końcu udało mi się wyłuskać kluczyk z kieszeni kurtki i odkuć od Ruskiego, który zaczął zdradzać pewne oznaki aktywności. Przyłożyłem mu, żeby się nieco uspokoił. Skulem

ręce Rosjanina na plecach, po czym ruszyłem w stronę partnera. Tak czy siak, akcja dobiegła końca. Mieliśmy tylko jednego bandziora, ale przynajmniej ten nie zdołał uciec.

Jogi nie prezentował się dobrze. Jego głowa była zakrwawiona, a sądząc po mglistym spojrzeniu, forma psychiczna pozostawiała także sporo do życzenia. Nachyliłem się.

- Krzysiu... - wyjęczał.

- Żyjesz? - spytałem.

- Żyję, żyję.

- Na pewno?

- No ta... Tylko... trzech cię widzę.

Pomyślałem, że może ma wstrząśnienie mózgu albo uraz czaszki.

- Jedziemy do szpitala.

- Nigdzie nie jedziemy. Dobrze jest.

- Na pewno?

- Tak, ty ten pośrodku jesteś - stwierdził, siląc się na uśmiech.

Jogi starał się pokazać, że nie wystarczy spuścić mu skrzynkę na łeb, żeby ostudzić jego miłość do ciętych ripost i adrenaliny. Pomogłem mu wstać.

W drodze do samochodu częściowo wlokłem za sobą Rosjanina, a obaj częściowo wlekliśmy Jogiego, który usiłował dojść do siebie. Dla postronnego obserwatora stanowilibyśmy zabawną grupę. Całe szczęście nikogo w okolicy nie było.

Pozostali Ruscy uciekli, a ktokolwiek siedział w domu, też dawno już z niego zniknął. Tylko przy stodole wciąż stała beemka z otwartymi drzwiami i reflektorami skierowanymi w stronę miejsca niedawnej bójki.

Gdy dotarliśmy do naszego wozu, wezwałem posiłki.

Wsparcie w postaci dwóch radiowozów zjawilo się po kilkunastu minutach. Całą szóstką próbowaliśmy przejrzeć teren, na czele z domem, ale nie znaleźliśmy nic. Ktoś przeprowadził bardzo sprawną ewakuację.

- Jogi, dobrze z tobą? - spytałem, kiedy opuszczaliśmy dom.

- Nic mi nie jest.

Chciałem drążyć temat, ale przerwał mi jeden z chłopaków ze wsparcia.

- Trzeba by kryminalnych wezwać.

- Co?

- Za duża afera. Weszliście na teren, były strzały, macie zatrzymanego, a gościu jebnął Jogiego skrzynką w głowę. Bez wyjaśnień się nie obejdzie.

Miał rację i dobrze o tym wiedziałem, choć w ogniu akcji dość skutecznie wypierałem tę myśl z głowy.

- Jak mus, to mus.

Zanim przyjechała ekipa z komendy, zrobiło się widno. Skracając sobie nieco czas oczekiwania, próbowaliśmy przesłuchiwać Rosjanina, ale facet ograniczał się tylko do krótkich wyznań w rodzaju: „Job twoju mać”.

Kiedy zjawili się kryminalni, przyszła pora na dokładne oględziny miejsca zdarzenia i wstępne wyjaśnienia. Zanim te dobiegły końca, obaj z Jogim ledwie staliśmy na nogach. Marząc tylko o odpoczynku, obiecaliśmy później wpaść do komendy i załatwić resztę formalności.

Zostawiliśmy Ruskiego chłopakom i pojechaliśmy do mieszkania Jogiego. Na miejscu stwierdziłem, że nie mam już siły wracać do domu, i postanowiłem przekimać u niego.

- Lepiej ci już? - spytałem, zanim się położyliśmy.

- O połowę.

- Jak o połowę?

- Teraz jest cię już tylko dwóch.

Rano Jogi nie był w stanie ruszyć głową.

U lekarza dowiedzieliśmy się, że skrzynka, która spadła na głowę mojego partnera, spowodowała pęknięcie dwóch kręgów szyjnych.

W tym momencie prawdziwa walka dopiero się dla Jogiego zaczęła.

Początkowo trafił do szpitala na Wołoskiej w Warszawie, gdzie unieruchomiono mu kark i poskładano pęknięte fragmenty kości. Wiązało się to z kilkutygodniowym leżeniem w łóżku. Kiedy z niego wstał, sprawa bynajmniej się nie zakończyła. Pojawiły się problemy z odszkodowaniem za kontuzję - ktoś na górze stwierdził, że akcja była samowolką i nie ma mowy o wypłaceniu pieniędzy przed ustaleniem, czy na pewno się one należą. Kręcono nosem na zwolnienie lekarskie, pobyt w szpitalu i koszty leczenia. Kilka razy wzywano Jogiego przed komisję, gdzie musiał składać obszernie wyjaśnienia.

Wreszcie okazało się, że na Wołoskiej pęknięte kręgi złożono nieprawidłowo i po trzech miesiącach szpitala i rehabilitacji (za które musiał płacić z własnych pieniędzy) konieczna jest ponowna operacja.

Tego dla Jogiego było już za wiele.

- Pierdolę taką policję - powiedział mi.

Kilka dni później wysiadał z samolotu na lotnisku w Brukseli.

Tam lekarze poprawili to, co zepsuto w Polsce. W tak zwanym międzyczasie sprawy wyjaśniły się - uznano, że nasza akcja to tak zwane rozpoznanie i nie naruszyliśmy przepisów. Do ojczyzny Jogi jednak wracać już nie chciał.

Z początku urządził się u rodziców. Po jakimś czasie poznał rekrutera z RPA - państwo upadającego apartheidu szukało policjantów. Do czego jak do czego, ale do tej roboty mój dawny partner miał dryg. Przez dwa lata pracował, godziwie zarabiając, w południowoafrykańskich randach, a gdy rządy białych dobiegły końca, kupił diamenty (rząd RPA zabraniał wywozu waluty) i przemycił je do Francji.

Tam postawił sobie dom na plaży, poznał dziewczynę, malarzkę. Ułożyli sobie razem życie, a jakiś czas później urodziło im się dziecko. Dziś Jogi pracuje dla jednej z wielkich kompanii paliwowych. Zarządza bezpieczeństwem platformy wiertniczej.

Odwiedzam go raz w roku, zwykle w wakacje. Siadamy przed jego domem, patrzymy na morze, pijemy drinki z palemką i wspominamy dawne czasy. Czasami, kiedy na niego patrzę, myślę o tym, że gdyby nasza administracja nie działała tak opieszale i bezdusznie, do dziś byłby policjantem i Polska miałaby z niego wiele pożytku. Takich ludzi jak on, sprawnych, inteligentnych, oddanych pracy i nieprzekupnych, naprawdę bardzo wszyscy potrzebujemy.

Dworek Graffa

Jeszcze przed aferą ze skrzynką narzędziową robiliśmy tysiąc innych rzeczy. Uprzykrzanie życia Roskom obejmowało między innymi nękanie ich polskich partnerów. Czasami były to akcje zgoła nieefektywne, nużące, na dodatek przynoszące mierne rezultaty. Bywa i tak, że siedzenie godzinami nad rezultatami rozpoznania operacyjnego, wielodniowe obserwacje, a także próby przesłuchania świadków i spotkania z informatorami prowadzą wyłącznie do jednego: frustracji śledczych, których działania spełzają na niczym. Bijesz głową w ścianę, a przestępca chodzi wolno.

Wtedy warto zmienić otoczenie.

- Pojebało cię? - spytał Jogi, kiedy zaproponowałem małą wycieczkę. Trochę się do mnie przyzwyczaiał, więc pewnie spodziewał się jakiegoś głupiego żartu. Czytał akurat akta

operacyjne, a spora ilość kubków po kawie sugerowała, że robi to od dawna. Mina wskazywała niedwuznacznie, że niczego wartościowego z cholernych dokumentów na razie nie wyciągnął. Rozumiałem go. Miałem za sobą wiele takich bezowocnych poranków.

- No chodź, fajnie będzie.

Wstał i zaczął mi się przyglądać. Pewnie zastanawiał się, czy to zwykła wkrętka, czy może po prostu jestem pijany.

- Pójdę, jak powiesz, o co chodzi.

Uśmiechnąłem się.

- Chodź, zobaczysz na miejscu.

Poszedł.

Miejsca nie wybrałem przypadkowo. Lodziarnia znajdowała się w centrum Lublina. Była stosunkowo nieduża: pojedyncza maszyna do włoskich lodów, kilka stolików. Nic specjalnego. Złożyliśmy zamówienie i usiedliśmy na zewnątrz.

- Jakie masz?

- Pistacjowe.

- Ja wziąłem śmietankowe.

Oprócz nas włoskim specjałem raczyło się jeszcze trzech klientów.

- Dobrze? - spytałem.

- Nieźle - odparł Jogi, wciąż odrobinę nieufnie.

- Muszą być nieźle - stwierdziłem. - Koleś zarabia na nich kilka milionów rocznie.

Spojrzał na mnie zbaraniały.

- Co?

- Jesteśmy w lodziarni Maksa.

Mój partner rozejrzał się dokładnie. Spojrzał na kelnerki - szczupłe i miłe, co żołnierzom Maksa raczej się nie zdarzało, na wystrój - skromny, nierzucający się w oczy. To nie był styl naszego klienta.

- Maks w lodach robi?

Kiwnąłem głową.

- Najwyraźniej. Chłopaki z przestępczości gospodarczej mówiły, że w zeznaniu podatkowym zgłosił parę baniek zysku za zeszły rok. Na jednej knajpie. Chciałem ci pokazać ten biznesowy fenomen.

Zaczęliśmy się śmiać.

W gruncie rzeczy nie było nam jednak wesoło. Pawłowski, tak bowiem brzmiało prawdziwe nazwisko Maksa, od dłuższego czasu pozostawał nietykalny, co znacząco wpływało na skoki ciśnienia niemal każdego z lubelskich kryminalnych. Facet miał sporo za uszami. Czerpał zyski z wszelkiej możliwej działalności przestępczej, z jaką spotykaliśmy się na Ścianie Wschodniej. Okrętem flagowym jego aktywności stały się kradzieże luksusowych samochodów na terenie Polski i Niemiec - prawdziwy hit w tamtym okresie. Do tego dochodziły wymuszenia, którymi zajmowała się spora grupa żołnierzy Maksa, głównie dresiarzy widzących w podobnej pracy odrobinę adrenaliny i szanse na szybki zysk. No i był głównym partnerem Ruskich.

Jednak w powszechnym odczuciu Pawłowski miał opinię biznesmena. Lublinianie znali Maksa z dużej ilości nieruchomości, które posiadał, szybkich samochodów, które często zmieniał, i... lodziarni. Wszystko legalne i w dobrym stylu. Naturalnie, większości osób, żeby zmienić zdanie, wystarczyłaby jedna wizyta w Dworku Graffa - knajpie, którą upodobało sobie lubelskie „miasto”. Ale zwykli ludzie tam nie bywali.

A my, mimo że ze wszystkich sił się staraliśmy, działalności przestępczej nie mogliśmy mu udowodnić.

Pawłowski korumpował zarówno policjantów jak i prokuratorów. Co gorsza, wedle naszej wiedzy jego powiązania sięgały aż do rządzących Lublinem polityków. Korzystał z tego w pełni i zachowywał się jak udzielny książę. Zatrzymywany na kontrole, obrażał policjantów (przynajmniej tych, których nie zdołał wcześniej kupić), a gdy któregoś razu spowodował wypadek, uznał, że nie będzie tracił czasu na składanie wyjaśnień. Zostawił luksusowego mercedesa na środku drogi i odjechał nową, sprowadzoną przez telefon limuzyną.

Z tego, jak bardzo Maks urósł w siłę, wkrótce zdano sobie sprawę także w komendzie wojewódzkiej. Jakiś czas po mojej wizycie w lodziarni komendant zebrał cały zespół.

- Panie, panowie i wszyscy niezdecydowani - zaczął swoją przemowę. - Mamy polecenie z góry. Przyciskamy Maksa.

- Jak? - padło pytanie z sali.

- Wszystko jedno, byle skutecznie. Wojewódzka nie chce dopuścić, żeby z kilku bandytów wyrósł nam pod nosem zorganizowany gang. Równy partner dla grup przestępczych ze Wschodu.

Musztarda po obiedzie. Wedle mego rozeznania Maks i jego ludzie już od dawna kooperowali z kolegami po fachu zza wschodniej granicy.

- Nic na niego nie ma - rzucił ten sam uparty ktoś.

- Najwyższa pora coś znaleźć. - Nawet jak znajdziemy - powiedziałem - kumple z prokuratury przy poparciu kumpli z Urzędu Miasta zaraz go wypuszczą.

- O to będziemy martwić się potem. - powiedział szef, marszcząc brwi. Nie lubił wypowiadanych na głos oskarżeń pod adresem polityków i prokuratorów. - Na razie chcę widzieć zespół pełen kreatywnych pomysłów, jak zjebać Maksowi życie.

Tak się zaczęło.

Jako pierwszy pojawił się genialny w swej prostocie plan, żeby drogówka wrywkowo sprawdzała jeżdżące po ulicach Lublina samochody luksusowych marek. Wybierano je losowo, więc kiedy chłopaki po raz pierwszy zabierali się do roboty, nie mieli wielkich nadziei.

Wkrótce zorientowaliśmy się, że lekceważenie tej metody było błędem.

Już pierwsze kontrole wykazały, że dwie trzecie kontrolowanych pojazdów albo w ogóle nie ma papierów, albo są one nieudolnie podrobione, silniki zaś najczęściej mają przebite numery. Czasami zdarzały się też i takie rodzyнки jak świeżo jumnięta furka właśnie przewożona do dziupli. Odzyskiwaliśmy samochód i zatrzymywaliśmy kierowcę. Szybko okazało się, że prostym sposobem zadaliśmy przestępcom duże straty w krótkim czasie. Rutynowe działania okazały się skuteczne.

Sukces cieszył, przerażała jednak skala działalności grupy Maksa. Jego ludzie kontrolowali znaczącą większość rynku luksusowych samochodów w mieście.

Wkrótce i ja dorzuciłem mały grosik do zbożnego dzieła utrudniania Pawłowskiemu życia.

Przydzielono mnie, razem z Jogim, do pracy przy Dworku Graffa. Lokal urządzono w dziewiętnastowiecznym pałacyku. Ceny wysokie, a - oceniając na podstawie gości - za strój wieczorowy uchodził dres. W Dworku spotykali się przestępcy z Lublina i przyjezdni ze Wschodu, ich obecność z kolei ściągała całą rzeszę pomniejszych karków, którzy pracowali dla jednych bądź drugich. Regularnym gościem lokalu był Maks.

Mieszkał cztery kilometry od knajpy i przesiadywał w niej niemal każdego wieczoru.

Po tygodniu od rozpoczęcia obserwacji miałem już pierwszą propozycję dla szefa.

- Mam pomysł - powiedziałem.

- No, co tam Zaręba?

- Ustrzeliłem informatora, chłopaka od Maksa. Ma dziewczynę, dzieciaka i chęć wyjścia na prostą. Takie tam.

Szef niezbyt dyskretnie ziewnął.

- Standard. I co dalej? - Nic nam na niego nie da, za krótki jest. Ale wiem, jak można by go wykorzystać. Potrzebuję pagera i kilku wozów.

- Zamieniam się w słuch.

Zreferowałem swój pomysł i już następnego wieczoru plan wszedł w życie. Mój informator faktycznie był płótką, nie wnosił niczego istotnego do śledztwa ani tym bardziej nie zagrażał Pawłowskiemu. Mógł natomiast świetnie posłużyć do zepsucia mu wieczoru.

- Dobra. Powiesz, o co biega? - zapytał Jogi.

Siedzieliśmy w wozie. Niedaleko od nas, w alejce, czekało kilka radiowozów. Siedzący w nich gliniarze wiedzieli, o co chodzi, ale partner, jako nowy, miał się uczyć, że tak powiem, w ogniu walki.

- A nic. Przeczucie mam - powiedziałem, udając, że nie wiem, o co chodzi.

- Świnia z ciebie.

- Pies, nie Świnia.

Nadszedł sygnał z pagera.

- Wzywaj wsparcie i zbieraj się - powiedziałem, wyskakując z samochodu. - Robimy wjazd.

- Po co?

- Niespodzianka.

Kiedy wpadliśmy do restauracji, w środku trwała właśnie bójka. Nad głowami latały butelki, a banda dryblasów prała się w najlepsze, nie bardzo nawet zwracając uwagę, kto z kim walczy. Natychmiast ruszyliśmy w stronę Maksa i jego ludzi.

Modliliśmy się, żeby stawiali opór.

Stawili.

Zobaczyłem przed sobą solidnie zbudowanego faceta, odzianego w stosowny do pory dnia i miejsca dresik z potrójnym paskiem. Dryblas trzymał w ręku tulipana i niedwuznacznie pokazywał, w którym miejscu mojej twarzy zamierza go umieścić. Nie mogłem i nie chciałem dać mu tej przyjemności. Zszedłem nieco w lewo i zamachnąłem się krzepko trzymaną w rękę

tonfą. Koniec twardego jak stał plastiku trafił w okolice nadgarstka napastnika. Gość zawył z bólu, tulipan szerokim łukiem poleciał gdzieś w bok. Błyskawicznym kopniakiem podciąłem napastnikowi nogi. Z donośnym łomotem upadł na ziemię oszołomiony. Nim zdołał się zorientować, co powinien dalej zrobić, leżał już na brzuchu z wykręconymi i skutymi rękoma. Zaczął jęczeć i obrzucać mnie stekiem monotonnych jak książka telefoniczna bluzgów.

Wyprostowałem się. Bójka dobiegła końca. Wszyscy znajdujący się w lokalu mężczyźni, z Maksym na czele, leżeli skuci na pokrytej odłamkami szkła i szczątkami mebli podłodze i klęli na czym świat stoi, o ile mnie słuch nie mylił, w co najmniej trzech językach.

Akcja nie należała do szczególnie spektakularnych ani tym bardziej wyrafinowanych. Pomysł był prosty jak drut. Mój informator miał wejść do lokalu, wypić kilka piw, po czym sprowokować bójkę z żołnierzami Pawłowskiego, a tuż przedtem wysłać sygnał z pagera. Mieliśmy wkroczyć i nie patyczkować się.

Istniało oczywiście ryzyko dla informatora, jednak okazało się na szczęście dosyć niskie. Dworek GrafFa był tak popularny wśród ludzi z miasta, że o ile wiem, nie udało im się ustalić, kto tak naprawdę rozpoczął bijatykę.

Od tej pory prowokowane bójki należały już do reguły obowiązującej niemal każdego wieczoru.

Owszem, nie rozwiązywało to sprawy, można się nawet spierać, czy miało jakikolwiek sens poza poprawieniem morale policjantów, ale bardzo brakowało nam sukcesu. Czuliśmy satysfakcję, że udało nam się psuć Maksowi wieczory i wywołać poczucie niepewności. Od tej pory załatwianie interesów w restauracji zaczęło wiązać się ze znacznie większym ryzykiem niż dotychczas. Facet nigdy nie wiedział, czy zaraz nie zacznie się mniejsza lub większa burda, nie wpadnie policja, rozstawiając całe towarzystwo pod ścianami, i nie zepsuje dobrze zapowiadającej się transakcji.

Po trzeciej lub czwartej prowokacji doznałem nagłego oświecenia i znów pojawiłem się w biurze komendanta. Pawłowski sprawił, że znalazłem w sobie nieznane dotąd pokłady złośliwości.

- Mam pomysł - powiedziałem, po czym wyłuszczyłem zarys kolejnego planu.

I znowu szef się zgodził.

Tego samego dnia wieczorem Maks wyszedł z Dworku GrafFa i wsiadł do najnowszego modelu bmw. Ruszyłem za nim. Nie przejechał nawet pięciuset metrów, gdy dogoniłem go. Jogi

gestem pokazał, że limuzyna ma zjechać na pobocze. Kiedy podeszliśmy, zauważyłem, że Pawłowski nie wygląda na szczególnie zaskoczonego. Był pewny siebie i idealnie grał twardziela.

- Pan wysiądzie z samochodu - powiedziałem, gdy odsunął szybę.

- Po chuj?

Położyłem rękę na kaburze z bronią.

- Mamy podejrzenie, że samochód pochodzi z kradzieży. Wsiądziesz sam albo ci pomożemy.

Patrzył na mnie z nienawiścią, ale nic nie powiedział. Zgasił silnik i otworzył drzwi. - Dowód osobisty, prawo jazdy - poprosiłem grzecznie. - Kurwa, bez jaj. Dobrze wiesz, kim jestem, człowieku. - Dokumenty! Tak to wyglądało. Najpierw długo oglądałem papiery. Wszystkie dane sprawdziłem też przez radio. Na wszelki wypadek. Potem to samo zrobiłem z kartą wozu. Bez pośpiechu.

Maks nie był głupi. Nigdy w życiu nie poruszałby się trefnym wozem. Ale też nie chodziło o to, żeby złapać go na gorącym uczynku.

Po dokumentach przyszedł czas na dokładne obejrzenie wozu: numerów silnika, bagażnika, schowków. Wnętrze przeszukaliśmy centymetr po centymetrze, szukając przedmiotów pochodzących z kradzieży. Kontrola zajęła jakieś czterdzieści minut. Gdy skończyliśmy, Pawłowski kipiał z wściekłości. Ruszył do samochodu, klnąc jak szewc.

- Dokumentów pan zapomniał - krzyknąłem za nim.

Odwrócił się i wyrwał mi je z rąk.

- Spierdalaj - wycedził przez zęby.

Miałem ochotę walnąć w niego pięścią, ale uśmiechnąłem się grzecznie.

- Miłej podróży.

Sekundę później ruszył z piskiem opon.

Spokojnie wsiedliśmy do radiowozu. Po niecałej minucie odezwała się krótkofalówka.

- Jedzie klient. Zgarniamy go.

Pięćset metrów dalej czatował następny radiowóz. Jego załoga dokonała jeszcze bardziej drobiazgowej kontroli, trwającej blisko godzinę. Po pięciuset metrach czekał kolejny patrol, potem kolejny i tak aż do domu. Na końcu, niemal tuż przed wjazdem na posesję Pawłowskiego, trwała w gotowości wisienka na torcie: policjanci z psem do szukania śladów narkotyków.

Od tego wieczoru Pawłowski naprawdę długo wracał do domu.

Z późniejszych opowieści moich kolegów dowiedziałem się, że nie dali Maksowi spokoju. Mieli z tego masę radochy. On sam na wszelkie sposoby próbował ich unikać. Zmieniał samochody, wracał do domu okrężną drogą. Zawsze jednak policjanci wiedzieli o tym wcześniej. Dla niego zaś najgorszy był fakt, że nie miał pojęcia, co się dzieje ani z jakiego powodu. Próbował nawet łapówki, byleby tylko dowiedzieć się, co jest celem tej całej maskarady. Wedle moich informacji nigdy mu się nie udało.

Nigdy też jednak nie został postawiony przed sądem.

Inteligentnie zorganizowana grupa przestępcza to rzecz, którą policji stosunkowo łatwo rozgryźć, ale trudno udowodnić komukolwiek winę. Czasem kogoś naprawdę nie da się ruszyć. Można go jednak dręczyć, przeszkadzać, utrudniać życie. Sprawić, że cały czas będzie oglądał się za siebie, że w końcu popełni błąd.

Dwa lata po moim odejściu z Lublina Maks zginął z rąk rosyjskiego zabójcy. Fama głosiła, że nie zapłacił za sprowadzone samochody.

Realizacja Afgan

Nuda.

Przeraźliwa policyjna nuda. Senne brzęczenie much. Miałem tylko cztery sprawy na tapecie: dwa rozboje do umorzenia, próba zabójstwa, kradzież. Nic w terenie, wszystko mogłem załatwić zza biurka. Przekładanie papierków, wypełnianie zaległych formularzy, uzupełnianie notatek: ten typ ekscytujących, podnoszących poziom adrenaliny przypadków. W sprawie Ruskich nic konkretnego. W takie dni czynnością wymagającą największego wysiłku jest podejście do czajnika i zaparzenie kawy sobie lub kolegom.

W tej sytuacji dzwonek stojącego na biurku telefonu zabrzmiał jak trąbka wzywająca do ataku. Podniosłem słuchawkę.

- Panie komisarzu, mam perełkę - usłyszałem.

Chemik.

Słynny uchol Chemik: czterdzieści sześć lat, z wykształcenia inżynier chemii, i to z doktoratem. Ongiś bardzo zdolny i dobrze się zapowiadający pracownik naukowy Uniwersytetu Warszawskiego, obecnie narkoman w zaawansowanym stadium uzależnienia. Otrzymałem faceta niejako w spadku po policjancie, który odszedł na emeryturę. Wziąłem go, bo w tamtych czasach

jednym z kryteriów oceny pracy gliniarza była ilość jego agentów. Chemik jako uchol w zasadzie do niczego się nie nadawał, miał informacje przeważnie albo niewiele warte, albo spóźnione, albo jedno i drugie: trzeciorzędni dilerzy sprzedający narkotyki pod szkołą, meliny, gdzie narkomani przygotowali kompot, nielaty wachające butapren; tego typu rewelacje. Trzymałem go i od czasu do czasu zasiląłem sumami rzędu pięciu czy dziesięciu złotych z funduszu operacyjnego, właśnie z racji tej cholernej statystyki. Po prostu musiałem się legitymować pewną liczbą pracujących dla mnie agentów.

- Jasne - odparłem, dzwoniąc w szklance łyżką. - Ty masz zawsze perełki.

- Komisarzu, przysięgam. Prawdziwa perła.

Byłaby to całkowicie standardowa gadka, gdyby nie zdenerwowanie, które usłyszałem w jego głosie i które wydało mi się autentyczne. Wniosek nasunął się sam: facet jest na głodzie i potrzebuje paru groszy na działkę, a czas mu się kończy.

- Powiedz, co masz.

- Nie przez telefon. Spotkajmy się. - Kiedy? - Jak najszybciej. Najlepiej teraz. W barze. Wyraźnie mu się spieszyło. Gdyby to był inny dzień, spuściłbym go na drzewo. Ale dzisiaj wszystko wydawało się lepsze niż pierdzenie w stołek.

- Za kwadrans - warknąłem i odłożyłem słuchawkę.

Bar - zwykły bufet kolejowy, obskurny i źle oświetlony - miał jeszcze i tę wadę, że nie zapewniał żadnej, nawet elementarnej, dyskrecji. Umawiałem się w nim z Chemikiem, ponieważ nie widziałem potrzeby, aby bardziej się konspirować: skądinąd wiedziałem, że całe miasto jest świadome, iż Chemik zajmuje się kablowaniem dla policji.

Gdy wszedłem do baru, Chemik już czekał, sącząc cocacolę. Fakt, że wysuptał jakieś ostatnie grosze na fundusz reprezentacyjny, świadczył jednoznacznie, że sprawę traktuje śmiertelnie poważnie. Facet wyglądał źle, gorzej niż ostatnim razem. Nałóg zjadał go w przyspieszonym tempie.

- Co to za perełka? - zapytałem i zająłem miejsce na klejącym się krześle naprzeciwko. - Tylko szybko, bo mi się spieszy.

Pochylił się i zmrużył oczy.

- Dzisiaj w nocy był u mnie Afgan.

W pierwszej chwili nie bardzo wiedziałem, jak zareagować. Informacja nie mogła być prawdziwa, Chemik operował w lidze okręgowej, Afgan działał w ekstraklasie.

O Afganach krążyły legendy. Nie było w Polsce policjanta, który nie znałby tej ksywy. Domniemany rezydent rosyjskiej mafii, poszukiwany polskimi i rosyjskimi listami gończymi. Przypisywano mu zabójstwo kasjera na stacji CPN, a dodatkowo nasze Pezety pragnęły gościa rozpytać o wiele spraw związanych z przestępczością narkotykową.

Afgan to był ktoś.

- Jaki Afgan? - zapytałem.

- No co, komisarz nie wie? - obruszył się Chemik. Wyglądał na autentycznie zdziwionego. - Ten Ruski, co go po całej Polsce szukacie.

Nadal brzmiało to zbyt nieprawdopodobnie.

- A po co on u ciebie był? I kiedy?

- Dziś w nocy. Śpię sobie, słyszę walenie. Patrzę na zegarek, 2.00. Co, do cholery? Wyglądam przez wizjer: trzech facetów stoi. Ale u mnie, jak to się mówi, panie komisarzu, gość w dom, Bóg w dom.

- Jasne. - Więc otwieram - ciągnął niezrażony. - Trzech dużych, na czarno ubranych i w złotych łańcuchach.

Fakt, że otworzył w środku nocy obcym facetom, akurat niespecjalnie mnie zdziwił. Jego dom był meliną, czynną 24/7.

- Mów dalej - ponagliłem. Nadal nie wiedziałem, jak mam się ustosunkować do usłyszanych przed chwilą rewelacji. Chciałem mieć to jak najszybciej za sobą. Dłuższe obcowanie z Chemikiem nieodmiennie działało na mnie przygnębiająco.

- Wchodzą. Patrzę: Ruscy. Od razu poznałem, że jeden z nich to Afgan.

- Skąd wiesz?

- No, panie komisarzu - powiedział lekko urażonym tonem. - Przecież pan wie, że dawniej amfę robiłem dla Pruszkowa i dla paru innych. On tam się kręcił. Pamiętam go ze starych czasów.

Aż chciałoby się powiedzieć: ze starych dobrych czasów.

- No i? - zapytałem.

- Więc weszli i wyciągnęli paczkę. Pół kilo, jak Boga kocham, ani grama mniej. Pan wie, że mam oko, no nie? I ten Afgan mówi: „Zbadasz nam zawartość amfy”. Ja mówię, że nie mam narzędzi. Wtedy jeden, taki większy, tak mnie pchnął na ścianę, że myślałem, że ducha wyzionę - Chemik potarł bark na wspomnienie tej niehumanitarnej brutalności. - Więcej nie dyskutowałem,

tylko im zrobiłem te badania. To była świetna amfa, mówię panu. Osiemdziesiąt procent czystości. Sam pan wie, że taka się na rynku rzadko zdarza.

- Rzadko - przytaknąłem.

- I teraz niech pan słucha, komisarzu, teraz najważniejsze. Oni wyglądali na zadowolonych, że im tak szybko ogarnąłem temat. Powiedzieli, że mają jeszcze sporo towaru do sprawdzenia i że przyjadą w sobotę wieczorem.

Zamilkł.

Patrzyłem na niego, starając się odgadnąć, na ile zasłyszana przed chwilą opowieść jest wytworem zżartego przez narkotyki umysłu, a na ile tkwi w niej jakieś ziarno prawdy.

Ponieważ milczałem, Chemik kontynuował.

- Cenna informacja, no nie, panie komisarzu? Zgarniecie se ich, a pan mi zapłaci więcej niż zawsze. I obaj będziemy zadowoleni.

- O ile to wszystko nie są twoje majaki, Chemik - odzyskałem głos.

- Komisarzu - jego oburzenie było najprzedniejszej marki. - Żadne majaki. W sobotę wieczorem będzie u mnie Afgan. Reszta to wasza działka.

Pożegnałem go poleceniem, by nie ruszał się z miasta, i zamyślony wróciłem na komendę.

Przy biurku wróciłem do papierkowej roboty, ale nie bardzo pamiętam, co robiłem. Były się we mnie dwie przeciwstawne myśli: jedna wiodła do stwierdzenia, że gadanina Chemika to zwykle zmyślenie i zajmowanie się sprawą jest marnowaniem czasu. Druga myśl była taka, że wpadła mi w ręce okazja, o jakiej marzy każdy policjant: duża, dalece wykraczająca poza rutynę sprawa, która pozwoli popchnąć karierę do przodu, a na pewno na jakiś czas rozgoni nudę dnia codziennego.

Miałem taki zwyczaj, że każdego popołudnia prosiłem dyżurnego, by pożyczył mi notatki z nocy poprzedzającej służbę. Na ogół mnóstwo typowej policyjnej drobnicy: interwencje domowe, zatrzymania pijanych nieletnich, wpadki rozmaitych giganciarzy. Ale ten dzień był naprawdę inny niż wszystkie inne. Pomiędzy masą bezwartościowych informacji znalazłem notatkę patrolu drogówki, mówiącą o czarnym samochodzie terenowym z przyciemnionymi szybami, który nie zatrzymał się do kontroli. Niemal równocześnie usłyszałem w głowie głos Chemika: „Jak wyszli, wyrząłem za nimi przez okno, tak z przyzwyczajenia. No, ale oni po prostu odjechali, taką dużą ciemną terenówką”.

Miałem połączenie.

Wstałem i poszedłem do naczelnika. Jak zwykle był zajęty, ale naciskałem, więc znalazł dla mnie pięć minut.

- Jesteś pewien tego źródła? - zapytał. Zasada była taka, że agentów znali tylko oficerowie prowadzący. Naczelnika interesowały wyłącznie rezultaty.

- Nie - odpowiedziałem szczerze. - Ale może warto byłoby za tym pochodzić.

- No to pochodź.

Wieczorem pojechałem do Chemika, tym razem już z błogosławieństwem szefa. Facet był w domu. Zacząłem dociskać. Okazało się, że towarzysze Afgana byli mocno wytatuowani, sam Afgan natomiast niewiele się zmienił.

- Skąd mieli amfę?

- Nie wiem, przecież takich rzeczy się nie opowiada.

- Ale ty fachowiec jesteś. Domyśl się.

- Wolę się nie domyślać, panie komisarzu, jak Boga Kocham.

- Spróbuj.

- Nie.

Nie drażyłem więcej. Jeżeli mówił prawdę, kwestia źródła zaopatrzenia w amfę wyjaśni się niebawem.

- Jeśli nie kłamiesz, dostaniesz sporo kasy. Docenimy to, co robisz. - Trzymam pana za słowo. - Nigdzie się nie ruszaj i z nikim nie gadaj. Rozumiesz? Dla własnego dobra. - Tak. - Odezwę się. Pożegnałem go i poszedłem do domu. Następnego dnia rano zameldowałem się u naczelnika. Opowiedziałem mu ostatnią rozmowę z Chemikiem, nie pomijając najdrobniejszych szczegółów. Tym razem naczelnik odłożył inne sprawy i wysłuchał mnie uważnie.

- Mają być u twojego informatora w sobotę wieczorem?

- Tak.

- Włączamy Komendę Wojewódzką.

Kiwnąłem głową, po czym machina ruszyła.

Po trzech godzinach było u mnie dwóch gliniarzy: naczelnik Wydziału Kryminalnego i młody chłopak, który prowadził sprawę zabójstwa na stacji CPN. Koleś nie miał wielkiego doświadczenia, ale był ogromnie inteligentny. Rozmowa z nim była prawdziwą przyjemnością: odnosiłem wrażenie, że obcuje ze starym wygą.

Opowiedziałem im bardzo dokładnie wszystko, co wiedziałem o Afganii. Faceci z KW wyglądali na mocno zainteresowanych. Wspólnie doszliśmy do wniosku, że warto się zasadzić na Ruskich.

Wrócili do siebie.

Gdy następnego dnia przyszedłem do pracy, czekało na mnie trzech kolejnych gliniarzy dowodzonych przez naczelnika Wydziału Kryminalnego. Tym razem spotkanie odbyło się w gabinecie mojego szefa: typowa policyjna odprawa. Jeszcze raz opowiedziałem ze szczegółami, co wiem o Afganii. Faceci z KW słuchali uważnie.

- Mamy informację, że Rosjanie przygotowują duży przerzut amfetaminy z Rosji do Niemiec. To się ładnie łączy ze sprawdzeniem jakości u waszego informatora - powiedział ich szef.

Przyszło mi do głowy, że sprawdzenie jakości towaru powinno się raczej odbywać na nieco wcześniejszym etapie procesu, ale nie powiedziałem tego na głos. Nie chciałem osłabiać ich entuzjazmu, zwłaszcza że narada szła w kierunku, który bardzo mi odpowiadał.

- To co, zasadzamy się? - zapytał mój szef i spojrzał na tamtych.

Naczelnik Wydziału Kryminalnego pokiwał głową.

- My zaplanujemy operację, ale wykonamy ją razem - powiedział wolno. - To nie będzie łatwa realizacja. Faceci są na pewno uzbrojeni. Podejmowaliśmy już dwukrotnie próby zatrzymania członków tej grupy. Raz skończyło się strzelaniną. Dwóch chłopaków o mało nie zginęło.

Wszyscy, łącznie ze mną, starali się zachować obojętne miny.

- Mamy trzy możliwości - powiedziałem, nieco wrywając się przed szereg. - Możemy zatrzymać ich na mieście, ale jak zaczniemy strzelać albo oni zaczną uciekać samochodem, może zostać uszkodzony ktoś postronny. Pościg samochodowy to loteria. Druga możliwość: zatrzymanie w mieszkaniu Chemika. Też ryzyko. To normalny blok, z kilkoma mieszkaniami na klatce. Nigdy nie wiadomo, czy ktoś nie wlezie na linię strzału. Ostatni wariant: zatrzymanie na parkingu przed blokiem.

- Tam też pewnie jest masa ludzi.

- Nie - pokręciłem głową. Okolice bloku zamieszkanego przez Chemika znałem jak własną kieszeń. - Parking jest mały, na pięć samochodów. W noc poprzedzającą akcję możemy je po cichu usunąć i zastąpić naszymi. Obok stoi śmietnik zbudowany z cegły. Bardzo dobra osłona

dla naszych ludzi. Nad wejściem do klatki jest okienko, z którego widać parking. Doskonały punkt obserwacyjny. Jak goście podjadą, będą otoczeni.

Mój szef spojrział na mnie niechętnym wzrokiem, ale nie przejmowałem się tym. Widziałem w oczach tamtego oficera, że wszystko, co powiedziałem, trafiło mu do przekonania.

- Rozpracujemy szczegóły - powiedział po dłuższej chwili. - Damy wam niebawem znać. Na razie wszystko zostaje między nami, rozumiemy się?

Jasne.

Było wtorkowe popołudnie. Czas do soboty zleciał bardzo szybko.

Wyznaczono ludzi do udziału w akcji. Piętnastu funkcjonariuszy zostało szczegółowo poinformowanych, kim jest Afgan i czego się po nim można spodziewać. Wyselekcjonowano samochody, w tym dwa ople Vectra ze wzmocnionymi dwulitrowymi silnikami, w razie gdyby jednak doszło do pościgu. Zapewniono opiekę medyczną, która wraz z trzema policjantami odwozu stanowiła wsparcie operacji. Zorganizowano system łączności: ponieważ mieliśmy operować parami, jeden z dwójki został wyposażony w douszną słuchawkę i mikrofon, połączony ze stacją zawieszoną na pasku. Dzięki temu mogliśmy łączyć się między sobą oraz bezpośrednio z dowodzącym operacją oficerem.

W końcu nadeszła sobota. Choć odprawę wyznaczono na 14.00, wszyscy już od rana byliśmy w pracy. Pomysł nie należał do najlepszych, już po dwóch godzinach od wiader wypitej kawy większość z nas rozboleła brzuchy. Czas schodził na jałowych rozmowach, w których z jednej strony staraliśmy się unikać tematu, a z drugiej - każdy chciał wy badać kolegów, w jakim znajdują się stanie ducha.

W końcu zajęliśmy miejsca w obszernej sali konferencyjnej. Naczelnik nie bawił się w żadne wstępy. Podszedł do zawieszzonego na ścianie dokładnego planu okolicy domu Chemika.

- Gotowość od godziny 18.00, stanowiska zajmujemy punktualnie o 19.00. Ja siedzę w samochodzie w tym miejscu i dowodzę całością - pokazał na planie punkt nieco na zachód od śmietnika. Jeszcze raz szczegółowo opowiedział o rozmieszczeniu sił w terenie. - Wszyscy biorą po dwa magazynki. I każdy ma mieć na sobie kamizelkę.

- Szefie, jak to Rusczy, to mają kałachy, a na kałacha żadna kamizelka nie pomoże. Tylko niewygodnie będzie siedzieć - powiedział jakiś głos.

Część zebranych zarechotała nerwowo.

- Bez dyskusji! - Naczelnik lekko się zaróżowił. - Jak kogoś zobaczą bez sprzętu, wylatuje z akcji. Rozumiemy się?

Widać było wyraźnie, że facet nie ustąpi. Choć używane wtedy przez policję kamizelki były dalekie od doskonałości, nie chcieliśmy ryzykować udziału w akcji dla jakichś głupich obiekcji.

Czas ciągnął się jak guma do żucia. Nie bardzo pamiętam, co robiłem od zakończenia odprawy do rozpoczęcia akcji.

W końcu nadszedł moment, gdy zajęliśmy stanowiska.

Czterech policjantów schowało się na tylnych siedzeniach zaparkowanych samochodów. Następnym dwóch w śmietniku. Kolejnych dwóch w samochodzie zaparkowanym kilkadziesiąt metrów dalej, w głębi ulicy. Jogi i ja tuż koło drzwi wejściowych na klatkę schodową. Piętro nad nami, przy okienku obserwacyjnym: jeszcze jeden gliniarz.

Trzech policjantów w odwodzie.

Był marzec, więc o tej godzinie zapadł już zmrok.

Zaczęło się czekanie. Chemik, pomimo wielokrotnych indagacji, nie sprecyzował godziny przybycia gości.

Pomacałem się po udzie. Od niedawna większość z nas miała do dyspozycji czeskie pistolety CZ, daleko lepsze od pocziwych P64. Ze sprzętem tym czuliśmy się nieco pewniej, choć każdy z nas w głębi ducha miał nadzieję, że broń okaże się niepotrzebna.

Jeśli jesteśmy przy broni, wypada powiedzieć, czym się ówczesna polska policja posługiwała.

Na początku był P-64. Legenda, ale niestety, dość czarna.

Pistolet ów został obdarzony budzącym szacunek kalibrem 9 milimetrów, ale na tym w zasadzie jego walory się kończyły. Miał stosunkowo małą masę i zgoła artyleryjski odrzut, w związku z czym był potwornie, legendarnie wręcz niecelny. Do tego miał tak małą rękojeść, że znaczna część policjantów (w tym ja, natura bowiem obdarzyła mnie dość solidną garścią) miała nieustannie pokrwawione miejsce pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, przy oddawaniu strzału odskakujący zamek boleśnie ranił bowiem dłoń. Broń ta była niezwykle zawodna, każde dłuższe niż kilka naboju strzelanie kończyło się zacięciem, czasami bardzo trudnym do usunięcia. Dodam, że mnie jako mańkutowi pistolet ten sprawiał jeszcze dodatkową trudność, jako że konstrukcja ta ewidentnie przeznaczona jest dla ludzi praworęcznych: bezpiecznik bowiem

umieszczony został po lewej stronie broni i odbezpieczenie jej kciukiem stanowiło fizyczną niemożliwość.

Nadejście czeskich cezetek powitaliśmy jak przejście do innej czasoprzestrzeni. Pistolet miał ten sam kaliber co P-64, ale sporo większe gabaryty, w związku z czym jego odrzut był znacznie mniejszy; co za tym idzie, był daleko celniejszy, zwłaszcza na dalszych dystansach. Bardzo dobrze leżał w dłoni, jego niezawodność okazała się bez zarzutu. Dodatkowy atut stanowił fakt, że broń wyglądała dalece poważniej niż pocziwy P64, bardziej profesjonalnie. Po prostu robiła większe wrażenie na bandytach, co też nie jest bez znaczenia.

A kiedy wreszcie wprowadzono do powszechnego użycia glocki, można powiedzieć, że polska policja, jeśli chodzi o broń krótką, profesjonalizowała się ostatecznie. Glock jest bronią z górnej półki, wykorzystywaną przez wiele policji w Europie.

Teraz jednak tkwiliśmy na tej cholerniej klatce z cezetkami w gotowości. Przeżyliśmy kilka fałszywych alarmów. Przeszliśmy przez ataki zwątpienia, zmęczenia i utraty koncentracji.

W końcu, parę minut po 1.00, w słuchawce coś zachrobotło.

- Jedzie figurant - usłyszałem.

Wyjrzałem ostrożnie. W głębi uliczki ukazał się terenowy mercedes z przyciemnionymi szybami. Powoli zmierzał ku parkingowi. Dałem znak Jogiemu. Wyjęliśmy broń. Trzask przeładowania rozbrzmiał ostro w ciszy bezludnej klatki schodowej.

Samochód zatrzymał się. Przez chwilę stał z włączonym silnikiem, jakby kierowca oceniał sytuację, w razie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa gotów natychmiast odjechać. Po chwili usłyszałem, jak silnik przestaje pracować. Niemal jednocześnie otworzyło się troje drzwi auta. Trzech barczystych, wyraźnie widocznych w świetle latarń facetów, stanęło na chodniku i rozejrzało się uważnie.

Od tego momentu wydarzenia zaczęły się toczyć z prędkością międzynarodowego ekspresu.

- Stój, policja! - rozległ się krzyk gdzieś na lewo od mercedesa.

Wypadłem z klatki. Kątem oka dostrzegłem ruch, po czym usłyszałem huk wystrzału, a pół sekundy później - to zadziwiające, jak precyzyjnie umysł potrafi rejestrować błyskawicznie następujące po sobie wydarzenia - odgłos odłupywanego przez kulę tynku i przeciągły chichot rykoszetu gdzieś za plecami. Nie widziałem dokładnie, kto strzelał. Klęknąłem. Złożyłem się, pociągnąłem dwukrotnie za spust. Cezetka skoczyła w rękę, kierowca mercedesa zachwiał się, po

czym przewrócił na plecy. Padły kolejne strzały. Słyszałem wyraźnie świst powietrza niebezpiecznie blisko głowy. Moi koledzy odpowiedzieli ogniem, po czym, wśród gromkich okrzyków („Stój, policja!” oraz „Gleba!”) ruszyli do przodu.

Sześciu ludzi dopadło pozostałych pasażerów terenówki, którzy zostali błyskawicznie rzućeni na ziemię i skuci kajdankami.

Podniosłem się i ruszyłem w kierunku samochodu.

W tym momencie raniony przeze mnie mężczyzna obrócił się na brzuch, w jego rękę coś błysnęło metalicznie, rozległ się huk...

Bólu początkowo nie czułem. Po prostu w jednej sekundzie szedłem równym krokiem, w następnej - siedziałem na chodniku i z niedowierzaniem wpatrywałem się w rosnącą szybko na prawym udzie plamę krwi.

Mój partner w dwóch dużych susach doskoczył do napastnika, wycelował lufę prosto w głowę i wycedził:

- Rusz palcem, to zajebię.

Tamten nie dyskutował. Powolnym ruchem odrzucił broń i splótł ręce na karku. Jogi szybkim ruchem skuł mu ręce na plecach, ignorując okrzyk bólu.

Pozostałych dwóch pasażerów samochodu zostało unieszkodliwionych nieco wcześniej. Czterej policjanci odprowadzili ich do samochodów i czym prędzej wywieźli z pola bitwy.

Spróbowałem wstać. Plama krwi powiększała się jednak tak szybko i w głowie zaczęło mi się kręcić tak mocno, że zrezygnowałem na razie z prób samodzielnego działania. Poczułem ostry, szarpiący ból, promieniujący w górę uda.

- Dostałeś? - usłyszałem pytanie. Nawet nie bardzo wiedziałem, kto je zadał. Przed oczami miałem gęstniejącą z każdą chwilą mgłę.

- Tak jakby - mruknąłem. Poczułem senność.

- Karetka już jedzie. Nie odpływaj. Rzeczywiście, gdzieś w oddali usłyszałem syrenę. Narastała i oddalała się, falowała niczym wzburzone morze. Poczułem przemożną chęć snu. Położyć się i zasnąć, położyć się i zasnąć, położyć...

Dalszy ciąg wypadków znam z relacji kolegów.

Pogotowie przyjechało po kilku minutach. Jeden zespół zajął się rannym Rosjaninem - miał przestrelony bark, ale był całkowicie przytomny - drugi mną. Już na miejscu okazało się,

że rana jest dość powierzchowna. Zespół medyczny zatamował krwawienie, po czym zapakował mnie do karetki.

W szpitalu odzyskałem przytomność i dowiedziałem się, że będę żył i nawet obędzie się bez dłuższego leżenia w łóżku. Zostałem starannie zszyty, nafaszerowany środkami przeciwbólowymi oraz antybiotykami, wyposażony w kule i - na moją wyraźną prośbę - zwolniony.

W asyście kolegów pojechałem na komendę. Pomimo iż była blisko 3.00, ruch panował niczym w galerii handlowej na dzień przed Wigilią.

Na miejscu dowiedziałem się, że postrzelony przeze mnie facet to w istocie Afgan. Jego towarzysze byli podobnie jak szef poszukiwanymi bandziorami z imponującą listą wyczynów na koncie. W samochodzie znaleziono półtora kilograma amfetaminy, dwa dodatkowe pistolety oraz granat obronny rosyjskiej produkcji.

Akcja zakończyła się sporym sukcesem.

Jeśli chodzi o mnie, po trzech dniach odrzuciłem kule, utykać przestałem po tygodniu.

Chemik natomiast zmarł po dwóch miesiącach. Przedawkował.

Rekieter

Teczka opatrzona kryptonimem „Rekieter” była wyjątkowo gruba, ale nie zawierała zbyt wielu konkretów. Opiekowałem się nią jako któryś już policjant z rzędu, bardziej dla zasady i bez większej nadziei, że sprawa kiedykolwiek znajdzie swój finał. Kiedy pewnego dnia zadzwoniła sekretarka komendanta i wezwała mnie do jego biura, spodziewałem się, że może chodzić o każde z prowadzonych przez nas śledztw. Ale nie o to.

W biurze zjawiłem się kwadrans po telefonie. Specjalnie włożyłem wyciągniętą z szafy starą marynarkę - bądź co bądź wizyta u wodza nie była zwykłą okazją. Okazało się, że nie jestem jego jedynym gościem tego dnia. Oprócz komendanta i Bartka, inspektora z mojego wydziału, w pokoju siedziały jeszcze dwie zupełnie nieznane mi osoby. Chuda kobieta o mocno przeciętnej urodzie i potężnie zbudowany łysy mężczyzna ze szramą na twarzy oraz całą gamą tatuaży zdobiących przedramiona. Memu sokolemu wzrokowi nie umknął fakt, że część z nich wykonano cyrylicą. Po dłuższej, ale w miarę nienatarczywej obserwacji zauważyłem także symbole rosyjskich jednostek specjalnych.

- Krzysztof, to pułkownik Wasiljew i major Szewczuk - powiedział komendant, wskazując na mężczyznę i kobietę. - Pracują w moskiewskiej milicji.

Przywitałem się grzecznie z gośćmi. Nadal nie wiedziałem, co tutaj robię, przypomniało mi się natomiast opowiadanie jednego z oblatanych kolegów o byłych rosyjskich komandosach, weteranach z Afganistanu, którzy po odejściu z wojska obierali na ogół jedną z dwóch dróg życiowych: zatrudniali się w milicji albo w mafii.

- Opowiedz nam o „Rekieterze” - poprosił Bartek, nie bawiąc się w rozwekłe wstępy.

Ach tak. Zawartość teczki o tym kryptonimie tłumaczyła obecność milicjantów.

- „Rekieterze”?

- Tak. Tyją prowadzisz, prawda?

Kiwnąłem głową. A potem wypuściłem cicho powietrze, zastanawiając się, od czego powinienem zacząć.

- Cóż... - powiedziałem niezbyt pewnie. W pamięci otwierałem teczkę i wertowałem kartki, których dawno już nie miałem w dłoniach. - To kryptonim sprawy, w zasadzie grupy spraw, związanych z przestępstwami dokonywanymi na obywatelach rosyjskich. Tak naprawdę w tym wszystkim nie ma za wiele konkretów - stwierdziłem.

- Postaraj się - rozkazał komendant.

Wzruszyłem ramionami.

- Przestępstwa te sprowadzają się zasadniczo do dwóch rodzajów. Pierwszym są wymuszenia. Większość Rosjan, którzy padają ich ofiarą, to stali handlarze. Prowadzą działalność na targach i w mniejszych miejscowościach na Ścianie Wschodniej. Ci ludzie często przebywają w Polsce dosyć długo i po prostu płacą haracz. Od naszych grup przestępczych bandytów ze Wschodu różni tylko tyle, że w wyborze ofiar bardziej niż konkretnym rewirem kierują się kryterium narodowościowym. Skubią tylko swoich.

- Dobrze. A drugi typ?

- Napady. Bandyci przeważnie zasadzają się na autokary i prywatne autobusy, które przekraczają granicę. Czasem robią to „na przebierańca”, czyli zatrzymują pojazdy, udając naszych policjantów. Zabierają podróżnym kosztowności i pieniądze. Te napady skierowane są głównie przeciwko osobom na stałe zamieszkującym za granicą, które odwiedzają tu rodziny albo handlują okazjnie. Na przykład w dni targowe. Są też oczywiście emigranci, ale raczej niewielu...

Zawahałem się, szukając dalszych danych.

- A sprawcy? - spytał po polsku pułkownik Wasiljew. Był bardzo spokojny, ale miał w sobie coś, co sprawiało, że choć nie należałem do specjalnie bojaźliwych, nie miałbym ochoty spotkać go w ciemnej uliczce.

- Wedle naszych ustaleń są dwie grupy zajmujące się tą działalnością. Obie składają się z Rosjan. Mniejsza koncentruje się na haraczach, większa, złożona z jakichś dziesięciu osób, specjalizuje się w napadach. Na jej przywódcę mówią „Kulawy”.

- A my? - spytał komendant. - Mamy coś na nich?

Uśmiechnąłem się nerwowo.

- Syzyfowa praca, panie komendancie. Mam pół teczki zdjęć tych gnojków, ale nawet jak się któregoś złapie za rękę, to Ruscy... - odkaszlnąłem, patrząc na minę major Szewczuk. ... Rosjanie nie chcą donosić na swoich. Poza tym mało który z nich jest tu na stałe. Nawet ci, którzy mają jakieś budy lub punkty sprzedaży, prędzej czy później wracają do siebie, a my zostajemy bez świadków.

- Te dane mniej więcej pokrywają się z naszymi informacjami - powiedział Wasiljew. - Centrala w Moskwie ostatnio coraz intensywniej przygląda się działaniom tych grup. Mamy bardzo dużo danych od naszych obywateli powracających z Polski.

- Czego oczekujecie? - spytał komendant.

Tym razem to Wasiljew się uśmiechnął. Przez chwilę przypominał tygrysa szykującego się do posiłku.

- Głów - powiedział. Byłem pewien, że lada moment się oblize.

Pytanie, które sobie po tej rozmowie zadałem, brzmiało: dlaczego teraz? W końcu proceder trwał od lat. Nie potrzebowałem jednak nikogo do pomocy, żeby rozwiązać tę zagadkę. Jeśli Federacja Rosyjska wysłała pułkownika milicji do złapania kilku bandziorów, oznaczało to tylko jedno: bandziory wkurzyły kogoś ważnego.

Na drugi dzień czekało mnie kolejne zaskoczenie, tym razem przyjemne. Rosjanie okazali się bardzo otwarci i chętni do współpracy. Przyznali, że mają w grupie trudniącej się napadami na autokary agenta i gotowi są podzielić się nim, żeby nadać sprawie bieg. My także mieliśmy informatorów, ale żaden nie znajdował się aż tak blisko ludzi Kulawego.

Imponowało mi także przygotowanie milicjantów. Wiedzieli dobrze nie tylko, po co tu przyjeżdżają, ale też po kogo. Przywieźli ze sobą wyczerpujące dossier ośmiu z dziesięciu

bandytów. Poczulem się, jakbym dostał prezent pod choinkę. Najlepsze jednak miało dopiero nadejść. Tego samego ranka Wasiljew poinformował mnie, że wieczorem Kulawy planuje kolejny napad.

Szybkość działania nowych partnerów mocno mnie zaskoczyła. Zadzwoiłem do Bartka.

- Powie mi ktoś, co się dzieje? - spytałem. - Co mam ci powiedzieć? Chcą robić, będziemy robić. Powinieneś się cieszyć. - Cieszę się jak cholera, tylko że w jeden dzień nie załatwię grupy, która da radę zatrzymać dziesięciu ruskich bandziorów i przy tym nie polegnie.

- Grupa jest już załatwiona. Ateciaki z Warszawy.

- A...

- Oni już jadą, Krzysiek. Nic się nie martw.

Na tym rozmowa się zakończyła. Dotarło do mnie, że choć nominalnie prowadzę tę sprawę, tak naprawdę mam najmniej do powiedzenia. Szefostwo chciało zrobić dobre wrażenie, wszystko zostało już ustalone, a ja dowiadywałem się o tym ostatni. Plan akcji również nie był mojego autorstwa. Przy jego układaniu nie spytano mnie nawet o zdanie.

Kilka godzin później, tuż przed zachodem słońca, wsiadałem do autokaru ubrany w sweter w prążki i dzinsy a la PRL. Za mną zdążył cały tabun podobnie odzianych postaci: dziesięciu antyterrorystów, czterech kryminalnych oraz major Irina Szewczuk. W ogólnym tłoku panującym na przejściu granicznym nasz widok nikogo nie dziwił. Nikt się nam nawet nie przyglądał.

Pomimo że miejsce ataku zostało podane przez uchola Wasiljewa, plan zakładał, że wsiądziemy do wypełnionego autentycznymi handlarzami autokaru, który miał spełniać funkcję wabika. Miejsce ataku mogło przecież się zmienić. Wedle pierwotnej wersji cały pojazd miał być wypełniony policjantami, ale potem planista doszedł do słusznego wniosku, że Kulawy ma prawdopodobnie informatorów wśród pasażerów. Dlatego dosiedliśmy się do oryginalnego autokaru, udawaliśmy, że się nie znamy i nie mamy ze sobą nic wspólnego. Pod Lublinem w charakterze wsparcia miały czekać cztery cywilne radiowozy.

Godzinę po starcie zatrzymała nas policja.

Gdy ją zobaczyłem, dostałem gwałtownego ataku śmiechu, który starałem się ukryć za wszelką cenę. Nie spodziewałem się, by ludzie Kulawego mieli prawdziwy radiowóz, ale zakładałem, że choć trochę zadbają o pozory. Tymczasem niebieski kogut na dachu starego poloneza wyglądał jak zrobiony ze szklanki po herbacie, a namalowane na boku białe pasy

przypominały dzieło malarza dotkniętego w trakcie pracy atakiem padaczki. Przebierańcy ubrani byli w mundury będące połączeniem wojskowych polowych spodni z policyjną galową marynarką i czapką moro.

Na rosyjskiego kierowcę, o dziwo, to jednak wystarczyło.

Gdy autokar stanął, a drzwi się otworzyły, oprócz dwóch przebierańców do środka momentalnie wskoczyło jeszcze kilku mężczyzn, którzy wyłonili się nagle z krzaków.

- Ruki w wierzch! Ruki w wierzch, job twoju mać! - słyszałem tylko wśród rosnącego chaosu.

Ten jednak nie potrwał długo. Antyterrorysty rzucili się na bandziorów i kilkanaście sekund później cała podłoga autokaru zavalona była skutymi gangsterami. Najbardziej rozbawiła mnie reakcja pasażerów, którzy zszokowani tym obrotem spraw, wciąż trzymali ręce w górze niepewni, co się dzieje i czy aby całe zamieszanie nie służy tylko temu, żebyśmy to my ich okradli.

Zatrzymanych, w sumie pięciu, położyliśmy wzdłuż drogi i wspólnie z atekami czekaliśmy na radiowozy, które zjawily się kilka minut później. Wasiljew razem z Iriną robili tymczasem zdjęcia sprawcom. Pomimo sukcesu akcji nie sprawiali wrażenia zadowolonych, a ja wiedziałem niestety dlaczego.

Kiedy kawaleria wreszcie nadjechała, z jednego z wozów wyskoczył rozochocony komendant i skierował się w naszą stronę, a właściwie - żeby być zupełnie szczerym - bardziej rosyjskich kolegów po fachu niż w moją.

- Duży sukces - zapewniał, potrząsając dłonią pułkownika. - Grupa została rozbita.

Wasiljew prychnął tylko.

- Żaden sukces - powiedział. - Wśród nich nie ma Kulawego.

Ale komendant był zadowolony. Wieczorem zaprosił wszystkich na whisky, by celebrować zwycięstwo organów ścigania. Nie podzielałem jego entuzjazmu, milicjanci z Moskwy też nie. Zorganizowaliśmy wielką obławę tylko po to, żeby zatrzymać parę płotek. Z grzeczności wypiliśmy po szklance, a na drugi dzień Rosjanie wrócili do kraju.

Ludzie z Moskwy wiedzieli, że sprawa napadów nawet nie zbliżyła się do zakończenia. Jednak z mojego punktu widzenia przyniosła jeden, całkiem wymierny zysk: zaowocowała cennymi znajomościami. Od tego czasu utrzymywaliśmy z Wasiljewem kontakt i nieraz zdarzało się, że przekazywane przez niego informacje bardzo pomagały nam w łapaniu bandziorów. Bądź

co bądź związki przestępców z Rosji i Polski były bardzo silne, co nasuwało niewesołą refleksję, że gdyby współpraca oficjalna przebiegała na takim poziomie efektywności i wzajemnych korzyści jak kooperacja grup przestępczych, nasze państwa osiągnęłyby zupełnie inny poziom wzajemnych relacji ku, jak sądzę, obopólnemu zadowoleniu.

Ot, taka obserwacja operacyjnego gliniarza.

Niecałe pół roku po napadzie na autokar na moim biurku zadzwonił telefon.

- Niespodzianka - usłyszałem głos Wasiljewa.

- Coś nowego z chłopakami od fur? - spytałem. W tamtym czasie rozpracowywaliśmy akurat kolejną grupę złodziei samochodów.

- Nie. Kulawy.

Faktycznie niespodzianka. Odłożyłem długopis.

- Zamieniam się w słuch.

- Informator twierdzi, że ma problemy z nerkami, i to spore. Zrobili mu niedawno dializę, a teraz leczy się w szpitalu, bodajże kolejowym. Macie tam taki?

- Tak. Dzięki.

W tym czasie Kulawy osiągnął szczyt kariery. Rozbicie przez nas grupy napadającej na autokary najwyraźniej podziało na niego stymulująco. Pseudonim Kulawego zaczął się nagle pojawiać przy coraz większej ilości spraw związanych z haraczami i skubaniem rosyjskich autobusów. Wyglądało na to, że facet zmonopolizował rynek; jakby tego było mało, dochodziły do nas informacje, że jego grupa weszła w handel narkotykami i ich przemyt.

Liczba osób, którym zależało na aresztowaniu albo przynajmniej deportowaniu Kulawego, znacząco rosła.

Nie mogłem pozwolić, by ludzie w Moskwie wiedzieli więcej o naszych bandziarach niż my. Uznałem, że informację należy zweryfikować i pogłębić. Podeszedłem do biurka Jogiego i położyłem dłoń na klawiaturze maszyny, w którą walił z wściekłą miną już od pół godziny. Jogi bez protestu oderwał się od sporządzania raportu. Dla niego każdy powód, by wykręcić się od raportowania, był dobry. Zreferowałem pokrótce sprawę.

- W kolejnym? - spytał.

- No. Znasz tam kogoś?

- He, he, miałem tam pannę. Zastępcę ordynatora, z półtora roku temu. Odezwę się do niej i zobaczymy, czy dalej pracuje.

Pani doktor okazała się świeżo upieczoną mężatką, ale najwyraźniej sentyment przeważył, bo zgodziła się pomóc. Wedle jej relacji nerki Kulawego były w fatalnym stanie, co wedle mojej intuicji miało bezpośredni związek ze zbyt hucznym celebrowaniem rozwoju przestępczej kariery. Dostyc często pojawiał się w szpitalu, gdzie robiono mu dializy, by powstrzymać postępujące wyniszczenie tych ważnych organów. Naturalnie, rosyjski obywatel nie mógł być zarejestrowany w żadnym polskim systemie, leczyl się więc de facto nielegalnie. Wiedziala o tym większość szpitala. Dowiedzieliśmy się, że lekarzem prowadzącym Kulawego został niejaki Jerzy Lis.

Juz wstępny wywiad ustalił, że doktor Lis ma wielką słabość do imprez, w tym tych organizowanych w Dworku Graffa, oraz nierzadko zdarza mu się jeździć po pijaku. Dziś trudno uwierzyć, ale w tamtych czasach było to zjawisko nagminne i często nie robiono nawet z tego większej afery. Jednak otwierało przed nami interesujące możliwości. Konferencja z chłopakami z drogówki trwała nie dłużej niż kwadrans.

Zaplanowaliśmy banalny wręcz scenariusz. Impreza, alkohol, cynk od wywiadowcy przyklejonego do lekarza, kontrola drogowa, przebadanie na obecność alkoholu, zatrzymanie.

Mieliśmy faceta na widelcu.

Najpierw przedstawiliśmy mu listę zarzutów, potem przeszliśmy do konsekwencji, wśród których możliwość utraty prawa jazdy i wykonywania zawodu stanowiły początek listy. Nie ukrywam, że dla wzmożenia napięcia dramatycznego trochę wszystko wyolbrzymiliśmy, ale zależało nam na jak najszybszym pchnięciu sprawy do przodu. Lis początkowo gwałtowne zaprzeczał, oburzał się, straszył koneksjami w mieście, słowem, przechodził typowe w takich sytuacjach etapy. Na koniec zmiękl i zadeklarował pełną współpracę, byleby tylko nie ponieść kary.

- Z jakimś Polakiem do mnie przyjechał. Nie miałem pojęcia, kto to jest.

- Tamtego Polaka też nie znałeś?

- Nie...

- Zawsze tak wpuszczasz obcych ludzi do domu?

- Dawali dobre pieniądze. A ja mam kredyt... Zrobię, co powiecie.

W gruncie rzeczy chodziło tylko o to.

- Nie trzeba dużo. Zadzwonisz, jak Kulawy zapowie się na kolejną wizytę.

Kiedy padło żądanie, facet wybuchł erupcją rozpacz. Łkał i szlochał, że boi się o życie swoje i rodziny, że gangsterzy będą się mścić za zdradę. Zapewniliśmy go o naszej dyskrecji, a w razie konieczności o możliwości przydzielenia ochrony. Jego zachowanie było charakterystyczne i, niestety, typowe: nikt na ogół nie myśli o ryzyku, podejmując współpracę z bandziorami. Ludzie przypominają sobie o nim dopiero, gdy łapie ich policja.

Realizacja wkrótce została przygotowana, a nas znowu czekały przebieranki.

Podesłaliśmy Lisowi jednego z kryminalnych jako asystenta przy wykonywaniu dializy Kulawego. W tym samym czasie Jogi, czterech innych policjantów i ja wdzialiśmy kitle i kręciliśmy się po korytarzach, starając się sprawiać jak najbardziej profesjonalne wrażenie.

- Pierdolę taką robotę - jęknął Jogi nieco teatralnym szeptem.

- Konowała? - spytałem. Moim zdaniem praca ta nie wyglądała wcale źle. Równie fatalnie płatna co nasza, ale za to nieporównanie mniej ryzykowna.

- Stary, dajesz radę chodzić w tych butach? Poza tym ciepłe te kitle. Rzeczywiście, służba szpitalna nosiła straszliwie niewygodne drewniane chodaki, na tym jednak słuszność opinii Jogiego się kończyła. Kitle były ciepłe nie same z siebie, ale dlatego, że założyliśmy je na kamizelki kuloodporne; musieliśmy zachować środki ostrożności, Rosjanin poruszał się zawsze w towarzystwie dwóch ochroniarzy.

Figurant przyjechał krótko po 22.00.

Plan zakładał, że damy całej ekipie poczuć się bezpiecznie. Lis przygotowywał Kulawego do zabiegu, a ochroniarze po krótkiej pogawędce wyszli z gabinetu i czekali na zewnątrz. Później od kryminalnego, który udawał asystenta, dowiedzieliśmy się, że doktor został prawdziwym królem sceny. Nie tylko nie pokazał po sobie stresu, ale nawet wymienił z Ruskimi kilka żartów.

Kiedy Kulawego podłączono do maszyny robiącej dializę, wyskoczyliśmy wszyscy naraz z każdych możliwych drzwi. Ochroniarze ani Kulawy nie zdążyli się nawet zorientować, co im spadło na łeb. Akcja przebiegła tak szybko i cicho, że żaden z pacjentów szpitala niczego nie zauważył.

Wiele zatrzymań odbywa się w ten sposób i ktoś mógłby uznać, że jest to łatwe. Prawda wygląda inaczej. To jak chodzenie po wysoko zawieszonych linie - brak błędów oznacza całkowity sukces, a jedna, nawet niezauważalna gołym okiem pomyłka może zamienić operację w zupełną porażkę, a nawet zakończoną strzelaniną katastrofę.

Odreagowujemy takie sytuacje w różny sposób. Jeden z kryminalnych nie mógł odmówić sobie odrobiny przygwiadzenia. Położył figurantowi rękę na ramieniu, spojrzął mu w oczy i rzekł schrypniętym głosem Clinta Eastwooda:

- Idziesz siedzieć, Kulawy.

Zabraliśmy obstawie dwa pistolety, które, jak się potem wyjaśniło, pochodziły z kradzieży, a następnie sprowadziliśmy aresztantów schodami do wozów (zasada mówi, że zatrzymanych z powodów bezpieczeństwa nie przemieszcza się w windach - zamknięta przestrzeń ułatwia bowiem zatrzymanemu podjęcie próby uwolnienia się, a policjantom ogranicza możliwość interwencji). Na posterunku trafili na osobne dołki.

Przy Kulawym nie znaleźliśmy niczego niebezpiecznego, nie licząc może dwóch grubych plików banknotów przeznaczonych do wypłaty. Do dziś pamiętam smutek i rozczarowanie w oczach doktora Lisa, kiedy je zabezpieczaliśmy.

Informator

Gliniarz zajmujący się rozbojami, zabójstwami czy tak zwaną przestępczością porachunkową musi mieć informatorów. Inaczej jest jak dziecko we mgle. Nic nie wie, porusza się po omacku zdany na zawodny nos, niedoskonałą technikę i zastraszonych bądź niewiarygodnych świadków.

Dobry uchol to podstawa.

W latach kiedy zaczynałem pracę w policji, następowały radykalne zmiany organizacyjne, związane z odchodzeniem starego systemu i tworzeniem nowego. Jednym z efektów tych zmian stało się masowe wycofywanie się ze współpracy różnej maści agentów i informatorów.

Część ludzi rezygnowała, nie chcąc mieć więcej do czynienia z policją, i korzystając z bałaganu, zacierała po sobie ślady.

Część przeszła na Ciemną Stronę Mocy.

Przez pierwszy okres nikt od nas zresztą nie wymagał posiadania agentów, zwłaszcza tych oficjalnie zarejestrowanych. Na czarno każdy z nas miał gdzieś jakąś wtykę, ale nie można było mówić o systemie. Panowały kowbojskie zasady niekończącej się reorganizacji.

Niezwykle szybko okazało się, że w ten sposób efektywnie pracować się nie da, więc powrócono do werbunku, zakładania informatorom teczek, podpisywania deklaracji współpracy i tym podobnych metod. Zaczęto nas rozliczać z liczby informatorów, niestety, często na zasadach

statystycznych. Jeżeli wydział liczył, powiedzmy, dwudziestu policjantów, żądano, byśmy mieli dwudziestu informatorów. Efekt był taki, że kiedy trzech gliniarzy miało po sześciu, siedmiu agentów, reszta nie musiała mieć żadnego. Ale przełożeni byli zadowoleni, bo statystyka się zgadzała.

A prawda jednak jest taka, że każdy szanujący się gliniarz operacyjny po prostu musi mieć kilku zaufanych uchołi, by wiedzieć, co się dzieje w mieście. Czasami człowiek miał fart i agentów odziedziczył po koledze, który odszedł na emeryturę lub zmieniał wydział albo miasto. Z reguły jednak samemu należało się zatroszczyć o pozyskanie informatora. Metody werbunku tylko czasami były wyrafinowane. Na ogół sprowadzały się do bardzo prostych sposobów.

Najczęściej werbowaną grupą zawodową byli w owym czasie taksówkarze. Nie ma w tym wielkiej filozofii i jeśli dobrze pomyśleć, wybór ten wydaje się oczywisty. Po pierwsze, taksówkarz jest człowiekiem, którego obecność w różnych miejscach nikogo nie dziwi. Co dzień mijają nas setki taksówek, a widok stojącej na poboczu taryfy to nic niezwykłego. Ich kierowcy raczej nie zapadają w pamięć - podobnie jak twarze kelnerów czy kioskarzy. Ci ludzie po prostu są.

Po drugie, taryfiarze są bardzo mobilni oraz doskonale zorientowani, i to nie tylko w topografii miasta. Tu wraca punkt pierwszy. Nikt nie zwraca na nich uwagi, więc ludzie często rozmawiają w ich obecności na tematy, których przy przedstawicielach innych profesji raczej by unikali. Najczęstszym transportem dla pijanych i chętnych do zwierzeń jest właśnie taryfa.

Zacząłem się więc rozglądać w tym środowisku i wkrótce miałem upatrzonego konkretnego kierowcę. Roman jeździł głównie pod dyskoteki (terytoria łowieckie dilerów narkotyków), a często dowoził do nich dziewczyny z agencji towarzyskich (których właścicielami byli ludzie z miasta). Brał też klientów spod drogich hoteli. Kandydat idealny. Wiedziałem, że chcę go zwerbować.

Szybko ustaliłem, że Romek nie tylko utrzymuje kontakty z szatniarzami i ochroniarzami w hotelach i dyskotekach, ale zdarza mu się też wypić z nimi kieliszek czy dwa. W godzinach pracy.

- Wnioski? - spytałem Jogiego.
- Ja bym się skumplował z którymś z pracowników hotelu.
- Konkretnie?

- Najlepiej z kimś, kto nie zna się z taksówkarzem. Obiecaj mu kasę, jeśli zadzwoni, kiedy figurant pojawi się na wódeczkę.

- Będzie pretekst, żeby sobie zamienić kilka słów.

- Jasne, miłe pogaduszki to podstawa.

Kilka dni później dostałem telefon, że chłopaki z ochrony hotelu spodziewają się niedługo mojego taksówkarza. Razem z Jogim pojechaliśmy na miejsce. Znaleźliśmy się tam przed czasem i chwile oczekiwania umililiśmy sobie, przeglądając babskie pisemka na kanapie w holu. W trakcie lektury artykułu na temat metod znalezienia „delikatnego brutala” z pogłębiającego się stuporu wyrwał mnie Jogi.

- Jest taksa.

Rzeczywiście. Przed główne drzwi podjechał srebrny mercedes 300. W tamtym okresie samochód wręcz nieprzyzwoicie luksusowy. Ze środka wyłoniły się trzy długonogie dziewczyny z agencji, które skutecznie odwróciły uwagę wszystkich wokół. Za nimi dreptał taryfiarz.

Ochrona natychmiast ruszyła do pańienek i po krótkim przywitaniu zaczęła rozprawiać je po pokojach. Tymczasem szatniarz opuścił swoje stanowisko pracy i trzymając się z Romkiem pod ramię, zabrał go na zaplecze. Kilka chwil później w tych samych drzwiach zniknął barman z niezbyt udolnie ukrywaną pod kamizelką flaszką.

Bingo.

Reszta była w zasadzie czystą przyjemnością. Kiedy po kilku minutach barman wrócił do hotelowej restauracji, Jogi poszedł z nim pogadać. Facet udzielał mu już podobnych informacji wcześniej i na pytanie, czy pili, pokiwał tylko głową. W tym samym momencie dzwoniłem do kolegi z drogówki.

Machina ruszyła.

Kumpel dostał numer rejestracyjny, markę i kolor wozu.

Piętnaście minut później taksjusz dmuchał w alkomat, a po godzinie siedział w komisariacie. Mercedes przyjechał na policyjny parking na lawecie. Rozpoczęły się przesłuchania i wypełnianie dokumentów związanych z alkotestem. Nie było żadnych wątpliwości, że za jazdę po pijaku Roman, w najlepszym razie, straci prawo jazdy.

Drogówka zostawiła Romka samego w pokoju i kiedy uznałem, że minęło już dość czasu, by zdał sobie sprawę z czekających go konsekwencji, wkroczyłem do akcji. Wcześniej wziąłem od chłopaków dokumenty.

- Podkomisarz Zaręba, Wydział Kryminalny - powiedziałem, wchodząc.

Romek zrobił zdziwioną minę. Orientował się w pracy policji na tyle, żeby wiedzieć, że za kilka dziesiątych promila nie czeka go kryminał.

- Dzień dobry - odparł tylko, przypatrując mi się niepewnie.

- Duży ruch w robocie dzisiaj?

Rozłożył ręce.

- Jak zawsze...

- No tak, co ja ci będę mówił. - Uśmiechnąłem się. - Ciebie ruch nie dotyczy, co?

Lekko zbity z tropu spojrzał na mnie uważnie.

- Jak to?

- Przecież ty zawsze masz klientów, a na postoju pod dworcem cię nie widziałem.

- Nie, tam nie stoję.

- Pracujesz tylko na zlecenie, co? Kluby, dyskoteki, hotele. Dużo dziewczyn wozisz.

Uznał, że w tej sprawie nie ma nic do powiedzenia.

- Wyjaśnij mi, jak to jest. Ze stręczenia pańienek masz kasę na tę furę czy możesz je stręczyć dlatego, że masz merca?

Wzruszył ramionami.

- Nie robię nic nielegalnego. Nikogo nie stręcę. Każdy może zamówić taksówkę.

- Ale kasę za wożenie prostytutek bierzesz nie od nich. Masz układ z hotelem.

- Co z tego?

- To się nazywa czerpanie korzyści z cudzego nierządu. Jest na to paragraf.

Taryfiarz odrobinę się obruszył, ale widziałem w jego oczach, że zaczyna mieć wątpliwości. Ja tymczasem dopiero się rozkręcałem.

- Fanty też czasem wozisz. Jeden czy drugi kolega poprosi, a w trzysetce jest spory bagażnik. Będziesz mi wmawiał, że nie wiesz, że fanty z kradzieży? No, a na koniec jeszcze jeździsz po pijaku.

Milczał. Siadłem naprzeciw niego i wyciągnąłem jego prawo jazdy. Otworzyłem je i udałem, że coś czytam. Chciałem znowu dać mu trochę czasu. Musiał zacząć się bać, a żeby zaczął, powinien przeanalizować wszystko, co właśnie powiedziałem.

Wreszcie zamknąłem prawko (wtedy jeszcze miało ono formę niewielkiej książeczki) i położyłem przed sobą.

- Kim jesteś z zawodu? - spytałem.
- Co? - Romek spojrział na mnie zaskoczony.
- Do technikum chodziłeś?
- Tak. - Dopiero teraz zrozumiał. - Ślusarz.

- No to będzie trzeba sobie przypomnieć, jak się klucze dorabia. Lejce zostają u nas.

Oczywiście taksjarsz spodziewał się tego, ale chciałem mu uświadomić, że zabierając prawo jazdy, zabieram tak naprawdę chleb.

- Chyba że... - Zawiesiłem głos.
- Że co? - spytał natychmiast. Reakcja była wzorowa.
- Chyba że mi pomożesz. U nas czasami jest straszny burdel. Teczki łatwo się gubią.

W tym momencie ważyło się najwięcej. Przynęta została zarzucona, a on ją złapał. Teraz należało go umiejętnie wyciągnąć. Sprawić, by wiedział, na co się godzi, ale nie przestraszyć. W ostatniej chwili mógł jeszcze się wycofać.

Powiedziałem mu, jakich informacji i na czyj temat będę od niego oczekiwał. Nie przyjął tego dobrze. Potem wyjaśniłem mu, że poza tym od czasu do czasu zlecę mu też zadanie, którego zwyczajnie nie może nie wykonać. To też nie poprawiło mu humoru.

- Nie współpracuję z psami.
- Z bandziorami też już nie. Taksóweczki brak.

Wtedy uderzył w ton emocjonalny.

- Mam żonę, dzieciaki. Przecież jak się dowiedzą, że ich sprzedają...

Kiwnąłem głową.

- W takim wypadku nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć szczęścia w nowym zawodzie. Ślusarz, niezły fach... Chociaż w tym wieku, bez doświadczenia, pewnie trudno będzie znaleźć robotę. Zwłaszcza jak człowiek całe życie taksówką jeździ, nie?

Zobaczyłem, że się waha. Zaczął kalkulować i ten rachunek był niepokojąco trudny.

Chęć uratowania tyłka walczyła w nim z poczuciem lojalności, honoru i przede wszystkim strachu przed tym, co się stanie, jeśli wyjdzie na jaw, że sprzedawał kolegów policji. Nie zamierzałem dać mu dość czasu, by wykonał dokładną analizę. Mogła nie wypaść dla mnie dobrze.

Zabrałem prawo jazdy ze stolika i schowałem z powrotem do kieszeni.

- Nie mam całego dnia na pogaduszki - powiedziałem.

Wstałem i wsunąłem krzesło z powrotem pod stół. Romek westchnął głośno.

Na razie nie powiedział ani tak, ani nie. Wyszedłem.

Potem maglowali go chłopcy z drogówki. Urzędowym tonem przypominali mu o wszystkich rzeczach, które na niego mamy, a przede wszystkim o prawie jazdy, od którego zależał byt jego rodziny. Zgadzałem się, w tego rodzaju czynnościach nie ma niczego przyjemnego. Zero sentymentów. Nikt nie trzyma informatora za rękę, pomagając mu wrócić na drogę prawa. Jasno stawiamy sprawę: delikwent musi zrozumieć, że zagrożenie z naszej strony nie jest może gorsze, za to znacznie pewniejsze od tego, co mogłoby go spotkać, gdyby przestępcy go wykryli. „Gdyby” jest bardzo odległą perspektywą w sytuacji, kiedy policjant stoi na wprost ciebie, a pod pachą trzyma teczkę pełną papierów. Papierów na twój temat.

Godzinę później wróciłem do pokoju.

- Dobra... Zgadzałem się - powiedział Romek zmęczonym głosem. Widziałem, że jest tym wszystkim bardzo wyczerpany.

- Dobra decyzja - stwierdziłem, kładąc na stole niewielki formularz.

Była to tak zwana lojalka, czyli zobowiązanie do współpracy. Dokument wymieniał nazwiska moje i Romka oraz obowiązki, które na nas spoczywały. Głównie na nim. Przywodził trochę na myśl dawne papiery TW; w gruncie rzeczy niewiele się od nich różnił. W takim momencie każdego nachodziły wątpliwości.

Ręka taksjarza drżała lekko i widziałem, że ciągle się waha. Na pewno w tym momencie bardzo żałował tych kilku pięćdziesiątek na zapleczu hotelu.

- Lejce albo kwit - powiedziałem i poczułem coś w rodzaju niesmaku do samego siebie. -
Decyduj się.

Postawił podpis w prawym dolnym rogu.

Teczka z raportem i wynikami testu alkomatem trafiła na dno szuflady mojego biurka. Były to czasy, gdy podobne działania należały do rutyny i nikt nie patrzył na nie krzywo. W końcu w zamian zyskiwaliśmy informatora. Kilka dni później powiedziałem taksjarszowi, że oficjalnie jest czysty. Oddałem mu prawo jazdy i kluczyki.

- Dopóki będziemy się dogadywać, tych karteczek nie ma - poinformowałem go.

Romek okazał się bardzo cennym informatorem. Z początku miał pewne opory i raz czy drugi twierdził, że nic nie wie, ale obiekcje wkrótce minęły.

Dowiedziałem się dzięki niemu o kilku przypadkach przewożenia przedmiotów pochodzących z włamań oraz o paru „niepowrotach”, czyli ucieczkach przestępców, którzy dostali przepustki z zakładów karnych. Złodziei udawało się złapać na gorącym uczynku, a więźniów odesłać z powrotem do paki.

Uzyskane informacje nigdy nie dotyczyły dużych grup przestępczych, raczej drobnicy, ale dzięki nim udawało nam się łapać przestępców, a bądź co bądź o to w tym wszystkim chodziło.

Często wyznaczałem Romkowi konkretne zadania, na przykład śledzenie podejrzanych albo ustalanie miejsca ich pobytu. W pewnym momencie zacząłem nawet odnosić wrażenie, że ta robota sprawia mu swego rodzaju frajdę. Spodobała mu się towarzysząca tej pracy adrenalina. Stał się sprawnym, szybkim, lojalnym i skutecznym ucholem.

W ramach wdzięczności za dobrze wykonywane zadania zlecałem mu czasami także normalne kursy. Odwoził nawalonych kolegów z imprezy do domu albo zawoził różne osoby pod konkretne adresy. Były to normalnie płatne kursy. W końcu, czemu nie dać zarobić znajomemu?

Napoleon mawiał, że ludźmi rządzi strach lub interes osobisty. Dokładnie na tej zasadzie pozyskuje się wartościowych informatorów. Takie działania nie są może specjalnie etyczne, ale życie nie jest szkółką niedzielną, każdy policjant to potwierdzi. Żeby być skutecznym, trzeba czasami pobrudzić sobie rączki.

Odchodząc z Lublina, postanowiłem, że nie będę przekazywał Romka innym kryminalnym. Wypełniłem dokumenty o zakończeniu współpracy. Więcej go nie spotkałem.

Agencja

Głównym zadaniem kompanii wywiadowczej było ganień Ruskich, i to robiliśmy przede wszystkim. Jednak formalnie nasze cele były szersze. Zajmowaliśmy się wszystkim po trochu: morderstwami, przestępstwami gospodarczymi, wymuszeniami, pobiciami i wieloma innymi aspektami przestępczości; uprawialiśmy taki policyjny kogelmogel. Siłą rzeczy każdy z nas zaczął się specjalizować w konkretnych rodzajach przestępstw. Jogi na przykład często prowadził sprawy oszustw i wymuszeń; między innymi zajmował się sprawą niejakiego Karola, zawodowego oszusta podrabiającego czek i pobierającego kredyty w oparciu o fałszywe dokumenty. Jogi szukał go intensywnie, a facet jakby się pod ziemię zapadł. W końcu mój partner otrzymał od informatora cynk, że Karol jest stałym bywalcem jednej z bardziej ekskluzywnych warszawskich agencji towarzyskich. Agencja znajdowała się przy ulicy

Mickiewicza, niemal naprzeciwko mieszkania, w którym mieszkał wraz z mamą jeden z prominentnych polityków z pierwszych stron gazet. Nawiasem mówiąc, po dojściu PiSu do władzy w 2005 roku dom uciech został zlikwidowany.

Jogi zapytał mnie, czy chciałbym przejechać się do Warszawy i towarzyszyć mu przy zatrzymaniu Karola.

Zgodziłem się. Karol nie należał do agresywnych, a ja akurat nie miałem specjalnie wiele roboty. Zatrzymanie zapowiadało się na całkowicie rutynowe i dwóch doświadczonych gliniarzy powinno sobie z tym poradzić, nie przerywając konwersacji na temat wczorajszego meczu. Proste: zatrzymać faceta do sprawy, postawić zarzuty, tyle. Pewnego wtorkowego poranka służbowym polonezem ruszyliśmy zatem do Warszawy. Po drodze nawet zastanawialiśmy się, czy nie zawiadomić kolegów z Komendy Stołecznej. W końcu mieliśmy działać na ich terenie.

- Szkoda zachodu - zdecydował Jogi znad kierownicy. - Za dwie godziny będziemy wracać.

Nie nalegałem. Trudno się było nie zgodzić. Koledzy z Pałacu Mostowskich mieli dość roboty i bez naszych problemów z drugoligowym oszustem.

Zaparkowaliśmy samochód dwie ulice od celu. Agencja znajdowała się w szarym niepozornym, jednopiętrowym domu, dosłownie niczym niewyróżniającym się spośród innych, co, jak sądzę, należało do głęboko przemyślanej strategii marketingowej właścicieli przybytku.

Jogi nacisnął guzik domofonu. W odpowiedzi rozległ się brzęczyk. Weszliśmy na teren posesji. Jak widać, formalności zostały zredukowane do niezbędnego minimum. Drzwi otworzył solidnie zbudowany facet, który z obojętną miną zaprosił nas do środka.

Agencję urządzono ze spartańską wręcz prostotą: na dole duży pokój z barem, pełniący funkcję poczekalni wyposażonej w kilka całkiem wygodnych kanap i foteli, na górze zaś „pokoje miłości”. Wystrój salonu uzupełniała przymocowana w kącie do podłogi i sufitu rura, na której od czasu do czasu harcowały zatrudnione w agencji panienki.

Bar bardzo ładnie oświetlono, ale jego zaopatrzenie było więcej niż skromne: dwa rodzaje piwa, jakaś tania whisky i niezbyt wysokiej jakości wino. Zarabianie na wyszynku najwyraźniej nie było intencją menadżerów zarządzających tym przybytkiem.

Niedostatki zaopatrzenia baru rekompensowała w pewnym sensie młoda dziewczyna stojąca za ladą. Wysoka, niezwykle atrakcyjna blondynka, obdarzona jakby nieco nieśmiałą urodą i wspaniałą figurą - wyglądała, jakby kompletnie nie pasowała do tego miejsca.

Obdarzyła nas promiennym uśmiechem.

Jogi nie tracił czasu: podsunął ochroniarzowi blachę pod nos. - Policja - powiedział na wypadek, gdyby okazało się, że facet jest analfabetą. - Chcemy rozmawiać z właścicielem.

Ochroniarz należał najwyraźniej do ludzi powściągliwych i małomównych, ponieważ po prostu kiwnął głową w kierunku barmanki.

Fakt, że właścicielką agencji okazała się stojąca za barem kobieta, nieco nas zaskoczył.

Burdelmamy to przeważnie panie w wieku pobalzakowskim, z wyraźnie odcisniętym piętnem zawodu na twarzy. Tu mieliśmy do czynienia z młodą, niespełna trzydziestoletnią kobietą, która wyglądała raczej na menadżerkę oddziału dużego międzynarodowego banku albo świetnie prosperującą pośredniczkę w handlu nieruchomościami, a nie na właścicielkę burdelu, z przeszłością w branży (bo raczej takie osoby „awansują” tam na stanowiska menadżerskie). Cóż, wszystkie dziedziny naszego życia się w szybkim tempie profesjonalizują.

Mój partner machnął blachą przed barmanką, po czym wyciągnął z kieszeni zdjęcie oszusta.

- Szukamy pewnego faceta. Ma na imię Karol. Widziała go pani?

- Dzień dobry - odparła barmanka/właścicielka. Rzuciła na zdjęcie przelotne spojrzenie.

Nie wahała się specjalnie. - Bywa tu dość często.

- To znaczy?

- Prawie codziennie.

- O jakiejś konkretnej godzinie?

- Przeważnie wczesnym wieczorem. Około 20.00. Ma swoją ulubioną dziewczynę. Jak jest wolna, od razu idą do pokoju. Jeśli nie, siedzi przy barze i czeka - powiedziała barmanka ładnie akcentowaną, staranną polszczyzną. Zdecydowanie tu nie pasowała.

Kiwnęliśmy głowami. Sprawa wyglądała jeszcze bardziej banalnie, niż nam się pierwotnie wydawało.

- Sam przychodzi? - zapytałem, by nie okazać się tylko milczącą ozdobą akcji.

- Sam.

- Będzie dzisiaj?

- Na pewno. Gdy wczoraj się zegnał, powiedział, że wpadnie wieczorem.

Spojrzeliliśmy po sobie.

- Poczekamy - powiedziałem i westchnąłem dyskretnie. Na pracę gliniarza w znaczącej mierze składają się przymusowe okresy bezczynności.

Barmanka uśmiechnęła się lekko. - Coś do picia? Przełknąłem ślinę. Kilka łyków zimnego piwa to byłoby to. - Niestety. Służba - wyręczył mnie Jogi ze złośliwym uśmiechem. Rzuciłem mu złe spojrzenie. - Może zawołam dziewczyny? Partner nabrał powietrza, ale tym razem nie dałem się wyprzedzić. - Nie. Po prostu posiedzimy sobie - odparłem, udając, że nie widzę zawiedzionej miny mego towarzysza.

Barmanka nie nalegała. Wskazała dłonią kanapy.

Jogi zajął jednak miejsce za barem, ja natomiast poszedłem do ochroniarza.

- Zrób sobie przerwę. Posiedzę za ciebie - powiedziałem.

Bramkarz nie protestował. Wstał z krzesła i poszedł do znajdującej się obok kanciapy. Gdy otwierał drzwi, zauważyłem w środku dwa monitory oraz magnetowid. Obraz ukazywał wejście do agencji i kawałek korytarza.

Usiadłem na krześle i zaczęło się czekanie.

Już po półgodzinie zaczęły boleć mnie plecy, krzesło skrzypiało przy każdym poruszeniu. Siedziałem i niemal nic się nie działo. Doszło do tego, że dzwonek do furtki traktowałem jako poważne urozmaicenie. Wpuściłem trzech facetów, w tym jednego bardzo znanego aktora. Z trudem powstrzymałem się, by nie powiedzieć mu „Dzień dobry”.

Jogi zamówił sobie jednak coś do picia. Zegar cykał monotonnie.

Dobrze po 18.00 dzwonek zabrzmiał po raz kolejny. Byłem już tak zeszywniały i sfrustrowany, że nawet nie zerknąłem w monitor. Po prostu nacisnąłem guzik, usłyszałem charakterystyczny brzęczyk, odgłos kroków...

I weszło czterech facetów.

Wszyscy odziani na czarno: w długie płaszcze, wojskowe buty, golfy. Wszyscy krótko obcięci, ciemnoocy i przypakowani. Mężczyzna, który szedł na czele pochodu, był odrobinę niższy od pozostałych. Pozostali trzej natomiast wyróżniali się tym, że spod płaszczy sterczały im rozmaite fragmenty karabinków szturmowych systemu Kałasznikowa: kawałek składanej stalowej kolby, część lufy z umieszczoną nad nią charakterystyczną rurą gazową, magazynek...

Doprawdy, ani żaden z osobna, ani wszyscy razem nie wyglądali jak poszukiwany przez nas oszust Karol.

Odruchowo sięgnąłem do umieszczonej na plecach kabury i chciałem się podnieść, ale nie przemieściłem się nawet o pięć centymetrów, gdy na ramieniu poczułem ciężką rękę i usłyszałem uprzejme, ale zdecydowane polecenie:

- Siadities.

Moja znajomość rosyjskiego była w owym czasie więcej niż skromna, ale jakoś nie miałem kłopotu ze zrozumieniem polecenia. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że facet tym gestem najprawdopodobniej uratował mi życie. Sobie być może również. Usiadłem. Wręcz zamarłem. Ręka cofnęła się od broni i spoczęła, wraz z drugą, na kolanach.

Czwórka facetów wstąpiła na salony i rozejrzała się uważnie. Lider, jedyny nieobciążony śmiertelnościami żelastwem (to znaczy pewnie obciążony, tyle że mniej szybkostrzelnym i o skromniejszych gabarytach), uśmiechnął się do barmanki.

Dziewczyna wyskoczyła zza baru, podeszła do mężczyzny, objęła go i pocałowała namiętnie. Po dłuższej chwili, wypełnionej namiętnością (para), ciekawymi spojrzeniami (obstawa) i poceniem się (policja), kobieta oderwała się od ust faceta, wzięła go za rękę i bez słowa powiodła schodami na górę. Pozostała trójka rozejrzała się, omiatając nas nic niemówiącymi spojrzeniami, po czym zaległa na kanapach i sofach. Jeden zajął miejsce tuż obok mnie, mając na oku wejście i opustoszały bar. Kolba kałacha boleśnie wbijała mi się w bok.

Poczułem spływający wzdłuż kręgosłupa pot. Podobnie wrażenia musiał mieć zapewne Jogi nadal siedzący przy barze i z pozornie obojętną miną sączący drinka. Zblazowany wyraz twarzy musiał go sporo kosztować.

Wymieniliśmy się spojrzeniami. Była w nich bezradność, ale i nadzieja. Dodaliśmy sobie otuchy, choć nawet najprostsza kalkulacja wskazywała, że szans nie mamy żadnych.

Oni: trzy karabinki szturmowe AK47, z magazynkiem na trzydzieści naboji każdy. Żeby wystrzelić te dziewięćdziesiąt kul, potrzebowaliby zaledwie dwóch sekund, robiąc z nas i salonu krajobraz kojarzący się z Powstaniem Warszawskim.

My: dwa pistolety CZ. Piętnaście naboji w magazynku. By wystrzelić piętnaście razy, musielibyśmy piętnastokrotnie nacisnąć spust. Minimum pięć sekund, i to bez tracenia czasu na celowanie.

Nie mieliśmy żadnych szans.

Sam fakt, że jesteśmy policjantami, być może sprzedany mafiosowi przez barmankę podczas figli na gorze, w pewnych okolicznościach mógł niestety zostać potraktowany jako

sygnał do natychmiastowego ataku, w innych jednak mógł być okolicznością sprzyjającą: żaden szanujący się gangster, nawet zza wschodniej granicy, nie lubi bez konieczności wdawać się w strzelaninę z policją.

Więszym zagrożeniem dla nich było to, że jesteśmy nieznanymi im ludźmi z bronią. Sądząc z rozwoju sytuacji i z zachowania przybyszów - pierwszy był szefem, zaś pozostała trójka jego ochroną, gwardią przyboczną. Jeżeli byli uzbrojeni w broń długą, z natury rzeczy w mieście niezbyt poręczną, musieli mieć powody. Pierwszy: chłopaki przyjechały na akcję wymagającą dużej siły ognia, a my mogliśmy być przeszkodą. Drugi: bossowi ktoś groził i obstawa zwiększyła siłę ognia, by zabezpieczyć się przed ewentualnym zamachem. Jeśli odkryją, że któryś z nas ma broń, zaczną strzelać, a dopiero potem będą ewentualnie dochodzić, czy mieliśmy wobec ich szefa pokojowe zamiary.

Oba scenariusze były dla nas wysoce niebezpieczne.

Spojrzałem na Jogiego i doszedłem do wniosku, że jego myśli biegną podobnym torem. Ponownie skinęliśmy głowami, starając się dodać sobie otuchy. Teraz najważniejsze to zachować spokój.

Przez jakiś czas nic się nie działo. Bar świecił pustkami, kolega sączył drinka, trzech przybyszów leniwie pogadywało po rosyjsku; pojawił się zadowolony z siebie po numerku aktor, ukłoniwszy się uprzejmie, wyszedł nie niepokoiony ani przez uzbrojonych gości, ani przez ochroniarza, ani - rzecz jasna - przez nas. Czas płynął, a my pociliśmy się coraz bardziej.

W końcu na górze rozległo się szuranie. Po chwili na dole znalazł się szef grupy i barmanka, przyjaźnie ze sobą gawędzący. Ona znowu pocałowała go na do widzenia, on skinął lekko głową swoim ludziom, którzy z wojskową dyscypliną poderwali się na nogi; cała czwórka powiedziała grzecznie „Da swidania” i, poskrzypując cicho skórzanymi butami, opuściła lokal.

Przez dłuższą chwilę w salonie panowała cisza. Odetchnąłem głęboko, po czym jak na zwolnionym filmie wstałem i podszedłem do baru.

- Co to, kurwa, było? - zapytałem, mimowolnie podnosząc głos.

- Mój narzeczony - odparła dziewczyna z prostotą.

Zakląłem cicho, odwróciłem się na pięcie i szybkim krokiem wszedłem do pakamery, w której rezydował ochroniarz. Wyjrzałem przez okno, ale samochód wiozący niedawnych gości właśnie zniknął za rogiem.

- Nagrywasz to? - zapytałem.

- Ostatnie dwie godziny - powiedział.

- Daj.

Ochroniarz bez słowa sięgnął do magnetowidu i wyciągnął kasetę.

- Materiał dowodowy - zakomunikowałem mu, chowając plastikowe pudełko do kieszeni kurtki. - Oddam ci za jakiś czas.

Nie protestował.

Wyszedłem z kanciapy i wtedy po raz kolejny zabrzmiał brzęczyk. Nacisnąłem przycisk. Tym razem zerknąłem w monitor.

Zobaczyłem, że przy furtce stoi nasz dzisiejszy cel: Karol.

Machnąłem ręką Jogiemu, że oto zbliża się upragniona nagroda za pełen niebezpieczeństw dzień. Karol ukazał się w drzwiach, po czym szybkim krokiem podszedł do baru. Nie zdołał nawet wyartykułować rodzaju zamówienia, kiedy klepnąłem go po ramieniu. Facet odwrócił się.

- Cześć, Karol - powiedziałem.

Przez jego przystojną męską twarz przebiegł błysk. Kilka tygodni temu przesłuchiwałem go przez dwie godziny, więc nie miał żadnego problemu z rozpoznaniem, kim jestem i czego mogę od niego chcieć. Był zaskoczony, ale błyskawicznie pogodził się z losem.

Popchnąłem go na ścianę, ustawiłem plecami do siebie i zakulem w kajdanki.

Jogi poklepał Karola po ramieniu. Gdy facet zobaczył drugiego policjanta, ręce mu opadły. Wcześniej być może spodziewał się, że to tylko rutynowe zatrzymanie, w jego zawodzie niejako wkalkulowane w profil działalności. Teraz najwyraźniej pozbył się jakichkolwiek złudzeń.

Wyszliśmy. Samochód czekał tam, gdzie go zostawiliśmy. Bez specjalnych przeszkód wróciliśmy do Lublina.

Tydzień później spotkałem się ze znajomym z terroru kryminalnego Komendy Stołecznej. Przekazałem mu kasetę i opowiedziałem dokładnie przebieg zdarzenia, którego byłem świadkiem. Znajomy wyglądał na zainteresowanego. Dał do zrozumienia, że cała czwórka Ruskich jest mu dobrze znana.

Potem dowiedziałem się, że jedna z moich hipotez była słuszna: szef grupy, która odwiedziła agencję, miał wyrok od jednego z warszawskich gangów. Stąd wzmożona ochrona i ostentacyjnie noszona broń długa.

Facet jednak nie uważał, by wyrok miał mu ograniczać przyjemności życia i uniemożliwić wizytę u narzeczonej.

Centralny

Przez miesiąc pracowaliśmy jak szczury. A może lepiej będzie powiedzieć: jak krety. W każdym razie pod ziemią. Kiedy przychodziliśmy do roboty, było jeszcze ciemno, kiedy z niej wychodziliśmy: już ciemno. Po czterech tygodniach większość z nas poszła na zwolnienie lekarskie z wysypką albo innym chorobskim i leczyła się wapnem oraz musującym magnezem. Wszyscy cierpieliśmy na niedobór promieni słonecznych. Najśmieszniejsze jednak, że większości z nas ta cholerna robota się podobała.

Praca ta miała swój początek, jak to zwykle bywa, na odprawie u naczelnika.

- Czołem, tajniacy! - stwierdził wesoło, wchodząc do pomieszczenia, w którym się zebraliśmy. - Panowie, mam dobre wieści! Ciężko pracowaliście i najwyższa pora na odrobinę odpoczynku. Fabryka wysyła was w delegację. Będzie okazja napić się drinka z pałeczką, rozłożyć na leżaczku i może nawet złapać odrobinę opalenizny. Czy usłyszę: „Dziękuję”?

- A gdzie jedziemy? - rzucił ktoś.

- Do Warszawy, będziecie robić na Dworcu Centralnym.

Przez pokój przetoczyła się fala westchnień. W gruncie rzeczy delegacja zawsze była miłą odmianą od rutyny pracy na miejscu, ale naczelnik postarał się, żeby nikt nie odczuł z jej powodu nadmiernego szczęścia.

- Cieszycie się? - spytał.

Na dobrą sprawę byli tacy, co się cieszyli. W tym ja. Miałem chwilowo dosyć Lublina.

- A co będziemy robić?

- Nie odpowiada się pytaniem na pytanie - zauważył naczelnik zgryźliwie. - Dwie sprawy. Głównie robota przy kieszonkach. To u nich prawdziwa plaga. Idąc z jednego końca peronu na drugi, zdążysz stracić portfel, dostać przez przypadek cudzy i jeszcze zgubić ten ostatni.

Kilka osób zaśmiało się grzecznie.

- Do tego dochodzi operacyjne zabezpieczenie pociągu MoskwaBerlin - kontynuował naczelnik. - Wieść gminna niesie, że szmuglują w nim wszystko, co tylko się da. Od wody po narkotyki, a może nawet broń.

Spojrzał na siedzących w pokoju wywiadowców.

- Jakieś pytania?

Kilka sekund ciszy.

- No i dobrze. Resztę powiedzą wam w Warszawie. Pakować koła dmuchane, kąpielówki i jazda stąd!

Dzień później byliśmy w trasie. W sumie dziesięciu wywiadowców.

Część z doświadczeniem w Warszawie, część bez żadnego. Wymiana nie miała na celu wspomnienia kolegów ze stolicy. Głównie chodziło o to, że praca wywiadowcy opiera się przede wszystkim na pozostawianiu anonimowym, o co trudno, gdy przestępcy, zwłaszcza w mniejszej miejscowości, widują cię praktycznie co dzień. Stąd pomysł wyjazdów. Miesiąc z dala od domu wystarczał, by nasze twarze wywietrzały z pamięci miejscowych bandziorów, a przy okazji mogliśmy odwalić trochę roboty w nowym miejscu.

Zakwaterowano nas w hotelu Karat położonym niedaleko ulicy Spacerowej w Warszawie. Odległość do Dworca Centralnego wynosiła stąd w prostej linii jakieś trzy i pół kilometra. Odprawę zrobiono nam tuż po przyjeździe w zamkniętej na ten czas jadalni. Komisariat na dworcu był często obserwowany przez przestępców. Lepiej więc, byśmy się w nim nie pojawiali.

- Proponuję, chłopcy, żebyście wykorzystali resztkę dzisiejszego dnia na spacer po okolicy - powiedział nam oficer z Warszawy. - Zróbcie to, bo od jutra przez cały miesiąc słońce będziecie mogli zobaczyć tylko w telewizorze i na plakatach gdzieś za szybą biura podróży. Jakieś pytania na początek?

Milczenie z naszej strony. W tym czasie jego ludzie wnieśli wielkie torby pełne rzeczy.

- Dobrze, żeby każdy z was wymyślił sobie legendę. Wszyscy pracujecie incognito. Są tu jacyś miłośnicy kolei?

Nikt się nie zgłosił, w ogóle nie należeliśmy do szczególnie gadatliwych. Widząc to, facet wskazał palcem na pierwszych z brzegu kolegów i kazał podejść bliżej. W pierwszej torbie czekały mundury konduktorskie.

- Jacyś aktorzy?

Zaczęła się przebieranka. Ktoś został podróżnym, drugi studentem, inny biznesmenem, a jeszcze inny lekko cuchnącym wódą robotnikiem.

- Bezdomni?

Ku naszemu zaskoczeniu, dopiero przy tej propozycji jeden z naszych kolegów, Arek, wstał i podszedł do oficera, coś mu tłumacząc. Potem zabrał podarte ubrania.

Wreszcie casting dobiegł końca.

- A co z resztą? - spytałem.

- Reszta wtapia się w tłum.

W ten sposób stałem się członkiem niezwykle licznej na dworcu grupy lumpów. Odtąd odprawy odbywały się co dzień, w tym samym miejscu. Przydzielonych ról już nie zmienialiśmy, zmieniały się jednak zadania. W niektórych sprawach polecano nam szczególnie uporczywie zdobywać informacje, robić szczegółowe notatki dotyczące poszczególnych wydarzeń czy wreszcie zwracać uwagę na poszukiwanych przestępców, których rysopisy lub zdjęcia dostarczano nam wcześniej.

Podziemia Dworca Centralnego początkowo wydają się duże. Tak jest w przypadku przyjezdnych i tych wszystkich, którzy nie będąc warszawiakami, próbują tu coś znaleźć. Później, gdy człowiek nieco otrzaska się z topografią, wszystkie te rozległe korytarze kurczą się nagle i wtedy dopiero nachodzi go refleksja: jak na tak niewielkiej przestrzeni tylu ludzi może popełniać aż tyle przestępstw? Lista jest naprawdę długa i różnorodna.

Pierwszy tydzień był trudny, ale jakoś nadrabialiśmy doświadczeniem i policyjnym nosem. Pamiętam, jak drugiego albo trzeciego dnia zdziwiliśmy się, widząc Arka idącego w dużej grupie bezdomnych i wyraźnie z nimi zakumplowanego.

- Twoi kumple? - spytałem go potem.

- Znamy się - odparł po prostu.

- Z uczelni może? - indagowałem dalej z wrednym uśmiechem.

- Nie, nie z uczelni.

- Dobra, dobra. Nie ma się czego wstydzic - powiedziałem, klepiąc go po plecach. -

Każdy miał w życiu różnych kolegów.

Abstrahując jednak od żartów, okazało się, że wcześniejsza znajomość Arka z bezdomnymi (po prostu już kiedyś udawał jednego z nich) dostarczyła nam znakomitego źródła informacji. Nasz kolega stworzył legendę, zgodnie z którą przerwa w jego „zamieszkaniu” na Centralnym wynikała z wojaży po innych dworcach, między innymi w Berlinie (stolica Niemiec spełniała podstawowe kryterium: nie znajdowała się zbyt daleko, a jednocześnie szansa, że którykolwiek z bezdomnych ją ostatnio odwiedził, była minimalna). Teraz zaś wrócił na stary dobry Centralny.

Bezdomni mogli powiedzieć nam bardzo wiele, a praca Arka okazała się wyjątkowo cenna. Z dwóch powodów. Po pierwsze, na co dzień urzędował w miejscach, w których bytność każdego normalnego człowieka trudno byłoby uzasadnić. Po drugie, bandyci poświęcali bezdomnym równie dużo uwagi co szczerom. Wcale nie krępowali się robić interesów w ich obecności.

Proces adaptacji do nowej pracy umknął mi z pamięci. Naprawdę. Nie wiem, jak to się stało, ale jednego dnia czułem się jeszcze w okolicy nieswojo, a moje próby udawania menela sam uważałem za żałosne, a kolejnego nagle stałem się już zaprawionym w bojach opojem z plamą po truskawkowym winie na swetrze. Podobny proces, o ile się nie mylę, przebiegał u pozostałych kolegów.

- Gdzie Arek? - spytał mnie któryś z chłopaków, kiedy z flaszką w ręku krążyłem koło Marriotta. - Jeden z funfli go szukał.

- Leczy traumę - odparłem. - To znaczy? Wzruszyłem ramionami. - Najpewniej napierdala jakiegoś dziecioluba. Arek został w dzieciństwie napadnięty przez zbrojeńca i choć twierdził, że ten nic mu nie zrobił, przykre wspomnienia pozostały. Spędzał więc czas, przeganiając z Centralnego pedofilów, którzy w owym czasie stanowili niemal plagę. Usiłował nie tyle obronić dzieci przed zbrojeńcami, ile raczej uniemożliwić jednym spotkanie drugich, część dzieciaków bowiem najwyraźniej traktowała podobne „usługi” jako sposób na dorobienie do kieszonkowego i nie widziała w nich niczego złego ani tym bardziej niebezpiecznego.

Jogi i ja natomiast zajmowaliśmy się głównie kieszonkowcami. Specjalizujący się w tej dziedzinie złodziejskiego rzemiosła fachowcy dzielili się na trzy rodzaje: tak zwaną grupę żoliborską, dresiarzy i indywidualistów, czyli wolnych strzelców.

Grupę żoliborską stanowili przestępcy starej szkoły. Operowali głównie w pociągach trasy WarszawaKraków. Świetni fachowcy, wyszkoleni, sprytni i przestrzegający zasad. Zawsze działali w grupie i znakomicie wtapiali się w tłum. Jak kameleony zmieniali aparycję zależnie od tego, kogo zamierzali okraść. W grupie wracających z pracy budowlańców rozpoznawaliśmy ich z równym trudem jak w tabunie biznesmenów w zagranicznych garniturach.

Maskowanie to był dopiero początek.

Zorganizowany zespół kieszonkowców przypomina uliczny teatr tańca. Wszyscy wyglądają, jakby pochodzili z zupełnie innych bajek, ale kiedy przychodzi co do czego, okazuje się, że każdy ma jasno wyznaczone zadanie, które wypełnia niemal perfekcyjnie.

Banalnie prostym w założeniach, a jednak genialnym majstersztykiem była kradzież „na złodzieja”.

Zaczynało się od tak zwanego odwrócenia uwagi. Na pełnym wysiadających (lub wsiadających) ludzi peronie jedna, czasem dwie, a nawet trzy osoby, zaczynały nagle krzyknąć: „Złodziej! Złodziej!”, wskazując gdzieś w trudnym do określenia kierunku. Co robi człowiek, gdy słyszy, że w okolicy czai się kieszonkowiec? Chwyta za portfel. Chce sprawdzić, czy nic mu nie zginęło.

Oczywiście, krzyk i zamieszanie to zwykła podpucha. Dobra okazja, żeby zobaczyć, gdzie ludzie trzymają pieniądze. Dopiero wtedy można wybrać prawdziwy cel. Tym jednak zajmują się już kolejni członkowie grupy. Chodzą za ofiarą i wypatrują dogodnego momentu, w rodzaju chwili nieuwagi podczas zamawiania posiłku w barze albo spychającej chwilowo na dalszy plan wartości materialne potrzeby pójścia do toalety.

Naturalnie, nie był to żaden sztywny schemat. Czasami następowała realizacja innego scenariusza: jeszcze w czasie odwracania uwagi przez jednych pozostali kradli laptopy, torby i inne rzeczy, których nie da się niepostrzeżenie wyjąć z kieszeni.

Dresiarze byli znacznie mniej finezyjni. Koncentrowali się przede wszystkim na tych, którzy ze swoimi portfelami nie obchodzili się zbyt ostrożnie i nosili je na przykład w tylnej kieszeni spodni. Często też kradli torebki, nie bawiąc się w wyrafinowane techniki, a zwyczajnie ucinając paski i dając drapak.

Ich jedyną bardziej rozwiniętą taktyką polegała na wpadnięciu na podróżnego w tłoku tworzącym się przy drzwiach pociągu. Zwykle taka osoba, widząc przed sobą wielkiego łysego faceta w dresie, myśli przede wszystkim o tym, jak zejść mu z drogi. To odwrócenie uwagi dresiarze wykorzystywali do wyłuskiwania portfeli. Używali także wyładowanych różnymi rzeczami reklamówek, z których kilku członków grupy tworzyło swego rodzaju parawan, zasłaniający manipulację kieszonkowca przed wzrokiem postronnych osób. Problem z nimi polegał na tym, że nie stronili od przemocy.

Podczas próby aresztowania grupa żoliborska nie stawiała oporu świadoma nieuchronności policyjnego postępowania, dresiarze natomiast rzucali się na policjantów z pięściami albo szarpali się i uciekali. Nie zliczę, ile razy musiałem biec za którymś ze złodziei przez pół Centralnego. Również wobec podróżnych, którzy zorientowali się w próbie kradzieży, dresiarze często używali przemocy.

Ostatnią, najliczniejszą, grupę stanowili wolni strzelcy. Działali indywidualnie, przez co stanowili być może mniejsze zagrożenie dla podróżnych, ale jednocześnie trudniej było nam ich kontrolować.

Nie było łatwo ścigać kieszonkowców. Przede wszystkim dlatego, że ich ofiarami najczęściej padali ludzie, którzy stratę portfela albo bagażu zauważali dopiero, będąc już w zmierzającym na drugi koniec Polski pociągu. Niedogodność stanowił też fakt, że złodzieje permanentnie zmieniali wygląd: przestępcy, niemal jak w kabarecie, używali makijażu, peruk i doklejanych wąsów, o ciągłym przebieraniu się nie wspominając; świadkowie podawali więc najczęściej rysopisy, które miały się nijak do rzeczywistości.

Z tego powodu nasza praca najczęściej polegała po prostu na obserwowaniu osobników, których już znaliśmy. Czasem udawało nam się złapać ich na gorącym uczynku, częściej po prostu przeganialiśmy ich z peronu, uniemożliwiając zarobek. Niestety, szybko nauczyli się rozpoznawać nasze twarze. Bywało więc, że idąc na peron, spotykaliśmy grupkę fachowców, którzy na nasz widok kierowali się nagle w przeciwną stronę, nie zapominając o grzecznym „Dzień dobry”.

Jeśli chodzi o zadania związane z szmugłem w pociągu Moskwa-Berlin, i na to znalazł się sposób.

Część chłopaków wsiadała do pociągu stację wcześniej (na dworcu Warszawa Wschodnia) i błakając się po korytarzach, obserwowała podróżnych. Gdy skład dojeżdżał do Centralnego, mieliśmy już jakieś takie pojęcie, kto może być zamieszany w przemyt. Bardzo często była to obsługa pociągów. Na dworcu ktoś wystawiał walizkę tuż przed drzwiami, po czym cofał się z powrotem do wagonu. Po chwili ktoś inny wstawał z ławki i zabierał bagaż ze sobą. Najczęściej kilka sekund później widział przed sobą policyjną blachę.

- Pan pójdzie z nami - padało z ust gościa, który wyglądał na menela.

Zwykle przechwytywaliśmy alkohol, co chyba nikogo nie dziwi. Kilka razy zdarzyły się narkotyki.

Bardzo często wpadały nam w ręce znajdujące się na gigantycznej dzieciaki, które próbowały mieszkać z bezdomnymi. Nie mogłem się nadziwić: co trzeba mieć w głowie, by w wieku czternastu lat kimać na porwanym materacu razem z kloszardami, których czuć na długo, zanim pojawią się w zasięgu wzroku? Rozmowy z uciekinierami były monotonne jak szary jesienny dzień.

- Długo tu mieszkasz? - pytałem stanowczo zbyt ostro umalowaną piętnastolatkę. Miała ręce schowane w kieszeniach, żebym nie dostrzegł ich drżenia, a na twarzy strach. Odwracała wzrok od odznaki, jakby ta wysyłała śmiertelne promieniowanie.

- Pół roku.

Długość pobytu zmieniała się zależnie od tego, jak bogata była wyobraźnia kłamcy.

- I jeszcze dwa tygodnie temu wcale nie mieszkałaś z rodzicami, co?

- Nie - zapierała się mocno.

- Nie oszukujesz mnie?

- Nie - padało stanowczo i zdecydowanie.

Rozmówcy miękli dopiero, kiedy wyciągałem z kieszeni ich zdjęcie albo informację o zgłoszonym zaginięciu. Jedni płakali, inni prosili, żeby ich tu zostawić. Zdarzało się jednak, że niektórzy uciekali nie z własnych domów, ale z tych prowadzonych przez państwo, poprawczych. Wtedy rozmowy nie przebiegały tak spokojnie, a żeby je przeprowadzić, trzeba się było nabiegać.

O pracy na Centralnym nie da się powiedzieć wiele więcej. Nie pamiętam z niej żadnych szczególnych anegdotek ani wyraźnych dokonań. Miała jedną zaletę: nie musiałem się golić. A poza tym była tylko męczącą rutyną w miejscu, gdzie codziennie dokonuje się dziesiątków przestępstw.

Gdy wymiana dobiegła końca, długo musiałem przyzwyczajać się do czegoś tak oślepiającego jak światło słoneczne. Potrzebowałem też wielu pobytów pod prysznicem, by zmyć z siebie paskudny, zgniły zapach dworca. Kiedy dziś tam bywam, wciąż go czuję. Mimo czyszczenia i remontu budynku nadal unosi się w powietrzu.

„Niebo”

Podczas kolejnej wymiany wywiadowców pomiędzy jednostkami z różnych rejonów Polski ponownie zawitałem do Warszawy. Wraz z czterema kolegami trafiłem do legendarnej komendy na ulicy Cyryła i Metodego na warszawskiej Pradze Północ.

Naszym pierwszym zadaniem było poznanie dzielnicy; zdzierając zelówki, zaglądaliśmy niemal w każdą myśią dziurę, która mogłaby w przyszłości okazać się miejscem pracy wywiadowcy. Równolegle zostaliśmy włączeni do specjalnej grupy kryminalnej, która zajmowała się zwalczaniem tak zwanych benklarzy, oszustów grających z ludźmi w trzy karty i naciągających ich na niemałe pieniądze.

Główny teren łowiecki tych fachowców mieścił się na Bazarze Różyckiego.

Wypada dodać, że Bazar w owym czasie to było coś wyjątkowego. Wtłoczony w stosunkowo niewielki placyk pomiędzy kultowymi wśród warszawiaków ulicami Targową, Ząbkowską i Brzeską (zwłaszcza ta ostatnia cieszyła się wielką sławą), oferował klimat i usługi jedyne w swoim rodzaju. Gorące pierogi i pyzy kupowane wprost od handlarek. Saturatory ze szklanką na łańcuchu. Oranzada w woreczkach. I - co nas szczególnie cieszyło i z czego z radością bardzo często korzystaliśmy, chociaż oczywiście nie powinniśmy - bimber udający oranzadę w woreczkach. Towar wszelkiej maści i jakości. Ruch jak na Marszałkowskiej. Miliony złotych przechodzące z rąk do rąk.

Podstawowym wyposażeniem benklarza było pozornie zwykłe, odwrócone do góry dnem wiadro służące jako blat roboczy. Na nim odbywała się gra, dokładnie taka sama, jaką na cały świat rozślawił Franek Dolas w nieśmiertelnym filmie *Jak rozpętałem II wojnę światową*. Benklarz tasował szybko trzy karty, z których jedna miała cechę charakterystyczną, na przykład była od spodu czarna. Karty lądowały na blacie. Gra polegała na tym, by zgadnąć, która jest czarna. Benklarze uprawiali swój proceder według pewnego stałego scenariusza. Wokół takiego faceta i jego miejsca pracy gromadziło się kilka osób wystawionych na wabia, które głośno dopingowały zawodnika (a często zawodniczkę). Zawodnik zaczynał wygrywać. Benklarz udawał wściekłego. Zapraszał któregoś z gapiów. Dawał mu wygrać, po czym w ostatnim rozdaniu, już o wysoką stawkę, łupił do gołej skóry.

Dokładnie w tym momencie wypadaliśmy zza węgła i staraliśmy się złapać oszusta na gorącym uczynku. Nie było to proste, jako że benklarze mieli rozbudowany system obronny: na przykład jedno przyciśnięcie dna wiadra zamieniało narzędzie hazardu w niewinny sprzęt domowy.

Czasami się jednak udawało.

Zatrzymanych benklarzy wiedliśmy na komendę, tam najczęściej sporządzano wnioski o kolegium, po czym ich wypuszczano. Rzecz jasna, wracali na Bazar do swego stałego zajęcia. Po mniej więcej dwóch tygodniach każdego ranka witaliśmy się z nimi jak ze starymi znajomymi, oni kłaniali się grzecznie i mówili „Dzień dobry”, my odpowiadaliśmy w równie uprzejmy sposób, po czym znikaliśmy z widoku, starając się „niespodziewanie” przyłapać ich na gorącym uczynku, z czego oni świetnie zdawali sobie sprawę. Generalnie była to dość nudna, jałowa i w gruncie rzeczy frustrująca robota, taka zabawa w ciuciubabkę, która niewiele wносиła do naszego

rozwoju zawodowego; tyle tylko że człowiek miał możliwość bliżej poznać folklor słynnego w całej Warszawie „Rózyka”.

Wydawało się, że dwumiesięczny pobyt w Warszawie będzie niewymownie nudny.

Całe szczęście co jakiś czas, w ramach urozmaicenia, rzucono nas do innych dzielnic stolicy, gdzie pełniliśmy służbę w tak zwanych dwunastkach, co oznaczało po prostu dwanaście godzin szlifowania warszawskich trotuarów w charakterze ubranego po cywilnemu wywiadowcy. Tym razem nasza praca najczęściej sprowadzała się do przegania kieszonkowców albo łapania złodziei samochodów. Organizowaliśmy zasadzki na parkingach, na których wcześniej dochodziło do kradzieży. Podstawialiśmy na wabia samochód dobrej marki, popularnej wśród złodziei, w pobliżu zakładaliśmy kamery lub umieszczaliśmy obserwatora schowanego na przykład w bagażniku innego samochodu. Złodzieje robili rozpoznanie, widzieli, że luksusowe auto stoi kilka dni. Czasem mieliśmy szczęście i któryś z nich łapał się na haczyk.

To były jednak rzadkie przypadki: najczęściej nasze działania sprowadzały się do wlokącego się niemiłosiernie czekania. W razie sukcesu do akcji wkraczało sześciudziesięciu policjantów, obowiązkowo w kamizelkach kuloodpornych, bowiem często się zdarzało, że złodzieje byli uzbrojeni w noże czy pistolety.

W pewne pogodne piątkowe popołudnie, zmęczeni całodzienną służbą, siedzieliśmy z Jogim w jednym z licznych pubów przy ulicy Brackiej. Sączyliśmy letnie piwo, smętnie rozmyślając o tym, że jutro najpewniej czeka nas identyczny, wypełniony rutyną i nudą dzień, podczas którego stopniowo, powoli, ale nieuchronnie będą umierały nasze marzenia o pełnym chwały i emocji życiu detektywa.

Nagle niemal spod ziemi pojawiły się dwie młode dziewczyny. Jedna ruda i z przyjemnie sporym biustem, druga blond, z włosami niemal do pasa. Obie: szpilki, krótkie spódniczki, makijaże, pomalowane paznokcie - nasz minorowy nastrój minął, jak ręką odjął. Panienki promieniowały życzliwością i empatią, a w rękach trzymały pliki zadrukowanych kartek formatu A5. Jogi starał się nawiązać rozmowę, ja natomiast zainteresowałem się zawartymi w ulotce treściami. W obrazowy sposób namawiano tam do spotkania w gronie uzdrowicieli ducha, zapewniając, że poznamy odpowiedzi na nurtujące nas pytania dotyczące fundamentalnego zagadnienia, jakim jest jakość codziennego życia. Przesłanie było proste: przyjdź na spotkanie, dowiesz się więcej, a na pewno uczynisz poważny krok ku zbawieniu duszy. Panienki ćwierkały, wyraźnie przekraczając granicę zwykłego flirtu. Obaj z Jogim niemal jednocześnie nabraliśmy

ochoty na wzięcie udziału w takim spotkaniu, chociaż być może każdy z innego powodu. Tak czy inaczej, wszystko wydało nam się lepsze niż nuda dnia codziennego.

Po raz kolejny okazało się, jak często przypadek rządzi życiem policjanta.

Spotkanie miało się odbyć w jednej z okazałych przedwojennych kamienic, dosłownie dwieście metrów dalej. Było to po prostu prywatne mieszkanie, urządzone przedziwną mieszanką stylu przedwojennego mieszczaństwa ze stylem dalekowschodnim: duży, przedwojenny, okrągły stół, na meblach porozstawiane kadełka, kanapy obite eleganckim materiałem, na ścianach reprodukcje obrazów Kossaka i Fałata, na stołach kryształowe cukierniczki, koronkowe serwetki w miejsce obrusów. Natomiast mała kuchnia była całkowicie zagracona i nieco lepka, do tego zalegała w niej masa niedojedzonych konserw, zużytych szklanek, papieru śniadaniowego, śmieci i cukru. Na korytarzach i w pokojach mnóstwo ludzi obojga płci, kręcących się bez celu i na pierwszy rzut oka wyglądających na członków komuny hipisowskiej.

Choć wtedy jeszcze nie mieliśmy w planach żadnych zorganizowanych działań, odruchowo nie zdradzaliśmy się z naszą policyjną tożsamością. Przedstawiliśmy się jako przytłoczeni życiem mężczyźni, głęboko zainteresowani zagadnieniami uzdrawiania ducha. Zostaliśmy przyjęci niezwykle serdecznie przez kobietę, która przedstawiła się jako gospodyni spotkania. Babeczka wyglądała na trzydzieści kilka lat, sprawiała wrażenie miłej, inteligentnej i ogólnie była niczego sobie.

Zaczęła rozmowę w najbardziej banalny sposób: co słysząc, co u ciebie, skąd przyjechałeś? Z dużą wprawą wypytywała nas o zawód, status materialny, szczegóły życia. Wszystko jednak nienachalnie, bez presji, w bardzo kulturalny sposób. Zadawała dużo pytań zamkniętych, dotyczących naszych poglądów politycznych, społecznych i religijnych. Już wtedy, podpierając się stosownie dobranymi cytatami z Pisma Świętego, sygnalizowała, że zbawienie duszy jest kluczem do osobistego sukcesu, a dostąpić go mogą tylko ci, którzy poznają prawdę z ust prawdziwego proroka.

Ożywiona rozmowa trwała długo, około trzech godzin. W końcu z ust naszej rozmówczynie padła propozycja wyjechania na zgrupowanie gdzieś na Lubelszczyźnie. Mieliśmy tam wejść w kolejny etap wtajemniczenia, co ewidentnie dobrze świadczyło o naszym zachowaniu: kobieta widziała w nas potencjał. Wyrażając wstępne zainteresowanie, od razu zastrzeżliśmy, że nie możemy jeszcze dać ostatecznej odpowiedzi. Usłyszeliśmy, że możemy się

spokojnie zastanowić. Opuściliśmy mieszkanie w świetnych nastrojach; dyskusję z kobietą uznaliśmy zresztą za wzbogacającą naszą wiedzę o tym, co jest dobre, a co złe.

Wróciliśmy na Cyryla i Metodego. Pomimo że na spotkaniu przebywaliśmy niejako prywatnie, po służbie, wspólnymi siłami napisaliśmy notatkę, w której lakonicznie zrelacjonowaliśmy jego przebieg. Notatka trafiła do szefostwa, po czym zapomnieliśmy o sprawie, uznając ją za ciekawy, ale jednorazowy epizod bez dalszych konsekwencji.

Nic bardziej mylnego.

Po dwóch dniach wezwano nas przed oblicze jednego z naczelników Wydziału Kryminalnego. Z niepewnymi minami (człowiek w takich razach zawsze robi przegląd sumienia i jakoś nigdy nie jest tak, że jest ono całkowicie czyste) weszliśmy do gabinetu szefa. Ale szef nie krzyczał, nawet zaprosił siadać, po czym przedstawił nas niepozornemu facetowi, którego widzieliśmy pierwszy raz na oczy.

Jak się okazało, był to oficer Komendy Głównej. Trzymał w ręku nieszczęsną notatkę i przyglądał nam się badawczo. Czuliśmy się jak muchy wędrujące po białej ścianie ku swemu przeznaczeniu.

- Ciekawe - mruknął w końcu, gdy wydawało się, że będziemy tak milczeć co najmniej do obiadu.

Kiwnęliśmy głowami, nie pytając, co takiego mianowicie uznał za ciekawe.

- Słyszeliście o sektach?

Kiwnęliśmy głowami ponownie, tym razem nieco ostrożniej.

- Problem się nasila. Jest ich coraz więcej i są coraz bardziej agresywne i destrukcyjne. A jedną z najgorszych jest sekta „Niebo”. Werbuje w swoje szeregi mnóstwo ludzi. Dorosłych, którzy przeszli jakieś załamania życiowe czy traumy, albo gówniarzy na gigantów. Ludzie często oddają cały swój majątek, tracą dorobek życia, pozbawiają wszystkiego nie tylko siebie, ale i rodziny, które zostawiają bez środków do życia.

- To rzeczywiście problem - powiedział Jogi. Stwierdzenie nie wypadło zbyt odkrywczo.

- Mamy szereg zeznań rodzin, które nie są w stanie wy dostać bliskich z sekty - kontynuował ów oficer niezrażony. - Dużo szczegółów, ale nic, czego moglibyśmy użyć w sądzie.

Nie wiem, jak mój nieoceniony partner, ale ja zacząłem się domyślać, w którą stronę zmierza rozmowa. Założyłem nogę na nogę. Wyglądziłem ręką nieistniejący kant spodni.

- Z naszych danych operacyjnych wynika, że grupa, z którą nawiązaliście kontakt, jest pewną odnogą czy może rodzajem departamentu sekty „Niebo” zajmującym się werbunkiem ludzi. Gdybyście ciągnęli tę swoją maskaradę, może udałoby się trafić do centrum. Od środka.

W gabinecie zapadła cisza.

Były to początki prowadzenia przez policję tak zwanych operacji specjalnych czy, inaczej mówiąc, operacji pod przykryciem. Struktury policyjne w zasadzie dopiero zaczęły się tworzyć. Nie opracowano procedur operacyjnych, sposobów nawiązywania i utrzymywania łączności, nie mówiąc o sprecyzowaniu statusu takiego agenta. Trudno było to, co mieliśmy zrobić, nazwać w pełnym tego słowa znaczeniu operacją specjalną. Nikt, a już my na pewno, nie wiedział, jak miała wyglądać nasza misja.

Mimo wszystko zgodziliśmy się wziąć w niej udział.

Decyzja ta spowodowała lawinę wydarzeń. Po pierwsze, obaj z Jogim zostaliśmy zwolnieni z nudnych i rutynowych służb na Bazarze Różyckiego. Mieliśmy się zająć tylko i wyłącznie sprawą sekty. Przeczytaliśmy nader skąpe dossier otrzymane od oficera Komendy Głównej, który zrobił z nas tajnych agentów.

Nadszedł w końcu czas, by wykonać pierwszy krok.

- Jogi - powiedziałem. - Zaczniemy od tych laseczek.

Jogi nie protestował. Przeszliśmy Bracką w tę i z powrotem, po czym, dosłownie po piętnastu minutach, natknęliśmy się na rudą i blondynkę. Ucieszyły się, jakby nas nie widziały sto lat, a my, kując żelazo póki gorące, umówiliśmy się na wieczór. Służbowo, ma się rozumieć. Punktualnie o 20.00 zapukaliśmy do drzwi mieszkania, w którym byliśmy uprzednio. Tym razem spotkanie miało nieco inny przebieg. Jego gospodarze wyszli najwyraźniej z założenia, że droga do serca i umysłu mężczyzny wiedzie przez żołądek, ponieważ zostaliśmy uraczeni kolacją.

Podano różnego rodzaju wynalazki przypominające jedzenie dalekowschodnie, wówczas w Polsce bardzo mało popularne. Zero alkoholu. Przy stole odbywała się żywa dyskusja o polityce, o zrozumieniu świata, o zgniłym kapitalizmie, LUBLIN oPiśmie Świętym. W końcu padło pytanie, czy przemyśleliśmy kwestię wzięcia udziału w plenerowym spotkaniu, które ma się odbyć w okolicach Lubartowa. Nazwa miejscowości - Majdan Kozłowiecki - zelektryzowała nas. Z informacji operacyjnych wiedzieliśmy, że tam właśnie znajduje się główna siedziba sekty.

- Oczywiście - powiedziałem, a mój partner pokiwał energicznie głową.

Gospodyni wyciągnęła z kieszeni kartkę papieru.

- Zadzwońcie za tydzień pod ten numer - powiedziała, po czym podała nam karteluszek z nagryzmlonymi sześcioma cyframi. - Przekażę wam termin, w którym odbędzie się najbliższy mityng.

Rozstaliśmy się jak bliscy znajomi, niemal członkowie rodziny, zdecydowani znaleźć odpowiedzi na wszystkie trudne pytania tego świata.

Zgodnie z umową po tygodniu zadzwoniliśmy do nowych przyjaciół z ulicy Brackiej.

- Tak, poznaję - odpowiedziała nasza niedawna gospodyni tonem, w którym brzmiała stanowczość i brak jakichkolwiek wahań. - W przyszły piątek na farmie zaczyna się spotkanie zwolenników nowego porządku i nowego świata. Zameldujecie się o 17.00.

Podawała nam adres, po czym rozłączyła się. Spojrzeliśmy po sobie z Jogim i niemal równocześnie głośno przełknęliśmy ślinę. Zabawa definitywnie się skończyła.

Kilka dni poprzedzających wyjazd minęło nie wiadomo kiedy. Spędziliśmy je na jak najstaranniejszych przygotowaniach. Uważnie studiowaliśmy materiały na temat sekty, które do tej pory udało się zgromadzić: pochodziły zarówno od naszych kolegów z Wydziału Kryminalnego w Lublinie, pod który podlega Lubartów, jak i specjalnego zespołu w Komendzie Głównej zajmującego się zwalczaniem sekt. Dowiedzieliśmy się sporo o Bogdanie Kacmajorze, przywódcy sekty. Materiały prezentowały go jako osobę niestroniącą od psychicznej i fizycznej przemocy. Na porządku dziennym było zmuszanie wyznawców „Nieba” do rozmaitych zachowań (na przykład zawierania małżeństw ze wskazanymi przez Kacmajora osobami) oraz stosowanie różnego rodzaju kar nawet za drobne nieposłuszeństwo: zamykanie w izolowanych pomieszczeniach czy skazywanie na głodówki. Członkowie sekty musieli też zrezygnować ze swoich dotychczasowych imion, przybierając te wybrane przez przywódcę. Śmiało można powiedzieć, że imiona te były zgoła niebanalne: „Anioł Rowerowy”, „Ciuch”, „Tęcza Atomowa”, „Szanowna”, „Apartament nr 8”, „Ejty”, „C-14”, „Do Góry Nogami”, „I Śrubokręt Nie Pomoże”, „Na Zachód”, „Na Północ”, „Autobusem przez Miasto”, „Bonanza”, „Raj”, „Baron Rotszyld”, „Żywią i Bronią”, „Audi”, „Rodzina Ach”, „Buch”, „Uch”, „Bo Pierwsze”, „Bo Drugie”, „Nas”, „Do”, „Drynk”, „Dadarada”, „Zeppelin”, to tylko niektóre z nich. Sam przywódca nazwał się „Nie”, a swoją żonę „Bo”. Kacmajor zakazał posyłać dzieci do szkół, zabronił również członkom grupy jakichkolwiek kontaktów ze służbą zdrowia. Wreszcie całkowicie odizolował ich od otoczenia, stając się jedynym interpretatorem otaczającego świata. Szczególnie przejmujące w notatce były (sygnalizowane przez dawnych członków „Nieba”,

aczkolwiek wymagające zebrania materiału dowodowego) informacje na temat dzieci rodzących się w sekcie, z których część sprzedawano za granicę, by finansować dalszą działalność Kacmajora.

Ustalaliśmy scenariusze postępowania i sposoby łączności. Rozważaliśmy kwestię, czy brać ze sobą policyjne blachy i broń. Zastanawialiśmy się nad doborem garderoby.

W końcu, uzbrojeni i niebezpieczni, w piątek przed długim weekendem ruszyliśmy do Majdanu Kozłowieckiego.

Posiadłość nie robiła specjalnego wrażenia. Kacmajor wraz ze swymi wyznawcami mieszkał w białym dwupiętrowym domu typu „kostka”. Teren ogromny, kilkadziesiąt hektarów, las, ale w pobliżu domu bardzo chaotycznie zagospodarowany: drzewka samosiejki, niekoszona trawa, jakieś krzywe klomby, parę połamanych ławek. Masa kręcących się bez celu kobiet, mężczyzn i dzieci w różnym wieku, niechlujnie ubranych i sprawiających wrażenie niemytych od co najmniej tygodnia.

Ogólnie: chaos, nieporządek i bardak.

Powitała nas trzyosobowa delegacja, kobieta i dwóch mężczyzn. Przedstawiliśmy się, pokazaliśmy ulotkę, którą otrzymaliśmy w Warszawie. Powitano nas bardzo serdecznie, po czym zaproszono do czegoś, co przypominało dużą stołówkę. Ciastka i kompot były nawet smaczne. Mężczyźni z komitetu powitalnego poszli w swoją stronę, a kobieta towarzyszyła nam przy posiłku, zadając dziesiątki, zdawałoby się, niewinnych pytań: skąd jesteśmy, co robimy, jak się tu znaleźliśmy, ile zarabiamy, czy jesteśmy żonaci. Kobieta chciała wyciągnąć z nas wszystko, przy czym robiła to w niezwykle fachowy, niemal niezauważalny sposób: niejeden policyjny śledczy mógłby się od niej sporo nauczyć.

Rzecz jasna, mieliśmy przygotowany komplet odpowiedzi. Otóż byliśmy: biednymi, nieszczęśliwymi, zagubionymi w życiu studentami prawa, bez pieniędzy, niemogącymi znaleźć żadnej dodatkowej pracy, niezrozumianymi przez świat i ludzi. Rozmowa, choć pozornie jednostronna, dała też kilka odpowiedzi na pytania interesujące nas: w jaki sposób grupa pomaga swoim uczniom, ile osób liczy, jak wygląda przeciętny dzień, kto się tu znajduje, i tak dalej. Finezją zapewne nie dorównywaliśmy rozmówczyń, ale jak na początek osiągnęliśmy pewne efekty. Co jakiś czas Jogi lub ja przepraszaliśmy grzecznie i szliśmy do toalety. W tym czasie gubiliśmy drogę, wchodziliśmy w niewłaściwe korytarze, otwieraliśmy nie te drzwi. Staraliśmy

się zorientować w topografii budynku, zapamiętać, gdzie kto mieszka i z kim, oraz nabrać tak zwanej ogólnej orientacji w terenie.

Z czasem gospodyni zaczęła być bardziej stanowcza: zażądała na przykład, bym zmienił koszulkę, miałem bowiem na sobie Tshirt z angielskimi napisami. Spełniłem jej żądanie i upodobiłem się szarzyzną stroju do reszty.

Po jakimś czasie podszedł do nas brodaty osobnik w okularach, który przedstawił się jako Bogdan Kacmajor. Bardzo miły i uprzejmy, od pierwszej chwili sprawiał wrażenie niezwykle bystrego oraz obdarzonego charyzmą. Ubrany w modny i drogi strój, zdecydowanie wyróżniał się na tle szarej i niechlujnej reszty. Taki był pewnie zresztą zamysł tej operacji: prorok musiał odróżniać się nie tylko siłą duchową, ale również całkiem materialną.

Kacmajor pogadał chwilę o wszystkim i o niczym, po czym zaprosił nas do ogrodu na prelekcję, która okazała się całkiem banalna i niewinna. Żadnych nawiedzonych wizji, żadnej krwiożerczości, żadnej agresji. Ot, facet, który ma zdanie niemal na każdy temat, lekarstwa na zło dzisiejszego świata upatruje w duchowości i wspólnotcie, podpira się celnie dobranymi cytatami z Pisma Świętego, powołuje się na autorytety, których nazwiska mnie osobiście nic nie mówiły.

Ale czy on jeden?

Zacząłem wątpić, czy nasz przyjazd tutaj ma w ogóle sens.

Ale podczas dalszych przemówień przybocznych Kacmajora, którzy głęboko wchodzili w sferę duchowości, dając teoretyczną wykładnię ideologii grupy, zacząłem zagadywać zebranych. Po jakimś czasie miałem już coś w rodzaju mapy odzwierciedlającej przekrój społeczny wyznawców (lub kandydatów na wyznawców) proroka. Młodzież obojga płci na gigancie, samotne matki, prawnik, student filozofii i pewien zamożny biznesmen spod Grójca. Ten ostatni opowiedział mi historię, która gdyby okazała się prawdziwa, mogła być jakimś punktem zaczepienia. Otóż w grupie od pół roku przebywała znajoma owego przedsiębiorcy, pani całkiem już dojrzała, która ostatnio, na polecenie Kacmajora, zawarła związek małżeński z trzynastoletnim chłopcem. Biznesmen twierdził zresztą, że tego typu praktyki są tu na porządku dziennym: dorosła czterdziesto - lub pięćdziesięcioletnia kobieta zostaje „żoną” dwunasto, trzynastoletniego chłopca albo czterdziestoletni mężczyzna bierze za „żonę” trzynastoletnią dziewczynkę. Kacmajor przy tym nie zapominał o sobie: wybierał młode, atrakcyjne dziewczyny i czynił je swymi żonami. Proceder, choć niewiarygodny, miał pewną psychologiczną podstawę:

„żonami” Kacmajora były najczęściej dziewczyny skonfliktowane z rodzicami, uciekinierki, często w depresji: bez dachu nad głową i środków do życia. Takim osobom prorok i jego ideologia wydawały się otwartymi bramami do raju. Mógł nimi dowolnie manipulować i wykorzystywać wedle własnych upodobań. Dla takich osób Kacmajor i jego przybocznicy byli wyłącznymi interpretatorami świata zewnętrznego.

Gdyby się te informacje potwierdziły, mogłyby stanowić podstawę oskarżenia. Wiedzieliśmy już, czego szukać. Zaczęliśmy węszyć głębiej. W trakcie podpytywania dowiedzieliśmy się, że wszyscy ludzie, którzy tam trafiają, mają nakaz wyzbycia się całego majątku oraz innych dóbr doczesnych i przekazania ich sekcje.

Biorąc pod uwagę, jak skromnie żyli tam ludzie, jak nędznie się żywili i w co byli ubrani, pieniądze te z całą pewnością wykorzystywane były głównie przez proroka i jego najbliższych współpracowników. Niedługo potem, jakby na potwierdzenie tych informacji, udało mi się podsłuchać rozmowę Kacmajora i jego głównej żony z jedną z kobiet. Oboje próbowali ją skłonić do sprzedaży mieszkania i ofiarowania sekcji pieniędzy z transakcji. Niesamowicie było śledzić przebieg tej rozgrywki. Prorok rozpoczął od opowieści o problemach finansowych wspólnoty, ale i o jej ogromnych potrzebach. Dalej przekonywał, że kobieta ma szansę pomóc. Że to mieszkanie może poprawić los wszystkich. Niewiasta nie wydawała się przekonana i zgłaszała obiekcje, broniąc swojej własności, największego majątku, jaki miała. Wtedy on, pozornie rozumiejąc jej stanowisko, zaproponował wspomóżenie grupy w inny sposób, na przykład jakąś kwotą z konta, którego była właścicielką. Jest to zresztą typowa technika manipulacyjna: prośba o coś większego i dopiero potem, dla kontrastu, o coś mniejszego, na co ktoś w tym momencie łatwiej się godzi, a o co tak naprawdę chodzi manipulatorowi.

Zaczynał mi się kształtować jasny obraz niebezpieczeństw, które grożą przybyłym w tym miejscu.

Po kolacji kilka osób, które nie zdecydowały się czerpać z nowo poznanego źródła wiedzy, opuściło farmę, a członkowie wspólnoty, uprzednio poczęstowani przez szefostwo marihuaną, poszli spać.

Następny dzień, jako facet słusznej postury, rozpocząłem od rąbania drewna na opał. Towarzyszył mi szesnastoletni chłopak, który, nawet niespecjalnie przeze mnie indagowany, zdecydował się opowiedzieć swoją historię. Najpewniej musiał się przed kimś wygadać, a ja okazałem się uważnym słuchaczem.

Chłopak trafił tu prosto po ucieczce z poprawczaka, co Kacmajor skrzętnie wykorzystał; zabronił zbiegowi opuszczać teren farmy, strasząc go policją i konsekwencjami karnymi. Uciekinier opowiedział zresztą jeszcze kilka innych ciekawych rzeczy: na farmie bardzo często odbywają się kontrole, głównie policjantów z Lubartowa, ale zawsze kończą się tym, że Kacmajor nakłada na nich coś w rodzaju fatwy czy interdyktu. Doszło do tego, że wielu policjantów zaczęło się obawiać tego przekleństwa. Obawę skutecznie podsycano faktem, że młody dzielnicowy obrzucony fatwą po wizycie na farmie jeszcze tego samego dnia zginął w wypadku samochodowym. Co ciekawe, według chłopaka, Kacmajor używał tego zdarzenia do podkreślenia swojej siły i jeszcze większego podporządkowania członków wspólnoty. Potem zresztą, już po opuszczeniu farmy, gdy dalej pracowaliśmy nad sprawą, natrafiliśmy w okolicznych wsiach na całkiem niemałą liczbę podobnych legend, obrosłych w tak nieprawdopodobne wydarzenia, że rozplątanie ich i oddzielenie prawdy od bajki było niemal niemożliwe.

Kolejne spotkanie znowu odbyło się na polanie, poziom indoktrynacji rósł niemal z każdą chwilą. Tym razem niemal większość dnia poświęcono kontaktom męskodamskim, a przede wszystkim zależności kobiet od mężczyzn.

- Prawo mówi wyraźnie: głową kobiety jest mężczyzna, głową mężczyzny jest Chrystus, a głową Chrystusa jest Bóg i to nie myśmy ustalili sobie tę hierarchiczność. Ona jest ustalona, my musimy się jej podporządkować. Ja podporządkowuję się Chrystusowi, a moja żona musi się podporządkować mnie, innego wyjścia nie ma, bo będzie bajzel, będzie to niezgodne z Prawem. Co wcale nie oznacza, że my ze swoimi żonami nie rozmawiamy, że jesteśmy tylko dyrektywni w stosunku do nich... Głos decydujący ma zawsze mężczyzna i to on zawsze podejmuje decyzje - mówił Kacmajor.

Ciekawe, ilu facetów na świecie było gotowych zgodzić się z nim bezwarunkowo.

Podczas przerwy na bardzo skromny posiłek starałem się prowadzić jak najwięcej rozmów, licząc na to, że przyniosą one kolejne, wcześniej głęboko skrywane, fakty z życia sekty.

Przy herbacie poznałem adwokata z warszawskiej kancelarii prawnej, który trafiwszy do sekty w wyniku traumy po śmierci żony, przepisał cały majątek, włącznie z pięknym mieszkaniem w przedwojennej kamienicy, na Kacmajora.

Wieczorem, po wspólnej kolacji, kiedy rozmawialiśmy w podgrupach, słuchając muzyki i popalając leniwie trawkę, nagle usłyszeliśmy pisk opon, a później odgłosy awantury.

Zrozpaczony ojciec jednej z przebywających na farmie dziewczyn próbował, wraz z czterema ochroniarzami, dostać się na teren posesji. Z budynku wyszło trzech barczystych mężczyzn. Najpierw poleciały wyzwiska i okrzyki powszechnie uznawane za obraźliwe. Potem doszło do krótkotrwałej bójki, w wyniku której ochroniarze zdesperowanego ojca wycofali się do zaparkowanego nieopodal samochodu. Akcja zakończyła się fiaskiem.

Zresztą Kacmajor wraz ze swymi przybocznymi nie byli wcale skazani wyłącznie na użycie gołych pięści. Na terenie posiadłości widzieliśmy sprzęt przygotowany do odparcia ataku na sektę: wiatrówki, kije bejsbolowe, nunczako. Już po opuszczeniu Majdanu dowiedziałem się, iż policja, która wcześniej próbowała wydostać tę dziewczynę z sekty, niewiele mogła zrobić, jako że dziewczyna miała skończone osiemnaście lat.

Ponieważ starałem się zmieniać zajęcia, aby móc nawiązywać kontakty z nowymi ludźmi, zgłosiłem się do zmywania naczyń w kuchni. Poznałem tam młodą dziewczynę wyglądającą na bardzo przygnębioną. Po kilkunastu minutach wyznała mi, że już parokrotnie próbowała opuścić farmę, jednak bez powodzenia. Kacmajor nałożył na nią fatwę, straszył, gdy próbowała uciec, kazał ją zatrzymać siłą. Według niej, nikomu ze stałych członków wspólnoty nie wolno było opuszczać posiadłości. Ktoś, kto zdecydował się na zamieszkanie na farmie, nie mógł się kontaktować ze światem zewnętrznym, stąd palenie dowodów osobistych, zakaz posyłania dzieci do szkół czy korzystania ze służby zdrowia. Zakupy we wsi robili w zasadzie wyłącznie Kacmajor i jego totumfaccy. Opowieść szesnastolatki w zasadzie dawała już wystarczającą podstawę, żeby próbować wejść tam z nakazem prokuratorskim. Można było aresztować Kacmajora pod co najmniej dwoma zarzutami: przetrzymywania siłą osób postronnych i posiadania narkotyków. Kolejnym elementem, który pozwolił nam na podjęcie decyzji o wejściu policji, stał się również fakt, że według wielu relacji dochodziło w „Niebie” do współżycia osób dorosłych z nieletnimi.

Pod pozorem zrobienia zakupów dla sekty opuściliśmy farmę i złożyliśmy wizytę na komendzie w Lubartowie, ustalonym z góry punkcie kontaktowym. Zdaliśmy obszerną relację z obserwacji i zebranego materiału dowodowego. Prokurator potwierdził nasze przypuszczenia - dowody okazały się wystarczające do dokonania aresztowań.

Powróciliśmy na farmę i czekaliśmy na rozwój wydarzeń.

Sześć godzin później, gdy jako pełni zapалу członkowie grupy oddawaliśmy się zajęciom gospodarskim, pomału szykując się do wieczornej prelekcji lidera usłyszeliśmy warkot wielu

silników. Teren został otoczony przez dwa plutony ubranych na czarno antyterrorystów, a przed budynkiem pojawił się prokurator w asyście kilkunastu mundurowych policjantów z Komendy Głównej oraz Wydziału Kryminalnego i Przepływ Gospodarczych komendy w Lubartowie.

Kacmajor wraz ze swoim poczem sztandarowym powitał gości w drzwiach. Wizyta nie zrobiła na nim wrażenia. Zachowywał się wyjątkowo, zważywszy okoliczności, spokojnie, jeśli nie liczyć litanii klątw, jakimi obrzucał przybyłych. Trzej nadworni osiłkowie, którzy dzień wcześniej wykazali się taką stanowczością, dziś również okrzykami: „Spierdalać!” i „Won stąd! To prywatna posiadłość”, oraz próbami wszczęcia bójki dawali odpór najazdowi, zostali jednak sprawnie obezwładnieni przez kilku funkcjonariuszy AT.

Prokurator odczytał Kacmajorowi zarzuty. Była to dość długa lista: przetrzymywanie ludzi siłą, uprawianie seksu z nieletnimi, kradzieże, oszustwa. Kacmajor nie odniósł się do meritum. Upierał się, że znajduje się na terenie prywatnym, a wszyscy ludzie są tu dobrowolnie. Prokurator nie podjął dyskusji. Kazał zakuć proroka w kajdanki. Ten nie stawiał oporu. Wsadzono go do samochodu. Zawarczały silniki i po chwili długa karawana samochodów pojechała w stronę Lubartowa.

Gdy kurz opadł, pokręciliśmy się wraz z Jogim jeszcze przez kilka godzin po terenie, po czym ruszyliśmy w drogę powrotną do Warszawy, gdzie czekały na nas pochwały i trzydniowy odpoczynek.

Puławy

Spędzenie dwóch i pół roku na ulicy każdemu kozakowi daje w kość. Ta niezbyt odkrywczą refleksja przychodziła mi do głowy za każdym razem, gdy myślałem o zmianie roboty. Nastąpiło po prostu zmęczenie materiału. Coraz rzadziej na kogutach ganialiśmy za mafią, a coraz częściej chroniliśmy izraelskie wycieczki odwiedzające Majdanek. Robota ważna, potrzebna, ale dramatycznie monotonna i nudna jak flaki z olejem. Wyglądało na to, że przeznaczenie zaczęło subtelnie wysyłać mi sygnały, że przyszedł czas na zmiany.

Mimo wszystko myślałem o nich z niechęcią, bo marka, jaką wyrobiłem sobie w Lublinie, i opinia „mocnego gościa” nie były mi niemiłe. Powoli dochodziłem jednak do wniosku, że jeśli czegoś ze sobą nie zrobię, na dłuższą metę taki kapitał nie wystarczy. Zastanawiałem się nad dalszą nauką, może nawet doktoratem. Owszem, myśli o nauce u trzydziestoletniego gliniarza operacyjnego były może i śmieszne, ale zdecydowałem, że powinienem spróbować. Przede wszystkim jednak należało zacząć od zmiany otoczenia. Sporządziłem coś w rodzaju rankingu wydziałów kryminalnych w Lubelskiem i doszedłem do wniosku, że Puławy to jest to - miały dobrą opinię w robocie, a szef nie wyglądał na upierdliwego.

Tym razem góra musiała pofatygować się do Mahometa - wysoko ceniony naczelnik z Puław jakoś do mnie nie dzwonił z własnej woli. Udało się umówić z nim na rozmowę, podczas której starałem się roztoczyć pawi ogon swego czaru i pokazać od najlepszej strony. Okazało się na szczęście, że opinia solidnego funkcjonariusza kompanii wywiadowczej nadal coś wtedy znaczyła. Poszło gładko, choć nie tak szybko jak poprzednim razem - na nową posadę musiałem czekać blisko trzy miesiące. Ale po tym kwartale zostałem szeryfem w Puławach - i przez kolejne cztery lata pracowałem w puławskiej sekcji zabójstw.

Pierwszego dnia pracy, po załatwieniu nudnych, acz niezbędnych formalności, trafiłem do pokoju, w którym siedział starszy ode mnie o ładnych kilka lat gliniarz z doświadczeniem wypisanym na nieco zmęczonej, ogorzałej twarzy. Facet nie imponował wzrostem, miał nieznaczną nadwagę i zdawał się nie przywiązywać przesadnej wagi do stroju. Jego biurko zavalone było papierami rozrzuconymi w zgoła chaotyczny sposób.

Drugie, wolne, biurko przy dużej dozie dobrej woli można było uznać za posprzątane. Położyłem na nim wypchaną papierami teczkę, po czym podszedłem do mężczyzny.

- Krzysiek Zaręba - powiedziałem, wyciągnąwszy dłoń na powitanie.

- Bogen - odwzajemnił uścisk gospodarz, nie zadając sobie trudu wyjaśnienia, czy wymienił imię, nazwisko, czy ksywę.

Tak zostaliśmy partnerami na blisko cztery lata. Moja pierwsza ocena Bogeny okazała się trafna: facet pracował w policji blisko czternaście lat, w przytłaczającej większości w pionie operacyjnym. Z urodzenia puławianin, znał miasto jak własną kieszeń. Miejscowe środowisko przestępcze nie miało przed nim żadnych tajemnic, wiedział o każdym bandycie wszystko, znał wszelkie przeszłe i aktualne grzeszki rozmaitych przestępców. Do pracy podchodził bardzo rzetelnie, nie lubił odpuszczać spraw, każde umorzone śledztwo traktował jak osobistą porażkę.

Dobry i pogodny człowiek. Cieszył się dużym powodzeniem u kobiet, braki urody rekompensując diabelskim poczuciem humoru i ujmującym sposobem bycia. Miewał kłopoty z synem z pierwszego małżeństwa, którego musiał od czasu do czasu wyciągać z rozmaitych kłopotów. Pomimo zainteresowania, jakie okazywały mu tabuny przedstawicielek płci przeciwnej, Bogen w gruncie rzeczy marzył o ustabilizowaniu życia i założeniu rodziny, co mu się zresztą w końcu udało. Moim zdaniem był domatorem. Lubilem go bardzo.

W nowej pracy nie dano mi żadnej taryfy ulgowej ani czasu na adaptację. Ostra jazda zaczęła się jeszcze tego samego dnia.

Świadek idealny

Truizmem jest stwierdzenie, że dobry świadek może przesądzić o losach śledztwa. Umiejętność zapamiętywania szczegółów, znalezienie się w odpowiednim miejscu o odpowiedniej porze, wreszcie odwaga cywilna - cechy te, nader rzadkie, stanowią marzenie każdego policjanta przesłuchującego dziesiątki osób i mającego nadzieję, że któraś z nich pomoże mu rozwikłać sprawę, nad którą aktualnie pracuje.

Jechaliśmy z Bogenem po mieście nieoznakowanym radiowozem i gadaliśmy o błahostkach, próbując się wzajemnie wybadać i poznać. Ot, takie niewinne obustronne rozpytanie. Dzień zaczął się bardzo spokojnie. Można śmiało zaryzykować twierdzenie, że na razie snuliśmy się po ulicach Puław całkiem bezproduktywnie.

- Krzysiek, Bogen, gdzie jesteście? - zatrzeszczało radio.

Podniosłem mikrofon do ust.

- Niedaleko ronda Jana Pawła. Co jest?

- Zawijajcie się na Kredową. Mamy zgłoszenie, że był tam wybuch.

Spojrzeliliśmy po sobie z Bogenem. Mój partner bez słowa położył na dach koguta i docisnął gaz do dechy. Ja tymczasem próbowałem się czegoś dowiedzieć.

- Wiadomo, co to może być? Gaz, pożar?

- Nic z tego - stwierdził dyżurny. - Nie podano żadnych informacji. Dowiedcie się na miejscu.

- Skąd pewność, że to nie lipa? - spytałem. Fałszywe alarmy były wtedy może nie tak częste jak dziś, ale do rzadkości nie należały.

Nim dyżurny zdołał odpowiedzieć, Bogen pociągnął mnie za rękaw.

- Spójrz - powiedział, wskazując przed siebie.

Kilkaset metrów przed nami, znad osiedla domków jednorodzinnych, wznosiła się chmura gęstego czarnego dymu. Przestałem mieć wątpliwości.

- Bez odbioru - rzuciłem przez radio.

Okolice wyglądała jak świeżo po bitwie. Nim dojechaliśmy do posesji, zauważyliśmy leżące na drodze dymiące kawałki drewna, blachy i plastiku. Brama była szeroko otwarta, jakby ktoś właśnie przygotowywał się do wyjazdu. Za nią stało nowe bmw. To znaczy: może przed kwadransiem było nowe. Teraz stanowiło mocno dymiący wrak z wybitymi szybami, wyrwanym dachem i kawałkiem bocznej części nadwozia. Resztki drzwi od strony kierowcy były otwarte na oścież, jakby ktoś wyskoczył nagle z samochodu.

Kilka metrów od wozu leżał na brzuchu mężczyzna. Nie dawał znaku życia.

Część jego ubrania wciąż się jeszcze tliła, włosy miał nadpalone, jedną z nóg poparzoną. Druga zaś przypominała podsmażony połec mięsa i krwawiła mocno.

Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego.

Bogen zahamował gwałtownie, po czym połączył się z dyżurnym, wzywając strażaków, karetkę, prewencję i pirotechników.

Wyskoczyłem na zewnątrz. Z łydki rannego zostały praktycznie strzępy. Wzdrygnąłem się w duchu, starając się zachować spokój. Wyciągnąłem pasek ze spodni. Tę zaimprovizowaną opaskę uciskową założyłem mniej więcej na wysokości uda mężczyzny. Krwawienie ustało.

Poparzony charczał i jęczał, wyglądało na to, że odzyskał świadomość. Musiał bardzo cierpieć, dostrzegłem jednak ulgę w jego rozszerzonych panicznie oczach, kiedy Bogen doskoczył do nas z gaśnicą i zaczął likwidować resztki ognia tłącego się na ubraniu poszkodowanego.

Niedługo potem zjawily się wóz straży, karetka i kolejne radiowozy.

Strażacy sprawnie dogasili pożar, lekarze zabrali rannego, po czym odjechali na sygnale, prewencja zabezpieczała teren. Wokół posesji zaczęli zbierać się ludzie ciekawi, co takiego wydarzyło się w sąsiedztwie.

Gdy emocje opadły, zaczęliśmy oględziny terenu. Wszystko wskazywało na to, że w momencie wybuchu ofiara siedziała w samochodzie. Sądząc po skutkach eksplozji, ładunek umieszczono gdzieś pod podwoziem. Ranny zdołał zachować przytomność i wyczołgał się na zewnątrz, nim samochód zaczął płonąć. To uratowało mu życie.

- Wchodzimy do chaty czy czekamy na pirotechników? - spytał Bogen. Nie sądzę, by nie wiedział, co robić. Chciał po prostu wiedzieć, co ja chcę zrobić.

Procedura była jednoznaczna. Znajdowaliśmy się w miejscu, w którym nastąpił wybuch, co więcej, nie było wcale pewne, że założono tylko jeden ładunek. Kolejne mogły znajdować się we wciąż zamkniętym bagażniku albo właśnie w domu. Pirotechnicy mieli bezwzględne pierwszeństwo.

- Czekamy - stwierdziłem. Widok rannego i szczątków samochodu odrobinę ostudził moje zapędy supergliny, a pierwszego dnia nie chciałem czegoś schrzanić.

Przez radio ustaliliśmy, że jadą już do nas pirotechnicy z wojewódzkiej. Mieli się zjawić mniej więcej za pół godziny. Mogliśmy jakoś wykorzystać ten czas.

- Pogadajmy z sąsiadami - zaproponowałem.

- Jakies pomysly, od których zacząć?

Rzeczywiście, wokół było bardzo dużo domów. Rozejrzałem się, po czym wskazałem na te, które było widać najlepiej.

- Tam.

W pierwszym i drugim domu nie było nikogo. Dopiero gdy zapukaliśmy do trzecich z kolei drzwi, otworzyła nam dwudziestolatka o nogach zbyt długich, byśmy mogli natychmiast skupić się na pracy. Gospodyni prócz kształtnych kończyn dolnych miała również idealną, kuszącą krągłosciami figurę i błyszczące, długie, najwyraźniej świeżo umyte włosy.

Po zebraniu szczęk z podłogi wyjęliśmy blachy, tłumacząc, w jakiej sprawie przyszliśmy. Nieziemskie zjawisko uśmiechnęło się.

- Oczywiście - powiedziało i szerzej uchyliło drzwi. - Proszę.

Zasiedliśmy w ładnie urządzonej salonie. Piękność od razu przeszła do rzeczy.

- Przed wybuchem odjechał spod domu zielony samochód dostawczy - stwierdziła ze stoickim spokojem. Można by się spodziewać, że z większym zdenerwowaniem mówiłaby o wczorajszej wizycie u fryzjera. - To był pickup przerobiony z poloneza.

- Widziała pani pasażerów?

- Tak. Dwóch mężczyzn, dobrze zbudowanych i łysych. Jeden miał ciemne okulary, drugi nosił glany. Byli ubrani...

Po kolei wymieniła elementy odzienia. Podany opis był bardzo szczegółowy. Ledwo nadążaliśmy z notowaniem. Gdy dziewczyna zamilkła, spojrzeliśmy na siebie ze zdziwieniem. Tacy świadkowie się nie zdarzają.

Widząc to, gospodyni zaśmiała się uroczo. - Suszyłam akurat włosy i wyglądałam przez okno - wyjaśniła. - Tu się wszyscy znają, a nigdy wcześniej nie widziałam takiego samochodu. Sąsiad nie jeździłby takim gratem.

Potem opowiedziała nam przebieg akcji. Polonez podjechał pod posesję może godzinę przed wybuchem. Łysi wyskoczyli z niego i przez lekko uchyloną bramę weszli do środka. Siedzieli tam najwyżej kwadrans, po czym wycofali się do pickupa i uciekli.

Wychodząc, podziękowaliśmy za obywatelską postawę. Gospodyni miała jednak dla nas jeszcze jedną niespodziankę.

- Poczekajcie, panowie! - powiedziała, łapiąc się za głowę. - Zapomniałam wam podać numer rejestracyjny tego samochodu. Zapisałam go.

Po zebraniu szczęk z podłogi wyjęliśmy blachy, tłumacząc, w jakiej sprawie przyszliśmy. Nieziemskie zjawisko uśmiechnęło się.

- Oczywiście - powiedziało i szerzej uchyliło drzwi. - Proszę.

Zasiedliśmy w ładnie urządzonej salonie. Piękność od razu przeszła do rzeczy.

- Przed wybuchem odjechał spod domu zielony samochód dostawczy - stwierdziła ze stoickim spokojem. Można by się spodziewać, że z większym zdenerwowaniem mówiłaby o wczorajszej wizycie u fryzjera. - To był pickup przerobiony z poloneza.

- Widziała pani pasażerów?

- Tak. Dwóch mężczyzn, dobrze zbudowanych i łysych. Jeden miał ciemne okulary, drugi nosił glany. Byli ubrani...

Po kolei wymieniła elementy odzienia. Podany opis był bardzo szczegółowy. Ledwo nadążaliśmy z notowaniem. Gdy dziewczyna zamilkła, spojrzeliśmy na siebie ze zdziwieniem. Tacy świadkowie się nie zdarzają.

Widząc to, gospodyni zaśmiała się uroczo.

- Suszyłam akurat włosy i wyglądałam przez okno - wyjaśniła. - Tu się wszyscy znają, a nigdy wcześniej nie widziałam takiego samochodu. Sąsiad nie jeździłby takim gratem.

Potem opowiedziała nam przebieg akcji. Polonez podjechał pod posesję może godzinę przed wybuchem. Łysi wyskoczyli z niego i przez lekko uchyloną bramę weszli do środka. Siedzieli tam najwyżej kwadrans, po czym wycofali się do pickupa i uciekli.

Wychodząc, podziękowaliśmy za obywatelską postawę. Gospodyni miała jednak dla nas jeszcze jedną niespodziankę.

- Poczekaście, panowie! - powiedziała, łapiąc się za głowę. - Zapomniałam wam podać numer rejestracyjny tego samochodu. Zapisałam go.

Po opuszczeniu domu Świadka Idealnego natychmiast przekazaliśmy numery drogówce. Jeszcze zanim zjawili się pirotechnicy, zadzwonił mój telefon.

- Mamy wóz, którego szukacie - usłyszałem.

- Zielony polonez pickup? - upewniłem się.

- Ten sam.

- Porzucony przy drodze?

Prawdę mówiąc, czegoś takiego się spodziewałem. Byłoby to logiczne. Sprawcy dokonujący zamachu bombowego powinni pozbyć się użytego w nim pojazdu. Jednak i tym razem odpowiedź mnie zaskoczyła.

- Nie - stwierdził zdziwiony policjant z drogówki po drugiej stronie słuchawki. - Normalnie go zdjęliśmy, z ulicy.

Zatkało mnie. Nie wierzyłem w aż tak wielkie szczęście.

- Z pasażerami?

- Tak, dwóch mężczyzn. Zawinąć ich na dołek?

- Nie, czekajcie tam. Dojedziemy do was. Ruszaliście coś w samochodzie?

- Na razie nie.

- Bądźcie czujni. Goście mogą być uzbrojeni.
 - Nie są. Skuliśmy ich, przeszukaliśmy, siedzą w radiowozie i nawet nie pyskują.
- Jakieś robocopy ta drogówka w Puławach.

Kiwnąłem na Bogena i pobiegliśmy do samochodu. Niecały kwadrans później w okolicach wylotówki na Warszawę zobaczyłem zielonego poloneza i stojący przy nim radiowóz. Niebieskie światełka bulajów migają bezgłośnie. Dwóch domniemanych bombiarzy siedziało na tylnym siedzeniu policyjnego volkswagena z rękoma skutymi na plecach.

Przywitałem się z policjantami drogówki i podziękowałem im za efektywną akcję. Bogen tymczasem zainteresował się zatrzymanymi. Mieli ponure miny, czemu w zasadzie trudno się dziwić. Rzeczywiście byli dobrze zbudowani, łysi i ubrani dokładnie tak, jak ich opisał Świadek Idealny.

- Skąd jedziecie? - spytał mój partner.

Łysi spojrzeli po sobie. Odniosłem wrażenie, że zdążyli już ustalić wspólną wersję. Cóż, nie wydaliśmy polecenia, żeby drogówka ich rozdzieliła. Błąd.

- Z targu.
- I co tam kupowaliście?

Łysy pokręcił głową.

- Sprzedawaliśmy. Handlujemy dywanami. Karkom należało oddać, że nieźle to wykombinowali. Sprzedaż dywanu jest nie najgorszym powodem podróży na targ, dodatkowo uwiarygodniającym pewną sumę pieniędzy w portfelach. Taka rozmowa nie prowadziła do niczego. Należało przede wszystkim przeszukać samochód. Nie chcieliśmy jednak tego robić bez pirotechników, więc musieliśmy odczekać następną godzinę, nim saperzy zakończą działania w miejscu zamachu.

W końcu nadjechał czarny land rover. Wyskoczyło z niego kilku mężczyzn. Jeden z nich ubrał się szybko w ciężki kombinezon, po czym powoli podszedł do pickupa. Towarzyszyła mu zdalnie sterowana kamera na wyciągniku.

Dowodzący akcją odsunął Bogena, mnie i chłopaków z drogówki na bezpieczną odległość. Wszystko nie trwało dłużej niż pięć minut. Po tym czasie dostaliśmy pozwolenie na przeszukanie poloneza.

- Nieźle fanty na tym targu - stwierdził Bogen po kwadransie.

W samochodzie znajdowało się wiele rzeczy, ale żadna z nich nie miała nic wspólnego z handlem dywanami. Były tam dwie kominiarki, karabin Kałasznikowa, sporo narzędzi, zatrzymanymi. Mieli ponure miny, czemu w zasadzie trudno się dziwić. Rzeczywiście byli dobrze zbudowani, łysi i ubrani dokładnie tak, jak ich opisał Świadek Idealny.

- Skąd jedziecie? - spytał mój partner.

Łysi spojrzeli po sobie. Odniosłem wrażenie, że zdążyli już ustalić wspólną wersję. Cóż, nie wydaliśmy polecenia, żeby drogówka ich rozdzieliła. Błąd.

- Z targu.

- I co tam kupowaliście?

Łysy pokręcił głową.

- Sprzedawaliśmy. Handlujemy dywanami.

Karkom należało oddać, że nieźle to wykombinowali. Sprzedaż dywanu jest nie najgorszym powodem podróży na targ, dodatkowo uwiarygodniającym pewną sumę pieniędzy w portfelach. Taka rozmowa nie prowadziła do niczego. Należało przede wszystkim przeszukać samochód. Nie chcieliśmy jednak tego robić bez pirotechników, więc musieliśmy odczekać następną godzinę, nim saperzy zakończą działania w miejscu zamachu.

W końcu nadjechał czarny land rover. Wyskoczyło z niego kilku mężczyzn. Jeden z nich ubrał, się szybko w ciężki kombinezon, po czym powoli podszedł do pickupa. Towarzyszyła mu zdalnie sterowana kamera na wysięgniku.

Dowodzący akcją odsunął Boga, mnie i chłopaków z drogówki na bezpieczną odległość. Wszystko nie trwało dłużej niż pięć minut. Po tym czasie dostaliśmy pozwolenie na przeszukanie poloneza.

- Nieźle fanty na tym targu - stwierdził Bogen po kwadransie.

W samochodzie znajdowało się wiele rzeczy, ale żadna z nich nie miała nic wspólnego z handlem dywanami. Były tam dwie kominiarki, karabin Kałasznikowa, sporo narzędzi, w tym nożyce do cięcia blachy, kanister benzyny i dwa przygotowane do użycia ładunki wybuchowe z zapalnikami czasowymi.

Wezwaliśmy dochodzeniowców, a ci z kolei przekazali sprawę chłopakom od przestępczości zorganizowanej. Przestaliśmy być potrzebni i dostaliśmy kopa w tyłek. Policjant często nie widzi finału spraw, których rozwiązanie zainicjował. Można się świetnie sprawić, schwytać sprawców, a splendor spływa na kogo innego. Bywa i tak. To cena zawodu, gorzka

pigułka, którą musieliśmy nader często przełykać. Człowiek ma szczęście, jeśli z opowieści kolegów dowie się, jaki był finał dochodzenia.

W tym wypadku jeden z kumpli opowiedział nam szczegóły. Zatrzymani należeli do zorganizowanej grupy, która na zlecenie zajmowała się wykonywaniem wyroków, zamachów i zastraszaniem. Ludzie ci nie mieli żadnej określonej przynależności organizacyjnej, pracowali dla tego, kto zapłacił. Jeden z członków grupy służył w Legii Cudzoziemskiej i był poszukiwany listem gończym, drugi był Rosjaninem z wojskową przeszłością, trzech kolejnych przed rozpoczęciem kariery przestępczej... handlowało jabłkami.

Ofiarą okazał się adwokat, szef jednej z lubelskich kancelarii. Wziął od mafii pieniądze w zamian za obietnicę wyciągnięcia kogoś z więzienia. Zamach był zemstą za niewykonanie zlecenia i odmowę zwrotu wynagrodzenia.

Napad z użyciem

Usłyszałem strzał. Nietypowy, cichy strzał, który nie przypominał odgłosu żadnej broni, jaką znałem ze strzelnicy. W biegu wyciągnąłem pistolet i nacisnąłem spust. Rozległ się znajomy, przyjemny huk cezetki. Po nim nastąpiła jednak cisza zmacona jedynie szelestem liści, po których biegłem. Żadnych jęków, okrzyków. Nic.

Najwyraźniej spudłowałem.

Prawdę mówiąc, spodziewałem się tego. Nie celowałem, bo nie miałem nawet pojęcia, gdzie znajduje się przeciwnik. Zatrzymałem się nagle, rozglądając dookoła. Pustka. Pustka, drzewa i krzaki.

W krzakach siedział on, choć nie mogłem tego wtedy wiedzieć. Trzymał w ręku wymierzoną we mnie broń.

Informację o napadzie na dom w dzielnicy willowej otrzymaliśmy z Bogenem w momencie, kiedy obaj uznaliśmy, że do końca służby czeka nas tylko planowanie czasu na nadchodzący weekend.

- Może by tak piwko w sobotę wieczorem, Krzysiek?

Pokręciłem głową.

- Nic z tego, stary. Mecz.

- Znowu?

- Jak co tydzień. Ekstraklasie jakoś się nie dziwisz.

- Oni jeżdżą mercedesami i pukają modelki. A ty się tłuczesz z jakimiś karkami. Mało ci tego w robocie?

- Od razu widać, że w życiu nie widziałeś meczu rugby.

- Tu akurat pełna zgoda. W życiu nie wytrzymałem przy żadnym do końca. Nuda.

Szykowałem się już, żeby po raz kolejny spróbować wyjaśnić Bogenowi tajniki sportu, który od niedawna uprawiałem z takim zaangażowaniem, ale przeszkodził mi dyżurny.

- Włamanie na Pędziszewskiej. Kto jest w okolicy? Tylko ostrożnie, jest informacja, że napastnicy są uzbrojeni.

Bogen chwycił za radio, jakby czekał na to cały dzień.

- Tu osiem cztery, jedziemy tam.

- Drugi koniec miasta - powiedziałem, kiedy odłożył mikrofon.

- Tylko jeśli nie zna się skrótów - odparł, zjeżdżając na pobocze.

Wyskoczyliśmy szybko z wozu, włożyliśmy wyjęte z bagażnika kamizelki kuloodporne i chwilę później Bogen wciskał gaz do dechy. Jechał szybko i pewnie. Obok Darka był jednym z lepszych kierowców, jakich spotkałem podczas mojej pracy w policji.

Przyjechaliśmy na miejsce równocześnie z radiowozem drogówki, który patrolował dzielnicę.

Dom otaczał wysoki płot z kutego żelaza. Brama i furtka były zamknięte, zaś po posesji biegały dwa doberman. Panował spokój. Nie wyglądało na to, żeby cokolwiek się tu działo.

- Spokojnie coś.

- Mogą być jeszcze w środku.

- Aha. I przebrnęli nad pieskami - mruknął Bogen. Przyjrzał się ujadającym czworonogom. Jeden był energiczny i chciał nas rozszarpać. Drugi sprawiał wrażenie sennego. Bogen ruszył w stronę płotu. - Zobaczmy, czy otwiera się z drugiej strony.

Nim zdołałem zaprotestować, mój partner wdrapał się na płot i przelożył nogę. Psy rzuciły się na płot, nawet ten drugi się ożywił. Kotłowały się, wyskakując coraz wyżej w górę. Bogen zawahał się.

W tym samym momencie jeden z dobermanów chwycił go za łydkę.

Kiedy mój partner próbował wyrwać nogę ze szczęk dobermana, wyciągnąłem pistolet. Zwierzęta boją się huk. Wiedziałem więc, że jeśli oddam strzał lub dwa w powietrze, prawdopodobnie podkulą ogony i uciekną w stronę domu. Psy dalej zawzięcie rzucały się na

Bogena, a ten, który go ugryzł, cały czas wisiał na nodze i spodniach, kręcąc łbem, jakby chciał wyrwać kawał mięsa.

W momencie, w którym uniosłem broń, Bogenowi udało się wyrwać nogę. Jednym susem wrócił na naszą stronę płotu.

- Cały jesteś? - spytałem.

- Cały, cały. - Wstał z ziemi, otrzepując się. - Nie chwycił dobrze, skurwiel. Tylko nogawkę mi poszarpał.

- Co z nimi robimy? - zapytał jeden z policjantów drogówki.

- Nie wejdzimy, chyba że je odpalimy - powiedziałem to, czego wszyscy chyba już zdążyli się domyślić.

Bogen spojrzał na mnie. Wiedziałem, co ten wzrok mówił. Owszem, było wezwanie, ale w domu nie paliło się światło, teren był pusty, a brama zamknięta. Psów też nikt nie otruł, wręcz przeciwnie, wyglądało na to, że są w świetnej formie. Senność jednego z nich mogła przecież być tylko moją interpretacją. Nie chcieliśmy zabijać dwóch, jakby nie było, niewinnych zwierzaków tylko po to, by później okazało się, że wezwanie było pomyłką.

Na szczęście dylemat został rozwiązany za nas.

- Patrz - powiedział Bogen, wskazując na dom.

Przez frontowe drzwi wyszedł mężczyzna, cały we krwi, który chwiejąc się, krzyknął coś w naszą stronę. W tym samym momencie otworzyła się brama. Oba psy momentalnie pobiegły w stronę pobliskiego lasu, a my podbiegliśmy do poszkodowanego. Nie wyglądał dobrze. Miał wielkie rozcięcie tuż za uchem, zachował jednak sporo przytomności i mówił z sensem. Szybko i sprawnie udzielił nam podstawowych informacji.

Napastników było trzech. Wyglądali na Cyganów. Jeden z nich uderzył gospodarza ciężkim przedmiotem, prawdopodobnie pałką (a zatem mogliśmy przypuszczać, że nie mieli broni palnej - choć w tym wypadku okazało się to fałszywym założeniem). Brak było innych poszkodowanych. Żona była w pracy, dzieci w szkole. W momencie naszego przyjazdu napastnicy uciekli do lasu przez tylną furtkę posesji.

Kazałem chłopakowi z drogówki wezwać karetkę. Tymczasem Bogen, załoga drugiego radiowozu, który w międzyczasie zdążył nadjechać, oraz ja ruszyliśmy biegiem za bandziorami. Tuż za furtką okazało się, że weszliśmy nie w żaden zagajnik w sam raz na rodzinny grilla, tylko w porządy, gęsty las. Nie było wyjścia, musieliśmy się rozdzielić.

Kilkaset metrów biegłem na oślep, wiedząc, że w tych warunkach szanse na znalezienie kogokolwiek były nader nikłe. Byle kępa krzaków wystarczyłaby, żeby się ukryć. Do tego dochodziły niewielkie wzniesienia i pokryte liśćmi wykroty. Logicznie rzecz ujmując, na tak rozległej i łatwej do ukrycia się przestrzeni nie dało się znaleźć kogoś, kto miał nad nami kilka minut przewagi i dość rozumu, żeby znaleźć sensowną kryjówkę.

Liczyłem na coś innego.

Na stres. Widok biegnącego policjanta często sprawia, że uciekinierowi puszczają nerwy. Szybko okazało się, że miałem rację i masę szczęścia. Rozległ się cichy strzał, a ja, wciąż biegnąc, odbezpieczyłem swój pistolet i krzyżąc: „Stój, policja!”, odpowiedziałem ogniem. Potem nastąpiła cisza.

Nie wiedziałem, gdzie jest przeciwnik. W gęstym lesie huk wystrzału niósł się w taki sposób, że trudno było ustalić jego źródło. Postanowiłem zablafować.

- Na ziemię, kurwa! Policja! - wrzasnąłem.

Trafiony, zatopiony.

Z krzaków po mojej prawej stronie poderwał się bandzior najwyraźniej przekonany, że naprawdę mam go na muszce.

Oddałem dwa strzały w jego stronę - uznałem, że skoro użył broni, gotów jest użyć jej ponownie, więc nie będę czekał, aż to zrobi. Spudłowałem, niestety.

Zacząłem biec.

Przez kilkaset kolejnych metrów goniłem za włamywaczem, czując, że dystans pomiędzy nami powoli się zmniejsza. Mecze rugby wyrobiły we mnie zarówno niezłą szybkość, jak i wytrzymałość. W końcu mój Cygan (zeznania napadniętego okazały się prawdziwe także w tym szczególe) potknął się i upadł na ziemię. Zanim wstał, dopadłem go. Wściekłą próbę oporu zgasilem uderzeniem pistoletu w skroń. Skułem mu dłonie, po czym przeszukałem. Zza paska wyjąłem pistolet. Lufa śmierdziała gazem.

Sięgnąłem po krótkofalówkę i wezwałem wsparcie.

Jeśli już o tym mowa: w nowoczesne przenośne radia wyposażono nas całkiem niedawno. Błyskawicznie nauczyliśmy się doceniać ich zalety. Były wielkości paczki papierosów, można je było przyczepić do paska, a ze światem porozumiewać się za pomocą mikrofonu i słuchawki, nieco podobnych do dzisiejszych zestawów wchodzących w skład wyposażenia telefonu komórkowego.

Oczywiście, początki były trudne. W Pionkach w zasadzie wyposażenie było jeszcze milicyjne: wielkie radia, montowane na stałe w samochodach. Nie darzyliśmy ich szczególną atencją - były zawodne, miały mały zasięg i ogólnie nie budziły zaufania. Już w Lublinie przesiedliśmy się na stacje Ericssona ito było pokonanie jednym krokiem dystansu od starożytności do co najmniej renesansu. Radio miało znacznie mniejsze gabaryty, większy zasięg i dało się łatwo wyjmować z samochodu. W Puławach używaliśmy jeszcze nowocześniejszego sprzętu: portatywnych krótkofalówek Motoroli. Były świetne i wygodne, miały natomiast jedną cechę, która czasami potrafiła policjantowi na służbie nieźle uprzykrzyć życie: mianowicie wzbudzały się, gdy znalazły się zbyt blisko jedna drugiej. W zupełnie nieoczekiwanych momentach wydawały z siebie przeraźliwy pisk i szum, co bywało zabawne, a czasami niebezpieczne. Ofiarą takiego zdarzenia padł pewnego razu Bogen. Chodził mianowicie za pewnym przestępcą i poszedł za nim do kościoła na mszę. W czasie podniesienia obok świątyni przejeżdżał radiowóz. Stacje „zobaczyły się” i sprzęt mojego partnera wydał z siebie potężny, piskliwy głos. Wszyscy wierni spojrzeli z dezaprobatą. Ksiądz pod koniec mszy zęgnął wiernych, „tych, którzy byli tu z potrzeby serca, oraz tych będących w Domu Bożym służbowo”. Nie trzeba dodawać, że wtedy akurat inwigilacja nie przyniosła spodziewanych efektów.

Teraz jednak obyło się bez niespodzianek. Przywołane wsparcie odebrało ode mnie bandziora. Okazało się również, że chłopaki z drogówki złapały drugiego z włamywaczy. Trzeciemu, którego ścigał Bogen, niestety udało się zwać. Wracając z zatrzymanymi do radiowozu, znaleźliśmy w krzakach plecaki wypchane fantami z willi.

Kiedy dotarliśmy na posterunek, Cyganie zostali wzięci w obroty przez chłopaków z kryminalnej, a ja zająłem się obowiązkową robotą papierkową. Oddałem kilka strzałów i należało to zgłosić dyżurnemu. Godzinę później ruszyłem w stronę pokojów przesłuchań. Interesowało mnie, czy bandzior, którego złapałem, cokolwiek powiedział.

- Jak poszło? - spytałem Roberta, chłopaka z kryminalnej, który wyszedł na chwilę z pokoju.

- Stara recydywa. Pieprzy tylko jakieś bzdury.

- Jakie?

- Zależy, w którą stronę powieje wiatr. Raz się chwali, że jest przestępcą, gdzie siedział, i tak dalej. Innym razem, że jest jakimś bogiem zemsty. W obu wersjach facet twierdzi, że pojawił się na świecie po to, żeby zabijać policjantów.

- A coś odnośnie do napadu?

- Gdzie tam. To, co ci mówię, to i tak najsensowniejsze ze wszystkiego, co dotąd powiedział. Ale jedna rzecz może cię zainteresować.

Zaprowadził mnie do pokoju przesłuchań, gdzie siedział zatrzymany przeze mnie włamywacz. Gdy weszliśmy, nawet nie podniósł wzroku. Natychmiast zauważyłem jednak, o co chodziło Robertowi. Pod butem Cygana rozlała się spora kałuża krwi.

A jednak udało mi się faceta trafić.

- Wezwij lekarza - powiedziałem do Roberta. Gdy wyszedł, spojrzałem na zatrzymanego. Podniósł wzrok.

- Wypierdalaj razem ze swoim lekarzem - warknął.

- Uspokój się. Pogadamy?

- Czego chcesz, psie jebany?

Chciałem, by zdał sobie sprawę, że mogłem go zabić. Straszanie go więzieniem nie miało sensu.

- Masz szczęście. Mogłem cię lepiej trafić - powiedziałem.

Nie odezwał się. Skoczył na równe nogi tak sprawnie, jakby w nogę weszła mu drzazga, nie dziewięćmilimetrowa kula. Nie dałem się zaskoczyć. Zanim mnie dopadł, uderzyłem go „ze łba”. Poleciał na plecy. Wtedy dopiero okazało się, że stopa mu jednak dokuczała. Nie próbował nawet wstać, odczołgał się tylko pod ścianę.

- To ty masz, kurwo, szczęście - syknął przez zaciśnięte zęby. Przez jego twarz przebiegł skurcz bólu. Adrenalina właśnie z niego opadała. Zaczął mu doskwierać ból złamanego nosa i zranionej nogi.

- Ja? - zaśmiałem się i ruszyłem w jego kierunku. Powiem szczerze, miałem ochotę jeszcze mu przyłożyć.

- Miałem cię na muszce tam, w krzakach.

Rzeczywiście, z miejsca, w którym się wtedy schował, mógł mnie widzieć. Nie przejąłem się tym jednak. Uśmiechnąłem się szeroko.

- No, to bym się nawdychał gazu.

- Nie, kurwa. Masz szczęście, że nie miałem ostrego.

Podniosłem pięść. Nie uderzyłem jednak. Uśmiech zniknął mi z twarzy.

Człowiek, którego złapałem, nosił na ramieniu więzienny tatuaż z wojskowymi insygniami majora, wysoki stopień w środowisku przestępców. Ktoś taki mógł mieć z pewnością dostęp do broni palnej. Nie zabrał jej na włam zapewne dlatego, że uznał ją za niepotrzebną. W końcu to był tylko napad na willę. Nic groźnego.

Siedząc wtedy w krzakach, celując do mnie z gazówki, Cygan mógł trzymać w ręku prawdziwy pistolet. Gdy to sobie uświadomiłem, nieco ugięły się pode mną nogi. Szanujący się złodziej, który bierze broń ostrą na robotę, nie waha się jej użyć. „Bóg zemsty, zesłany, by zabijać policjantów”, nie zawahałby się na pewno. Tym razem było inaczej. Powiedzieć, że miałem więcej szczęścia niż rozumu, to nic nie powiedzieć. W zasadzie powinienem już nie żyć.

Zabójstwo

Psy w kojcu przy bramie rzucały się na kratę klatki, ujadając głośno. Z ich pysków ściekała piana. Poza tym wokół nie było żywego ducha. Wielki stary dom z czerwonej cegły, która gdzieniegdzie zaczęła już kruszeć, stodoła z pociemniałych desek. Pola. Wielkie połacie pól, na które padał zimny, siąpiący deszcz. A gdzieś w oddali, na samym środku, dwóch stojących nad workiem ze zwłokami policjantów.

Ruszyliśmy w tamtą stronę. Bogen, technik kryminalistyczny z komendy, posterunkowy z Magnuszewa o nazwisku Adamski i ja. Owinąłem się szczelniej kurtką. Wiał chłodny, przesywający wiatr.

- Kurwa - pomiędzy zawodzenia kolejnych podmuchów doszedł mnie cichy głos Bogena.

Chciałem spytać „Co jest”, ale momentalnie sam to poczułem. Ziemia rozmiękła, zamieniła się w błoto i teraz wlewała się do butów. Kurwa, pomyślałem, próbując wyciągnąć stopy z brunatnej brei. Staryś, a głupiś. W taką pogodę na wieś jeździ się w kaloszach.

Magnuszew znakomicie pasował do powiedzenia „wiocha zabita dechami”. Przy głównej ulicy stało zaledwie kilka domów, kolejnych kilka było rozrzuconych pośród pól. Miejscowy posterunek zatrudniał trzech policjantów. Byłem niemal pewien, że nigdy nie pracowali nad czymś poważniejszym niż jazda po pijaku.

- Zgłoszenie przyszło o 6.00 - powiedział Adamski, kiedy już zbliżyliśmy się do zwłok. W tym czasie jego koledzy rozpięli worek.

Znajdował się w nim mężczyzna w wieku około trzydziestu lat, ubrany stosownie do miejsca. Miał na sobie gumofilce i pobrudzone błotem spodnie. W zasadzie wyglądał dość typowo. Dwudniowy zarost, brak przedniego zęba. Przeciętą twarz, ani przystojna, ani brzydka. Leżał w kałuży krwi pomieszanej z wodą, z głową tuż obok wielkiego głazu, na którym widać było czerwone smugi.

- Kto to zgłosił? - spytał Bogen.

- Genowefa Zielińska - odparł Adamski. - O, tam mieszka.

Wskazał dłonią na majaczący w oddali dom pod lasem.

- Denat to jej syn Zbyszek. Znalazła go rano w polu.

- Wygląda, jakby go coś pogryzło - powiedziałem.

Pozostali kiwnęli głowami. I bez sekcji było widać, że Zieliński miał na sobie liczne rany, mniejsze i większe, wyglądające jak ślady po zębach. Gdzieniedzie mięso było wręcz wyrwane.

Adamski wzruszył ramionami.

- Psy go mogły pogryźć. Wie pan, jak to na wsi, tu u każdego pies, czasem kilka. A mało którego trzymają na łańcuchu.

- Co denat robił wczoraj wieczorem? - spytałem.

- Był u sąsiadów, Nowaków. Jak tu szliśmy, mijaliśmy ich dom. Podobno Zbyszek pił z młodym Nowakiem wódkę. Na noc już nie wrócił.

Technik rozłożył sprzęt: miarki policyjne, specjalne numery. Potem wyciągnął aparat i chroniąc go przed deszczem, zaczął robić zdjęcia. Błysnął flesz.

Staliśmy chwilę w milczeniu. Nie mieliśmy tu wiele więcej do roboty.

- No dobra - powiedział w końcu Bogen. - Chodźmy do tej Zielińskiej.

Na podwórzu domu pod lasem obok zaparkowanego malucha stały trzy osoby. Genowefa Zielińska zdążyła już ubrać się na czarno. Miała przekrwione od płaczu oczy. Obok stali kobieta i mężczyzna, oboje mniej więcej w wieku denata.

- Dzień dobry, pani Zielińska.

- Dzień dobry, panie Adamski - odparła kobieta słabym głosem. - Dzwonili, że karawan niedługo przyjedzie. - Wskazała na towarzyszącą jej parę. - To córka i zięć.

- Dzień dobry. Przyprowadziłem policjantów z Puław.

Cała trójka kiwnęła nam głowami.

- Możemy porozmawiać na osobności? - spytał Zielińską Bogen.

Weszli razem do domku, a ja próbowałem dowiedzieć się czegoś od siostry nieboszczyka.

- Dawno pani przyjechała?

- Jakąs godzinę temu. Zadzwonili do nas z posterunku. Chcieliśmy tam pójść, zobaczyć, ale policjanci poprosili, żebyśmy się nie kręcili.

- Wie pani, co brat wczoraj robił?

Usłyszałem tę samą historię co wcześniej, z drobnym zastrzeżeniem, że dziewczynie „tak powiedziano”, bo sama tu nie mieszka. Kiedy wrócił Bogen, okazało się, że ta sama wersja wydarzeń padła z ust matki.

- Nie ma co tu siedzieć - powiedziałem. - Nic nowego się nie dowiemy.

Bogen skinął głową.

- Zajmiecie się formalnościami, dobra? - powiedział w stronę Adamskiego. - Potem ściągniemy państwa na posterunek i rozpytamy dokładnie.

Ruszyliśmy z powrotem. Właśnie ładowano zwłoki do karawanu. Samochód zakopał się w błocie, więc karawaniarze musieli taszczyć zwłoki na noszach dobre dwieście metrów. Odprowadziliśmy wzrokiem niknący w deszczu karawan, po czym poczłapaliśmy do Nowaków, klnąc i narzekając na błocko i zimny wiatr.

Przedstawiliśmy się, a Stefania i Ryszard Nowakowie sprawiali wrażenie, jakby na nas czekali.

- Szkoda Zbyszka - powiedziała gospodyni, robiąc nam herbatę. Tymczasem młody Nowak siedział z nami, kiwając smutno głową. Chyba miał jeszcze kaca. - To nie był zły chłopak. Tylko ksiądz, bo ja pracuję u niego, mówił, że do spowiedzi nie chodził. Ale u młodych to częste.

Dom Nowaków sprawiał wrażenie zadbanego i dość zamożnego, zaś jego mieszkańcy wydawali się ludźmi na poziomie. Ryszard utrzymywał się z roli, ale nie wyglądał na typowego rolnika.

- Dużo wczoraj wypiliście?

Nowak rozłożył ręce.

- Zrobiliśmy dwie butelki, ale to nie pierwszy raz.

- A potem?

- To co zwykle. Pogadaliśmy, zjedliśmy, a jak wódka się skończyła, to Zbyszek poszedł. Ciemno już było i zaczynało padać.

- Widzieliście się później?

- Później to już dopiero rano, jak policja przysłała i powiedzieli, że umarł tam, na polu. Może jakieś psy go zagryzły. Może się przewrócił i zasnął, a one go...

- Psy?

Nowak sprawiał wrażenie odrobinę zagubionego we własnym wywodzie.

- Albo może wilki.

- A te psy? - Spróbowałem wrócić na poprzedni trop. - Pan mówi o tych na podwórku?

Wydają się agresywne.

- Nie, ja swoich nigdy nie puszczam na noc. Zawsze są w kojcu.

- Wczoraj też?

- Zawsze.

To było wszystko, co zdołaliśmy ustalić. Gdy wyszliśmy od Nowaków, zrobiło się ciemno. Lało coraz bardziej.

- Spójrz - powiedziałem do Boga.

- Na co? W oddali, po drugiej stronie pola było widać słabe światło domu Zielińskich.

Poza tym drobnym żółtym ognikiem cała okolica zlała się w jedną czarną masę.

- Gdybyś wtedy wracał w taką pogodę? Do tego napity?

- Pewnie sam bym się wyjebał. I to nie raz.

- Ano właśnie.

Bogen spojrzał na mnie. Wiatr szarpał połami jego płaszcza.

- Tylko czemu miałbyś walnąć potylicą akurat w jedyny duży kamień w promieniu kilometra?

To było pytanie za sto punktów.

Pojechaliśmy na posterunek. Poleciliśmy Adamskiemu wezwać rano wszystkich związanych w jakiś sposób z ofiarą na przesłuchania. Ciało tymczasem zabrano do kliniki medycyny sądowej na oględziny. Postanowiliśmy, że jutro z samego rana weźmiemy w nich udział.

Sekcja nie przyniosła przełomu. Zbigniew Zieliński zmarł na skutek uderzenia w głowę tępym przedmiotem. Liczne pogryzienia nie mogły być przyczyną zgonu, choć lekarz stwierdził, że nie sposób ustalić, czy powstały przed, w trakcie czy już po śmierci. Równie niejasne pozostawało, jakie zwierzę było ich sprawcą. Oczywiście któreś z psowatych, ale nie dało się

rozróżnić, czy zwykły domowy pies, czy, jak sugerował Nowak, wilki, które ostatnio pojawiły się w okolicy i uprzykrzały życie mieszkańcom.

Nadal nie było pewności, czy mamy do czynienia z zabójstwem, czy z nieszczęśliwym wypadkiem.

- Co sądzisz? - spytałem Bogena, kiedy wracaliśmy z powrotem do Magnuszewa.

- Niby ładnie się wszystko układa. Był pijany? Był. Padało? Lało, a on szedł przez pełne błota pole. Coś go pogryzło, ale nie od tego umarł. Ale poza tym tak naprawdę nic nie wiemy. Facet musiałby mieć gigantycznego pecha.

- Będzie trzeba pogadać.

- Będzie.

W takich wypadkach, gdy nic nie wiadomo na pewno, pozostają dalsze przesłuchania. Postanowiliśmy skoncentrować się na Ryszardzie Nowaku. Jeśli coś w tym wszystkim było nie tak, on najprawdopodobniej o tym wiedział. Nieszczególnie odkrywczą, potwierdzoną statystyką zasada mówi, że najczęściej winny jest ten, kto ostatni widział ofiarę żywą. Według naszych informacji był to właśnie młody Nowak.

Zaczęliśmy od przesłuchań tych osób, które, jak się spodziewaliśmy, powiedzą nam najwięcej. Liczyliśmy, że gdzieś po drodze padnie jakaś informacja, którą będziemy mogli wykorzystać w rozmowie z Nowakiem.

Rodzina zabitego konsekwentnie powtarzała tę samą opowieść co poprzednio. Ani mnie, ani Bogena szczególnie to nie dziwiło. Tak naprawdę z nich wszystkich tylko Genowefa Zielińska mogła powiedzieć coś konkretnego. Wyglądało jednak na to, że zrobiła to za pierwszym razem.

Matka Nowaka twierdziła, że niczego nie wie. Ponieważ tego dnia robiła u księdza gruntowne porządki, z pracy wróciła zmęczona. Przygotowała synowi posiłek i krótko po pojawieniu się Zbyszka poszła spać. Miało to być około 20.00, czyli zanim obaj młodzi zaczęli porządnie pić.

- Wygodne - stwierdziłem, kiedy poszła już do domu.

- Co takiego? - spytał Adamski.

- Sąsiad zdycha pięćdziesiąt metrów od domu, a wcześniej łoł z synkiem dwie butelki.

Też wolałbym pójść wcześniej w kimę.

- Myślicie, że kłamie?

Bogen machnął ręką.

- Niekoniecznie. Może nie chce o niczym wiedzieć. A sen to dobra wymówka. - Spojrzał na mnie. - Krzysiek, zapomnieliśmy spytać ją o psy.

Uderzyłem się dłonią w czoło.

- Kurwa, jak wchodziła, to jeszcze pamiętałem.

- Jakie psy? - zainteresował się Adamski.

- Nowak twierdził, że nigdy nie puszcza psów na noc. Zastanawialiśmy się, co by powiedziała Nowakowa.

Posterunkowy zrobił zaskoczoną minę.

- Bzdura - powiedział. - On te psy bardziej kocha niż ja swoje dzieci. Wszystkim mówi, że są specjalnie szkolone. Oczywiście, że puszcza je na noc, każdy wam to powie.

Mieliśmy pierwszy punkt zaczepienia.

Kiedy przyszedł Nowak, daliśmy mu opowiedzieć jego wersję jeszcze raz. Tym razem nie wspominał o swoich podejrzeniach odnośnie do wilków.

- A pana psy?

- Co z nimi?

- Sąsiedzi mówili, że puszcza je pan na noc.

Ryszard zawahał się. To nie był głupi człowiek i nie próbował zaprzeczać.

- No... tak - powiedział. - A o co chodzi?

- Nam pan mówił, że nigdy ich pan nie wypuszcza, nawet na noc. - Tak mówiłem? Musiałem być zdenerwowany. Nawet jeśli rzeczywiście był, to ani wtedy, ani teraz nie dał tego po sobie szczególnie poznać.

- A tamtej nocy? Puszczał je pan?

- Tamtej nocy nie. Jeszcze by Zbycha pogryzły...

- Pijany pan był. Może pan nie pamiętać.

- Psy były w kojcu.

Przesłuchanie dobiegło końca. Nowak albo rzeczywiście nie miał ze śmiercią kumpla nic wspólnego, albo minął się z powołaniem i powinien być zostać aktorem. Przez kolejny tydzień codziennie wzywaliśmy go na posterunek. Codziennie mówił to samo. Siódmego dnia złożyliśmy wniosek o pozwolenie na podsłuch. Liczyliśmy na to, że to, czego nie mówi nam, powie matce.

Niecały miesiąc po zabójstwie, gdy Nowakowie byli w kościele, policyjni technicy weszli do ich domu i zamontowali pluskwy. Sami ulokowali się po przeciwnej stronie ulicy, na strychu u sąsiadów, którzy przyjęli ich niemal z radością: w Magnuszewie nie brakowało niedokończonych kłótni i starych zatargów, które dałoby się wykorzystać. W podobnych miejscach spory o najmniejsze głupoty potrafią ciągnąć się latami.

Kilka dni później mieliśmy już pierwsze nagrania. Przywiózł je Maciek, jeden z techników.

- Przesłuchiwałeś? - spytałem.

- Taaa, żadnych rewelacji. Oni w ogóle mało gadają w domu. Tylko wieczorami przy kolacji.

Ta wiadomość sprawiła, że duch w nas odrobinę upadł.

- Nic? Zupełnie nic? - nie dowierzał Bogen.

- Nie ma nic o zabójstwie. Ale jest coś dla wielkiego inkwizytora - powiedział Maciek, a na jego twarzy pojawił się tajemniczy uśmiech.

Okazało się, że Stefania Nowak jest kochanką proboszcza. Ksiądz przyjeżdżał do niej, kiedy Ryśka nie było w domu. Informacja ta teoretycznie do sprawy niczego nie wносиła, ale sprawiała, że można w nią było zaangażować nową osobę. Osobę, której zależało na tym, by informacja o romansie nigdy nie wyszła na jaw. Tę obietnicę proboszcz mógł od nas uzyskać w zamian za prawdę i wszystko, co zdradziła mu Stefania Nowak.

Choć nie znaliśmy adresu, kościółek znaleźliśmy łatwo. Jako że w okolicy większość domów miała wysokość jednej kondygnacji, widać go było z daleka. Zakrystia nie sprawiała wrażenia szczególnie bogatej, a na parkingu stała kilkunastoletnia toyota. Wyglądało na to, że duszpasterz Magnuszewa jest człowiekiem bardziej zainteresowanym raczej sacrum niż profanum. No, może nie licząc uwiedzenia parafianki.

Zadzwoniliśmy do drzwi. Otworzył nam niewysoki mężczyzna po sześćdziesiątce o łagodnych niebieskich oczach.

- Szczęść Boże! - przywitał nas.

- Dzień dobry - odparliśmy, wyciągając legitymacje.

Zaprosił nas do środka, a tam, nie bawiąc się w dalsze uprzejmości, wyłożyliśmy kawę na ławę. W księdza jakby piorun strzelił.

- Ona nic nie wie o tym, co się wtedy zdarzyło - tłumaczył. - Większość dnia spędziła u mnie, a potem naprawdę poszła spać.

- I synek nic jej nie mówił?

Ksiądz westchnął. Zdał sobie sprawę, że za szybko zaczął zaprzeczać. Nie nawykł do takich sytuacji.

- Mówił...

- Co?

- Pokłócili się po pijaku. Stefcia mówiła, że o pieniądze poszło, jakieś stare rozliczenia. Nawet nie wiem, kto komu był winien.

- Zrobił mu coś?

- Nowakowa mówiła mi, że Rysiek pobił się ze Zbyszkciem. Zieliński dopiero po bójce poszedł do domu. Wściekły był. No a Rysiek jeszcze psy spuścił na noc.

Spojrzałem na Bogena. Przeczucie nas nie myliło.

Od proboszcza pojechaliśmy bezpośrednio do Nowaków. W międzyczasie poprosiliśmy dyżurnego, żeby zorganizował nakaz przeszukania domu.

Pomimo solidnego przyciskania Ryszard Nowak przyznał się tylko do tego, co już wiedzieliśmy. Powiedział o kłótni, o pieniądzach i o bójce, nawet o tym, że spuścił psy. Ale ani słowa więcej. Uparcie twierdził, że kiedy je wypuszczał z kojca, był przekonany, że Zbyszek zdążył wrócić do domu. Utrzymywał, że nic nie wie o tępych przedmiocie, od uderzenia którego zginął Zieliński. Mówił, że wcześniej się denerwował, poza tym kierował nim strach przed aresztowaniem, dlatego się nie przyznał, że spuścił psy. Był pewien, że uznamy to za niezbity dowód winy.

Sąd mu uwierzył.

Biegli orzekli, że obrażenia, w wyniku których zginął Zieliński, mogły powstać wskutek poślizgnięcia się i uderzenia głową w kamień. Zwierzęta mogły zaatakować go już po śmierci i mogły być to wilki, nie psy, te bowiem raczej nie żywią się padliną. Tak mogło być. My w każdym razie nie mogliśmy udowodnić, że było inaczej.

Sprawę umorzono.

Dziś nie jestem pewien, czy w Magnuszewie niedaleko Lublina nadal mieszka niewinny człowiek, czy morderca spokojnie uprawiający rolę, widujący na co dzień matkę człowieka,

którego zabił. Wszystkie okoliczności wskazywały na niego, ludzie nie tak często upadają potylicą na jedyny w promieniu kilometra kamień, a potem zostają pogryzieni przez psy.

Brakowało jednak dowodów. Bywa i tak.

Rysio Gwoździak

Jestem pewien, że wszyscy pracujący na ulicy policjanci potwierdziliby pewną interesującą prawidłowość: w rejonie działania każdego komisariatu czy komendy operuje lokalny wariat.

Jak Polska długa i szeroka gliniarze na co dzień mają do czynienia, oprócz bandziorów różnego kalibru, z nawiedzonymi, stukniętymi, desperatami, potencjalnymi samobójcami czy agresywnymi osobnikami na granicy autodestrukcji.

Do klasycznych przypadków należał facet o imieniu Ryszard, znany w całym mieście recydywista. Rysio miał na koncie imponującą listę wyroków skazujących i z całego serca nienawidził glin. W przeszłości nie stronił od napaści na próbujących go zatrzymać funkcjonariuszy. Potrafił być bardzo niebezpieczny. Z wiekiem jego agresja nie wygasła, ale ponieważ ubywało mu sił i sprawności fizycznej, kierował ją raczej ku sobie. Dokonał wielu samookaleczeń. Podczas jednej z policyjnych interwencji posunął się nawet do rozprucia sobie nożem brzucha i wyrzucenia na zewnątrz części jelit. Lekarze połatali go jakoś i by zapobiec w przyszłości podobnym przypadkom, wstawili mu pod skórę tytanową, odporną na ciosy siatkę.

Rysio, to była postać.

Tego dnia jeździliśmy z Bogenem po mieście nieoznakowanym radiowozem. Służba ciągnęła się jak guma do żucia. Nic specjalnego się nie działo. Leniwie snuliśmy się po ulicach Puław i gadaliśmy o tym i tamtym, starając się zabić czas. W pewnym momencie zatrzeszczała radiostacja.

- Tu zero jeden. Gdzie jesteście, dwa czternaście?

- Tu dwa czternaście. Na Głównej - odparłem w mikrofon.

- Jedźcie na dworzec PKS. Rysio rozrabia.

Zakląłem w myślach.

- Niech go mundurowi zgną - zaproponowałem bez specjalnej nadziei. - Pojechali na wytrzeźwiałkę z kilkoma klientami. Jesteście najbliżej. - Jedziemy - powiedziałem zrezygnowany. Bogen pokręcił głową i bez słowa zawrócił samochód. Rysio był taką figurą, że

nikt nie miał najmniejszej ochoty się nim zajmować. Policjanci unikali kontaktu z nim jak ognia i wymigiwali się od interwencji na wszelkie sposoby. Gdy przychodziło zgłoszenie dotyczące Rysia, wszyscy nagle mieli coś pilnego do załatwienia albo po prostu znikali, jakby się pod ziemię zapadli.

My jednak dostaliśmy bezpośrednie polecenie od dyżurnego, dlatego z westchnieniem na ustach i niecenzuralnymi myślami w głowach skierowaliśmy się w stronę dworca PKS.

Gdy podjechaliśmy, zobaczyliśmy zbity, podniecony tłum. Wysiedliśmy z auta. Ponieważ z Rysiem nie było żartów, wyjęliśmy broń. W takich przypadkach zwykłem uzupełniać swój zestaw ratowniczy o batona. Mocno chwyciłem pałkę drugą ręką, cicho trzasnął teleskop. Ruszyliśmy do przodu, przepychając się pomiędzy ludźmi.

W końcu stanęliśmy na skraju kręgu.

Rysio miał blisko dwa metry wzrostu i ważył najwyżej siedemdziesiąt kilogramów. Wyglądem przypominał studziennego żurawia. Głowę, przestrzeń wokół oczu, kark, przedramiona i nogi pokrywały więzienne dziargi. Sporo tego było. Ręce miał ozdobione sznytami, na twarzy malowniczą, idącą przez nos i cały policzek bliznę po nożu albo tulipanie. Ubrany był ściśle wedle nakazów swego niezmiennego dress codeu: byle jaka, mocno zabrudzona koszula z kołnierzykiem, białe adidasy oraz hawajskie spodenki, sięgające niewiele za kolano i ukazujące chude jak patyki, długie i sine od tatuaży łydki.

Rysio toczył wokół wściekłym wzrokiem i wymachiwał złowrogo wyglądającym nożem. Od czasu do czasu rzucał ciężkim słowem. Najwyraźniej był pijany. Gdy nas zobaczył (mieliśmy w przeszłości okazję kilkakrotnie się spotkać, nie dręczyły go zatem wątpliwości co do naszej tożsamości), ożywił się znacznie. Stanął w rozkroku i zaczął jeszcze bardziej machać nożem.

- Wypierdalać, psy! Nie podchodźcie, bo się walnę! - krzyknął. Trzeba przyznać, że jego repertuar powitań prezentował się stosunkowo ubogo.

- Ryszard, uspokój się! - krzyknął w odpowiedzi Bogen.

- Spokój, Rysiu - włączyłem się i podszedłem o krok.

- Stójcie, kurwa. Ciachnę się, jak Boga kocham.

- Rysiu, daj spokój, po co ci to. Pojedziesz na wytrzeźwiałkę, prześpisz się i jutro cię wypuszczą - próbowałem mu przemówić do rozsądku.

Równie dobrze mógłbym rozmawiać z rybkami w swoim akwarium. Rysio cofnął się o pół kroku i ciachnął nożem. Ostrze przecięło bawełnę jego koszuli i weszło głębiej. Trysnęła

krew. Rzuciłem się do przodu. Baton poszedł w górę. Nim Rysio wykonał następne cięcie, pałka spadła na nadgarstek, nóż upadł na ziemię z brzękiem, a ręka przeciwnika opadła bezwładnie. Zamachnąłem się do następnego ciosu, ale w tym momencie Rysia dopadł Bogen. Kopnął go kolanem w udo i pchnął mocno. Rysio zwałił się na chodnik. Dopadliśmy go, jak lwica dopada upolowaną antylopę.

Pluł, wrzeszczał i smarkał, próbował się wyrwać, w pewnym momencie udało mu się nawet ugryźć Bogena w dłoń. Wspólnymi siłami odwróciliśmy go na brzuch. Trzasnęły kajdanki. Podnieśliśmy go. Cały przód koszuli był czerwony. Na chodniku zdążyła urosnąć sporych rozmiarów plama. Facet wykrwawiał się w szybkim tempie, co na razie w żadnej mierze nie ograniczało jego agresywności. Nadal się szarpał i próbował walczyć.

Uderzyłem go kilkakrotnie batonem po nogach i plecach, by trochę ochłonął. Korzystając z chwilowego osłabienia aresztanta, udało się zaciągnąć go do radiowozu. Usiadłem z nim z tyłu, Bogen natomiast prowadził i rozmawiał z dyżurnym.

- Tu dwa czternaście, mamy Rysia. Chlasnął się po brzuchu. Lekarz potrzebny.

- Zrozumiałem, dwa czternaście. Wzywam karetkę.

Rysio zdawał się nie słyszeć. Bluzgał i szarpał się. Miałem niejaki kłopoty z zatamowaniem krwawienia - każda próba pomocy z mojej strony spotykała się ze wściekłym oporem. Musiałem znowu użyć pałki. Ogólnie rzecz biorąc, droga upłynęła mi na naprzemiennych próbach niesienia pomocy i biciu.

Wjechaliśmy na dziedziniec komendy. Dyżurny przygotował się na nasz przyjazd, przysyłając do pomocy dwóch mundurowych. To był dobry pomysł, bo Rysio nie zdradzał najmniejszej ochoty opuszczenia radiowozu. Zapierał się nogami, pluł i gryzł, zdawał się w ogóle nie zwracać uwagi na swoją ranę. Możliwe, że zależało mu na jak największych stratach własnych. Mundurowi musieli użyć pałek i chwytów obezwładniających, by go w końcu wyciągnąć i usadzić na stojącej pod ścianą komendy ławeczce.

Rysio nieoczekiwanie uspokoił się.

W takiej konfiguracji doczekaliśmy przyjazdu karetki. Wtedy jeszcze w składzie zespołu nie było ratowników medycznych, tylko lekarz i pielęgniarka. Lekarz był starym wygą i oczywiście znał Rysia i jego repertuar. Nie komentując jego wyglądu ani stanu, podszedł do ławeczki i obejrzał ranę. Rysio był bierny, pozwolił nie tylko na oględziny, ale i na wstępne badanie. Już wtedy miał obmyślony następny krok.

Po chwili lekarz wyprostował się.

- Musicie go rozkuć - powiedział. - To niebezpieczne - pokręciłem głową. - Muszę mu zdjąć koszulę i położyć go - odparł lekarz zmęczonym tonem. - Nie zrobię tego, jak ma ręce skute na plecach.

- Jak chcesz. Ale to ryzyko. - Bogen zgasił papierosa. Lekarz miał rację, ale my wiedzieliśmy swoje.

- Biorę je na siebie. Nie chcę tu spędzić reszty dnia.

Wzruszyłem ramionami. Podszedłem do Rysia, obróciłem go, po czym przekręciłem kluczyk. Rysio nawet na mnie nie spojrzał. Demonstracyjnie rozcierał nadgarstki.

Cofnąłem się.

- Gotów - powiedziałem.

Rysio skoczył niczym przyczajony tygrys i ukryty smok w jednym. Schylił się błyskawicznie, chwycił coś z ziemi, podniósł ręce do czoła, po czym w jednym szybkim ruchu wyprostował się, robiąc zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, a następnie z rozmachem huknął głową o ścianę komendy.

Odgłos uderzenia utonął w pełnym cierpienia krzyku.

Zareagowałem jako pierwszy. Dopadłem Rysia akurat w momencie, kiedy osuwał się na kolana. Złapałem go i odwróciłem twarzą do siebie. Jego usta wykrzywione były w grymasie cierpienia połączonego z satysfakcją.

U nasady nosa natomiast, tuż poniżej kości czołowej, sterczała główka od gwoźdźca.

Nie bez przyczyny facet po przyjeździe lekarza zaniechał walki i pozwolił się zbadać. Chciał po prostu uspić naszą czujność. Udało mu się to. Tuż obok ławki, co stwierdziliśmy później, starając się odtworzyć bieg wydarzeń, dostrzegł bowiem leżący na ziemi gwóźdź, tak zwany papiak. Gdy go rozkuliśmy, rzucił się w dół, podniósł gwóźdź, przytknął go ostrym końcem do starannie obmyślnego miejsca na twarzy, po czym użył ściany komendy jako młotka.

Co ciekawe, nie stracił przytomności.

Lekarz zaklął, po czym krzyknął na pielęgniarkę. Ponieważ Rysio nie tylko zachował świadomość, ale także zdolność chodzenia, w asyście dwóch mundurowych został błyskawicznie zapakowany do karetki, która kilka sekund później z wyciem syreny opuściła policyjny dziedziniec.

Powlokłem się do komendy odbębnić obowiązkowy haracz papierologii. Korytarze huczały od rozmaitych wersji niedawnego zdarzenia, ale nie słuchałem ich ani nie odpowiadałem na żadne pytania.

Dopiero nazajutrz pojawiłem się w szpitalu. Lekarz przyjął mnie w malutkim pokoiku na OIOMie.

- Miał pan sporo szczęścia - stwierdził.

- Ja? - zdziwiłem się.

- Ten pana aresztant był o milimetr od śmierci. Dosłownie. Wbił sobie gwóźdź o długości trzech centymetrów tuż pod kością czołową i żyje. Milimetr w bok i byłoby po krzyku.

- No, to raczej Rysio miał szczęście, nie uważa pan? - zapytałem.

- On też. - Lekarz uśmiechnął się zmęczonym uśmiechem człowieka po całodobowym dyżurze.

Obaj wiedzieliśmy, o czym mowa. Gdyby aresztant dokonał na oczach kilku funkcjonariuszy śmiertelnego samookaleczenia, formalnościom nie byłoby końca. Mielibyśmy dużo szczęścia, jeśli obyłoby się bez postawienia któremuś z nas zarzutów.

- Kiedy wyjdzie? - zapytałem.

- Dziś.

- Tak szybko? - zdziwiłem się. - Myślałem, że po operacji kilka dni się leży.

- Nie będzie operacji. Uznaliśmy, że to zbyt niebezpieczne. Zostawiamy gwóźdź tam, gdzie jest.

Od tej pory facet zyskał w środowisku przydomek Gwoździk. Rysio Gwoździk. Był jedynym znanym mi człowiekiem żyjącym z tytanową siatką w brzuchu i główką trzycentymetrowego papiaka sterczącą z czerepu.

Kałachy na sprzedaż

Dzieliło nas całe pokolenie. Pan Stanisław miał trzydzieści lat stażu w policji, a to było więcej, niż ja w ogóle chodziłem po świecie. Na co dzień mówiłem mu grzeczne „Dzień dobry” i do tego ograniczały się nasze kontakty. Nie należał do szczególnie wylewnych. Mijaliśmy się w korytarzach, wiedząc o sobie tyle, że istniejemy. Dlatego kiedy zaprosił mnie na piwo po pracy, byłem zaskoczony.

Knajpą, którą wybrał na spotkanie pan Stanisław, z pewnością należała do jego ulubionych. Ten na co dzień elegancki, spokojny i cichy mężczyzna po przekroczeniu progu lokalu nagle zmienił się w duszę towarzystwa. Chętnie rozmawiał z obsługą i co chwila wymieniał żartobliwe uwagi z kelnerką Basią, kobietą w średnim wieku, ale o niebanalnej urodzie i imponującym biuście.

Mój starszy kolega czuł się tam znakomicie.

Na stole wylądowały dwa złociste piwa, a pan Stanisław spoważniał. Nadszedł wyraźnie czas przejścia do konkretów.

- Krzysztof, sprawę mam do ciebie. Kiwnąłem głową. Nie spodziewałem się, że o trzy dekady starszy daleki znajomy z pracy nagle postanowił się zaprzyjaźnić. Uznałem jednak, że wspomnianie o tej oczywistości byłoby nie na miejscu.

- Siostrzenicę mam. Młodą, ładną dziewczynę. Studiuje w Warszawie.

Nadstawiłem ucha.

- Ma problemy?

Praca zmienia policjanta. Człowiek codziennie spotyka się niemal wyłącznie z ciemną stroną życia, zaczyna być na nią wyczulony. W skrajnych wypadkach zdarza się, że dostrzega tylko ją. To, nawiasem mówiąc, jedna z przyczyn, dla których tak wielu z nas sięga po alkohol.

Pan Stanisław machnął ręką.

- Nie. I dzięki Bogu. Chodzi o coś innego, o jej chłopaka.

- Co z nim?

- Jej zdaniem kuma się z ludźmi z miasta.

- Skąd to wie? Mówił jej?

- Nie, taki głupi nie jest. Ale bywają razem na imprezach i czasem jego kumple coś po pijaku bąkną. Poza tym zdarza się, że na takich spotkaniach kręcą interesy.

To brzmiało interesująco.

- Coś konkretnego?

- Słyszała o napadach na tiry, samochodach z jummy...

- No, no.

... i o kałachach.

Odłożyłem piwo na stolik.

- O czym?

Byłem pewien, że się przesłyszałem. W tamtych czasach wystarczyło podnieść z ziemi kamień i rzucić go za siebie, żeby trafić w łeb jakiegoś złodzieja samochodów. Napady na tiry też zdarzały się całkiem często. Ale handel bronią wtedy jeszcze nie był w Polsce specjalnie popularny.

- O kałachach, handlują bronią.

- Wiadomo coś więcej?

- Siostrzenicę mam. Młodą, ładną dziewczynę. Studiuje w Warszawie.

Nadstawiłem ucha.

- Ma problemy? Praca zmienia policjanta. Człowiek codziennie spotyka się niemal wyłącznie z ciemną stroną życia, zaczyna być na nią wyczulony. W skrajnych wypadkach zdarza się, że dostrzega tylko ją. To, nawiasem mówiąc, jedna z przyczyn, dla których tak wielu z nas sięga po alkohol.

Pan Stanisław machnął ręką.

- Nie. I dzięki Bogu. Chodzi o coś innego, o jej chłopaka.

- Co z nim?

- Jej zdaniem kuma się z ludźmi z miasta.

- Skąd to wie? Mówił jej?

- Nie, taki głupi nie jest. Ale bywają razem na imprezach i czasem jego kumple coś po pijaku bąkną. Poza tym zdarza się, że na takich spotkaniach kręcą interesy.

To brzmiało interesująco.

- Coś konkretnego?

- Słyszała o napadach na tiry, samochodach z jurny...

- No, no.

... i o kałachach.

Odłożyłem piwo na stół.

- O czym?

Byłem pewien, że się przesłyszałem. W tamtych czasach wystarczyło podnieść z ziemi kamień i rzucić go za siebie, żeby trafić w łeb jakiegoś złodzieja samochodów. Napady na tiry też zdarzały się całkiem często. Ale handel bronią wtedy jeszcze nie był w Polsce specjalnie popularny.

- O kałachach, handlują bronią.

- Wiadomo coś więcej?

- Zorganizuję wam spotkanie... - Pan Stanisław zawahał się. Spojrzał na mnie i odezwał się odrobinę zmienionym tonem. - Krzysztof, posłuchaj. Ufam ci, dlatego tu siedzimy.

- Rozumiem.

Rozumiałem, choć nie byłem do końca pewien, czemu akurat mnie wybrał na powiernika rodzinnych tajemnic.

- Wiem, ale wolę, żeby to zostało powiedziane. Ona jest moją siostrzenicą i najważniejsze, żeby nikt nie mógł się domyślić, że cynk przyszedł od niej. Mała ma być bezpieczna, niezależnie od tego, jak grube lody kręcą koledzy jej chłopaka. Co dzięki niej ugracie to rzecz drugorzędna, jasne?

Kiwnąłem głową. - Ma pan moje słowo. Uścisnęliśmy sobie dłonie. Niecały tydzień później w domu pana Stanisława poznałem jego siostrzenicę o wdzięcznym imieniu Kasia. Po zwyczajowych gadkachsmatkach, kawie i ciastku gospodarze ulotnili się pod pretekstem spaceru. Mogliśmy przejść do rzeczy.

Kasia poznała Marka trzy miesiące wcześniej, w jednym z warszawskich klubów. Jak mówiła, gość pracował w showbiznesie, co w sumie sprowadzało się do pisania scenariuszy filmów reklamowych dla jednej ze stołecznych agencji. Od razu przypadli sobie z Kasią do gustu, kilka razy znowu spotkali się przypadkowo w klubach, a po kilku randkach postanowili związać się na dłużej.

Mniej więcej wtedy - przy okazji pierwszych wspólnych wypadów na imprezy organizowane przez jego znajomych - zauważyła, że ten sympatyczny chłopak ma przyjaciół, którzy sprawiają odrobinę inne wrażenie od tego, jakie wywarł na niej Marek podczas pierwszych spotkań.

- To znaczy? - spytałem.

- Część pochodziła z Pruszkowa, część z Wołomina... - Uśmiechnęła się. - A część z Rumunii i Rosji. Poza tym te imprezy zawsze były zamknięte, nikogo poza zaproszonymi nie wpuszczano, chociaż zdarzało się, że przychodziło kilkadziesiąt osób.

Potem wspomniała, że oprócz alkoholu bawiono się także za pomocą narkotyków. To dla mnie nadal nie było nic niezwykłego. Teraz młodzi bez drągów nie wyobrażają sobie udanej imprezy. Przez chwilę zastanawiałem się, czy Stanisław nie nasyła mnie na przyszłego męża

siostrzenicy, żeby go dyskretnie wybadać. Wykorzystywanie służbowej wiedzy i kontaktów do załatwiania prywatnych spraw zdarzało się niestety całkiem często.

Z drugiej strony Kasia wyglądała na sensowną, ułożoną dziewczynę, która kompletnie nie pasowała do bandyckiego środowiska. Z daleka było widać, że ma inne zainteresowania i hierarchię wartości.

- Nie wiem, może chciał mi po prostu zaimponować, chociaż wcześniej taki nie był - ciągnęła nieświadoma moich wątpliwości. - Raz zabrał mnie na wyjazd do Kazimierza. Pojechało tam kilkunastu jego kolegów, wśród nich kilku Rosjan. Większość zjawiała się z dziewczynami. Na tym wyjeździe wspominał o broni. Znalazł dobrego kupca, cieszył się więc tak bardzo, że aż musiał się tą radością podzielić z kimś bliskim.

- Co mówił?

- Ktoś, nie wiem dokładnie kto, ale któryś z Rosjan, ukradł trzy karabiny Kałasznikowa z wojskowego magazynu. Chciał je sprzedać, a Marek ma dojścia do chłopaków, którzy mogliby kupić, i pośredniczył w transakcji.

- Zareagowałaś jakoś na to, co mówił?

Sprawiała wrażenie inteligentnej, ale musiałem zadać podobne pytanie. Okazując dociekliwość, mogła spalić całą akcję.

Gdybyśmy po krótkim czasie zdjęli Marka, równanie okazałoby się zbyt łatwe do rozwiązania.

Pokręciła głową.

- Po prostu dałam mu się wygadać. A po powrocie do Warszawy odezwałam się do wujka.

Pokręciłem głową. Kasia spojrzała na mnie pytająco, ale nie odpowiedziałem. To nie były refleksje przeznaczone dla tej miłej osóbki. Facet po dwóch miesiącach związku zabrał dziewczynę na gangsterski zjazd, a potem jeszcze opowiedział, co na nim ustalono. Nawet jeśli założymy, że był podpity oraz traktował Kasię jak bliską osobę, i tak wykazywał zbyt dużą tendencję do gadania. Krótko mówiąc, nie był specjalnie bystry, o jakimkolwiek zawodowstwie nie wspominając.

Tak czy siak, było mi to na rękę.

Przed wyjściem spytałem o rysopis Marka i zdumiałem się po raz wtóry.

Z przekazanych informacji wynikało, że gość robił wiele, by zbudować wokół siebie otoczkę typową dla bohatera filmu o mafii. Był szczupłym, wysokim brunetem o długich, kręconych, zawsze pokrytych brylantyną włosach. Ubierał się zgodnie z najnowszymi wskazaniami mody, nosił sporo złotej biżuterii, ćwiczył zawzięcie na siłowni. Zachowywał się arogancko, głośno i wulgarnie, uznając, że to właśnie tworzy wizerunek twardziela. Całość image'u wieńczył używany, sportowy samochód.

Zacząłem się zastanawiać, w którym momencie Kasia wzięła go za normalnego, sympatycznego chłopaka, ale doszedłem do wniosku, że raczej niczego nie wymyślę. Nie jestem wybitnym znawcą kobiecej psychiki, zawsze było mi trudno odgadnąć przesłanki, jakimi się kierują zakochane kobiety, wybierając na swych partnerów tak zwanych silnych mężczyzn, którzy w toku, że tak powiem, dalszej współpracy okazywali się zwykłymi szumowinami.

Na odchodnym poprosiłem Kasię, żeby dała mi kilka dni, a przez ten czas starała się zachowywać jak najbardziej naturalnie. Obiecałem odezwać się, gdy tylko będę gotowy podjąć odpowiednie działania. Poprosiłem też, by wstukała sobie do telefonu mój numer. By nie wzbudzać podejrzeń, figurowałem na liście jako Zosia.

Przez kilka kolejnych dni zastanawialiśmy się z Bogenem, w jaki sposób wykorzystać pozyskane informacje, by odzyskać karabiny, złapać bandziorów na gorącym uczynku, a jednocześnie nie zdradzić tożsamości informatorki. Dziewczyna na co dzień funkcjonowała zbyt blisko środowiska, o którym mi opowiedziała. Nagłe wyrwanie jej stamtąd mogłoby spalić akcję, a co gorsza, jasno wskazywałoby, kto sprzedał. Z drugiej strony zostawienie jej w środku podczas rozpracowywania Marka i jego kolegów również niosło spore ryzyko. Dziewczyna w każdej chwili mogła się czymś zdradzić. Zadanie należało do trudnych nawet dla wyszkolonego agenta, Kasia była zaś całkowitym amatorem.

Zaczęliśmy przyglądać się Markowi. Facet nie figurował w rejestrach skazanych przestępców ani nie był uczestnikiem żadnej z toczących się spraw. Wedle naszej wiedzy nie interesowała się nim żadna ze służb. Potwierdziła się moja refleksja wysnuta na podstawie opisu dziewczyny: gość był w przestępczym świecie całkowitym nowicjuszem.

Powiedziałem Kasi, że jesteśmy otwarci na wszelkie informacje, jakie nam przekaże, z tym że ich zdobycie nie może się wiązać z żadnym ryzykiem. Bardzo ją na to uczułem. Zgodziła się: była rozsądną dziewczyną. Dała do zrozumienia, że nie chce, aby to wszystko trwało zbyt długo. Po tym wszystkim, czego się dowiedziała, wyglądało na to, że przejrzała na

oczy: zamierzała zerwać z Markiem. Pogratulowałem jej decyzji, obiecałem, że postaramy się pospieszyć, i zostawiłem ją samą.

Moja komórka zadzwoniła jeszcze tego samego wieczoru.

- Towarzystwo wybiera się dziś wieczorem do Kazimierza na imprezę - usłyszałem cichy, zdenerwowany głos. Ten telefon musiał ją sporo kosztować.

Ucieszyłem się.

- Świetnie - powiedziałem. - Wiesz dokąd?

Wymieniła nazwę modnego pensjonatu. Znałem go dobrze z wcześniejszych wypraw.

- Wiesz, kto tam będzie? - drążyłem dalej.

- Ci sami co zawsze - odparła. - I Rosjanie też.

- Bardzo dobrze. Posłuchaj, Kasiu. - Zastanowiłem się. - Musisz się wykręcić od tego wyjazdu. Pod byle pretekstem. Powiedz, że jesteś chora albo masz pilny egzamin...

Spodziewałem się protestów, ale dziewczyna zadziwiła mnie po raz kolejny.

- Już powiedziałam, że nie jadę - poinformowała mnie jakby nieco pewniejszym głosem. Może docierało do niej, że teraz my przejmujemy ciężar prowadzenia operacji i ryzyko z tym związane. - Jakby pan zgadł. Mam w poniedziałek bardzo ważny egzamin i ogromne ilości materiału do nauczania. Marek nawet mnie nie namawiał. Za bardzo był podniecony tym wyjazdem.

Pożegnałem ją serdecznie. Do samochodu wsiedliśmy we trzech: technik, specjalista od podsłuchów i obserwacji elektronicznej wraz z torbą wypchaną sprzętem, Bogen i ja. Droga, nader krótka, upłynęła nam na szkicowaniu zarysu planu, jaki przyjdzie nam realizować. Po dotarciu na miejsce okazało się, że grupa Marka nie pojawiła się jeszcze, jest bowiem spodziewana dopiero późnym wieczorem. Niezwykle nam to odpowiadało, mogliśmy bowiem poczynić odpowiednie przygotowania.

Zaczęliśmy do tego, że technik niepostrzeżenie zainstalował aparat fotograficzny w przejściu do sali restauracyjnej, uznaliśmy bowiem, że najpierw sprawdzimy, z kim tak naprawdę mamy do czynienia. W sali udało nam się również umieścić dwie pluskwy. Chcieliśmy po prostu, nim podejmiemy konkretniejsze działania, dysponować jakąś wiedzą operacyjną z pierwszej ręki.

Siedzieliśmy przy barze nad jednym małym piwem, gdy na dziedzińcu zahuczały motory, a po chwili do holu wpadł rozwrzeszczany i przeklinający tłum. To byli nasi figuranci, z Markiem na czele, otoczeni wianuszkami długonogich, ostro umalowanych dziewczyn

uczepionych męskich ramion. Towarzystwo nawet nie roztasowywało się po pokojach: wszyscy hurmem przeszli do sali restauracyjnej, zamówili ogromne ilości gorzały i niemal wszystkie posiłki z karty, po czym zaczęła się impreza.

Gorzała, kawior, koks i prostytutki: tak ją można streścić. W ten sposób dałoby się zresztą streścić dziewięćdziesiąt procent bandyckich imprez z tamtych lat. Z restauracji szybko zaczęły dochodzić krzyki, śmiechy i śpiewy. Potwierdziło się to, co mówiła Kasia: śpiewy najczęściej odbywały się w języku rosyjskim, nader zresztą stosownym do wykonywania romantycznych, duszuszczypatielnych pieśni. Wśród towarzystwa najwyraźniej było kilku gości ze Wschodu.

- Nowa klasa średnia się bawi - powiedział Bogen, patrząc w niemal pustą szklankę.

Parsknąłem śmiechem.

Tę sielankę przerwały strzały. Dwa krótkie huki, których człowiek obyty z bronią nie mógł pomylić z niczym innym. Momentalnie zerwaliśmy się od stolika.

- Co robimy? - spytał Bogen w biegu.

To było dobre pytanie, nad którym nie było czasu się zastanawiać.

- Jebać to. Wchodzimy - powiedziałem i popchnąłem drzwi.

Wpadliśmy do środka z wyciągniętą bronią i wywieszonymi legitymacjami, krzycząc: „Stać, policja!”. Przywitały nas spojrzenia, które nazwać zdziwionymi byłoby eufemizmem. Wszyscy sprawiali wrażenie, że pręcej spodziewaliby się najazdu Marsjan niż nas. Najbardziej zaskoczony był stojący pod ścianą wysoki mężczyzna z pistoletem w ręce. Gapił się na nas z otwartymi ustami.

- Rzuć to! Na ziemię! - ryknąłem, podnosząc broń na wysokość oczu.

Posłuchał. Pistolet stuknął o podłogę.

Bogen omiatał lufą pomieszczenie w poszukiwaniu kolejnych uzbrojonych uczestników zabawy. Ku swojej i mojej uldze nie znalazł nikogo. Mężczyźni po prostu stali i gapili się, dziewczyny zbiły się w przestraszoną gromadkę pośrodku sali.

- Faceci pod ścianę - zakomenderowałem, nie opuszczając broni. - Ręce na kark.

Wykonali polecenie, choć przestali milczeć. „Zajebię cię, kurwa”, „Już nie żyjesz” czy „Szukaj innej roboty” należało do stałego repertuaru charakterystycznego dla tego typu sytuacji. Było to monotonne i nużące w swej jałowości, sprawiało wrażenie wojennego rytuału, co do skuteczności którego nikt nie ma złudzeń, ale wszyscy sądzą, że muszą go odbyć, więc robią to, bez wiary i bez przekonania. Byliśmy z Bogenem do niego przyzwyczajeni, więc nawet nie

uciszaliśmy krzyków. To my trzymaliśmy bandziorów na muszce, a nie odwrotnie, więc pogrożki zasadniczo mieliśmy gdzieś.

Po blisko dwóch stresujących kwadransach pojawiło się wezwane przez obsługę pensjonatu wsparcie w postaci trzech radiowozów wypełnionych funkcjonariuszami zaopatrzonymi w dużą ilość kajdanek. Wszyscy domniemani przestępcy zostali skuci. Mogliśmy opuścić broń i przystąpić do dokładnego przeszukania lokalu i ludzi.

Oprócz pistoletu, z którego strzelał w sufit jeden z uczestników imprezy, znaleźliśmy jeszcze pięć sztuk nielegalnie posiadanej broni i blisko pół kilograma amfetaminy. Połów przeszedł najśmielsze oczekiwania, a nie był to bynajmniej koniec.

Kiedy zawieźliśmy towarzystwo do Puław na dołek, przyszedł wreszcie czas na systematyczną pracę.

- Chyba rozbiliśmy bank - śmiał się Bogen, kiedy kilkanaście godzin później, nad ranem, wracaliśmy do domów.

Rzeczywiście, rozbiliśmy cholerny bank.

Po pierwsze, sześciu facetom mogliśmy postawić zarzut nielegalnego posiadania broni. Po drugie, dwa będące w ich posiadaniu pistolety zostały wykorzystane kilka tygodni wcześniej do napadu na mieszkanie w Krakowie, zaś kolejne trzy pochodziły z kradzieży, a dokładniej: z włamania na komisariat policji. Jakby tego było mało, za trzema z zatrzymanych wystawiono listy gończe. W wyniku dokładnego rozpytania udało się również ustalić miejsce przechowywania kałasznikowów. Dodatkowym bonusem był stos należących do bandytów telefonów komórkowych, z których skopiowaliśmy wszystkie dane adresowe, numery telefonów, zdjęcia i tym podobne przydatne informacje. Spora część tej wiedzy okazała się niezwykle przydatna w przyszłości.

Akcja zakończyła się sukcesem, a co najważniejsze, Kasia pozostała całkowicie anonimowa. Bandziory wpadły w wyniku własnej lekkomyślności i nikt nie łączył dziewczyny z naszym wtargnięciem.

Wszystko dało się podciągnąć pod zwykły przypadek.

Listonosz

Staliśmy z Bogenem przy otwartych drzwiach karetki reanimacyjnej. Wewnątrz jeden z lekarzy zakładał opatrunek na głowę starszego mężczyzny. Po kołnierzu munduru Poczty Polskiej spływała cienka strużka krwi.

Listonosz krwawił obficie, stwierdził jednak, że jest w stanie z nami porozmawiać, zanim zostanie zabrany do szpitala. Był w podeszłym wieku i to zdarzenie zapewne mocno na niego wpłynęło, jednak trzymał się dzielnie. Bardzo chciał pomóc.

- Schodziłem po schodach, bo skrzynki są wewnątrz klatki, na półpiętrze, wie pan - tłumaczył. - No i jak otworzyłem drzwi na zewnątrz, tylko z lewej strony jakiś ruch zobaczyłem. Ale zanim żem się odwrócił, coś mnie tak w łeb ciulnęło, że mi tylko zawirowało. A potem to mnie już lekarz budził. No, no i jeszcze torbę mi zabrali, ze wszystkimi listami i pieniędzmi.

- A dużo tych pieniędzy?

- Panie, dziś wypłata emerytur. Dużo.

- Widział pan, ilu było napastników?

Staruszek pokręcił głową.

- Ten, co mnie walnął, to jeden, ale kto wie, ilu ich za drzwiami się mogło przyczaić.

- I nic poza tym pan nie pamięta?

- Nic. Tylko tyle że jak wchodziłem do bloku, podwórko było puste.

W środku tygodnia przed południem można to było powiedzieć o niemal każdym blokowisku. Nie widzieliśmy sensu dalszego przesłuchania, więc podziękowaliśmy staruszkowi za pomoc, a potem pozwoliliśmy lekarzowi zabrać go do szpitala.

- Następny - stwierdził Bogen, kiedy wracaliśmy do samochodu.

- Ma szczęście, że tylko dostał w łeb - powiedziałem jedynie po to, by coś powiedzieć. - Poprzedni tak szybko się nie wylize.

Ostatnią ofiarę zaatakowano, wylewając jej na twarz gorący olej. Miałem jeszcze w pamięci obraz leżącego w szpitalnym łóżku mężczyzny z odchodzącymi z policzków, nosa i brody płatami skóry.

Wsiedliśmy do wozu. Mieliśmy do czynienia z prawdziwą plagą. Były to czasy, gdy nie korzystano jeszcze masowo z przelewów bankowych, a przekazy pieniężne, reirty i emerytury

dostarczane były zainteresowanym przez listonoszy. Stanowili oni łatwy cel, jako że wielu spośród nich to kobiety albo starsi mężczyźni.

Sprawę prowadziliśmy od kilku tygodni.

Wszystko wskazywało na to, że napadów dokonywała zorganizowana grupa. Nie licząc przypadku z wrzącym olejem, modus operandi sprawców był za każdym razem podobny: ataki zwykle następowały rano, gdy większość ludzi znajdowała się w pracy, dzieci w szkole, a listonosz miał przy sobie sporą liczbę przesyłek. Sprawcy wybierali miejsca, w których ofiara nie mogła ich dostrzec. W efekcie mimo sporej liczby zeznań nie zdobyliśmy dotąd żadnych konkretnych informacji, chociażby odnośnie do liczby napastników.

Przestępstwa charakteryzowała brutalność. Pozbawienie dorosłego mężczyzny przytomności wymaga znacznie więcej wysiłku, niż się wydaje. Poza tym uderzenie w tył głowy może skończyć się śmiercią, wyglądało więc na to, że bandziory nie bardzo przejmują się losem ofiar.

Standardową procedurą w takiej sytuacji było tak zwane nasycenie rejonu, czyli mówiąc krótko, wysłanie w zagrożone miejsce dużej ilości patroli policyjnych, zwłaszcza po cywilnemu. Problem w tym, że wybór miejsc napaści był raczej przypadkowy, a czasem zdarzały się one kolejno na przeciwnych krańcach miasta. Mimo to przeprowadziliśmy akcję kilkakrotnie. Ani razu jednak nie doszło wtedy do ataku, co dało nam do myślenia.

Tymczasem listonosze byli coraz bardziej spanikowani. By nie pozostawać w defensywie, kilku naszych funkcjonariuszy przeprowadziło specjalne szkolenie dotyczące sposobów zachowań podczas napadów. Nikogo to zbytnio nie uspokoiło, przeciwnie. Zadziałał prosty mechanizm psychologiczny: gdy policja uczy, jak postępować w trakcie napadu, ludzie przestają wierzyć, że znajdzie bandziorów lub chociaż ich przed nimi ochroni.

Zdawaliśmy sobie przy tym sprawę, że trwa wyścig z czasem. Bandyci działali z wyjątkową bezwzględnością, należało się zatem poważnie liczyć z tym, że któryś napad skończy się tragicznie. Wtedy będziemy ścigali nie złodziei, lecz morderców.

- Przebierzmy policjantów za listonoszy - padł pomysł, który natychmiast podchwyciło kilku kolegów. - W końcu natkną się na któregoś z naszych.

Pomysł się spodobał, choć przynajmniej część z nas zdawała sobie sprawę, że uderzony w głowę policjant traci przytomność dokładnie tak samo jak zwykły człowiek. Ponadto, przy dokładniejszym przyjrzeniu się propozycji, wyszły na jaw rozliczne problemy praktyczne.

- Jak chcecie to rozwiązać? Ataki następowały w różnych dzielnicach, wszystkich listonoszy z całego miasta nie wymienimy, mamy za mało ludzi i prowadzimy też inne sprawy. Będziemy rzucać kostką, w które miejsce posłać chłopaków?

- Okolice, w których cały dzień jest tłoczno, możemy spokojnie wykluczyć. Tych pozostałych jest sporo, ale nie widzę innego rozwiązania.

- A przesyłki? - spytał ktoś. - Trzeba by sprawdzić, czy w ogóle możemy doręczać za nich te listy. To legalne?

- Cholera wie. Poza tym, jak nasi będą cały dzień wkładać listy do skrzynek, nie zachowają czujności i też mogą dostać po łbie.

- To co? Ludzie przestaną dostawać pocztę czy może będziemy wysyłać dwóch listonoszy naraz?

Tego rodzaju problemów nie brakowało i dyskusja ciągnęła się jeszcze przez dwa dni. W końcu jednak szef uznał, że mimo swoich mankamentów to najlepsza - i prawdopodobnie jedyna - metoda, by schwycić sprawców. Mieliśmy być pełnoprawnymi listonoszami, doręczającymi normalne przesyłki. Akcje te nazwano roboczo „popołudniówkami”.

Przeprowadziliśmy ich kilka, zakrojonych na całkiem szeroką skalę, gdy kilkunastu policjantów listonoszy razem z bezszelestnie podążającą za nimi obstawą kręciło się po mieście. Nie doszło w tym czasie do ani jednego napadu. Jednak w przerwach pomiędzy naszymi kolejnymi działaniami bandyci nie próżnowali. Znowu w szpitalu wyładowało dwoje pocziarzy. Napastnicy nigdy nie atakowali wtedy, gdy akurat byliśmy gotowi.

Któregoś dnia po pracy siedzieliśmy w piwiarni z Bogenem.

- Patrz - mówił mój partner. - Dawno nie było tak, żeby tylu chłopaków brało udział w jakiejś robocie i gównu z tego wynikało.

- To fakt - przyznałem. Zwykle złapanie tego typu przestępców nie zajmowało nam aż tyle czasu. - Uchole też nic nie wiedzą.

- To inna sprawa - powiedział Bogen. - Ale jak robimy akcję, o której wie cała komenda, tamte gnojki nagle biorą wolne.

- Wnioski? - Wiedziałem, o czym mówił. Sam zastanawiałem się nad tym od pewnego czasu. Myśl o przecieku wcale mi się nie podobała.

- Na razie mniejsza o wnioski - powiedział, podobnie jak ja nie chcąc stawiać kropki nad „i”. - Mam pomysł.

Pomysł charakteryzował się spartańską wręcz prostotą: mieliśmy zrobić kolejną „popołudniówkę” (wobec braku efektów komendant postanowił z nich zrezygnować), tym razem jednak na własną rękę. Bez wiedzy kogokolwiek z komendy. Do „spisku” wciągnęliśmy jeszcze dwóch zaufanych policjantów i listonosza, dzięki któremu zdobyliśmy mundury. Tym razem nie bawiliśmy się w roznoszenie listów, pozorowaliśmy tylko ruch po mieście. Postanowiliśmy pełnić tego rodzaju służbę trzy razy w tygodniu. Za każdym razem w innym miejscu.

Przez pierwsze dwa tygodnie nic się nie wydarzyło. Rutyna chodzenia po pustych ulicach męczyła niesamowicie, a dostrzegalnych efektów brakowało. Zaczęliśmy się już powoli zniechęcać. Podobnej akcji nie dało się długo trzymać w tajemnicy, poza tym marnowaliśmy masę prywatnego w końcu czasu.

Wreszcie w trzecim tygodniu nastąpił przełom, choć niezupełnie taki, o jakim myśleliśmy.

Była jesień, noc zapadała wcześniej. Chodziłem po jednej z dzielnic willowych i wrzucałem do skrzynek ulotki pizzerii. Nagle w popołudniowej szarówce dostrzegłem zdezelowanego niebieskiego malucha, który nierównomiernie pyrkocząc dwudziestotrzykonnym silnikiem, zmierzał wolno w moją stronę.

Samochód zatrzymał się. Zobaczyłem, że przez okno wychyla się elegancko ubrana kobieta około pięćdziesiątki. Najwyraźniej chciała mnie o coś spytać. Ruszyłem w jej stronę, dostrzegając, że na siedzeniu pasażera znajduje się młodszy od niej mężczyzna.

- Przepraszam najmocniej - powiedziała panusia, uśmiechając się bezradnie. - Szukam ulicy. Wszystko tutaj jakieś takie podobne. Pomoże mi pan?

- Jakiej ulicy?

- A, tu mam napisane, ale nie mogę rozczytać. Chyba jakichś powstańców.

Przyznaję, czujność mnie zawiodła. Może dlatego, że byłem nastawiony na gówniarzy w dresach albo łyse karki i gdy pojawiła się kobieta w średnim wieku, zupełnie nie wziąłem jej pod uwagę jako potencjalnego zagrożenia. Podeszedłem do malucha i pochyliłem się w stronę okna, próbując dojrzeć, co za nazwa ulicy jest napisana na kartce.

W tym momencie dostałem gazem w twarz.

Policjant jest częściowo uodporniony na gaz łzawiący. Trenujemy z nim i prawdopodobnie każdy z nas wdychał go więcej razy niż jakikolwiek kibic albo bandzior.

Substancja, którą zostałem potraktowany, musiała mieć jednak w sobie domieszkę dławiającą albo paralizującą, bowiem na kilka sekund zupełnie straciłem orientację.

Odruchowo odskoczyłem od samochodu, ale byłem na tyle oszołomiony, że wywróciłem się na plecy. Poczułem, jak ktoś zdiera mi z ramienia torbę, ale nie zdołałem stawić oporu. Kiedy odzyskałem wzrok i udało mi się klęknąć, maluch zniknął właśnie za zakrętem.

Chwyciłem za krótkofalówkę.

- Bogen, dostałem - rzuciłem przez radio, wciąż się krztusząc. - Jadą w Krakowską. Niebieski maluch.

Minutę później Bogen zajechał z piskiem opon. Otworzył drzwi.

- Jesteś cały? - spytał.

- Tak, jedź. To tylko gaz - wybełkotałem. Czułem się gorzej niż źle.

- Czuję - stwierdził, natychmiast uchylając okno. - W prawo czy w lewo?

- W lewo.

Bogen nacisnął gaz i samochód skoczył do przodu. Mój partner był świetnym kierowcą, ale wyglądało na to, że straciliśmy zbyt wiele czasu. Niebieskiego malucha nigdzie nie było widać.

Jakiś czas jeszcze kręciliśmy się po okolicy, ale, nie licząc ciężarówki z reklamą mebli, nie natrafiliśmy na nic, co choć trochę przypominałoby poszukiwany przez nas samochód.

- Zapadli się pod ziemię? - spytałem.

- Może mieli pod maską coś więcej niż w standardzie. Albo wjechali w jakąś małą uliczkę i tamtędy zwiali. Albo mają tu garaż.

Tak. Wariantów było zbyt wiele. Na posterunek wróciliśmy w niezbyt dobrych nastrojach.

Od tego momentu zacząłem traktować sprawę osobiście. Chodziliśmy na akcję nie trzy razy w tygodniu, ale codziennie. Jednak pomimo włączenia do poszukiwań kilku następnych kolegów przez następne dziesięć dni sytuacja nie zmieniła się o włos. Po maluchu, sztywnej pięćdziesięciolatce i jej towarzyszu wszelki śluch zaginął.

Oprócz intensywnych poszukiwań napastników odbębnialiśmy też zwykłą służbę. Jechaliśmy właśnie jedną z głównych ulic miasta, gdy przez radio padła informacja o kolejnym napadzie. Doszło do niego na ulicy Lwowskiej, nie dalej niż kilometr od nas. Spojrzałem na Bogena.

Chwilę później byliśmy na miejscu.

Listonoszowi tym razem nic się nie stało. Ktoś popchnął go z tyłu, wywrócił na ziemię, zabrał torbę i uciekł. Po chwili poczciarz usłyszał warkot silnika, a gdy podniósł głowę, zobaczył odjeżdżającego niebieskiego malucha.

- Co robimy? - spytałem Boga, gdy zostaliśmy sami. Bezczelność tych gości naprawdę działała mi na nerwy.

- Pokręcmy się, może tym razem na nich trafimy. Wsiedliśmy do samochodu i zaczęliśmy krążyć po pobliskich uliczkach, zaglądając w niemal każdą myśią dziurę. Po maluchu oczywiście śladu nie było. Teren patrolowało kilka radiowozów drogówki, ale nasi koledzy także nie mogli pochwalić się żadnym sukcesem.

Mijaliśmy kolejny zakręt, gdy zauważyłem dużą ciężarówkę z reklamą mebli wymalowaną na pace. Stała zaparkowana pod jednym z bloków. Coś mnie tknęło.

- Bogen, kojarzysz ten meblowóz?

- Tak jakby - powiedział, po czym zjechał na bok i zatrzymał się.

Wysiedliśmy. Rozpiąłem kurtkę, by mieć łatwiejszy dostęp do broni. Powoli podeszliśmy do ciężarówki. Obszedłem wóz dookoła, tymczasem Bogen wyciągnął krótkofalówkę i poprosił dyżurnego, by sprawdził numer rejestracyjny. Po chwili wdrapał się na schodek i zajrzał do szoferki. Przywołał mnie ruchem ręki. Wdrapałem się i ja. W środku dostrzegłem zostawione w stacyjce kluczyki i elegancką damską torebkę leżącą na siedzeniu pasażera.

Przeszliśmy na tył wozu. Pakę przykrywała niebieska plandeka. Nie była jednak zawiązana i zobaczyłem, że w środku pali się światło.

Popatrzyłem na Boga i położyłem palec na ustach. Jak na komendę wyciągnęliśmy broń. Odliczyłem bezgłośnie do trzech. Szarpnęliśmy za plandekę...

- Stój, policja! - ryknęliśmy zgodnie z lufami na wysokości oczu.

W środku stał niebieski maluch. Obok niego kobieta i odrobinę młodszy od niej mężczyzna patrzyli na nas zupełnie zszokowani. Po chwili wahania podnieśli ręce w górę. Bez oporu dali się zakuć w kajdanki.

Obejrzelśmy ciężarówkę i nim przyjechały posiłki, odtworzyliśmy sposób działania bandyckiej pary, niemal żywcem wzięty z amerykańskiego filmu. Z tyłu meblowozu zamontowano dwie wysuwane stalowe szyny, które dawały się błyskawicznie opuścić na ziemię. Złodzieje parkowali w dyskretnym miejscu, wyczekiwali odpowiedniego momentu, po czym

zjeżdżali maluchem na ulicę. Dokonywali napadu, uciekali z miejsca przestępstwa, ukrywali mały samochód wewnątrz dużego, a po godzinie czy dwóch, gdy policyjne radiowozy zniknęły z ulic, przesiadali się do szoferki i odjeżdżali z miejsca zdarzenia.

W policji nie było żadnego przecieku. Po prostu za każdym razem gdy komenda zarządzała szeroko zakrojoną akcją, poruszająca się ciężarówką para dostrzegała wzmożony ruch i policjantów śledzących listonoszy w cywilnych samochodach. Rezygnowała wtedy z akcji, czekając, aż sytuacja się uspokoi. Dokonała łącznie siedemnastu napadów, większości w sposób bardzo brutalny, co z pozoru nie pasowało do pięćdziesięcioletniej eleganckiej kobiety i jej asystenta.

Długo pozostali nieuchwytni, ponieważ odznaczali się ponadstandardową, nietypową jak na tę kategorię przestępstw wyobraźnią. Organizowali napady rabunkowe na listonoszy z fantazją godną skoku na bank.

Przeciwdziałanie

Panuje powszechna opinia, że policjanci ganiają bandytów, włamywaczy i mafiosów, prowadzą dochodzenia, przesłuchują, podsłuchują, inwigilują, dokonują aresztowań. Posiadaną wiedzę przekładają na dowody procesowe i robią wszystko, co w ich mocy, by przestępcy nie tylko stanęli przed sądem, ale by dosięgła ich również surowa ręka sprawiedliwości; inaczej mówiąc, by ten, kto na to zasłużył, poszedł do pierdła. Wszystko prawda.

A właściwie tylko jedna strona prawdy.

Mniej znana strona policyjnego fachu jest taka, że świat przestępczy broni się przed policją, prowadząc mniej czy bardziej skuteczne akcje w nią wymierzone. I nie mówię o spektakularnych działaniach, znanych z pierwszych stron gazet: zastraszaniu, naciskach z góry, odsuwaniu od śledztwa czy nawet zabójstwach zbyt dociekliwych funkcjonariuszy. Nie chodzi także o równie powszechny co banalny opór podczas zatrzymywania, rękoczynny w czasie interwencji czy w końcu zwykłe w tym fachu obelgi, wyzwiska czy straszenie.

Rzecz w planowych próbach osłabienia impetu policyjnych działań albo wręcz ich zneutralizowania w skali, że się tak wyrażę, taktycznej. Na poziomie komisariatu, co najwyżej komendy powiatowej.

- Dwa jedenaście, tu zero jeden.

- Tu dwa jedenaście, zgłaszam się zero jeden.

- Jedźcie na Parkową. Dyskoteka Albatros. Mamy zgłoszenie od bramkarzy, że na terenie klubu dwóch dilerów sprzedaje narkotyki.

- Przyjąłem, zero jeden. Jedziemy.

Odłożyłem mikrofon, a Bogen docisnął gaz.

Wzmiankowany klub należał do najpopularniejszych w mieście. Co wieczór niemal pękał w szwach, młodzież bawiła się setnie; co ciekawe, niemal nigdy nie dochodziło tam do bójek. Właściciele lokalu dbali, by nie zwracać na siebie uwagi policji. Może stąd uczulenie bramkarzy na problem narkotyków i gości, którzy je rozprawdzają. Nie jest to typowe, niemniej takie rzeczy od czasu do czasu się zdarzają.

Zajechaliśmy pod klub. Wszystko odbyło się nad podziw gładko. Wyjęliśmy blachy, machnęliśmy nimi przed nosami bramkarzy, wskazano nam dwóch dilerów, dyskretnie wyprowadziliśmy ich na zaplecze, gdzie zostali położeni na ziemi, skuci i przeszukani. Rzeczywiście, każdy z nich miał przy sobie dość solidną porcję amfy. Był to atrakcyjny, łatwy połów.

Przy przeszukiwaniu jednego z dilerów znalazłem coś jeszcze: notes. Zwykły, oprawiony w plastik notes formatu A6, jaki można kupić w każdym kiosku. Nie zwróciłem wówczas na niego uwagi.

W samochodzie zacząłem go przeglądać. Był wypełniony markami, kolorami oraz numerami rejestracyjnymi samochodów. W pierwszej chwili dane te nie skojarzyły mi się z niczym specjalnym. Nim jednak dojechaliśmy na komendę, doznałem olśnienia.

Drzwi pokoju przesłuchań otworzyłem tak energicznie, że aż huknęły o ścianę.

- Wpierdoliłeś się, bracie - powiedziałem, po czym z rozmachem usiadłem na krześle. To było standardowe przedstawienie, miałem jednak szczerą nadzieję, że skulony na krześle diler nie miał o tym pojęcia. - Tyle działek amfy, no, no. Ja tam się nie znam, w dragach nie robię, zaraz przyjadą po ciebie chłopcy z narkotykowego, szczegółowo opowiedzą, ile cię to będzie kosztować. Ale na moje niefachowe oko, sanki masz od razu, a potem czwórkę jak w banku. Za taką ilość czwórkę sędzia daje, nie przerywając obiadu, rozumiesz?

Żadnej reakcji. Może dlatego, że nie było specjalnie dobrej odpowiedzi na moje pytanie.

Ale nie chodziło mi o odpowiedź.

- Chyba że... - zawiesiłem teatralnie głos. Wspominałem już wcześniej, że dwie cechy były w policji niezwykle przydatne: cierpliwość i umiejętności aktorskie. Człowiek co chwila korzystał z jednej bądź drugiej. -... masz jakąś walutę, którą mógłbyś zapłacić za wolność.

Słowa rozbrzmiewały w ciasnym pomieszczeniu, a ja czekałem. Liczyłem, że się doczekam.

Diler musiał być początkujący. Doświadczony handlarz wiedziałby, że ówczesne przepisy za posiadaną ilość narkotyku nie pozwoliłyby posłać go do więzienia. Kazałby mi się cmoknąć, szedł w zaparte (to nie moje narkotyki, to nie moja kieszka, w ogóle mnie tam nie było) i w spokoju oczekiwałby na rozwój wydarzeń. Ale, jako się rzekło, ten najpewniej był nowy w branży.

Chłopak dumał i dumał, po czym podniósł na mnie wzrok.

- Iaką walutę? - zapytał ostrożnie.

- Słuchaj kolego, czyja wyglądam na siostrę miłosierdzia? Jestem gliniarzem z sekcji kryminalnej. Interesuje mnie, co się dzieje w mieście. Powiesz coś, czego nie wiem, to może jeszcze wieczorem wyfruniesz na wolność. Proste?

- A co chciałby pan wiedzieć? - Mój apetyt na wiedzę jest nieograniczony - stwierdziłem, moszcząc się wygodnie na krześle. Coś mi mówiło, że nie będę na nim zbyt długo siedział. Meta była blisko. - Ale możesz zacząć od notesu.

- Notesu? - spojrział na mnie, jakby nie zrozumiał.

- Takie niewielkie coś do notowania - powiedziałem cierpliwie. - W kieszeni miałeś. Tam jest sporo różnych danych. Powiesz, skąd masz notes, i obiecuję, że naprawdę ciepło o tobie pomyślę.

Dalej poszło z górki.

Okazało się, że inicjatywa wyszła od miejscowych złodziei samochodów. Nękanymi przez funkcjonariuszy w cywilu, wynajęli mieszkanie naprzeciwko komendy i umieścili w nim jednego ze swoich kolegów zaopatrzonego w lornetkę, aparat fotograficzny, papier i ołówek. Obserwator ów po tygodniu wyczerpanej pracy dysponował pełnym dossier parku samochodowego używanego przez policję. Bandyci rozpracowali każdy szczegół: markę, kolor, numer rejestracyjny, nawet rocznik. Tym samym sposobem uzyskali zresztą również większość naszych podobizn.

Dokument powielono i zaczął służyć nie tylko jako cenne źródło złodziejskiej wiedzy, ale również dobro powiększające przychody pomysłodawców tej złodziejskiej inicjatywy; krótko mówiąc, handlowano tymi danymi, sprzedając je każdemu zainteresowanemu.

Nawet zlikwidowanie źródła informacji nie załatwiło sprawy. Dokument w postaci odpisów i kopii jeszcze długo krążył po mieście. Samochody musieliśmy przerejestrować albo wymienić z innymi jednostkami policji.

Kiedy indziej zastosowano wobec nas broń chemiczną. Na tym najpiękniejszym ze światów nie jest niestety tak, że kryminalni nie brudzą sobie rączek. Brudzą, i to nader często. Na przykład wspomagają kolegów z prewencji podczas uśmierzania rozmaitych bójek, interweniują w klubach i dyskotekach czy wręcz na meczach piłkarskich, wygarniają meneli awanturujących się na osiedlach i przymykają dresików rozrabiających po klatkach schodowych. Często również przeprowadzają prewencyjne zatrzymania, niezwiązane z konkretnymi przestępstwami, a raczej mające na celu powiedzenie rozmaitym typom: nie jesteś sam, pamiętamy o tobie.

Mieliśmy między innymi dobrze rozpracowane środowisko dresiarzy. Często zawijaliśmy ich na rozpytanie, dociekając, gdzie pracują, z czego żyją i ogólnie co u nich słychać. Z reguły wychodzili po kilku godzinach. Bardzo często zdarzało się, że jeden z drugim chciał skorzystać z toalety. W owym czasie nie mieliśmy osobnego kibelka dla przestępców, pozwalaliśmy zatem korzystać z naszego.

Po jakimś czasie duża część pracowników wydziału zaczęła się skarżyć na rozmaite uczulenia i choroby skóry, występujące przede wszystkim w okolicach ich tak zwanej odwrotnej strony. Sprawa była przykra i bolesna. Dość szybko doszliśmy, że dolegliwości te zaczynały się po wizycie któregoś z dresiarzy w kibelku. Mogliśmy, rzecz jasna, zarazić się od któregoś z nich jakąś fracją: dresiarze nie należą do osobników nadmiernie przestrzegających higieny. Na wszelki wypadek po wyjściu z WC jednego z kolejnych zatrzymanych do akcji wkroczył technik, pobrał próbki z deski klozetowej i muszli, po czym dokonał niezbędnych analiz w laboratorium. Okazało się, że deska spryskana została silnie żrącym środkiem chemicznym, bardzo niebezpiecznym dla skóry.

W ramach retorsji za dolegliwe zatrzymania dresiarze wypowiedzieli nam wojnę i przeprowadzili kontratak z użyciem broni chemicznej. W odpowiedzi komendant wydzielił pewną sumę z budżetu, przeprowadzono mały remont i od tej pory zatrzymani mieli do dyspozycji swoją własną toaletę.

Nie tylko toaleta mogła być celem ataku.

- Ogłaszam powszechną mobilizację - oświadczył naczelnik. - Samochód ma się znaleźć, i to na biegu.

Wszystko jasne. Poprzedniej nocy spod domu pani prokurator zostało skradzione nowe audi. Cały wydział miał rzucić robotę i ruszyć na poszukiwania. Szło nie tylko o autorytet policji. W tej sytuacji obowiązywały też reguły solidarności zawodowej. Stosunki z prokuraturą mieliśmy różne, raz lepsze, raz gorsze, ale generalnie z nader oczywistych względów staraliśmy się dobrze żyć z jej przedstawicielami. Dlatego zgłoszenie o kradzieży potraktowaliśmy osobiście. Równie dobrze złodzieje mogli jechać samochód któremuś z nas.

Wkrótce na komisariacie zaczęli lądować wszyscy znani nam złodzieje z Puław i okolic. Dwunastu chłopów. Wybraliśmy pokój Bogena i mój na główne pomieszczenie operacyjne. Maglowaliśmy na zmianę jednego bandziorka, a reszta czekała na korytarzu jak w kolejce do lekarza. Wkrótce udało się wyeliminować tych, którzy mieli niepodważalne alibi. Zostało kilku, którzy nie mieli żadnego. Tych przycisnęliśmy mocniej. Uruchomiliśmy ucho. Szukaliśmy połączeń. Zrobiliśmy parę wjazdów na meliny i dziuple.

Auto znalazło się następnego dnia rano w jednej z podpuławskich wsi. Sprawca został zatrzymany.

- Krzychu, co to za paczuska? - zapytał Bogen, gdy kilka dni później szykowaliśmy się już do wyjścia z pracy.

Spojrzałem we wskazanym kierunku. Rzeczywiście, na drewnianym wieszaku, nieco powyżej linii wzroku leżało kartonowe pudełko wielkości dwóch paczek papierosów. Kiedyś niewątpliwie pełniło funkcję opakowania jakiejś zabawki. Co na policyjnym wieszaku robiła zabawka?

Wezwany pirotechnik nie stwierdził śladu materiałów wybuchowych. Po otwarciu opakowania okazało się, że w środku jest miniaturowe urządzenie podsłuchowe dobrej klasy, mające zasięg blisko dwóch kilometrów. Oznaczało to, że ktoś, kto znajdował się nie dalej niż w odległości dwóch tysięcy metrów od komisariatu i dysponował odpowiednio zestrojonym odbiornikiem, mógł słuchać wszystkiego, o czym mówiliśmy w pokoju.

Nigdy nie wpadliśmy na to, jak w pokoju pełnym gliniarzy któryś ze złodziei mógł umieścić urządzenie podsłuchowe.

Na tym zresztą pomysłowość drugiej strony się nie wyczerpywała. Jakiś czas później patrol drogówki, zjeżdżając ze służby, dwieście metrów od komisariatu zauważył zaparkowane auto i dwóch rosyłych facetów w środku. Takie widoczki w każdym gliniarzu uruchamiają swego rodzaju sygnał alarmowy. Radiowóz zjechał więc na pobocze, policjanci wylegitymowali obu mężczyzn. Po dokładniejszym przyjrzeniu się wnętrzu samochodu okazało się, że znajdował się tam zaawansowany technicznie mikrofon kierunkowy, radzący sobie z precyzyjnym zbieraniem dźwięków z odległości pięciuset metrów i potrafiący dokonać tej sztuki nawet przez szybę. Mężczyźni okazali się włamywaczami podsłuchującymi treść przeprowadzanej w komisariacie tak zwanej nocnej odprawy, kiedy rozdzielano robotę pomiędzy załogi radiowozów i piesze patrole.

Trzeci w końcu rodzaj podsłuchiwania tego, co policja ma do powiedzenia, polegał na ukradzeniu bądź przejęciu policyjnego radia. Zdarzyło się, że stacja została ukradziona z radiowozu, którego załoga pobiegła w pościg za włamywaczem. Innym razem zabrano krótkofalówkę wywiadowcy, którego ogłuszono uderzeniem w tył głowy.

Były to bardzo przykre i mocno dla nas dolegliwe straty. Musieliśmy mocno ograniczyć zakres porozumiewania się przez radio, posługiwaliśmy się naprędce wymyślonymi kodami, a przede wszystkim wprowadziliśmy zasadę, że wszelkie istotne informacje przekazujemy bezpośrednio, ewentualnie przez telefon. I oczywiście - uruchomiliśmy wszystkie siły, by odebrać skradzione urządzenia. Przyciskaliśmy tak mocno, że udało się odzyskać wszystkie. Jedno z nich złodzieje nawet podrzucili pod komisariat, bylebyśmy tylko dali im spokój. Wydaje się to dziwne, ale z punktu widzenia przestępców taki ruch był logiczny: wzmożona aktywność policji ewidentnie szkodzi przestępczym interesom. Lepiej oddać fanty, nawet tracąc atut w postaci możliwości śledzenia policyjnych ruchów, a w zamian zyskać święty spokój.

Obie strony są najbardziej zadowolone, kiedy panuje swego rodzaju równowaga sił. Smutne, ale prawdziwe. Nożownik Ciała dwóch mężczyzn leżały obok siebie. Byli przeciętego wzrostu, przeciętnej budowy ciała, przeciętnie ubrani. Na temat rysów nie dało się wiele wywnioskować: ktoś pokrył ich twarze grubą warstwą mąki.

- Jakiś rytuał czy co? - zapytał Bogen. Najwyraźniej nasze myśli biegły tym samym torem.

- Oby nie - mruknąłem. - Ostatnie, czego nam trzeba, to psychol na gościnnych występach.

Bogen zapalił papierosa. Nadal przyglądał się zwłokom.

Rozejrzałem się.

Na miejscu kręciło się całkiem sporo ludzi: dwóch kryminalnych z Puław, komendant, kilku miejscowych prewencjuszy. Szef właśnie kończył rozmawiać przez telefon.

- Cholera - zaklął, gdy wrzucił aparat do kieszeni. - Akurat patolog ma robotę w drugiej części województwa. Szlag by to trafił.

- Można ściągnąć Sołtykiewicza - podpowiedziałem. - Pracowaliśmy z facetem kilka razy. Wie, jak jest.

Komendant spojrzał na mnie z zainteresowaniem. Dwa trupy mimo wszystko nie stanowiły codziennej rutyny. Nie chciał czegoś schrzanić. Sołtykiewicz był zwykłym lekarzem internistą ze szpitala w Lublinie.

- Można mu ufać? - zapytał.

- Przeszedł przeszkolenie. Zna się na robocie. A bez lekarza nie ruszymy.

Komendant oczywiście zdawał sobie z tego sprawę. Lekarz na miejscu musi dokonać oględzin i spisać protokół. Inaczej się nie da. Szef westchnął, spojrzał na mnie, jakby upewniając się, że nie wpuszczam go na minę, po czym ponownie sięgnął po telefon i wezwał Sołtykiewicza na plac boju.

Lekarz przyjechał mniej więcej godzinę później. W tym czasie dokonaliśmy dokładnych oględzin miejsca zdarzenia. Zwłoki leżały na poboczu stromo idącej w górę uliczki, która po kilkudziesięciu metrach przechodziła w wąwóz, jakich wiele w Kazimierzu Dolnym i jego okolicach. Nie wyglądało na to, by ofiary zostały zabite w tym miejscu. Raczej zabójca dokonał zbrodni gdzie indziej, po czym przeciągnął albo przeniósł zwłoki obu mężczyzn. Nasze podejrzenia potwierdziły się niebawem: nieco powyżej miejsca znalezienia ciał natrafiliśmy na wyraźne ślady imprezy suto zakrapianej alkoholem.

- Tu pili - stwierdził Bogen, bacznie przyglądając się kilku pustym flaszkom po wódce, plastikowym kubeczkom, niedojedzonemu kawałkowi kiełbasy, słoikowi po ogórkach, niedopałkom i porozrzucanym kromkom chleba. By dostrzec plamy krwi, którymi upstrzone było pobocze, nie trzeba było specjalisty. - Jeżeli założyć, że z zabójca był jeden, wypada ponad pół litra na twarz.

- To jest pewien wynik - przytaknąłem.

- Pokłócili się i jeden zabił dwóch pozostałych.

- Mogłoby tak być. Tyle że mi ta mąka na twarzach nie pasuje do zwykłej bójki po gorzale.

- Facet mógł działać w pijanym widzie. Nie wiedział, co robi.

- Eee. Sam w to nie wierzysz.

- Nie bardzo.

W tym momencie zauważyliśmy, że macha do nas jeden z przewencjuszy. Stał nieco powyżej nas, przy zaparkowanym na poboczu samochodzie marki Żuk, i próbował zwrócić na siebie naszą uwagę. Podeszliśmy. Furgonetka najlepsze lata miała już za sobą. Była otwarta. W środku znajdowały się narzędzia i zwoje drutu, a z boku widniało logo zakładu energetycznego.

- Może należeć do jednego z denatów - podsunąłem.

- Albo któregoś z mieszkańców - odparł Bogen.

Rzeczywiście, wzdłuż ulicy znajdowały się trzy posesje. Czekало nas sporo rozpytywania.

Nim jednak zabraliśmy się za tę nużącą, ale niezbędną czynność, przyjechał lekarz. Uważnie obejrzał zwłoki, zrobił kilka zdjęć. Obrócił na brzuch najpierw jedno, potem drugie ciało. Każdorazowo oględziny trwały ładnych kilka minut.

- Można ich zabierać - powiedział w końcu pod adresem pracowników zakładu medycyny sądowej, którzy zdążyli nadciągnąć na plac boju. Nieopodal czekał karawan.

- Chwilę - powiedziałem, nim łapiduchyabrały się do pracy. Schyliłem się i przeszukałem obu mężczyzn. Nie mieli przy sobie niczego specjalnego, ale jedno znalezisko mnie ucieszyło: w kieszeniach znalazłem mianowicie portfele z dokumentami. Karawaniarze ładowali zwłoki do samochodu, a ja przeglądałem papiery. Lekarz wyprostował się.

- Jakies pierwsze wnioski? - zapytał Bogen.

- Obaj zginęli od ciosów nożem - odparł medyk, ściągając rękawiczki. - Na razie tylko tyle mogę powiedzieć.

- Tutaj? - Tu właściwie nie ma krwi. Można zaryzykować tezę, że zabójca ich zabił gdzie indziej i podrzucił w to miejsce.

To by potwierdzało nasze podejrzenia.

- To wszystko?

- W zasadzie tak... - zawahał się.

- W zasadzie?

- No, przed dokonaniem sekcji wszystko jest tylko hipotezą. Ale na waszym miejscu zastanowiłbym się, czy zabójcy nie poszukać wśród byłych albo aktualnych żołnierzy jednostek specjalnych.

Spojrzeliliśmy po sobie z Bogenem. Mieliśmy z Sołtykiewiczem okazję kilkakrotnie pracować w przeszłości i zawsze wydawał się człowiekiem twardo stąpającym po ziemi. Teraz wyraźnie zapachniało amerykańską powieścią sensacyjną.

- Skąd to przypuszczenie? - zapytałem, częstując lekarza papierosem.

- Sporo o tym czytałem ostatnio. Specjalsów uczy się walki nożem i szybkiego zabijania. Jedna z technik polega na wbiciu noża w kark, między drugi i trzeci krąg szyjny i przekręceniu ostrza.

- I?

- Denaci najprawdopodobniej zginęli w ten sposób. Zabójca użył noża kuchennego. Przy uderzeniu drugiej ofiary ostrze złamało się i zostało w ranie. Więcej będę mógł powiedzieć po przeprowadzeniu sekcji.

- Ostrze tkwi w ranie - powtórzyłem. - To znaczy, że zabójcy została w ręku rękojeść.

- Tak.

- Jeśli to prawda, musimy jej poszukać - spojrzałem na Bogena.

- Skontaktuję się jutro. Będę więcej wiedział - stwierdził lekarz, pożegnał się, wsiadł do samochodu i ruszył w ślad za karawanem.

Spojrzałem za nim tęsknie. Zdawałem sobie sprawę, że zabawię w tym miejscu znacznie dłużej niż on. Wtedy nawet nie przyszło mi do głowy, jak bardzo prorocza była to myśl - pobyt w Kazimierzu Dolnym grupy operacyjnośledczej, powołanej w celu znalezienia zabójcy kilka dni później, trwał blisko sześć miesięcy.

Ruszyła nużąca policyjna robota. Razem z trzema kryminalnymi przepytaliśmy sąsiadów w poszukiwaniu ewentualnych świadków zdarzenia. Problem komplikował fakt, że w tym uroczym nadwiślańskim miasteczku odbywał się wtedy festiwal muzyki ludowej i rynek wraz z okolicznymi uliczkami wypchany był po brzegi turystami z całej Polski. Wśród tego wysoce mobilnego tłumu mogłby się schować pluton zabójców, a nie tylko pojedynczy anonimowy nożownik. Mimo wszystko próbowaliśmy. Dysponując zdjęciami i personaliami ofiar, ustaliliśmy szybko, że obaj mężczyźni, o nazwiskach Drewniak i Socha, byli mieszkańcami Kazimierza; jeden z nich pobierał zasiłek dla bezrobotnych, drugi natomiast pracował w

miejscowym zakładzie energetycznym, do którego należała zresztą znaleziona przez nas furgonetka Żuk. Obaj byli widziani feralnego dnia zarówno w okolicy rynku, jak i nadwiślańskich wałów. Wyglądało na to, że bawili się dobrze, sporo pili, ale poza tym nie wyróżniali się niczym szczególnym.

Po kilku dniach nie byliśmy wiele mądrzejsi niż na początku. Lekarz potwierdził to, co powiedział nam podczas pierwszych oględzin: ofiary zostały zabite nożem kuchennym, zabójcą był ktoś, kto wiedział, jak się tą bronią posługiwać. Nóż był typowy, namierzenie jego sprzedawcy, o ile w ogóle nie przekraczało naszych możliwości, z pewnością nie przybliżyłoby nas do zabójcy. Nakazaliśmy przeszukanie okolicy w poszukiwaniu rękojści. Wezwana na pomoc kompania prewencji przez cały dzień przeczesywała krzaki w promieniu kilkuset metrów od miejsca zbrodni. Wezwaliśmy nawet płetwonurków, by przeszukali dno Wisły.

Nic.

Uruchomiliśmy informatorów. Starannie przepytaliśmy licznych w Kazimierzu restauratorów oraz właścicieli sklepów i straganów. Gadaliśmy chyba z każdym mieszkańcem miasta.

Żadnego śladu.

Kilka dni później poszliśmy po pracy do jednej z knajp przy rynku. Byliśmy znużeni brakiem jakichkolwiek postępów dochodzenia. Bogen zatrzymał się przy barze, by zamówić piwo. Zauważyłem, że dłuższą chwilę rozmawia z barmanem. Po chwili mój partner postawił kufle na blacie stolika, po czym rzekł:

- Spotkałem dawnego kumpla. Wiedział, że szukamy zabójcy. I opowiedział mi ciekawą rzecz.

- No? - mruknąłem, zanurzając usta w chłodnej pianie. Nie spodziewałem się żadnych rewelacyjnych newsów, chociaż przyznać trzeba, że barmani czasami bywają źródłem istotnej wiedzy.

- Ze dwa tygodnie temu pojawił się w mieście nowy facet. Sporo pije. Mój kolega mówi, że widział trzy bójki z jego udziałem i raczej gość łał innych niż odwrotnie. Dobrze zbudowany, krótko obcięty. Chwalił się, że był komandosem. Lubi wypić i lubi dziewczyny.

- Matko Boska, a kto nie lubi? - mruknąłem.

Bogen pokiwał głową. To mogły być tylko plotki, ale z braku lepszego tropu zaczęliśmy gościa namierzać. Po jakimś czasie udało się ustalić, że rzeczywiście ktoś taki jest w Kazimierzu

i od czasu do czasu wszczynają burdy. Zdobyliśmy jego adres. Wynajmował pokój w jednym z domów przy rynku.

Zatrzymanie odbyło się nad wyraz spokojnie. Gość w istocie był dość duży i muskularny, poruszał się sprężysto, widać było, że jest sprawny fizycznie. Jednak gdy poprosiliśmy go, by poszedł z nami na komisariat, nie stawiał oporu, nawet nie protestował.

Podczas przesłuchania był nader lakoniczny.

Pochodził z Lubelszczyzny, w Kazimierzu spędzał wakacje. Tak, był tego dnia w mieście. Słyszał o zabójstwie, ale nic na ten temat nie wie. Co robił tego wieczora? Pił. Niewiele pamięta. Był nad Wisłą, rozmawiał z wieloma osobami. Umknęło mu, jak dotarł do domu. Cały następny dzień miał solidnego kaca.

Była to dość niekonkretna rozmowa. Facet pasował do profilu, ale tak naprawdę nic na niego nie mieliśmy. Po dwóch godzinach puściliśmy go.

Jednak następne dni zaowocowały bardziej konkretnymi doniesieniami.

Po pierwsze, na komisariat zaczęli zgłaszać się ludzie ze skargami na naszego komandosa. Okazało się, że facet nie tylko prowokował bójki. Zdarzyło mu się w co najmniej dwóch wypadkach okraść pobitego. Mieliśmy zeznania wymieniające konkretne daty, godziny i sumy w portfelu.

Po drugie, co ciekawsze, dwóch mundurowych przyniosło z miasta wieść, że zatrzymany przez nas mężczyzna był widziany w towarzystwie denatów, zanim oczywiście stali się denatami. Były to dwie niezależne opowieści i obie zawierały fragment o bójce jednego z zabitych z naszym komandosem.

Postanowiliśmy go zatrzymać ponownie. Okazało się, że właśnie wyjechał. Szybko ustaliliśmy, że jako środka lokomocji użył autobusu. Wsiadliśmy do samochodu i ruszyliśmy w stronę Puław. W miejscowości Parchatka udało nam się zatrzymać zdezelowany wehikuł. Gdy weszliśmy do środka, facet wiedział, że znaleźliśmy się tam z jego powodu. Znowu nie protestował ani nie próbował uciekać. Skuliśmy go i zawieźliśmy z powrotem do Kazimierza.

Weryfikacja zeznań świadków pozwoliła prowizorycznie odtworzyć przebieg wydarzeń. W przeddzień zabójstwa na bulwarze nad Wisłą doszło do bójki pomiędzy Drewniakiem a zatrzymanym. Działo się to podczas libacji, w której uczestniczyło sporo osób. W zeznaniach zaczęła pojawiać się postać jakiejś dziewczyny, do której tenże Drewniak wyraźnie startował. Zaczęliśmy szukać dziewczyny, ponieważ doszliśmy do wniosku, że może wnieść coś nowego

do sprawy. Robotę w znacznym stopniu utrudniała nam pełnia sezonu turystycznego i ten cholerny festiwal. Znalezienie w tym czasie anonimowej dziewczyny na podstawie niezbyt dokładnego opisu było misją prawie niemożliwą.

Jednocześnie przyciskaliśmy zatrzymanego.

- Rzeczywiście, biłem się z tym facetem - stwierdził drugiego dnia przesłuchań. Powiedział to lekkim tonem, jakby nie przywiązując do tego specjalnej wagi. - Była impreza, sporo piliśmy, a on się zaczął przystawiać do mojej dziewczyny.

- To ty masz dziewczynę? - zdziwiłem się fałszywie. Facet był za spokojny. Chciałem go sprowokować. Może chodziło o tę samą osobę.

- Mam. Jest w Kazimierzu. Mieszka ze mną.

Podniosłem brwi. Dotychczas zakładaliśmy, że facet mieszka sam.

Mundurowi pojechali do pokoju wynajmowanego przez zatrzymanego i rzeczywiście, po niedługim czasie przywieźli na posterunek rozczochną dwudziestoparolatkę o imieniu Anka. Rzuciłem na nią okiem i już wiedziałem, że robi się coraz bardziej interesująco. Po sprawdzeniu okazało się, że intuicja mnie nie zawiodła, babka miała niezłą kartotekę: dragi, prostytutka, kradzieże. W czasie zatrzymania była zresztą naćpana. Mieliśmy więc dziewczynę, która mogła stanowić klucz do sukcesu.

Zaczęły się krzyżowe przesłuchania, w wyniku których, po konfrontacji zeznań zatrzymanych z relacjami świadków, udało się odtworzyć obraz sytuacji.

W przeddzień zabójstwa nad Wisłą doszło do imprezy z udziałem Drewniaka, zatrzymanego, Anki i jeszcze paru osób. Wszyscy ostro pili. W pewnym momencie Drewniak zaczął się przystawiać do Anki, po czym zaciągnął ją w krzaki. Nie spodobało się to naszemu komandosowi. Poszedł w krzaki, ściągnął Drewniaka z dziewczyny i zaczęli się bić. Drewniak mocno oberwał. Impreza zakończyła się.

Pobity zaczął pałać żądzą zemsty. Nazajutrz wciągnął do współpracy Sochę. Obaj uradzili, że aby się zemścić, muszą najpierw się z obiektem zemsty zaprzyjaźnić.

Odnaleźli komandosa i zaproponowali mu wódkę. Umówili się, że wieczorem spotkają się w jednej z bocznych uliczek miasta, w miejscu, w którym zaczyna się wąwóz. Tam doszło do bójki.

To był bardzo prawdopodobny scenariusz, miał wszelako pewną dość istotną wadę: nie było na niego dowodów. Zatrzymany wszystkiemu zaprzeczał. Wyglądał jak ostatni lump,

patrzył spode łba przekrwionymi oczyma, miał brudne włosy i śmierdział, ale okazał się człowiekiem niezwykle bystrym i inteligentnym. Na pytania odpowiadał oszczędnie, zastanawiał się nad każdym zdaniem, za każdym razem wyraźnie wiedział, co powiedzieć. Był bardzo konsekwentny i sprawiał wrażenie człowieka, który zna wszystkie nasze sztuczki. Ani razu nie udało się nam go zapędzić w kozi róg.

Nie zaprzeczał, że był w miejscu zbrodni. Wiedział, że niczym mu to nie grozi. Nadal nie odnaleźliśmy rękojści noża, a żadne ślady nie wskazywały bezpośrednio na zatrzymanego jako sprawcę zbrodni.

Udało nam się jednak namówić prokuratora do wystawienia nakazu zatrzymania na trzydzieści dni. Nie mogliśmy udowodnić zabójstwa, jednak bez większego problemu byliśmy w stanie sformułować zarzuty dotyczące rozboju. Facet poszedł do aresztu tymczasowego.

Zacząłem głębiej kopać w życiorysie zatrzymanego. Okazało się, że w istocie był niegdyś żołnierzem. Ostatnią formacją, w jakiej służył, była jednostka karna w Kaliszu, gdzie pełnił funkcję szefa kompanii. Kilkakrotnie podpadł za gorzałę. Okazało się też, że miał na koncie defraudację żołdu, za co został karnie wydalony z wojska. Gdy jednak zacząłem jeszcze głębiej kopać, żeby dowiedzieć się, co facet robił wcześniej, natrafiłem na mur.

Nie udało mi się natrafić na żadne dane dotyczące jego wcześniejszej służby. Oficjalne dokumenty na ten temat nie istniały. Zadzwoiłem do kolegi z czasów szkolnych, który pracował w Żandarmerii Wojskowej, i poprosiłem go o pomoc. Obiecał pomóc, ale zastrzegł, że robi to nieoficjalnie.

Po jakimś czasie spotkaliśmy się w pewnej warszawskiej kawiarni.

- Oficjalnie mogę ci powiedzieć tylko tyle, że był używany, jak to my nazywamy, „do celów obronności państwa”.

Taa. Coraz ciekawsza ta sprawa w Kazimierzu.

- A nieoficjalnie? - zapytałem bez większych nadziei.

- Facet był wykorzystywany przez wywiad albo kontrwywiad. Ale ode mnie tego nie słyszałeś.

- W ogóle ostatnio mam kłopoty ze słuchem.

Pożegnaliśmy się i wróciłem do Kazimierza.

Jako że nie lubię odpuszczać, wysmażyłem oficjalne pismo do Ministerstwa Obrony Narodowej. Po jakimś czasie otrzymałem lakoniczną odpowiedź: „Obywatel taki i taki w latach

takich i takich był zawodowym żołnierzem Wojska Polskiego i był wykorzystywany do celów obronności państwa”. Koniec, kropka. Pocałujcie nas w tyłek, gliniarze.

Uruchomiliśmy prywatne kontakty, co zaowocowało dotarciem do byłego dowódcy zatrzymanego, obecnie już emerytowanego. Facet w szczerzej, aczkolwiek całkowicie nieoficjalnej rozmowie potwierdził, że zatrzymany był w istocie człowiekiem specjalnie przeszkolonym, między innymi w zakresie walki nożem. Doskonale znał techniki przesłuchań. Były żołnierz coraz lepiej pasował nam do profilu zabójcy.

Ale nadal się nie przyznawał.

Zamknęliśmy go pod celę z kapusiem i techniką. Nic. Stosowaliśmy prowokacje, twierdziliśmy, że Anka wszystko nam opowiedziała. Wyśmiał nas. Próbowaliśmy go brać na zmęczenie, na łagodne podejście, na dobrego i złego policjanta. Siedział i śmiał nam się w nos.

Przebadaliśmy go za pomocą wariografu. Owszem, maszyna pokazała, że na pytania o zabójstwo reaguje emocjonalnie. Na nasze pytanie na ten temat odparł:

- A jak mam reagować? Trzymacie mnie tu od trzech tygodni i wmawiacie, że zabiłem tych ludzi. Mam się nie denerwować?

Naprawdę, trudno było go zagiąć.

Szczerze mówiąc, od pewnego momentu robiliśmy te wszystkie rzeczy tylko dlatego, żeby nikt nam potem nie zarzucił, że nie wyczerpaliśmy wszystkich możliwości. Rzadko bywa bowiem tak, że podejrzany o zabójstwo, o ile organy ścigania nie mają mocnych dowodów, sam z siebie przyznaje się do winy. Kara jest zbyt wysoka, stawka zbyt duża. Przestępcy bardziej opłaca się iść w zaparte.

W międzyczasie udało się załatwić przeprowadzenie będącego w owym czasie ostatnim krzykiem techniki badania śliny na znalezionych na miejscu zbrodni niedopałkach papierosów. Było to jednak badanie wskazujące nie konkretnego sprawcę, lecz określające grupę śliny. Owszem, zatrzymany pasował do tej grupy. Ale to nadal nie był decydujący dowód.

Skorzystaliśmy nawet z usług hipnotyzera, z którym już wcześniej współpracowaliśmy. Hipnotyzer orzekł, że facet nie ma związku ze sprawą. Niemal jednocześnie od jego byłego dowódcy uzyskaliśmy informację, że szkolono go w technikach tak zwanej płytkiej hipnozy.

Był śliski jak wąż.

Ponieważ kończył się termin aresztu, zdecydowaliśmy się postawić mu zarzut rozboju. W mojej ocenie popełniliśmy błąd. O ile można było się łudzić, że facet na wolności zrobi coś

głupiego (pojawi się na miejscu zdarzenia, by odszukać rękojeść noża, wygada się przed rodziną), to nadzieja, że puści farbę współwięźniom, oscylowała wokół zera. Ten gość był naprawdę za cwany.

Pocieszeniem było to, że za rozbój dostał osiem lat. Ponieważ w więzieniu wdał się w kilka poważnych bójek, odmówiono mu skrócenia wyroku. Osiem lat to nie tak dużo.

Ale dobre i to. Podwójne śledztwo O 4.00 obudził mnie dźwięk telefonu. Otworzyłem oczy, modląc się, by był to tylko zły sen. Rozumiałem już, dlaczego w książkach historycznych można wyczytać, że ataki najczęściej przeprowadzano tuż przed świtem. O tej porze nie chce się człowiekowi nawet ruszyć ręką.

Przez chwilę rozważałem zignorowanie sygnału, ale poczucie obowiązku zwyciężyło. W policji zawsze jesteś na służbie. Zwlokłem się więc i sięgnąłem po słuchawkę.

- Nie zgadniesz, co się stało - usłyszałem głos Boga.

- Powiesz mi w robocie - mruknąłem.

- Nie spytasz nawet „Co?”? Spytaj: „Co?”

- Co?

- Był napad na mieszkanie Pytlakiewicza. Z bronią w ręku.

Senność odpłynęła nagle.

- Żartujesz?

- Ogarnij się, za pół godziny będę u ciebie pod blokiem.

Trzydzieści minut później schodziłem po schodach. Przed klatką stał cywilny wóz z bulajem nad dachem. Do domu Pytlakiewicza ruszyliśmy na sygnale.

- Jakies pomysły? - spytał Bogen, kiedy jechaliśmy w stronę Góry Puławskiej, miejsca zamieszkania napadniętego.

Pierwsza myśl banalna.

- Ktoś jest albo bardzo głupi, albo bardzo mocny.

- Porachunki?

- To nie jest koleś, który co drugi piątek obija sobie mordę w bójkach z gówniarzami na dyskotecce. Trzeba mieć albo mało rozumu, albo dobry powód, żeby go wkurzyć.

- Na to wygląda.

Na miejscu był już radiowóz chłopaków z prewencji zabezpieczającej miejsce przestępstwa. Obok stał wysokiej klasy mercedes i ktoś, kto wyglądał na ochroniarza.

- Czemu tak jest, że im więcej masz kasy, tym mniej gustu? - zdziwił się fałszywie Bogen, gdy parkował samochód na podjeździe. Rzeczywiście, willa przypominała raczej kiczowaty cygański zamek niż dom dobrze prosperującego biznesmena, za jakiego lubił uchodzić Pytlakiewicz.

Gospodarz przywitał nas w drzwiach. Wielki i puciołowaty mężczyzna. Jednak jego krawiec wykonał dobrą robotę, więc rozmiary użytkownika garnituru niespecjalnie rzucały się w oczy. Niejeden makler albo adwokat wyglądał gorzej od niego.

- Dzień dobry, Bogusław Pytlakiewicz - przedstawił się uprzejmie mężczyzna, podając nam dłoń. - Napijcie się czegoś, panowie?

Wiedział, że wiemy, kim jest. Mimo to zachowywał wszelkie pozory. Wydawało się też, że napad wcale go nie wzruszył. Był uśmiechnięty i wyglądał na rozluźnionego.

Poprosiliśmy o kawę, a potem siedliśmy na kanapie. Obsługiwał nas starszy mężczyzna w czarnej kamizelce, którego gospodarz nazywał panem Heniem. Wyglądał jak połączenie menela z lokajem i nie odzywał się. Po chwili dosiadła się do nas żona gospodarza.

Odwróciłem się w jej stronę.

- Może pani opowiedzieć, co się wydarzyło?

- Przyszli w środku nocy, około 1.00, może 2.00. Nosili dresy, a na twarzach mieli kominiarki. Wybili szybę w drzwiach od strony tarasu. Kiedy się obudziłam, stali już przy moim łóżku. Związali mnie.

- Ilu ich było?

- Widziałam czterech.

- Mieli broń?

- Tak, dwa kałasznikowy i pistolety. Nie zwróciłam uwagi na typ.

- Bili panią?

- Nie.

Dostaliśmy niezbyt dokładny opis sprawców, po czym pani domu zniknęła w głębi rezydencji.

- Był pan w domu w czasie zdarzenia? - spytałem Pytlakiewicza, delektując się pierwszorzędną kawą z ekspresu.

- Oczywiście, że nie - stwierdził gospodarz, tak jakby rozumiało się samo przez się, że podczas jego obecności do żadnego zdarzenia by nie doszło. - Tylko małżonka.

- Co zabrali? - zapytałem.

- Wszystko - mężczyzna uśmiechnął się, jakby mówił o pogodzie. - Trochę kosztowności, biżuterię żony, mojego mercedesa sześćsetkę, gotówkę i pistolet CZ.

Wiedziałem, kim jest. Musiał być bardzo pewny siebie. Mimo wszystko wymienianie lekkim tonem takiej straty wydało mi się dziwne.

- Miał pan pozwolenie na broń? - spytał Bogen.

- Naturalnie.

- A gotówka? Dużo jej było?

- Około dwudziestu tysięcy. Leżała w sejfie. Instruowałem żonę, żeby w podobnym wypadku nie stawiała oporu, tylko wykonywała polecenia - powiedział Pytlakiewicz. - Najważniejsze, żeby nic jej nie zrobili - stwierdził, po czym zamyślił się. - Mam do was prośbę, panowie.

Spojrzałem na niego pytająco.

- Rozmawiałem z nią już i mówi, że nic się nie stało, ale rozpytajcie ją. Czy na pewno, czy...

- Nie została zgwałcona? - dokończyłem.

- Tak - odparł Pytlakiewicz, a uśmiech, który wcześniej rozjaśniał jego puciołowatą twarz, znikł zupełnie. - To by mnie wkurwiło.

Sygnal był jasny. W środowisku, w którym obracał się Pytlakiewicz, żony, matki czy kochanki uchodziły za nietykalne. Mężczyźni robili interesy, spierali się, czasami strzelali do siebie albo wysadzali się w powietrze, kobiet jednak to nie dotyczyło. Kobiety były azylem i odpoczynkiem wojowników. Owego kodeksu honorowego ściśle przestrzegano. Odstępstwa od niego karano z maksymalną bezwzględnością.

- Pogadamy z nią - obiecałem. Niezależnie od charakteru prawdziwych zajęć Pytlakiewicza mieliśmy swoją robotę do wykonania.

- Czy z sejfu zginęło coś jeszcze? - zapytał Bogen.

Przez twarz gospodarza przebiegł cień. Zarówno Bogen, jak i ja zdaliśmy sobie sprawę, że mój partner trafił w coś istotnego. Nie było nam jednak dane dowiedzieć się więcej na ten temat, w tym momencie bowiem zadzwonił stojący na biurku telefon i Pytlakiewicz poderwał się, by go odebrać. Henio zniknął za drzwiami.

Bogen potrącił mnie lekko łokciem.

- Widziałeś, kto nam kawę podawał?

Pokręciłem głową.

- Były komendant rejonowy.

- Henio?

- Ten sam.

- Wygląda jak cieć.

- Połowa z nich tak wygląda. Zaczynałem u niego.

Mój partner miał rację. Wysoko postawieni funkcjonariusze poprzedniego ustroju za kołnierz nie wylewali. Dziś wielu z nich miało ogorzałe twarze meneli. Losy tego milicjanta policjanta, kelnerującego u znanego w całej okolicy gangstera, stanowiły niewesoły przyczynek do historii polskiej transformacji ustrojowej, która niejednokrotnie przybierała takie właśnie wynaturzone formy.

Miałem właśnie rzucić uwagę dotyczącą kaprysów fortuny, ale to nie był koniec zaskoczeń tego wieczoru. Rozmowa telefoniczna Pytlakiewicza należała do kolejnych.

- Tak, wujku... - usłyszeliśmy. - Dziękuję, że oddzwoniłeś. Nie, nic jej nie jest. Zabrali trochę biżuterii, kasy i mojego merca. Zablokuj granicę, co? Pewnie będą chcieli wywieźć brykę na Wschód. Dzięki. Tak, jesteśmy cali. Zadzwoń rano.

Popatrzyliśmy z Bogenem po sobie. Tym razem mój partner nie musiał niczego wyjaśniać. Obaj dobrze wiedzieliśmy, że wujkiem i ojcem chrzestnym Pytlakiewicza jest Ireneusz Tolak, były wysoki urzędnik państwowy, aktualny prezes ważnego państwowego urzędu. Ktoś taki rzeczywiście mógł „zablokować” granicę. W branży krążyły plotki, że zarówno Tolak, jak i jego bratanek mają powiązania z grupą pruszkowską.

Kiedy Pytlakiewicz odłożył aparat, jak gdyby nigdy nic wróciliśmy do rozmowy.

- Mówił pan o kradzieży mercedesa. Widzieliśmy jednego na podjeździe.

- Mam trzy samochody tej marki.

- Gdzie pan był w czasie napadu?

- W Warszawie, w interesach. Mam tam mieszkanie, dlatego nocowałem.

- Kto wiedział, że pan wyjeżdża?

Znów się uśmiechnął.

- Przyjaciele, znajomi. Wiele osób.

- Domyśla się pan, kto mógł dokonać napadu?

- Nie mam pojęcia.
- Jacyś wrogowie, ktoś, kto mógłby chcieć się zemścić?
- Nie mam żadnych wrogów - stwierdził bez mrugnięcia okiem.

Było jasne, że niczego więcej się nie dowiemy. Nalegaliśmy jednak, by Pytlakiewicz wpuścił na miejsce techników, na co uzyskaliśmy zgodę. Gospodarz obiecał także, że nazajutrz zjawi się na komisariacie, by złożyć obszerniejsze wyjaśnienia. Zachowywał się uprzejmie, choć było jasne, że nie mówi nam wszystkiego.

Gdy wychodziliśmy, zatrzymał nas jeszcze na kilka sekund.

- Panowie, nie przejmujcie się śledztwem.
- Co pan ma na myśli?
- Że zrobię własne. Po co macie tracić czas...

Nim zdążyliśmy zareagować, uśmiechnął się, po czym życzył nam szerokiej drogi.

Z Góry Puławskiej wracaliśmy, wiedząc mniej więcej tyle co wcześniej. Nie znaczy to jednak, że pewien obraz sytuacji nie zaczął układać nam się w głowach. W Polsce w owym okresie okradanie gangsterów zdarzało się nad wyraz często. Wystarczająco często, byśmy zaczęli podejrzewać istnienie grupy przestępczej, która w tym się wyspecjalizowała. Rzecz sprowadzała się do dość prostego i logicznego rozumowania.

Jeśli przestępca okradnie zwykłego obywatela, prawdopodobnie zainteresuje się tym policja. Okradziony gangster natomiast nie złoży doniesienia. Półświatek to ludzie, którzy wolą załatwiać swoje sprawy sami. Taki modus operandi, naturalnie, wiąże się z większym niebezpieczeństwem - mafiosi nie bawią się w procesy. Jak więc uniknąć ich zemsty? Cóż, najprościej mówiąc, nie zostawiać śladów. To po pierwsze. Po drugie: nie należeć do środowiska. Świat przestępczy jest zbyt mały, by szybkie wzbogacenie się nie wyszło na jaw.

Nie jest łatwo spełnić takie warunki, zwłaszcza że dodatkowym utrudnieniem pozostawała zasada, że należało kraść tylko gotówkę albo przedmioty łatwo zbywalne. Paser wyda bowiem złodzieja pozbawionego odpowiednich powiązań bez mrugnięcia okiem.

- Chłopakom powinna się noga - powiedziałem, kiedy wróciliśmy z Bogenem na komendę i zabieraliśmy się do sporządzania notatki ze zdarzenia.
- Błędy zdarzają się najlepszym.
- No.

Rzeczywiście, ostatni okres nie był zbyt szczęśliwy dla rabusiów. Dwa tygodnie temu, podczas napadu na willę w Chotomowie pod Warszawą, należącą do niejakiego Wachowskiego, jeden z nich został przez gospodarza zastrzelony. Policyjna grupa operacyjna ustaliła, że napadu dokonała szajka, która ma na swoim koncie szereg niemal identycznych przestępstw, a zabitym jest taksówkarz z Radomia, najprawdopodobniej pełniący funkcję kierowcy. W świat poszła ważna informacja. Większość okradzionych gangsterów wiedziała już, w którym mieście najprawdopodobniej należy szukać zemsty.

Nie mieliśmy wątpliwości, że dzisiejszy napad jest dziełem tych samych ludzi. W dodatku bandyci popełnili kolejny błąd: z domu Pytlakiewicza wzięli mercedesa i kosztowności. Gospodarz wiedział nie tylko, gdzie, ale też czego szukać. Przy jego powiązaniach i, że się tak wyrażę, możliwościach mobilizacyjnych dojście do sprawców było tylko kwestią czasu.

Jeśli chodzi o działania policji w tej kwestii... Cóż. Następnego dnia odbyła się odprawa, podczas której zachęcono nas do przyciskania informatorów. I tyle. Specyfika pracy w kryminalnej jest taka, że gdy przestępcy robią krzywdę sobie nawzajem, mało kto ma dość serca, by energicznie próbować temu zapobiec. Naszą aktywność ograniczaliśmy do wymiany informacji.

Trzy tygodnie minęły bez specjalnych emocji, a potem znowu odezwał się do mnie Bogen.

- Zgadnij, kto prowadzi śledztwo w sprawie Pytlakiewicza. - Jak to kto? - zdziwiłem się. Pytanie wyglądało na oczywiste. - Nie, nie, nie - zaśmiał się Bogen. - Zgadnij, komu on je zlecił. - Nie baw się w suspensy, tylko mów. - Pershing. - Chwila ciszy. - Ten z Pruszkowa. - Wiem, który Pershing. Dziś nawet dzieci wiedzą, który. - Skąd to wiesz? - spytałem. - Ptaszki mi wyćwierkały. Ale to nie koniec. Ten gościu, taksówkarz z Radomia. Nasi ustalili, że taksówka to tylko jedna z jego działalności. Facet miał powiązania praktycznie z każdą grupą przestępczą w tym mieście.

- No to niech się chłopaki modlą.

- Jakie chłopaki?

- Te, które oskubały naszego kochanego biznesmena.

Bogen zaśmiał się.

- Modlą?

- Żebyśmy ich złapali, zanim zrobi to Pershing.

Stało się jednak inaczej.

Później prasa nazwała ich gangiem karateków. Jego członkami było kilku młodych, niezwiązanych dotąd ze światem przestępczym ludzi. Wychowali się w dobrych domach, byli studentami albo absolwentami wyższych uczelni. Wszyscy pochodzili z Radomia, gdzie spotkali się na treningach karate u znanego w mieście instruktora.

Chłopcy byli pełni energii i uznali, że skanalizują ją w sposób, który pozwoli im się wzbogacić. Nie wiem na pewno, czy postanowili okradać przestępców z powodów, które opisałem wcześniej. Wiem natomiast, dokąd ich to zawiodło. Ludzie Pershinga złapali ich, wywieźli na wieś pod Kazimierzem i torturowali przez kilka dni. Jednemu przewiercono wiertarką kolano.

Co ciekawe, w pewnym momencie Bogen dostał informację o miejscu przetrzymywania porwanych, doszła jednak ona do nas w momencie, gdy nie była już wiele warta. Kiedy uzyskaliśmy pozwolenie na akcję, zebraliśmy grupę i mieliśmy ruszać do Kazimierza, zadzwonił telefon z Radomia.

- Mamy ich.

Dwaj „karatecy” sami zgłosili się na policję.

Później okazało się, że nie wytrzymali presji. Po torturach Pershing wypuścił ich z poleceniem, by dalej napadali na domy, tym razem jednak oddawali łupy jemu i Pytlakiewiczowi w ramach rekompensaty za poniesione straty. Po pierwszych dwóch włamaniach dwaj bandyci mieli dosyć. Zgłosili się na policję i przyznali do wszystkiego, a także wydali resztę kompanów. Woleli trafić do więzienia, niż żyć dalej w strachu. Dostali wysokie wyroki. Każdy odsiedział minimum dziesięć lat.

Po kilku miesiącach spotkałem Pytlakiewicza w którejś z knajp pod miastem. Zauważył mnie i przyszedł się przywitać. Nie rozmawialiśmy długo. Na odchodne uśmiechnął się i powiedział:

- Mówiłem wam, że moje śledztwo będzie szybsze od waszego.

Kiwnąłem tylko głową. Nie wiem, co się z nim potem stało.

Tolak, chrzestny naszego biznesmena i ważny urzędnik, kilka lat później został oskarżony o machlojki związane z pewnym urzędem państwowym i dużą ogólnopolską firmą, w której pełnił funkcję prezesa. Wkrótce znaleziono go martwego w jego własnym mieszkaniu. Miał trzy rany postrzałowe w okolicy serca.

Śledczy orzekli, że było to samobójstwo.

Legionowo

Po długim ciągu wyczerpujących spraw, z których ostatnia dotyczyła radomskich „karateków”, do mojej pracy wróciła rutyna. Z jednej strony kilka miesięcy niedosypiania kiepsko odbija się na kondycji człowieka, z drugiej, gdy tylko ten szaleńczy rytm zostaje w końcu przerwany, przychodzi dziwne poczucie pustki’. Człowiek wciąż siedzi w pracy, często po godzinach, ale zajmuje się rzeczami, które nie dają ani zastrzyku adrenaliny, ani satysfakcji. Jest to równie, o ile nie bardziej, wyczerpujące jak akcja.

Pracowałem w policji już ładnych parę lat. Gdybym stwierdził, że zrobiłem szczególnie spektakularną karierę, skłamałbym. Mimo służby w plutonie specjalnym, ukończonej szkoły oficerskiej i studiów prawniczych oraz kilku znaczących sukcesów w sekcji kryminalnej, moja sytuacja prezentowała się niewiele lepiej niż na samym początku drogi. Miałem najniższy stopień oficerski - podkomisarza - i do czasu zwolnienia się etatu gdzieś wyżej nie mogłem liczyć na awans. Mieszkałem wciąż z teściową, widoków na mieszkanie służbowe dla siebie i żony - praktycznie żadnych. Kolejne próby poprawienia sytuacji na którymkolwiek z pól kończyły się fiaskiem, do tego za wiele rzeczy niezbędnych do pracy (począwszy od długopisów, na kamizelce kuloodpornej kończąc) musiałem płacić z własnej kieszeni. Rozczarowanie służbą dla państwa powoli rosło. Idealizm, choć tkwił we mnie jeszcze, został obudowany solidną warstwą codziennej pragmatyki i cynizmu.

Jednak życie toczyło się dalej.

Nadchodziło właśnie Święto Zmarłych, wszyscy więc ruszyliśmy na cmentarze, by schwytać na gorącym uczynku cmentarnych złodziei i podreperować słupki procentowe na podsumowaniach, które na koniec roku trafiały do rąk przełożonych. Poza tym wigilia Bożego Narodzenia, Wielkanoc, urodziny mamy albo właśnie 1 Listopada to takie momenty w roku, kiedy każdy, nawet najbardziej zatwardziały kryminalista, pokazuje ludzkie oblicze. Mieliśmy więc na oku groby bliskich rozmaitych przestępców, licząc, że któryś z nich wpadnie nam w ręce.

Chodziliśmy z partnerem po alejkach pełnych granitowych nagrobków przemarznięci na kość przez lodowaty jesienny wiatr. Co jakiś czas zatrzymywaliśmy się przy którymś z mniej zadbanych miejsc pochówku i staliśmy kilka minut, gadając o bzdurach.

- Maciek, a mieszkanie, w którym mieszkasz z Goską, to wasze? - spytałem, biorąc od sprzedawcy porcję pańskiej skórki i rozglądając się dyskretnie.

Partner pokręcił głową.

- Po dziadkach dostała. Nie słyszałem, żeby komuś teraz dawali służbowe. Chyba że masz plecy jak stąd do Warszawy.

Byliśmy dosyć daleko od Warszawy, więc nic nie powiedziałem. Wróciliśmy do naszej alejki. Resztę dnia i połowę wieczoru spędziliśmy na cmentarzu. Liczba kwiatów i zniczy wokół nas rosła. Wreszcie, około 21.00, gdy poza nami zostały w okolicy już tylko płonące czerwono ogniki, postanowiliśmy wracać do domu.

Być może gdzieś indziej komuś innemu udało się złapać jakichś poszukiwanych. Ale niestety nie nam.

W mieszkaniu czekała na mnie zimna kolacja, perspektywa wstania o 5.00 i... telefon. Dzwonił jeden z kolegów, którego poznałem, studiując zaocznie prawo.

Telefon ten oznaczał długo oczekiwany przełom.

Wykładowca

Kilka tygodni wcześniej, podczas jednego z akademickich zjazdów, dowiedziałem się o zmianach, jakie zachodziły w szkole policyjnej w Legionowie pod Warszawą. Jeden z kolegów, kadrowiec tejże szkoły, opowiedział mi o powstającym zespole, którego zadaniem miało być szkolenie słuchaczy w zakresie pracy operacyjnej.

- Byłbyś zainteresowany? - spytał mnie, unosząc twarz znad pozajęciowego kufła.

- Ja? Czym?

- No, wykładaniem. Zaśmiałem się. - W życiu nikogo niczego nie uczyłem. - Zdziwiłbyś się, jakie nauczanie jest łatwe. Pestka w porównaniu z pracą na ulicy. No i można liczyć na awans albo nawet mieszkanie.

- Jak tak, to chętnie - powiedziałem, zdając sobie sprawę, jak często padają podobne deklaracje i jak niewiele z nich wynika.

Praca wykładowcy nawet mi się nie marzyła. W gruncie rzeczy nie miałem o niej bladego pojęcia. Widywałem wykładowców na zajęciach z prawa i w szkole oficerskiej; owszem, bywało, że pojawiały się zastrzeżenia do ich wiedzy albo sposobu prowadzenia wykładu, być może raz czy dwa przez głowę przemknęła mi myśl, że zrobiłbym to lepiej, ale nigdy nie wpadłbym sam na pomysł, by stanąć za katedrą.

Propozycję od kolegi ze studiów przyjąłem więc z dużą dozą rezerwy.

Dwa tygodnie później, pochłonięty ponurymi myślami i odzyskiwaniem ciepła po całym dniu na cmentarzu, nawet nie pamiętałem już o tej rozmowie. Wtedy właśnie zadzwonił telefon.

Kilka dni później spakowałem się i ruszyłem w stronę Warszawy.

Centrum Szkolenia Policji w Legionowie można określić mianem podstawówki dla policjantów. Jednak pomimo że rzeczywiście większość kursantów stanowią świeżo upieczeni kandydaci do służby, odbywają się tam także szkolenia specjalistyczne dla funkcjonariuszy bardziej zaprawionych w bojach (począwszy od ruchu drogowego, na narkotykach i śledztwach powybuchowych kończąc) oraz dla przyszłych podoficerów. Słowem: nie licząc oficerów, w Legionowie szkoli się każdego.

Szok związany ze zmianą pracy przeżyłem już pierwszego dnia.

Służba w policji przyzwyczaiła mnie do ciężkiej harówki. Wśród moich kolegów popularne było powiedzenie, które dość dobrze oddawało wszystko, czego doświadczyłem i czego mnie nauczono: Do czego służy policjantowi bruzda między pośladkami? Do tego, żeby spływał po niej pot. Jednak moi przyszli koledzy ze szkoły stanowili jaskrawe zaprzeczenie tej lapidarnej sentencji, o czym bardzo szybko się przekonałem.

Jako miejsce zamieszkania przydzielono mi tymczasowo pokój w bursie. Zostawiłem rzeczy i ruszyłem na odbywające się tego dnia spotkanie wykładowców Zakładu. Reszta ekipy zyska okazję do poznania nowego, ja chciałem dowiedzieć się szczegółowo, jakie są moje obowiązki, a wszystko miało się odbyć przy okazji ustalania grafików i tym podobnych formalności.

Pani kierownik przedstawiła mnie krótko, acz w bardzo korzystnym świetle, następnie przedstawiłem się sam, opowiadając w kilku zdaniach o mojej drodze zawodowej. Odnosiłem wrażenie, że moi koledzy wykładowcy słuchają z uprzejmym znużeniem, jakby czekając na następny punkt programu. Nie pomyliłem się: zaraz potem zaczęła się dyskusja, która wprawiła

mnie w osłupienie. Dotyczyła rozdziału zajęć na nowy tydzień. Na prawo ode mnie jakiś oburzony mężczyzna wstał z krzesła.

- Pani kierownik - powiedział, rozkładając ręce. - Ja rozumiem, że kadry jest mało, a słuchaczy dużo, ja rozumiem, że trzeba. Ale niech mi pani łaskawie wyjaśni: jak ja przy tym grafiku mam podwyższać własne kwalifikacje?

Szefowa spojrzała na niego odrobinę niepewnie.

- W tym momencie grafik jest już nieodwołalny. Tydzień został zaplanowany, nic na to nie poradzę, Sławek. Będziesz musiał się jakoś przemęczyć.

- Mnie się zdawało, że CSP jednak jest przede wszystkim placówką naukową. Przecież jak ja sam się nie będę rozwijał... tym gorzej dla tych, których uczę. No, nie jest tak? - spytał mężczyzna o imieniu Sławek, tym razem zwracając się do pozostałych siedzących na sali.

Dookoła rozległ się pomruk aprobaty.

Potrąciłem lekko ramieniem siedzącego obok mnie faceta. Miał wielkie sumiaste wąsy i w myślach nazwałem go Hrabią.

- Przepraszam, ale o co chodzi?

Tamten zmierzył mnie wzrokiem, po czym wycodził teatralnym szeptem:

- Proszę sobie wyobrazić, że Sławkowi dali w tym semestrze aż pięć godzin wykładów tygodniowo. To zdecydowanie za dużo, żeby normalnie funkcjonować.

Chciałem parsknąć śmiechem. Parsknąłbym na pewno, a może nawet zarechotał głośno pewien, że postanowili zrobić sobie żarty z nowego. Powstrzymał mnie prosty fakt, że nikt inny się nawet nie uśmiechał.

Z grafiku dowiedziałem się, że mam trzy godziny zajęć. W tygodniu!

Tu pojęcie pracy nabierało zupełnie innego znaczenia niż gdziekolwiek w policji poza murami szkoły. Owszem, musiałem być w CSP codziennie od 8.00 do 15.00, taki miałem obowiązek. W istocie jednak mogłem robić, co chciałem, co oznaczało, że w zdecydowanej mierze płacono mi za rozwój wewnętrzny, wizyty w bibliotece i trenowanie na jednym z licznych tutaj obiektów sportowych. Nigdy wcześniej nie spotkałem się z czymś podobnym.

Jeśli jeszcze wziąć pod uwagę, że poziom intelektualny otaczających mnie ludzi także różnił się od tego, z którym dotąd spotykałem się w pracy - wykładowcy szkoły byli znacznie mniej męczącym towarzystwem niż bandziory, złodzieje, ćpuny i handlarze narkotyków - miałem wrażenie, że chyba trafiłem do rajku.

Była w tym jednak, jak we wszystkim, co z początku wydaje się cudowne, pewna łyżka dziegciu, a mianowicie intrygi dworskie.

Na blisko stuosobową kadrę składały się zasadniczo dwa rodzaje ludzi: zwawi pięćdziesięcio - i sześćdziesięciolatkowie oraz rześcy młodzieńcy. Problem polegał na tym, że ani jedni, ani drudzy nie mieli praktyki w terenie. Mniejsza o to, w jaki sposób ten brak wpływał na ich dydaktykę, mnie uderzyło co innego.

Ludzie ci nie zdawali sobie sprawy z uczuć towarzyszących pracy w polu, a wyrabiała ona jedną cechę, której tu bardzo brakowało: poczucie lojalności wobec współpracowników. Gdy w poniedziałek twoje życie może zależeć od kolegi, a we wtorek jest na odwrót, powstaje pewien rodzaj więzi, niezależnie od osobistych sympatii, która jest trwała i nie dopuszcza do knucia za plecami albo przynajmniej skutecznie je ogranicza.

W Legionowie nikt o tym nie słyszał.

Moi nowi koledzy stanowili typowe środowisko akademickie. Na co dzień byli dla siebie mili, spotykali się po zajęciach, razem pili i biesiadowali. Nie prowokowali otwartych konfliktów. Większość z nich prowadziła jednak zakulisowe gry, których celu czy istoty nigdy nie zdołałem zrozumieć do końca. Chodziło prawdopodobnie o obniżanie prestiżu potencjalnych przeciwników przy wyborach na wyższe stanowiska.

Ten rodzaj środowiska wymagał zatem dość dużych umiejętności dyplomatycznych i mówienia z ogródkami. Żadnej z tych cech nie miałem. Jednak natura nie znosi próżni: skoro ja nie interesowałem się grą, gra zainteresowała się mną.

Po mniej więcej trzech miesiącach zostałem wezwany na dywanik do pani kierownik Zakładu Prawa i Kryminalistyki, mojej bezpośredniej przełożonej.

- Kawy? - zaproponowała na początek.

- Poproszę.

Usiadła za biurkiem i gestem wskazała, bym i ja zajął miejsce.

- Jak ci się u nas podoba? Zaaklimatyzowałeś się?

Jako świeżo upieczony wykładowca nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że właśnie zaczynał się rytuał powolnego krążenia wokół właściwego celu spotkania.

- Piwo w Dworku jest dobre i tanie, łóżko w bursie wygodne, a zajęcia chyba się podobają słuchaczom. Jeśli tyle wystarczy, to tak. Myślę, że tak.

- Cieszę się - powiedziała. - Cukru?

- Nie, dziękuję.

Ciekawa rozmowa, pomyślałem. - Też odniosłam podobne wrażenie. Naprawdę szybko ci poszło. - Z cukrem? Uśmiechnęła się. - Nie. Z aklimatyzacją. Wzruszyłem ramionami. Na ten temat nie miałem nic do powiedzenia. - Masz opinię bezpośredniego - kontynuowała. - Nie wszystkim takie zachowanie się podoba.

- Nawyk z poprzedniej pracy - odparłem łagodnie. - Tego raczej nie da się łatwo zmienić.

- Nie szkodzi. Uważam, że to cenna cecha, zwłaszcza w przewodzeniu ludziom. Potrzebuję właśnie kogoś takiego.

Zatem nie reprimenda, tylko coś innego.

- A dokładniej?

- Potrzebuję szefa Zespołu Pracy Operacyjnej.

Zbaraniałem.

- Ale czemu ja?

- Przez tę bezpośredniość... - stwierdziła, ale czułem, że to tylko zasłona dymna.

- A tak poważnie?

-... i nikogo tu jeszcze dobrze nie znasz.

Ach tak? W tym momencie wszystko stało się jasne.

Pani kierownik wywodziła się ze środowiska, którym teraz przyszło jej zarządzać. A zażyłe stosunki z większością podwładnych nie najlepiej działają na autorytet i możliwość egzekwowania poleceń. Dlatego postanowiła przy mojej pomocy zdjąć sobie z głowy przynajmniej tę część problemów, która dotyczyła sześciuosobowego zespołu zajmującego się nauczaniem pracy operacyjnej. Ewidentnie babka robiła ze mnie narzędzie. Zdenerwowało mnie ta sytuacja.

- Objęcie funkcji wiązało by się oczywiście z awansem - powiedziała, nim zdążyłem coś palnąć.

Nadstawiłem ucha.

- Jeśli przyjmiesz propozycję, możesz na tym stanowisku awansować do stopnia podinspektora.

Bingo. Nerwy mi przeszły jak ręką odjął.

Dotąd byłem podkomisarzem. Piętnastominutowa rozmowa o kawach, cukrach i nowym stanowisku oznaczała dla mnie możliwość awansu o trzy stopnie. Dotąd, od skończenia szkoły oficerskiej, nie udało mi się podskoczyć nawet o jeden.

Propozycję oczywiście przyjąłem.

Gdy po raz pierwszy zobaczyłem moich podwładnych, natychmiast zdałem sobie sprawę z tego, że panującą między nami atmosferę niełatwo będzie poprawić. Szefowałem tu, będąc jednocześnie średnio dwa razy młodszym od każdego z nich. Naturalnie, to im się nie spodobało, choć nikt nigdy nie powiedział tego wprost. Nieraz musiałem powoływać się na oficjalną hierarchię lub walić pięścią w stół, gdy wydawanych przeze mnie poleceń nie wykonywano właściwie albo wykonywano je z ociąganiem. Ba, bywało nawet, że podwładni próbowali zlecać zadania mnie.

Jednak nominując mnie, pani kierownik się nie pomyliła. Mój brak obycia w akademickim światku i prostolinijność policjanta z kryminalnej czyniła bezowocnymi wiele zabiegów i intryg. Zwyczajnie brakowało mi wyczucia, żeby je dostrzec i przejąć się nimi.

Jakąś część jednak udało mi się zauważyć.

Nie dłużej niż tydzień po objęciu funkcji zmierzałem na jedne z trzech prowadzonych przeze mnie zajęć. Rozpoczęły się one o 8.00 i kiedy wchodziłem do budynku, spojrzałem na zegarek. Była za minutę 8.00.

Wszedłem po schodach. Tuż przed zakrętem, za którym znajdowała się sala wykładowa, usłyszałem głosy. Należały do dwóch osób, które stały pod drzwiami pomieszczenia.

- Zaręba? O 8.00? Pani chyba żartuje.

- Dlaczego?

Oba głosy znałem. Rozmawiali: moja szefowa i jeden z podlegających mi wykładowców.

- Znowu chlał całą noc. Pewnie leży u siebie na podłodze i jeszcze nawet nie wytrzeźwiał.

- Naprawdę?

- Pani niczego nie wie? On tak co dzień, a nawet jak nie, to...

Nie dowiedziałem się co. Wychyńałem z za zakrętu i uśmiechając się wesoło, powiedziałem „Dzień dobry”. Do drzwi odprowadziły mnie śmiech pani kierownik i pełne niedowierzania milczenie wykładowcy.

Z perspektywy czasu wspominam podobne sytuacje ze sporą dozą wesołości, a nawet rozrzewnieniem, ale pamiętam jednocześnie, że wtedy nie zawsze bawiły mnie one równie

mocno jak dziś. Jednak podgryzanie nie trwało długo. Umiałem wypracować sobie autorytet. Jako doświadczony policjant posiadałem umiejętności wyróżniające mnie spośród grupy teoretyków.

Złapanie kontaktu z kursantami - ludźmi często inteligentnymi, a i niepozobawionymi pewnych ideałów - jest łatwizną, gdy wcześniej przez kilka lat próbowało się dokonać tego samego z ludźmi zupełnie innego pokroju. Bo na czym polega werbowanie agentów i informatorów? Przede wszystkim na znalezieniu płaszczyzny porozumienia.

Również wiedza, którą przekazywałem podopiecznym, sprawiała, że darzyli mnie oni szacunkiem. Ilustrowanie wykładu licznymi przykładami z doświadczenia, a czasem także soczystymi anegdotami z pewnością w tym nie przeszkadzało.

Chyba najbardziej lubiłem prowadzić tak zwane kursy podstawowe. Było to trwające od sześciu do dziewięciu miesięcy szkolenie (długość podstawówki zmieniała się na przestrzeni lat), podczas którego słuchacze uczyli się najważniejszych i najbardziej fundamentalnych dla policjanta rzeczy. Tego, co musi wiedzieć każdy, począwszy od drogówki, na pirotechnikach kończąc. Wykładowca na takich kursach miał czas, by przyjrzeć się i ocenić przyszłych stróżów prawa. Co ciekawe, niewiele osób chciało je prowadzić. Większość uważała, że praca z totalnie zielonymi rekrutami uwłacza ich wiedzy i zdolnościom, co moim zdaniem jest oczywistą bzdurą i niezrozumieniem roli nauczyciela. Świadomość tego, że ode mnie zależeć może przyszłość tych ludzi, ich ukształtowanie do zawodowej pracy i że mogę wpoić im rzetelne podstawy zawodu, nauczyć najważniejszych zasad, sprawiała, że nie przeszkadzały mi naturalne w takiej sytuacji braki w wiedzy u słuchaczy.

Wkrótce więc, choć planowałem epizod uczelniany traktować jako krótkotrwałą pomoc w zdobyciu awansu, okazało się, że mam ochotę zostać tam na dłużej, zwłaszcza że po niedługim czasie udało mi się znaleźć kilku serdecznych przyjaciół, a nawet kogoś w rodzaju mentora.

Ten ktoś nazywał się Waldek. Waldek Zimny.

Waldek

„Albo masz zasady, albo hemoroidy”, zwykł mawiać Waldek Zimny i trudno o zdanie, które lepiej podsumowywałoby poglądy tego człowieka. Dawny wojskowy, opiekun kadry WP w dziesięcioboju (wychował niejednego gromowca), mistrz jujitsu oraz innych sztuk walki, ale przede wszystkim facet o kręgosłupie ze stali i niewzruszonych zasadach. W Legionowie

odpowiadał za przygotowanie fizyczne, później zaś został szefem Zakładu Taktyki i Techniki Interwencji.

Słysnął z wojskowego drylu, bezpośredniości i potężnego głosu, którym zwykł opieprzać nieposłusznych bądź leniwych słuchaczy.

Dość szybko się z nim zaprzyjaźniłem. Wynikało to z kilku rzeczy. Przede wszystkim z podobnych zainteresowań. Waldek wiedział o treningu wszystko, a ja zawsze miałem predylekcje do aktywności fizycznej. Często się więc widywaliśmy, nie tylko służbowo, także prywatnie - zdarzało nam się nawet grywać razem w siatkówkę. Poza tym jego bezpośredniość i odporność na gierki kadry wykładowców po prostu mnie przyciągały. Ja również nie chciałem w nich uczestniczyć.

Do tego dochodziła ostatnia, prozaiczna rzecz: miałem dwadzieścia kilka lat, a on stanowił dla mnie przykład policjanta z wyobrażeń, które nosiłem w sercu jeszcze w czasach, gdy godzinami przesiadywałem przy 07, zgłoś się albo lekturze Sherlocka Holmesa.

Pamiętam, że kiedy jedna z jego ukochanych córek przyprowadziła ze sobą dwadzieścia lat starszego „chłopaka” (bodaj scenarzystę filmowego), Waldek nie rozmawiał z nim zbyt długo. Wstał, wziął leżący na biurku nóż, bez słowa podszedł do narzeczonego, po czym wbił ostrze w drzwi, kilka centymetrów obok głowy przerażonego mężczyzny. Po czym rzekł:

- Jeśli moja córka poskarży się na ciebie, będę lepiej celował.

Jak widać po Zimnym - i po Cyprynowskim - strach o własne dziecko rusza nawet największych twardzieli. Co do Zimnego i „chłopaka” córki, to najważniejsze, że jakiś czas później znaleźli wspólny język. Scenarzysta bardzo przypadł mu do gustu, a nawet, zdaje się, został jego zięciem.

Zimny nie udawał wielkiego naukowca, jak większość kadry, i kiedy przyszło mu pełnić służbę oficera inspekcyjnego, zamiast przesypiać ją gdzieś w biurze, ruszał w teren.

Pewnego razu wybrał się na obchód akademików. Kiedy wszedł do jednego z budynków, a jego oczom ukazał się obraz pobalangowego pobojuwiska, wybuchnął. Wściekły pobiegł do stolika dyżurnego. Zastał tam pełniącego ten obowiązek kursanta w rozpiętym mundurze, pogniecionych spodniach i - o zgrozo - pluszowych kapciach. Nigdzie też nie było widać jego pomocnika.

- Synu! - wrzasnął rozjuszony do białości Zimny.

Młody zerwał się na równe nogi, drżąc na całym ciele. Jedni słuchacze darzyli Waldka po prostu respektem, inni się go bali. Czasem panicznie.

- Synu! Co ty robisz? Jesteś w - szkole czy na wakacjach? Gdzieś ty się uchowal? Masz pojęcie, co znaczy ten mundur...?

Tyrada prawdopodobnie trwałaby jeszcze długo, gdyby nie fakt, że dyżurny, pożarty przez przerażenie i strach, nagle zwałił się z nóg i... stracił przytomność.

Tego wieczoru Waldek Zimny umieścił w raporcie lakoniczny wpis: „W trakcie udzielania przeze mnie instruktażu podoficer zemdlal”.

Zimny hołdował zasadzie, że zwięzłość jest istotą dobrego stylu, nawet jeśli mowa tylko o notatkach służbowych.

Dworek

Symbolem szkoły w Legionowie był w owym czasie tak zwany Dworek, czyli mówiąc wprost, jedyna w obrębie kampusu knajpa. Budynek, w którym się znajdowała, rzeczywiście przypominał wyglądem szlachecki dwór. Puszczano go w ajencję rozmaitym osobom, zaś dostać się do niego można było także z ulicy, spoza terenu szkoły.

W Dworku nasi słuchacze spotykali się z resztą świata. I nie tylko oni. Skłamię, jeśli powiem, że po długich i wyczerpujących zajęciach (ach, te straszliwe trzy, cztery godziny w tygodniu...) nie lubiliśmy czasem z bardziej zaprzyjaźnionymi osobami skoczyć na piwo lub dwa. Bywaliśmy tam na tyle często, że wkrótce wszyscy przeszliśmy z agentami na ty.

Knajpa miała swój urok, a na dodatek za uczciwą cenę oferowano tam bardzo dobre posiłki, zwłaszcza zupy. To właśnie jedząc jedną z nich, spotkałem najgłupszych przestępców w mojej karierze. Uznałem ich za najgłupszych, mimo iż konkurencję mieli naprawdę mocną, choćby opisanego wcześniej Zdzisia Popierdółkę.

Dosiadłem się do jednej z koleżanek i Waldka. Wielka sala Dworku świeciła pustkami. Gawędziliśmy cicho. Podeszła jedna z nowych kelnerek.

- Cicho dziś tutaj - powiedziała, zdejmując talerze z tacy.
- Dziś dzień meczowy - wyjaśnił Waldek. - Chłopaki zaraz ruszają do Warszawy.
- Meczowy? To znaczy?
- Słuchacze jadą zabezpieczać mecz. Rozumie pani, tak jak prewencja.
- A to nie za wcześnie dla nich? - spytała z troską.

- Nie idą na pierwszą linię - wtrąciłem się, gdy tylko wyszło na jaw, że zupa jest jeszcze zbyt gorąca, by ją jeść. - Ale ludzie na ulicy poczują się bezpieczniej, kiedy będzie ich dużo.

Kiwnęła głową i sięgnęła po tacę. W momencie kiedy szykowała się do następnego pytania, naszą i jej uwagę odwrócili wchodzący do knajpy goście. Stanowili tu niecodzienny widok.

Czterej wielcy, zwalisci faceci w skórzanych kurtkach. Każdy obwieszony złotem, bujający się zamaszycie na boki, z przyklepioną do zakazanej gęby miną cwaniaka.

- E, mała! - krzyknęli na drugą z kelnerek. Tę, która stała przy barze. - Dawaj właściciela!

Spojrzelismy po sobie z Waldkiem zdziwieni. W tym czasie szef wychynął z zaplecza. Nowi goście zaciągnęli go do stolika, gdzie zaczęli mu coś zawzięcie tłumaczyć. Po drugim czy trzecim zdaniu zerknął w naszą stronę. W jego spojrzeniu wyczytałem wszystko, co trzeba. Wstałem. Na razie nie chciałem się wtrącać, stanąłem więc przy barze, kilka metrów dalej, i udawałem, że przeglądam kartę.

Mogłem usłyszeć dalszy ciąg rozmowy, która toczyła się przy stoliku.

- Nikt cię tu, kurwa, człowieku nie ruszy.

- Ale mnie tu i tak nikt nie rusza - stwierdził restaurator rozbrajająco szczerze. - Cicho, przyjemnie. Goście spokojni.

Jeden z karków przechylił się przez stół nastroszony, po czym złapał ajenta za rękę.

- Kurwa, nie kozacz, bo nie dość, że ci się buda zepsuje, to jeszcze sam, kurwa, dostaniesz. Wskoczysz z paru stówek od czasu do czasu i będziesz miał tu raj, ludzie będą przychodzić, jeszcze ci reklamę na mieście zrobimy. Nie wkurwiał nas.

Restaurator udał, że się zastanawia, po czym wskazał na mnie.

- To jeszcze byście musieli Krzyśka spytać. Bo moja jest tylko połowa lokalu.

Poczułem się wywołany do tablicy, podszedłem więc do stolika. Rozmówca ajenta, który najwyraźniej był przywódcą albo po prostu najlepiej opanował trudną sztukę składania zdań, poczęstował mnie tą samą śpiewką co poprzednio. Że ochrona, że kurwa, że parę stówek i raj na ziemi.

- Bez nas to wy se tu, kurwa, nie poradzicie - zakończył.

- Takich macie dobrych ochroniarzy? - spytałem z uznaniem.

- Kurwa, najlepszych.

Kiwnąłem głową. Na zewnątrz usłyszałem pewien dźwięk, który podpowiedział mi dalszy plan działania.

- Chodź, pokażę ci coś fajnego - powiedziałem, kładąc mu rękę na wyrastającym niemal prosto z głowy ramieniu, jakbyśmy już byli kumplami.

Najwyraźniej uznał interes za prawie dobitny, dał się więc zaprowadzić w stronę okna. Gdy stanęliśmy, odsunąłem zasłonkę. Na zewnątrz stało w dwuszeregu dwustu kursantów w hełmach, z pałkami i tarczami, a dowódca kończył właśnie wykrzykiwać komendę. Grupa wyglądała, jakby w każdej chwili gotowa była ruszyć do szturmu.

- Tak się, kolego, składa, że my już mamy ochroniarzy - poinformowałem kandydata na gangstera. - No, chyba że twoi są lepsi?

W ciągu bez mała kilku sekund po karkach i ich propozycji nie było nawet śladu.

Potem agent powiedział mi, że przyjechali z jakiejś wsi spod Nowego Dworu (nazwa padła, zanim jeszcze się zbliżyłem), jeździli od knajpy do knajpy i zastraszali restauratorów, nie patrząc nawet, kto i gdzie prowadzi biznes.

Goście byli żywym dowodem, że świat, w tym świat przestępczy, schodzi na psy.

Hrabia

Informację o zaginięciu Hrabiego przywitałbym pewnie złośliwym żartem, gdyby okoliczności nie wydawały się co najmniej niepokojące.

- Kurwa mać - powiedział znajomy od przygotowania fizycznego, gdy zaalarmowany pilnym wezwaniem pojawiłem się na jednej z licznych w tej okolicy przystani. Od Legionowa do Zalewu Zegrzyńskiego jest kilka minut jazdy. - Sześciu wykładowców nam się utopiło.

Pokręciłem głową. Treść informacji jeszcze do mnie nie docierała.

Był piękny majowy weekend, słońce przeglądało się w tafli zalewu, a plażowicze opalali się na kocach i leżakach. Tymczasem grupa nurków szykowała się do podwodnych poszukiwań.

- To wszystko wygląda jak z kiepskiego thrillera albo jakiejś czarnej komedii - usłyszałem od faceta kierującego akcją.

- Co dokładnie się stało?

- Bóg jeden raczy wiedzieć, ale jak na mój gust wasi koledzy nieźle zabalowali - stwierdził, kręcąc głową z niedowierzaniem. - Koło 8.00 dostaliśmy zgłoszenie, że po jeziorze

pływa jacht bez załogi. Nasi przyjechali, sprawdzili i rzeczywiście jest. Piękny, ładny, w środku masa rzeczy, ale wyludniony.

- Jakich rzeczy?

- Ubrania, łącznie z butami, skarpetkami i gaciami. Jedzenie, dokumenty i gorzala. Na pluton wojska, szczerze mówiąc.

- Skąd wiadomo, że to nasi?

- No tak. - Pokręcił głową, jakby o czymś zapomniał. - Zostawili portfele z dowodami osobistymi i pieniędzmi. Takich rzeczy się raczej luzem nie zostawia, no nie? Dokumenty wskazywały, że ludzie są od was, z Legionowa, dlatego dzwoniłszy.

- A jacht?

- Wynajęty poprzedniego wieczora na nazwisko jednego z tej szóstki. Wszystko się zgadza. Łódź jest, wszystko, co przy sobie mieli, jest. Tylko żeglarzy nie ma.

- Ktoś coś widział?

- W piątek wieczorem? - Spojrzał na mnie z niesmakiem. - Nie. Nikt ich nie widział.

- Aż tak byli pijani?

Mój rozmówca wzruszył ramionami.

- Niech pan mi powie, to w końcu pana znajomi. - Jest pan pewien, że się utopili? - Chętnie posłucham innej koncepcji. - Brak - przyznałem i wróciłem do samochodu. Szykowało się niezłe zamieszanie. Hrabia był specyficznym i - choć trafił do policji po 1989 roku prosto z SB - w gruncie rzeczy dość poczciwym człowiekiem. Otrzymał ode mnie ksywkę ze względu na usilne próby zachowywania się w sposób wyniosły i chłodny, charakterystyczny, w jego mniemaniu, dla arystokratów. Te próby nie należały do zbyt udanych; Hrabia nadrabiał niedostatki charakteru i urodzenia ogromnym zamiłowaniem do kolekcjonowania szpad, szabli i rozmaitych staroci. Miał wysokie mniemanie o sobie, co zabawnie kontrastowało z przeszłością w bezpiecie i jego nad wyraz mikrym wzrostem. Jego obecność na rozmaitych imprezach, gdzie starał się być duszą towarzystwa i unikać surowych spojrzeń oraz połajanek blisko trzykrotnie większej i masywniejszej od niego małżonki, stanowiła obiekt nieustannych żartów.

Na jego obronę przyznać trzeba, że czasami potrafił zdobyć się wobec siebie na dystans. Z upodobaniem opowiadał na przykład o swoich alkoholowych upadkach, które często kończyły się interwencją wścieklej połowicy, wciągającej go na płaszczu do mieszkania.

Niestety, takie opowieści tylko dodawały wiarygodności wersji wydarzeń dowódcy grupy poszukiwawczej.

Zostałem nad zalewem przez godzinę, obserwując prowadzących akcję policjantów. Wreszcie, zniechęcony i zmartwiony, wróciłem do Legionowa. Do późnego wieczora nie dowiedziałem się niczego nowego.

Podczas kolacji w Dworku jedynym tematem - wśród słuchaczy i wykładowców - stało się zaginięcie Hrabiego i jego towarzyszy. Nastrój był raczej minorowy. Owszem, okoliczności zaginięcia można by uznać za humorystyczne, ale jakoś nikomu nie było do śmiechu. Śmierć to poważna sprawa, niezależnie od tego, ile się człowiek na nią napatrzył.

Ponieważ tej nocy pełniłem obowiązki oficera dyżurnego, po kolacji wróciłem do bursy, przebrałem się i biorąc pod pachę książkę, ruszyłem do dyżurki.

Około 1.00 w nocy od lektury oderwał mnie telefon.

- Panie podinspektorze - usłyszałem łamiący się dziewczęcy głos. - Tu wartownicza na bramie C. Melduję, że mam problem.

- Jaki problem? - spytałem sennie.

- Melduję, że po terenie szkoły biega nagi mężczyzna.

Otworzyłem szerzej oczy. - Co? - To znaczy nie całkiem nagi... - zaplątała się moja rozmówczyni. - A właściwie... całkiem. Próbował zakryć się liściem, ale... nieudolnie - stwierdziła w sposób, który upewnił mnie, że jej twarz pokrył dziewczęcy pąs.

Spojrzałem na stojącą na biurku kawę, jakby upewniając się, czy ktoś mi czegoś do niej nie dosypał.

- Wpuściłaś obcego golasa na teren?

- No właśnie - jęknęła.

- Co „no właśnie”?

- On podał się za pracownika szkoły. Miał nawet identyfikator. Pokazał mi go, a potem zaczął uciekać.

Ciekawe, skąd całkiem nagi facet wyjął identyfikator? Przychodziły mi do głowy rozmaite lokalizacje, ale powstrzymałem się od opowiadania o nich spłoszonej wartownicze.

- W którą stronę?

- Chyba do budynków Zakładu Pracy Operacyjnej.

- No to leć za nim!

- Tak jest!

Nim się rozłączyłem, wpadła mi do głowy jeszcze jedna myśl.

- Czekał!

- Tak?

- Pamiętasz nazwisko na identyfikatorze?

- Tak - powiedziała. Tym razem z lekką nutą dumy w głosie.

A potem podała znajome nazwisko człowieka udającego arystokratę.

Zaginięcie wykładowców i nudystyczny nocny rajd Hrabiego znalazły nader proste wyjaśnienie. Panowie wykładowcy postanowili spędzić weekend na łonie natury. Wynajęli jacht, ale zaczęli imprezę jeszcze na brzegu. Zaokrętowali się, po czym zwiększyli tempo konsumpcji. Ponieważ było bardzo gorąco, a oni znajdowali się na wodzie, naszła ich ochota na małą kąpiel. Rozebrali się więc, po czym wskoczyli do jeziora. W tym miejscu zresztą zalew jest zresztą bardzo płytki, imprezowicze mieli zatem więcej szczęścia niż rozumu. Bawili się, uroczym pluskając i baraszkując w wodzie, ale żaden z nich nie wpadł na to, żeby przed kąpielą zakotwiczyć jacht. Nic zatem dziwnego, że łódź, korzystając z lekkiej bryzy wiejącej od brzegu, oddaliła się i majestatycznie zniknęła w ciemnościach.

Balangowicze niezbyt się tym przejęli. Udało im się dopłynąć do brzegu, po czym każdy, jak ścięty, poszedł spać tam, gdzie upadł. Gdy się obudzili, akcja poszukiwawcza trwała już w najlepsze.

Nie mieli odwagi wyjść z krzaków zupełnie nadzy na spotkanie dawnych i obecnych podopiecznych. Postanowili więc w ukryciu poczekać do nocy. Kiedy zapadły ciemności, a przeczesujący okolice policjanci powrócili do domów, uradzili, że Hrabia pokona opłótkami niespełna cztery kilometry dzielące jezioro od szkoły, następnie przekradnie się do środka, weźmie zapasowe ubrania i wróci po pozostałych.

Dzięki czujności dzielnej wartowniczkii nie udało mu się jednak niepostrzeżenie przeniknąć na teren kampusu. Plan wziął w łeb, ponieważ nie został spełniony jego podstawowy warunek: dyskrecja. Jak to zwykle w takich okolicznościach bywa, złośliwościom, żartom i wyolbrzymiającym zdarzenie plotkom nie było końca.

Scotland Yard

Niewątpliwą zaletę wykładania w Legionowie stanowił fakt, że wszystkie nowinki z zagranicy najpierw trafiały do nas, a dopiero później - często, niestety, po kilku latach - na ulicę. Z wszelkimi nowymi technologiami - na przykład łączności, badania śladów czy uzbrojenia - my jako wykładowcy zapoznawaliśmy się pierwsi. To oczywisty paradoks: grupa teoretyków i gabinetowych mędrców miała dostęp do czegoś, za co operacyjni policjanci daliby się pokroić. Tak było na przykład z pistoletami typu Glock. Z racji stanowiska dostałem przydział na tę nową broń i ku swojej ogromnej radości mnóstwo z niej strzelałem. Do jednostek terenowych, gdzie niewątpliwie przydałaby się znacznie bardziej, broń ta trafiła dopiero kilka lat później.

Kontakt ze światem dotyczył również wymiany osobowej. Rozmaici zagraniczni specjaliści przyjeżdżali do CSR my składaliśmy rewizyty. Dzięki temu w szybkim tempie podnosiliśmy swoje kwalifikacje. Pozwalało to przekazywać adeptom naprawdę nowoczesną i atrakcyjnie podaną wiedzę, co z kolei przyczyniało się do unowocześniania dopiero co wyciągniętej z epoki komunizmu (mentalnie i technicznie) policji.

Właśnie w ramach takiej wymiany zaproponowano mi wizytę w Londynie i odwiedzenie Scotland Yardu. Czytając o przygodach Sherlocka, zawsze o tym marzyłem i teraz oto moje marzenie miało się spełnić.

Chociaż londyńskie szkolenie odbyło się jeszcze przed zamachami na WTC w 2001 roku, kiedy świat nie był tak uczulony na zjawisko terroryzmu, kurs dotyczył profilowania sprawców zamachów terrorystycznych. Brytyjska policja dysponowała w tej dziedzinie dość sporym doświadczeniem z racji wieloletniej walki z Irlandzką Armią Republikańską. W konferencji zapowiedziało udział około czterdziestu policjantów z całej Europy. W tym ja.

Na lotnisku przeżyłem bodajże pierwszy z licznego ciągu przypadków zatrzymywania mnie przez służby ochrony. Nie wiem, co takiego jest w mojej aparycji czy może zachowaniu, że niemal zawsze tuż po zabraniu rzeczy z odprawy słyszę magiczne:

- Poproszę pana ze mną.

Wtedy w Londynie poddano mnie kontroli osobistej, sprawdzono bagaż i dokładnie przyjrzano się dokumentom. Pokazanie odznaki i tłumaczenie, że jestem polskim kolegą po fachu, wywołało tylko zdawkowy uśmieszek i nie zrobiło na nikim wrażenia.

Ta drobna niedogodność nie przeszkodziła mi jednak cieszyć się wyjazdem.

Kurs trwał trzy dni.

Zaczęliśmy od wycieczki po budynkach głównej siedziby Policji Metropolitalnej (potocznie zwanej Scotland Yardem) w Londynie. Nie zaskoczę nikogo - różnica, przede wszystkim technologiczna - była po prostu ogromna. W czasach gdy u nas nadal większość rzeczy spisywało się mozolnie na maszynie, a następnie zszywało i kładło na wznoszących się pod sufit stosach akt, tam w każdym pokoju stały komputer z dostępem do internetu i drukarka. Musieliśmy bardzo się starać, żeby ukryć opadające nam co i rusz szczęki. W tym czasie w Polsce pojawiły się dopiero pierwsze modemy i dostawcy sieci, i to tylko dla odbiorców prywatnych. Policja o takich ekstrawagancjach mogła tylko pomarzyć.

Również warunki pracy były diametralnie inne. Każdy pracownik Scotland Yardu miał własny samochód służbowy i pensję, która przyprawiła mnie o zawrót głowy. Będąc podinspektorem (odpowiednik majora w wojsku) i wykładowcą w szkole policyjnej, zarabiałem blisko sześć razy mniej niż przeciętny londyński funkcjonariusz. Już pierwszy dzień pobytu uświadomił mi, jak daleko znajdujemy się za cywilizowanym światem.

Drugiego i trzeciego dnia odbywały się kursy właściwe. Podczas pierwszego z nich omawiano terroryzm wewnętrzny, a zatem głównie działanie IRA.

Terroryzm, naturalnie, nie był dla nas czymś zupełnie obcym, wszyscy wiedzieliśmy coś niecoś, ale większość kursantów miała z nim do czynienia raczej w telewizji i literaturze niż w prawdziwym życiu.

- Szanowni państwo, zawieszenie broni to bardzo skuteczny argument w negocjacjach z rządem brytyjskim – prelegent rozpoczął wykład o sytuacji i relacjach rządu Jej Królewskiej Mości z dowódcami IRA - ale jest o wiele skuteczniejszy, gdy widmo jego zerwania wydaje się bliskie. I tu objawia się interesująca metodyka działania IRA.

Na ekranie za wykładowcą pojawiło się zdjęcie dwojga dzieci na skuterze, tak uroczych smyków, że aż część z siedzących na sali uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Poznajcie nowe pokolenie terrorystów IRA - powiedział prowadzący.

Sluchacze zareagowali śmiechem. Trwał on, dopóki pokaz nie przeskoczył na kolejny slajd, przedstawiający wypalony do cna budynek. I podobne do zwęglonych pni ofiary w środku.

- Efekt działania koktajlu Mołotowa. Niezwykle efektywnej i bardzo prostej w użyciu broni. Tak prostej, że nawet dzieci radzą sobie z nią bez problemu.

Kolejne zdjęcia gasiły resztki wesołości, a prowadzący mówił dalej.

- Wysyłanie dzieci w roli zamachowców to bardzo skuteczne narzędzie. Po pierwsze, na ogół - tak jak przed chwilą zrobiła większość zebranych tutaj - lekceważy się zagrożenie z ich strony, po drugie, tamta strona zyskuje argument, że nawet najmłodszy Irlandczyk nienawidzą Brytoli. Społeczeństwo rwie się do walki, mogą mówić przedstawiciele IRA, renegegując warunki zawieszenia broni. Po trzecie jednak i najważniejsze: nie możemy im nic zrobić.

- Jak to? - wyrwało się komuś.

- Nasze prawo zabrania skazywania osób w takim wieku. Jedyłą rzeczą, na jaką pozwalają przepisy, jest odstawienie małych terrorystów do Izby Dziecka, skąd, zgodnie z przepisami, może ich odebrać członek rodziny i zarazem członek IRA. Zamach dokonany, zamachowiec wraca do domu, gdzie nie dostanie nawet lania.

Ostatni slajd zgasł. Wykład dobiegł końca. Wnioski nader pesymistyczne.

Kolejny dzień dotyczył terroryzmu islamistycznego, o którym ogólna wiedza była jeszcze uboższa. Zaczęło się od ogólnego nawiązania do dnia poprzedniego, czyli IRA. Wykładowcy wyjaśnili nam, że nie jest to tylko problem wewnątrz brytyjski.

- Bojownicy IRA szkolą się razem z członkami innych wielkich organizacji terrorystycznych. Takie same konferencje jak nasza tutaj odbywają się, być może nawet w tej chwili, gdzieś w dżungli Kolumbii albo na bezdrożach Afganistanu. Podczas tych spotkań dochodzi nie tylko do wymiany doświadczeń i informacji, ale także, a może nawet przede wszystkim, do przepływu specjalistów, gotówki i broni oraz sprzętu.

Również islamisci wykorzystują dzieci do zamachów. I dziś trudno to sobie wyobrazić, a wtedy nawet nie przychodziło nam do głowy, że dziecko można wykorzystać jeszcze bardziej, niż robiła to IRA.

- Można - powiedziano nam. - W obozach na Bliskim Wschodzie szkoli się dzieci do roli zamachowców samobójców. Małe, indoktrynowane, odkąd tylko nauczą się chodzić, maszynki, których jedynym zadaniem jest wejść w tłum i zdetonować niesiony na brzuchu ładunek wybuchowy.

Wtedy w Londynie po raz pierwszy usłyszałem nazwę AlKaida. I nazwisko: bin

Laden. Scotland Yard dysponował własną, choć niewielką komórką rozpracowującą islamskich terrorystów. Członkiem zespołu był młody Anglik arabskiego pochodzenia. Historia Ahmeda zaczynała się po przeciwnej stronie barykady - w jednym z buszujących po robotniczych dzielnicach Londynu gangów. Chłopak, wielce obiecujący kandydat na przestępcę, podczas którejś z akcji wpadł. Został poddany rozbudowanemu programowi resocjalizacyjnemu, jednemu z wielu, jakie wdraża Policja Metropolitalna. Program okazał się na tyle skuteczny, że z młodego bandziora chłopak zamienił się w oficera Scotland Yardu.

Znając muzułmańskie środowisko, posiadał ogromną wiedzę na temat związanego z nim terroryzmu. Później zresztą dowodził sekcją, która prowadziła śledztwo w sprawie zamachów z 2005 roku i niestety to jego ludzie zastrzelili brazylijskiego elektryka podczas słynnego incydentu w londyńskim metrze.

Podczas konferencji powiedział coś, czego przez kolejne dwa lata nie pamiętałem, a potem miałem już nie zapomnieć do końca życia.

- Czy ktoś z was czytał Dekret Clancyego?

Kilka osób potaknęło, ja nie. Nie znałem tej książki.

- Ci, którzy jej jeszcze nie przeczytali, niech to zrobią. Obawiam się, że prędzej czy później czeka nas podobny scenariusz.

Kupiłem Dekret w drodze powrotnej, na lotnisku, po czym przeczytałem w samolocie. Autor książki opisywał tam scenę, w której wielki samolot pasażerski zostaje wykorzystany do ataku na budynek Kongresu Stanów Zjednoczonych. Skutecznego ataku. Wtedy wydało mi się, że to wybujała fantazja autora.

A potem nastąpił 11 września 2001 roku.

Realia

Kończąc opowieść o moim epizodzie policyjnym, warto przez chwilę zatrzymać się nad praktycznymi aspektami pracy policjanta.

Mówimy o wczesnych latach dziewięćdziesiątych. Polska przeżywała w tym czasie gwałtowne zmiany, wynikające z wyzwania się z poprzedniego systemu i wchodzenia w nowy. Wiele aspektów życia diametralnie się zmieniało. To, co jeszcze niedawno wydawało się ważne, stawało się kompletnie nieistotne. I odwrotnie: kwalifikacje niegdyś nieznane albo uważane za niepotrzebne zyskiwały na znaczeniu. Zaczynały dominować takie pojęcia, jak inicjatywa, samodzielność czy umiejętność szybkiego dostosowania się do nowych warunków, co wcale nie oznacza, że dawny system przestał siedzieć ludziom w głowach; siedział, i to mocno.

Jasne, że policja, instytucja jakkolwiek by było państwowa, przechodziła - podobnie jak reszta społeczeństwa - intensywne, wręcz rewolucyjne zmiany. Będąc jeszcze milicją, miała inne priorytety, hierarchie i procedury, różną mentalność funkcjonariuszy, kryteria rozliczania pracy, sprzęt czy wreszcie wyposażenie. Przede wszystkim zaś miała do czynienia z zupełnie inną skalą i charakterem przestępczości. Wielu kategorii przestępstw wcześniej nie znano albo stały na drugim planie. Skalę zmian ilustruje prosta statystyka: w latach osiemdziesiątych popełniano mniej więcej czterysta morderstw rocznie, dekadę później liczba ta wzrosła do tysiąca dwustu i systematycznie się powiększała.

Policja, do której trafiłem na początku lat dziewięćdziesiątych, była właśnie taką, świeżo przekształconą z milicji formacją. Stare nawyki i umiejętności, choć częściowo przestawały być potrzebne, nie znikaly same z siebie. Nie znikaly również sprzęt, broń i wyposażenie.

Śmiało można by zaryzykować stwierdzenie, że obserwator przeniesiony z roku 2013 we wczesne lata dziewięćdziesiąte uśmiełby się serdecznie, obserwując tamtejsze realia. Pokoje, czasami dwu - lub trzyosobowe (Pionki, Puławy), czasami przeznaczone dla kilkunastu funkcjonariuszy (Lublin), wyposażone ze zgoła spartańską skromnością w najprostsze drewniane biurka, krzesła z oparciami, od których już po kwadransie bolał kręgosłup, jasnożółty telefon z tarczą i kręconym kablem oraz zdezelowaną maszynę do pisania. Ponieważ wielu elementów wyposażenia brakowało, policjanci musieli przejawiać niejaką inicjatywę w poprawianiu sobie

warunków pracy Przynosili zatem sporo prywatnych rzeczy, dzięki czemu pokoje komend i komisariatów częściej przypominały składy staroci niż pomieszczenia poważnej państwowej instytucji. Biurka nie pasowały do krzesel, te do półek, a całość rażąco kontrastowała z szafami czy stojakami na płaszcze. Chaos dodatkowo potęgował fakt, iż meble znajdowały się w bardzo różnym stanie i stopniu zużycia. Krajobrazu dopełniały żelazne punkty umeblowania każdego policyjnego pokoju: stojąca w kącie szafa pancerna, w której trzymaliśmy broń i najważniejsze akta, oraz elektryczny czajnik, otoczony wianuszkami na ogół nie całkiem domytych kubków.

Drzwi do każdego z pokoi musiały być plombowane na noc. System zabezpieczeń był połączeniem radosnej improwizacji z wynalazczością poszczególnych funkcjonariuszy. Otóż każdy policjant zobowiązany został do noszenia ze sobą tak zwanej referentki, czyli czegoś w rodzaju pieczęci. Wychodząc z pokoju jako ostatni, miał obowiązek plombować szafę pancerną oraz drzwi wejściowe. Skonstruowano w tym celu wyjątkowo przemyślnie urządzenie - do framugi przymocowywano kapsel wypełniony plasteliną, a na tej samej wysokości na drzwiach zawieszano sznurek, który należało wgnieść w plastelinę tak, aby przykrywała go ona z wierzchu, i odcisnąć referentkę.

Ponieważ o komputeryzacji w owym czasie nikt nawet nie słyszał, szafki, półki i biurka na ogół bywały zavalone teczkami akt oraz setkami pojedynczych kartek raportów, notatek służbowych, protokołów i tym podobnych szpargałów. W obiegu były tak zwane pekaery (Policyjne Karty Rejestracyjne), czyli, najprościej mówiąc, dossier poszczególnych spraw. Karty te zawierały szereg rubryk dotyczących danych świadków, ofiar, podejrzanych oraz samego przebiegu zdarzenia. Wypełniania od cholery, każde dochodzenie wymagało przecież szczegółowego dokumentowania, więc nader powszechny był widok gliniarzy siedzących przy biurkach i mozolnie sporządzających notatki i protokoły czy wypełniających formularze. Oczywiście bardzo wielu moich kolegów po fachu narzekało na tę biurokrację, w ich mniemaniu zupełnie zbędną, a co najmniej wysoce upierdliwą. Faktycznie, papierologia zajmowała dużo czasu, wiele czynności wykonywano wtedy „na piechotę”, dodatkowo wszelkie dokumenty należało sporządzać w kilku kopiach i wysyłać pocztą rozmaitym adresatom, na przykład Komendzie Głównej albo prokuraturze.

Jeśli o mnie chodzi, od początku rozumiałem pewien obiektywizm tych biurokratycznych wymogów. Baza danych to podstawa pracy policjanta. Nader często korzysta się z owoców pracy innych: starannie sporządzona notatka czy protokół z innego śledztwa nieraz pomogły mi przy

własnym dochodzeniu, zawierały bowiem dane osób bądź opisywały przebieg zdarzeń, które łączyły się z prowadzoną przeze mnie sprawą. Oprócz tego, co nie mniej ważne, notatka może stanowić skuteczną dupokrytkę. Pracujący operacyjnie policjant nader często znajduje się w sytuacji zmuszającej do balansowania na granicy prawa czy też niebezpiecznego zbliżenia się do tego, co aktywiści organizacji humanitarnych nazwaliby naruszeniem praw człowieka. Musi być skuteczny, więc na takie działanie jest poniekąd skazany. Jeśli zapisał w notatce, jaki był kontekst sytuacji i powód takiego czy innego zachowania, może mu to pomóc w uniknięciu konsekwencji. Rozumiałem te reguły, zaciskałem więc zęby i starałem się starannie wywiązywać z biurowatycznych obowiązków. Dzięki temu nigdy nie miałem problemów ani z prokuraturą, ani z Wydziałem Wewnętrznym.

Oczywiście, zdarzały się też pomysły jawnie chybione. Swego czasu na przykład „góra” wpadła na koncept, żeby policjantów operacyjnych obowiązywało bieżące notowanie prowadzonych działań, na podobieństwo notatek zwanych w korporacjach time sheets. Totalna bzdura. Bardzo często działaliśmy niejawnie, staraliśmy się wtopić w tłum i na pewno ostatnią rzeczą, o jakiej marzyliśmy, było wyjmowanie notesu i szczegółowe opisywanie podejmowanych w danym momencie czynności. Zarządzenie spotkało się z masowym biernym oporem i wkrótce z racji swej jawnej absurdalności zostało wycofane.

Z komputerami jako narzędziem pracy zetknąłem się dopiero w szkole policyjnej w Legionowie, do której, jak już wspomniałem, najwcześniej trafiały wszelkie nowinki techniczne i organizacyjne. We wszystkich wcześniejszych miejscach pracy posługiwałem się zwykłą, pocziwą maszyną do pisania.

Tego sprzętu nie brakowało, ale był on w zdecydowanie bardzo różnym stanie technicznym. Na wyposażeniu znajdowały się zarówno maszyny stosunkowo nowoczesne, elektryczne, posiadające szereg rozmaitych funkcji, jak i stare graty, pamiętające na moje oko lata siedemdziesiąte, a może nawet i starsze. Ich rozklekotanie było wręcz anegdotyczne. Policjanci niemal równie dużo czasu spędzali na pisaniu, co na próbach reanimowania krnąbrnego sprzętu. Nie bez wpływu na szybkie zużycie pozostawał fakt, iż maszyny niezwykle intensywnie eksploatowano; na dodatek każdą notatkę czy protokół należało sporządzić w kilku egzemplarzach, pisząc przez kalkę, co wymuszało mocne walenie w klawisze i na pewno dobrze na maszyny nie wpływało.

Istniała zresztą specjalna procedura, dotycząca przechowywania i niszczenia kalek. Ponieważ często sporządzaliśmy dokumenty objęte klauzulą poufności albo wręcz zakwalifikowane jako tajne, używane kalki musieliśmy przechowywać w szafie pancерnej, a zużyte niszczyć w niszczarce. Urządzenia te początkowo stanowiły luksus. Przydzielano je po jednym egzemplarzu na wydział. Nie należał więc do rzadkości widok kilku funkcjonariuszy czekających w kolejce na możliwość zniszczenia kalki.

Sytuacje te, nawiasem mówiąc, bardzo sprzyjały wymianie korytarzowych plotek, którymi policja, jak każda zbiurokratyzowana, hierarchiczna instytucja, uwielbia się żywić.

Oczywiście z umiejętnościami i chęcią pisania było bardzo różnie. Występowali w przyrodzie policjanci, którzy pisali szybko i umieli w miarę sprawnie formułować zdania. Do nich należeli zarówno Cyprynowski, jak i Bogen, którym czasami zdarzało się nawet robić uprzejmość kolegom i pisać za nich raporty. Byli też i tacy jak Jogi, którzy pisać nienawidzili i na wszelkie sposoby starali się od tego migać. W Lublinie zresztą, jako że większą część czasu spędzaliśmy na ulicy, a po realizacji zadania na ogół lądowaliśmy w różnych komisariatach rozsiansych po mieście, notatki sporządzaliśmy na miejscu i przeważnie robiliśmy to ręcznie i bardzo skrótowo. To była nawet pewna zaleta tej sytuacji: dzięki niej nie zatraciliśmy umiejętności pisania na papierze długopisem.

W Pionkach podejście do szkoleń strzeleckich pochodziło wprost z poprzedniej epoki. Należało bowiem odbyć... jedno szkolenie strzeleckie rocznie. Jechaliśmy całym wydziałem do lasu na strzelnicę wojskową, gdzie między wałami ziemi ustawiano zwykłe sportowe tarcze. Należało wystrzelać konkretną ilość amunicji; na funkcjonariusza przypadał jeden lub dwa magazynki. Ponieważ nie wszyscy wykazywali zapał do strzelania, praktyka była taka, że kilku z nas zużywało cały przydział naboju, a reszta na zapleczu piła piwo i posilała się kiełbaskami z grilla. Potem szef sporządzał protokół i strzelanie zostawało zaliczone.

W Lublinie sytuacja zmieniła się diametralnie. Jako gliniarze z kompanii wywiadowczej pracowaliśmy na pierwszej linii frontu i broni używaliśmy nader często, było więc w naszym najlepiej pojętym interesie, byśmy umieli się nią sprawnie posługiwać. Ćwiczyliśmy zatem sporo. Sytuację ułatwiał dodatkowo fakt, że w Polsce zaczął masowo się wtedy rozwijać biznes związany z handlem bronią i strzelectwem. Oczywiście najczęściej koncesje na sklepy z bronią i strzelnice otrzymywali byli esbecy albo milicjanci. Z racji dawnych znajomości docieraliśmy do nich stosunkowo łatwo, w efekcie uzyskiwaliśmy pozwolenie na korzystanie ze strzelnic i broni

w zasadzie bez ograniczeń, co miało i tę dobrą stronę, że mogliśmy zapoznać się z najnowszymi modelami pistoletów. Strzelaliśmy naprawdę dużo, często nawet zjeżdżaliśmy ze służby i przerwę obiadową spędzaliśmy na strzelnicy. Poziom naszego wyszkolenia strzeleckiego naprawdę był całkiem niezły.

Podobnie rzecz się miała ze sprawnością fizyczną. W Pionkach nie przeprowadzano w tym zakresie żadnych obowiązkowych ćwiczeń ani testów. W Lublinie natomiast, dokładnie z tych samych powodów co w wypadku broni w interesie wszystkich policjantów kompanii było utrzymanie się w jak najlepszej formie fizycznej. Sporo kolegów wcześniej uprawiało sport, bardzo często rozmaite sztuki walki. Mieliśmy nawet w komendzie skromnie wyposażoną salkę gimnastyczną, gdzie spotykaliśmy się po pracy, by poobijać worek albo siebie wzajemnie.

W Puławach Wydział Kryminalny stał na naprawdę wysokim poziomie. Sporo strzelaliśmy i intensywnie graliśmy w siatkówkę, piłkę nożną albo pływaliliśmy. Generalnie każdemu zależało na tym, by nie umrzeć na zawał po przebiegnięciu stu metrów podczas pościgu za bandziorem.

Co charakterystyczne, poprawianie zawodowych umiejętności stanowiło naszą oddolną inicjatywę, wynikającą z dobrze rozumianego własnego interesu. Tak zwany instynkt samozachowawczy. Niestety, szefostwo nie przejawiało większej inicjatywy, by nas do szkoleń zachęcać. A przepisy w tej materii były nader skąpe.

W każdej jednostce, w której pracowałem, znajdowała się stołówka albo kasyno. Na przestrzeni lat przeszły one radykalne przemiany.

W Pionkach w przylegającym do komisariatu budynku znajdowała się stołówka, będąca w prostej linii spadkobierczynią tak zwanych milicyjnych Konsumów. Od czasów PRLu zmieniła się bardzo niewiele. Talerze i kubki nosiły emblematy MSW albo MO. Była to zastawa najbardziej siermiężna z możliwych. Również jadłospis nie odbiegał zbytnio od niedawnego stylu. Dominowały sałatki warzywne w majonezie, kasza gryczana z mięsem, flaczki, nóżki w galarecie i pomidorowa z ryżem. Mimo swej prostoty i jednostajności jedzenie było nawet smaczne i miało jedną poważną zaletę: bardzo przystępną cenę. W nowych czasach stołówka zmieniła właściciela: w miejsce państwa weszła agentka, którą była, jakże by inaczej, żona komendanta.

W Lublinie i Puławach miałem już do czynienia z świetnie zaopatrzonymi kasynami. W porównaniu z Pionkami zmienił się wystrój, meble, sztuce, jadłospis i podejście do klienta. Były

to już w pełni nowoczesne pracownicze stołówki, z bogatym menu i szerokim wyborem wódek i piwa, jako że jeszcze wtedy przepisy nie zabraniały sprzedaży alkoholu na terenie jednostek. Obsługiwani byliśmy przez miłe, uśmiechnięte kelnerki.

Często jedliśmy też na mieście. Podczas mego pobytu w Pionkach pojawiły się już pierwsze prywatne knajpki i budki z hot dogami. Mieliśmy swoje ulubione lokale. Bardzo często spotykaliśmy się w nich z pewnym reliktem dawnego systemu, wyrażającym się zasadą, że władza nie płaci. Nie miało to wiele wspólnego z korupcją, raczej było próbą pozyskania życzliwości stróżów prawa, by w razie próby włamania do lokalu czy bójki gości reagowali szybciej niż w innych wypadkach.

W Lublinie i Puławach mowy już o tym nie było. Musieliśmy płacić jak wszyscy.

Nawet nie trzeba było specjalnie się napracować, by w niemal każdym policyjnym biurku znaleźć flaszkę wódki - często na potrzeby nie tyle samego policjanta, ile uchola, którego warto było czasem ugościć. Bardzo często tuż po robocie i my wypijaliśmy pięćdziesiątkę lub dwie, czasami bywało jak na filmach: rozłożona gazeta, na gazecie kaszanka albo kielbasa (na przykład mój pierwszy mistrz Staszek Cyprynowski miał układy z myśliwymi, co owocowało posiadaniem przez niego wybornych kielbas z dziczyzny), kilku policjantów popija wódeczkę z kieliszków albo wręcz kubków po herbacie. Z czasem przepisy zaostrzyły się i zaczęto mocno ściagać picie w pracy; sporo kolegów wyleciało z tego powodu dyscyplinarnie.

Piliśmy też, rzecz jasna, po pracy. Imprezy były organizowane bardzo często i odbywały się w knajpach. W pierwszym okresie staraliśmy się unikać lokali, w których bawiło się tak zwane miasto. Nie chcieliśmy się z tymi ludźmi bratać ani nawet dawać im pretekstu do jakiegokolwiek pozasłużbowego kontaktu. Potem sytuacja nieco się zmieniła: to my dyktowaliśmy, gdzie chcemy się bawić. Ludzie z miasta nauczyli się, że w razie naszej wizyty mają opuszczać lokal.

Imprezowanie i upijanie się miało oczywiście związek z towarzyszącymi nam stresem i napięciem i było sposobem na odreagowanie. O psychologach policyjnych nikt wtedy nie słyszał, ludzie ratowali się więc tradycyjnymi sposobami. W opowieściach o ostro popijających policjantach nie ma, niestety, wiele przesady.

Ministerstwo

Szedłem do policji, żeby zostać szeryfem, ale po kilkunastu latach pracy „w linii” zdecydowałem, że czas już zostać nauczycielem innych szeryfów - dlatego trafiłem do Legionowa. To była dobra decyzja, a liczne przygody szkolne ubarwiały mi życie przez kilka lat. Nic jednak nie trwa wiecznie i moje zadania w Legionowie powoli przestawały mieć cokolwiek wspólnego z nauczaniem (w tym szczególnie mi bliskich żeńskich plutonów), coraz więcej za to z administrowaniem - i to, o zgrozo, nie z administrowaniem nauką czy dydaktyką, ale klasyczną logistyką.

Zostałem bowiem, ku swojemu utrapieniu, szefem wydziału w Legionowie. Wydaje się, że to żadne wyzwanie, ale uwierzcie mi - kiedy po raz pierwszy w życiu podpisuje się własnym nazwiskiem zweryfikowanie wydatku w wysokości trzystu tysięcy złotych (dla pełnej jasności - moja ówczesna pensja stanowiła JEDEN procent tej sumy), fucha przysłowiowego „gaciowego” przestaje wydawać się zabawna.

Wraz z moim przyjacielem i pracownikiem Jerzykiem oswoiliśmy i tę bestię, ale przygody księgowego nie były moim marzeniem na żadnym etapie życia. Nudziło mi się. Zacząłem szukać sobie zajęcia, napisałem pierwszą publikację dotyczącą terroryzmu, jeździłem na konferencje - i znów się uczyłem. Okazało się, nie po raz pierwszy, że czuwała nade mną Opatrzność. Kiedy ludzie z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji zaczęli szukać pracowników do pewnej nowo tworzonej struktury, moje intelektualne poszukiwania zwróciły się z nawiązką.

Ostatecznie do ministerstwa trafiłem w 2004 roku. Minęły trzy lata od zamachów z 11 września 2001 i wreszcie ktoś u nas podjął decyzję o stworzeniu instytucji o nazwie Międzyresortowy Zespół do spraw Zwalczania Przystępczości Zorganizowanej i Terroryzmu. Poza tym w Departamencie Bezpieczeństwa Publicznego powstał Wydział Zwalczania Terroryzmu. Dostałem zadanie objęcia w nim szefostwa i zorganizowania jego struktur.

Miałem świadomość, że jako pionier niemający żadnych krajowych doświadczeń z terrorystami i terroryzmem będę, przynajmniej w pierwszym okresie, błędzić po omacku.

Zapewniono mnie jednak, że „moje działania są niezwykle ważne i otrzymam wszelką pomoc oraz środki”, czyli, krótko mówiąc, dostaję zielone światło.

Niestety, bezbłędnie zadziały reguły biurokracji: przydzielono mi ludzi i ewidentnie były to osoby niepotrzebne nigdzie indziej, jako że we wszelkich państwowych instytucjach panuje żelazna zasada - dobrych ludzi się nie oddaje. Natychmiast musiałem zacząć działać sam. Ściągnąłem więc dwóch kolegów, z którymi wcześniej pracowałem i do których kompetencji miałem zaufanie. Udało mi się także namówić do współpracy Paulinę, fantastyczną dziewczynę, którą poznałem jako wykładowca akademicki. W owym czasie współpracowałem z trzema uczelniami: Uniwersytetem Warszawskim, Collegium Civitas i Akademią Obrony Narodowej. Podczas zajęć z bezpieczeństwa na podyplomówce AON zauważyłem pewną studentkę. Zwracała na siebie uwagę - była inteligentna i zadawała sensowne pytania, co wbrew pozorom nie jest takie częste wśród młodzieży. Jakiś czas później prowadziłem wykład na uniwersytecie. Studentka siedziała w pierwszym rzędzie. Tydzień później, podczas wykładu w Collegium Civitas, sytuacja się powtórzyła. Podczas przerwy w zajęciach nie wytrzymałem, podszedłem i zapytałem:

- Pani tak za mną czy za przedmiotem?

Uśmiechnęła się, w oczach zamigotały złośliwe iskierki.

- Za przedmiotem. Przykro mi, jeśli czuje się pan rozczarowany.

Mruknąłem coś niewyraźnie, a ona zaczęła wywód na temat bezpieczeństwa narodowego; że to dla niej ważna sprawa i że mogłaby przy tym pracować. Skończyliśmy rozmowę, poprowadziłem dalej zajęcia i zapomniałem o temacie, ale kiedy musiałem zorganizować ten zespół w ministerstwie, okazało się, że potrzebuję analityków, między innymi po politologii czy stosunkach międzynarodowych. Wtedy przypomniałem sobie tę rozmowę. Zdobyłem jakoś telefon do Pauliny. Zadzwoiłem.

- Pani Paulino, umówiłaby się pani ze mną na kawę?

Usłyszałem znowu ten złośliwy chichocik, więc dodałem szybko:

- Służbowo. Czy pani pracuje, czy tylko się uczy?

- Owszem, pracuję. W firmie wydawniczej Inter News.

- Inter News... interesujące. I cóż pani tam robi?

- Piastuję stanowisko kierownika działu sprzedaży - powiedziała, po czym znowu zaśmiała się, tym razem jednak jakoś inaczej, jakby nieco melancholijnie. Po czym nieoczekiwanie dodała: - W gruncie rzeczy handluję pornosami.

Ups, to rzeczywiście było ciekawe.

- Dużo pani zarabia? - zapytałem ostrożnie.

- Około trzech i pół tysiąca miesięcznie. Tym razem zaśmiałem się ja. Gorzko. Bardzo gorzko. W owym czasie płaca w administracji państwowej wynosiła przeciętnie tysiąc dwieście złotych.

- Cóż, przykro mi to stwierdzić, ale w zasadzie nasza kawa jest nieaktualna. Miałem dla pani propozycję pracy, jednak z powodów finansowych nic z tego. Może kiedyś zdzwonimy się przy okazji.

Za dwa dni telefon: Paulina.

- Wie pan co, zaciekawił mnie pan. Może jednak zaprosi mnie pan na tę kawę?

Umówiliśmy się na spotkanie. Opowiedziałem jej o nowo utworzonym wydziale.

- Ma pani odpowiednie wykształcenie, dokładnie kogoś takiego potrzebuję, ale muszę panią rozczarować: pieniądze, jakie jestem w stanie zaoferować, to góra tysiąc dwieście złotych.

Zamyśliła się, po czym powiedziała:

- Jestem singlem, zobowiązań nie mam żadnych, a zawsze chciałam pracować w takim miejscu. Odłożyłam trochę pieniędzy... Wchodzę w to!

Tydzień później Paulina została zatrudniona w ministerstwie.

Początkowo mieliśmy przed sobą dwa zadania: organizację struktur zespołu oraz analizę zjawiska terroryzmu w Polsce. W pierwszym etapie oczywiście żadnej struktury nie było: oprócz Pauliny w zespole pracowało zaledwie pięć osób, nawet niezatrudnionych na stałych etatach, a tylko delegowanych przez macierzyste jednostki. Na szczęście stopniowo udało mi się pozbyć tych, którzy się nie nadawali, a ściągnąć takich, którzy się choć pobieżnie orientowali w temacie albo rokowali nadzieję, że się nauczą. Dopiero po dość długim czasie zdołałem uzyskać etaty dla zespołu, załatwić na stałe lokal, meble i podstawowy sprzęt.

Jeśli chodzi o analizy, nieco błędziliśmy po omacku. Nie było doświadczeń, procedur, koordynacji, wiedzy. Oczywiście mniej więcej tego się spodziewałem, w końcu moi pryncypałowicie, proponując mi stanowisko szefa zespołu, specjalnie tego nie ukrywali. Jednak trzeba powiedzieć uczciwie: skala problemu i ogólna bezsilność trochę mnie deprymowały.

Szybko wpadłem więc na pomysł, że musimy skorzystać z doświadczeń kogoś, kto takie doświadczenie posiada. Wniosek pierwszy i najbardziej oczywisty: najczęściej do czynienia ze współczesnym terroryzmem mieli i mają Amerykanie. Jednak nim zdążyłem wykonać pierwszy ruch, skontaktował się ze mną oficer CIA, pracownik ambasady i zaprosił na lunch. Kupić, nie kupić, pohandlować warto. Dobry lunch zawsze mnie przekonuje.

Facet jadł mało, ale dużo mówił: że Amerykanie po 11 września cały czas obawiają się zamachów nie tylko u siebie, ale na całym świecie. Że mają wiarygodne informacje, iż między innymi na terenie Polski takie cele, jak ambasada, banki czy firmy z kapitałem amerykańskim, mogą być przedmiotem ataku. Kiwałem głową. Wszystko, o czym opowiadał, brzmiało całkiem prawdopodobnie.

Jednak czułem, że to nie wszystko, co go trapi.

- Wiesz, z czym mamy największy problem? - zapytał, gdy dotarliśmy do deseru.

- Nie macie z kim gadać? - odpowiedziałem usłużnie.

- Odwrotnie. - Uśmiechnął się zmęczonym uśmiechem faceta, który próbuje przebić głową mur. - Gadamy z tysiącem ludzi. Moja praca ostatnio składa się głównie z gadania. Odbywam kilka spotkań na tydzień. Wszyscy są zainteresowani. Wszyscy kiwiają głowami ze zrozumieniem.

- Tylko nic z tego nie wynika - powiedziałem.

- Dokładnie. Wielkie nic. A co najśmieszniejsze, mamy kupę forsy do wydania. Tylko nikt jej nie chce.

- Pomogę ci.

Spojrzał na mnie bez nadziei, ale ja miałem już plan działania.

Następnego dnia poszedłem się do Ryszarda Kalisza, ówczesnego ministra spraw wewnętrznych. Zreferowałem mu sytuację. Kalisz pokiwał głową.

- Co pan proponuje?

- Stały zespół polsko-amerykański, którego zadaniem będzie koordynacja działań, wymiana informacji, wymiana personelu, wspólne szkolenia, nasze szkolenia tam, ich tu.

- Ich? - Minister podniósł brwi do góry.

- No, myślę, że my też mamy się czym pochwalić. Na przykład w kwestiach związanych z ochroną granic.

- A jak pan sobie wyobraża ten zespół?

- Żeby miał sens, musi być wyposażony w kompetencje do podejmowania decyzji. Inaczej skończy się na debatowaniu. Z naszej strony pan jako przewodniczący, a od nich - na przykład ambasador.

Brzmiało to odważnie, ale Kalisz nieoczekiwanie się zgodził. Amerykanie zaś przysłali swoją akceptację niemal odwrotną pocztą. Zespół niezwłocznie zabrał się do pracy.

Jedną z pierwszych operacji, jakie wspólnie razem przeprowadziliśmy, było działanie wymierzone przeciwko jednemu z największych eksporterów bananów na świecie, firmie Chiquita.

Banany Chiquita

Firma Chiquita Brands International była potężnym producentem i eksporterem bananów. Ogromna ilość plantacji zlokalizowana była w Kolumbii, gdzie trwał stan permanentnej wojny domowej pomiędzy różnymi ugrupowaniami o charakterze politycznym lub czysto kryminalnym. Do najpotężniejszych organizacji należały Zjednoczona Samoobrona Kolumbii (AUC - Autodefensas Unidas de Colombia), związek prawicowych organizacji paramilitarnych oraz bardziej znana FARC (Fuerzas Armadas Revolucionarias de Colombia), czyli Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii. Obie te struktury zwalczały się z całą bezwzględnością. Obie potrzebowały pieniędzy na działalność. Obie wpadły na to, że niezłym źródłem dochodu może być potężny, bogaty koncern, mający dużo do stracenia. Zaczęły się więc napady na pracowników Chiquity. Zarząd firmy podjął decyzję, że warto zapłacić za spokój. Na konto obu organizacji zaczęły trafiać spore sumy, liczone w milionach dolarów.

Amerykańskie służby, mające zarówno FARC, jak i AUC na oku, wpadły na ślad powiązań Rewolucyjnych Sił Kolumbii z AlKaidą. FARC współpracowały z Osamą bin Ladenem i światowym dżihadem, współfinansując obozy szkoleniowe, w których szkolili się zarówno Kolumbijczycy, jak i członkowie AlKaidy. Było to jeszcze przed 11 września 2001 roku. Po zamachach naturalną kolejną rzeczą Amerykanie doszli do wniosku, że część pieniędzy pochodzących od Chiquity mogła być wykorzystana do przygotowań zamachów. Rozpoczęło się zakrojone na szeroką skalę śledztwo, którego odnogi trafiły do Polski.

Przypadło nam w udziale śledzenie przepływów finansowych koncernu na terenie kraju. Chodziło o sprawdzenie, w którym momencie pieniądze „znikają” z kont firmy. Zaczęliśmy się bardzo uważnie przyglądać jej finansom na terenie Polski, zwracając szczególną uwagę na sumy

powyżej pewnej kwoty. I rzeczywiście, dość szybko okazało się, że spora część dochodów koncernu wędrowała do Kolumbii, a nie do centrali w Stanach.

W efekcie śledztwa w Stanach Zjednoczonych odbył się proces sądowy, w wyniku którego zawarto ugodę: koncern zapłacił dwadzieścia pięć milionów dolarów odszkodowania i wycofał się z Kolumbii.

Po niedługim czasie zniknął też z Polski.

Szkolenie

Zdając sobie sprawę z niedostatków naszej wiedzy, bardzo nalegałem na zorganizowanie szkoleń i staży w Stanach. Zaczęła się wymiana pomiędzy nami i Amerykanami. Nasi ludzie zaczęli jeździć do Stanów, Amerykanie przyjeżdżali tu. Korzystałem z przywileju, jakim jest szefowanie, i jeździłem także.

Jedną z pierwszych podróży odbyłem do Centrum Marshalla, amerykańskiego ośrodka szkoleniowego zlokalizowanego nieopodal Monachium. Uczestniczyłem tam w czterotygodniowym kursie poświęconym taktyce terrorystycznej.

Już na wstępie okazało się, że część wykładowców to eksterroryści, którzy zmienili stronę. Na przykład wykłady na temat przepływów finansowych (w dużej mierze opartych na tak zwanej hawali, czyli systemie rozpowszechnionych w świecie arabskim honorowych pożyczek gotówkowych) prowadził chłopak, który wcześniej był członkiem Hamasu. Został złapany przez egipską służbę bezpieczeństwa i poddany przesłuchaniu. No cóż, wiadomo powszechnie, że przesłuchania prowadzone przez egipską tajną policję nie mają wiele wspólnego z chrześcijańskim (ani żadnym innym) miłosierdziem. Chłopak powiedział, co wiedział, i dostał wyrok. W więzieniu spotkał pewnego mułłę, akurat takiego, który poważnie traktował wezwania Koranu do miłości i czynienia dobra. Chłopak przejrzał na oczy i zadeklarował chęć przejścia na drugą stronę. Amerykanie otrzymali od Egipcjan cynk i wyrazili zainteresowanie takim nabytkiem. Sprawdzili faceta na wszelkie sposoby (zresztą taka osoba poddawana jest sprawdzeniom non stop, między innymi stosuje się wobec niej techniki prowokacji, trwają one nawet wiele lat po przejściu na drugą stronę) i zatrudnili w Centrum Marshalla. Wiadomości, które nam ten wykładowca serwował, pochodziły zatem, można rzec, z pierwszej ręki. Oprócz zagadnienia finansowania terroryzmu sporo dowiedziałem się też o sposobie myślenia terrorystów, planowaniu operacji terrorystycznych, strukturze organizacji terrorystycznej

zarówno hierarchicznej (na przykład Hamasu), jak i rozproszonej (na przykład AlKaidy), sposobach indoktrynacji i rekrutowania nowych członków.

W 2006 roku dostałem propozycję, żeby wyjechać do Stanów w ramach programu Leadership, przeznaczonego dla obiecujących młodych liderów. Pochlebiło mi, że nadal jestem młody i wciąż obiecujący. Amerykański pomysł był ujmujący w swojej prostocie: oni płacą, ty wymagasz. Oni zapraszają, ty mówisz, czego byś chciał. A zatem, rzecz jasna, ułożyłem sobie program pod kątem swoich zawodowych zainteresowań.

Pewnego pogodnego poranka wsiałem w samolot i po niespełna dwunastu godzinach wylądowałem w upalnym i dusznym Waszyngtonie. Na lotnisku czekał na mnie nijaki facet w nieco wymiętoszonym garniturze, który, niewiele mówiąc, zawiózł mnie do hotelu.

Nazajutrz - zaczęło się.

Pierwszy tydzień: wizyty w Departamencie Stanu i Departamencie Obrony Właściwie rutyna, trochę kurtuazyjnego bla, bla, bla. Chodziło raczej o ogólne zorientowanie się, jak to wszystko u nich działa, kto za co odpowiada, w jaki sposób analizuje się informacje, jakie są procedury decyzyjne.

Ale kolejny punkt programu to było to. Obiecano mi pokazać niedawno utworzone pod Waszyngtonem Narodowe Centrum Kontrterrorystyczne (National Counterterrorism Center, NCTC). Moi opiekunowie postąpili jak dobrzy producenci serialu sensacyjnego: pozwolili z daleka obejrzeć budynek, w kilku zdaniach opowiedzieli, czym NCTC się zajmuje, i wiedząc, że nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie wejdziemy do środka, bez litości rzucili:

- A teraz... pojedziemy gdzie indziej.

Zdułem w ustach przekleństwo. Do NCTC chciałem już, natychmiast, bezzwłocznie. Ale moi dręczyciele uśmiechnęli się, zawrócili samochód i pomknęli w przeciwnym kierunku. Po paru godzinach ujrzałem tablicę z napisem: „Stan Virginia”. Mało nie zemdlałem - czyżby Quantico?

Zawsze marzyłem o tym, żeby poznać słynną Akademię FBI. I oto marzenia się spełniły. Moi gospodarze, w liczbie dwóch dobrze zbudowanych wykładowców, byli bardzo uprzejmi.

- Co chciałbyś zobaczyć? - zapytali.

- Wszystko - odparłem z wypiekami na twarzy. O NCTC już niemal zdążyłem zapomnieć.

- Okej. Zaczniemy od początku.

Najpierw oprowadzili mnie po terenie, bym chociaż z grubsza zorientował się w topografii.

Trzy potężne budynki mieszkalne. Kilka biurów. Aula na tysiąc miejsc. Gigantyczna sala gimnastyczna. Kaplica, jadalnia, biblioteka. I dwie rzeczy, które naprawdę mnie zachwyciły: Hogans Alley i laboratorium.

Hogans Alley to po prostu małe miasto z domami, kinami, teatrami, hotelami i bankami, wybudowane, by trenować taktykę walki w mieście, wejścia do budynków i odbijanie zakładników. Dosłownie każdy dzień wypełniano tu odbywanymi w pocie czoła przez kursantów ćwiczeniami, których u nas w zasadzie nie uświadczysz, jeśli nie jesteś akurat operatorem GROMu.

Druga wbijająca w fotel rzecz to oddane do użytku tuż przed moim przyjazdem laboratorium kryminalistyczne, zwane Centrum Szkoleniowym Nauk i Badań SądowoKryminalistycznych. Poziom techniczny - kosmos. Wyszkolenie personelu - na najwyższym poziomie. Podczas mojego pobytu zajmowano się tam między innymi badaniami szczątków ludzkich po atakach z 11 września, bo nawet wtedy, w 2006 roku, cały czas znajdowano w Nowym Jorku w różnych miejscach, na przykład w ściekach miejskich, fragmenty kości. Nic zatem dziwnego, że pamięć o 11 września jest wśród społeczeństwa amerykańskiego cały czas tak żywa.

Rozpocząłem kurs. Jednym z pierwszych zajęć było szkolenie z samoobrony. Ubrany w strój treningowy zjawiłem się w sali, gdzie czekała już grupa adeptów sztuk walki. W drzwiach zostałem powitany przez instruktora. W kilku słowach opowiedział mi o zwyczajach panujących w sali i o tym, jaki jest ogólny cel szkolenia. Następnie przeszedł do opowiadania lokalnej anegdoty, której sens sprowadzał się do tego, iż po rozpoczęciu kursu adept z największym trudem ściska najmniejszą z leżących przy wejściu gum (tak zwanych ściskaczy), a przy opuszczaniu akademii bez problemu radzi sobie z największą. W tym momencie opuścił wzrok i dostrzegł, co robię. Okazało się, że zafascynowany jego opowieściami i widokiem świetnie urządzonej sali gimnastycznej, zacząłem bezwiednie ściskać właśnie ten największy przyrząd i robiłem to przez kilka minut. Dookoła zapanowała niezręczna cisza...

- Not too bad. - Instruktor jakoś tak mało przyjaźnie poklepał mnie po ramieniu, po czym rozpoczęły się regularne zajęcia.

Po intensywnej rozgrzewce adepci usiedli kręgiem, a instruktor poprosił mnie na środek.

- Uderz mnie - powiedział.

- Uderz? - Jeszcze wtedy moja angielszczyzna nie była zbyt dobra, więc miałem wrażenie, że go opacznie zrozumiałem.

- Tak. Walnij mnie. Mocno.

No więc zamarkowałem jakiś niezbyt szybki cios, który on bez problemu sparował, po czym wykonał rzut, w efekcie którego me studwudziestokilogramowe ciało przy akompaniamencie imponującego huku rąbnęło o matę.

Myślałem, że wszystko poszło gładko, jednak instruktor miał w tej materii inne zdanie.

- Nie. - Pokręcił głową z niesmakiem. - Musisz to zrobić naprawdę.

Wstałem, z godnością wygładziłem nieco zmiętoszoną koszulkę z napisem FBI na plecach.

- Naprawdę? To znaczy jak?

- Wszystko jedno.

- Ręką? Nogą?

- Byle mocno.

Niewłocznie więc skróciłem dystans o pół kroku i walnąłem go głową w nos.

Przez następnych kilka minut na sali panowało niemałe zamieszanie. Spłoszeni kursanci łąpali na mnie z obrzydzeniem i dezaprobatą. Dwóch pozostałych instruktorów starało się docucić kolegę na ziemi. Potem ten ogłuszony powiedział mi, iż zmyliło go przekonanie, że nim wykonam cios, przyjmę odpowiednią postawę.

Amerykanie uczą technik obezwładniania, korzystając z różnych stylów walki, w przeważającej większości czerpią jednak z jujitsu: stosują masę chwytów obronnych i transportowych, ale też zwykle techniki bokserskie. Wkładają rękawice i kaski i po prostu walczą wręcz. Polska policja techniki i taktyki interwencyjne ma dość dobrze rozwinięte, system najbardziej przypomina izraelską krav magę: można powiedzieć, że nasz system jest bardziej ofensywny, ich bardziej nastawiony na obronę.

Różnimy się także umiejętnością motywowania kursantów. W Polsce w grupie ćwiczących z reguły jest kilku asów. Reszta próbuje (albo i nie) się podciągnąć. Jeżeli się komuś nie udaje - trudno. W Stanach musisz umieć wykonać techniki (mówię to na przykładzie zajęć z samoobrony, ale zasada dotyczy wszystkich aspektów szkolenia) na pewnym konkretnym, bardzo skutecznym poziomie. Ocenia cię grupa. Jeśli odstajesz - musisz się podciągnąć. Jeśli

dalej odstajesz - otrzymujesz ostatnią szansę. Jeżeli w dalszym ciągu nie udaje ci się osiągnąć zadanego poziomu - wylatujesz.

Nie dorównałeś do standardu, nie nadajesz się do służby.

Proste?

Po incydencie z instruktorem samoobrony przez pewien czas koledzy z Quantico patrzyli na mnie podejrzliwie, ale wkupiłem się w ich łaski dzięki legendarnej polskiej zaradności. Kilka dni później brałem bowiem udział w konferencji dotyczącej włamań do samochodów, zabezpieczeń przed nimi i wszelkich innych wątków, jakie mają związek jednocześnie z motoryzacją i siódmym przykazaniem. Konferencja miała postać wielogodzinnych wykładów znawców tematu z terenu całych Stanów i niestety była okropnie nudna. Bez większego zainteresowania słuchałem kolejnych wystąpień.

W przerwie wszyscy rzucili się do bufetu, by choć trochę rozprostować kości i ugasić pragnienie. Po drodze zauważyłem zaaferowaną czymś grupę ludzi.

- Co to? - spytałem jednego z kolegów.

Pośrodku hallu stał samochód, przy nim zaś mężczyzna w garniturze. Facet zachwalał przez mikrofon jakiś produkt.

- Coś w rodzaju targów. Prezentują najnowsze zdobycze techniki. Sam zobacz.

Podszedłem bliżej.

- Nasze zabezpieczenie jest proste i to właśnie w prostocie tkwi jego skuteczność - mówił ów mężczyzna słodkim głosem rasowego handlowca. - Blokada na koła w czysto fizyczny sposób uniemożliwia kradzież pojazdu.

Zerknąłem zza pleców stojących przede mną ludzi. Rzeczywiście, koło samochodu tkwiło w uścisku wielkiej żółtej obejmy, dokładnie takiej jaką znamy z frustrujących akcji straży miejskiej. Co ciekawsze jednak, byłem już kiedyś świadkiem podobnej prezentacji w Polsce. Wiedziałem też, co zaraz się wydarzy.

- Sforsowanie naszej blokady jest niezwykle trudne - kontynuował sprzedawca. - Ograniczniki na pedały czy kierownicę to w gruncie rzeczy kwestia odpowiednio dobrej piły czy nożyc, jednak nasz produkt jest zwyczajnie za mocny. Wierzą mi państwo? - spytał, uderzając w nas błyskiem uśmiechu niczym w reklamie pasty do zębów.

Teraz gość zaproponuje widzom, żeby sami zdjęli blokadę, pomyślałem.

I rzeczywiście.

- Wcale nie muszą mi państwo wierzyć. Sprawdźcie sami. - Wskazał ręką na stół tuż obok. Leżały tam noże, młotki, piłka do metalu i kilka innych przedmiotów, które wedle obiegowej opinii są przydatne przy kradzieży samochodu. - Dla tego, komu uda się pokonać nasze zabezpieczenie, firma przygotowała mały podarunek. Butelkę dobrej, osiemnastoletniej whisky.

Uwielbiałem osiemnastoletnią whisky, ponadto korciło mnie, żeby pokazać, czego nauczyłem się w Polsce. Razem z kilkoma osobami wystąpiłem z tłumu. Moi towarzysze mocowali się z blokadą, uderzali w nią, próbowali podważyć czy wreszcie przeciąć. Bez skutku. Ja tymczasem udawałem, że się temu przyglądam.

Kiedy towarzystwo trochę się przerzedziło, wkroczyłem do akcji. Minąłem sprzedawcę, a potem ku zdziwieniu jego i widowni, także stolik z narzędziami. Otworzyłem drzwi kierowcy, następnie pociągnąłem dźwignię zwalniającą zamek bagażnika. Odwróciłem się i znów mijając gościa w garniturze, sięgnąłem do kufra samochodu.

Blokady miały jedną wadę, o czym przekonałem się na prezentacji w Polsce. Dwóch chłopaczków na moich oczach rozbroiło ten system w mniej niż pięć minut, nie przynosząc ze sobą nawet długopisu.

W Quantico powtórzyłem po prostu widziany wcześniej manewr. Ku zdziwieniu sprzedawcy i rozbawieniu publiczności wyciągnąłem z bagażnika lewarek, klucz i zapasowe koło. Dwie minuty później samochód był gotowy do drogi. Blokada zaś leżała z boku, ze sterczącym z niej wykręconym kołem. Obejma nie zasłaniała bowiem śrub mocujących koło. Ot, i cała tajemnica.

Zebrałem oklaski i - zgodnie z obietnicą - otrzymałem butelkę whisky, choć sprzedawca podczas wręczania upominku miał nieco kwaśną minę.

Wielokrotnie potem na stołówce podchodzili do mnie zupełnie obcy ludzie, studenci akademii i gratulowali tego wyczynu. Zdobyłem jednocześnie ich uznanie i sympatię.

Powyższe dwie anegdoty można traktować jako wyjątki od reguły. Poza tym poziom prezentowanych systemów i szkolenia był bardzo wysoki. Podstawowy kurs w Quantico trwa blisko trzy miesiące. W programie są zajęcia z psychologii, medycyny sądowej, kryminologii, kryminalistyki, taktyk i technik prowadzenia śledztwa, umiejętności posługiwania się bronią palną i technicznej wiedzy na jej temat, ale też z informatyki czy nauki efektywnego zarządzania

i dowodzenia zespołami ludzkimi oraz, oczywiście, ćwiczenia poprawiające sprawność fizyczną wraz z samoobroną.

Amerykanie mają nad nami przewagę także dlatego, że wszystkie zajęcia u nich mają charakter praktyczny. Przykładowo: uczysz prawa polskiego policjanta. Oznacza to po prostu, że uczysz go prawa. Jeśli uczysz prawa amerykańskiego gliniarza, to znaczy, że uczysz go przesłuchiwać albo sporządzić protokół przesłuchania lub zatrzymania tak, żeby był zgodny z prawem. Jest różnica?

To samo dotyczy ćwiczeń taktycznych: w Polsce akcje właściwie zawsze się symuluje. Jest scenariusz i każdy (łącznie z tymi, którzy grają role przestępców) gra rolę według niego, bez żadnych odstępstw. W Hogans Alley obserwowałem następujące ćwiczenie: oddział szturmowy (złożony z kursantów) miał za zadanie odbicie zakładników przetrzymywanych w mieszkaniu na pierwszym piętrze budynku wielorodzinnego. Przeprowadzono rozpoznanie, a potem zaplanowano i wykonano szturm. Po drugiej stronie zatrudnieni byli statyści grający role zakładników oraz przebrani w turbany aktorzy odgrywający role terrorystów. Postępowali tak, by jak najbardziej utrudnić atakującym życie. Akcja niewiele różniła się od prawdziwej. Wszystko było maksymalnie realistyczne. Amerykanie nie ćwiczą sytuacji z sufitu, przeciwnie, rozgrywiają te, które faktycznie wydarzyły się w przeszłości. W dodatku próbują rozwiązywać zadanie w kilku wariantach, trenując umiejętność szybkiego wyciągania wniosków.

Akademia uczy również prognozowania wydarzeń z przyszłości: służby dostarczają informacje, co terroryści są w stanie wymyślić nowego, i kursanci ćwiczą warianty sytuacji, które mogą hipotetycznie zaistnieć. Komórki analityczne przeglądają filmy czy książki, których twórcy puścili wodze fantazji; wynajdują sytuacje mające według nich cień prawdopodobieństwa i takie scenariusze również są ćwiczone. Przykład: już w 2006 roku miałem okazję pracować na materiałach dotyczących tak zwanych samotnych wilków, czyli osób niepowiązanych z organizacją terrorystyczną, a tylko przez nią zindoktrynowanych, które same planują, przygotowują i przeprowadzają ataki terrorystyczne. Polskie służby w owym czasie dopiero zaczynały o tym nieśmiało wspominać. Inny przykład: dwa lata temu w kraju zaczęto mówić o możliwości przemycenia ładunku wybuchowego ukrytego w ciele. W Ameryce już w 2006 roku miałem zajęcia, na których wbijano mi do głowy, że ładunek można schować wszędzie, także w odbycie. Kobiety mogą wykorzystać jako schowek również drogi rodne albo implanty piersi.

Jedne z zajęć w terenie spędziłem na pracy w tak zwanym czerwonym zespole (Red Team). Jest to rodzaj ćwiczeń, podczas których sprawdza się rozmaite elementy już istniejących procedur bezpieczeństwa. Mówiąc prościej: wcielamy się w umysły przestępców i terrorystów, po czym próbujemy oszukać system.

Moje zadanie dotyczyło zidentyfikowania tak zwanych marshals, specjalnych agentów podróżujących na pokładach amerykańskich samolotów. Wprowadzono ich po wydarzeniach z 11 września, by nigdy więcej nie powtórzył się scenariusz z porwaniem cywilnej maszyny i wykorzystaniem jej do ataku terrorystycznego.

Miałem wejść na pokład samolotu, a następnie spróbować rozpoznać tych ludzi. Chodziło o sprawdzenie, na ile skutecznie są zamaskowani przed wzrokiem potencjalnego terrorysty. Po samolocie mogłem przejść tylko raz. Otrzymałem polecenie, by przejść korytarzem wzdłuż rzędów foteli, następnie zająć miejsce na samym końcu, przy ogonie, jednocześnie starając się wyłowić agentów.

Ku konsternacji moich amerykańskich partnerów rozpoznałem ośmiu na dziesięciu.

Na obronę amerykańskiego systemu powiem, że wykonując ćwiczenie, posiadałem całkiem sporą wiedzę na temat sposobów rozmieszczania agentów w poszczególnych typach samolotów. Ponieważ znałem procedury, moje zadanie nie należało do szczególnie trudnych.

Mimo wszystko mój wynik był bardzo wysoki, a to świadczyło o słabości rozwiązań. Wniosek na temat takiego stanu rzeczy był niestety dość oczywisty: znaczną część marshals stanowili ekszołnierze rozmaitych jednostek specjalnych, piechoty morskiej czy agencji FBI. Wielcy, dobrze zbudowani faceci, często krótko przystrzyżeni, z czujnym, niczego niepomijającym spojrzeniem. Na tle przeciętnego podróżnego dość mocno wystawali przed szereg. Amerykanie zareagowali szybko i zaczęli zatrudniać nieco inny rodzaj agentów.

W Quantico spotkałem wielu fantastycznych ludzi. Między innymi miałem okazję przegadać wiele godzin z facetem, który, tuż po inwazji Amerykanów na Afganistan, jako pracownik CIA przez dwa lata dowodził oddziałem specjalnym mającym zadanie schwytać Osamę bin Ladena.

Jego oddział złożony był z operacyjnych agentów CIA i operatorów takich formacji jak Navy SEALs czy Delta. Mój rozmówca otrzymywał dane wywiadowcze, które analizował i weryfikował. No, nabiegali się chłopcy po górach... Początkowo popełniali błędy: mając informację, że w konkretnej wiosce może ukrywać się cel (proces osaczenia bin Ladena składał

się z dziesiątków drobnych elementów, między innymi wyłapywania ostatnich członków organizacji, mogących doprowadzić do figur postawionych wyżej w hierarchii), wjeżdżali po prostu do wsi samochodami i przeszukiwali chaty; system czujek oczywiście powiadamiał talibów, że nadjeżdża wróg, i ci, co mieli zniknąć, znikali bez śladu w górach, zanim amerykańscy chłopcy zdążyli dostrzec chociażby dym z afgańskiej chałupy. Wtedy oddział zmienił taktykę: zaczął tworzyć siatkę płatnych informatorów. Dysponował ogromnymi sumami, a trzeba pamiętać, że w większości rejonów Afganistanu pięćdziesiąt dolarów stanowi prawdziwą fortunę. Inicjatywa zaczęła przynosić efekty, choć informatorzy często kończyli z kulą w głowie, bo talibowie wykrytą zdradę bezwzględnie karali. Jednak gdy doszli do sedna problemu, zaczęli przeciwdziałać zdradom w sposób bardziej systemowy. Rzucili mianowicie na rynek miliony fałszywych dolarów. Wkrótce kandydat na informatora pięć razy się zastanowił, zanim przyjął propozycję współpracy, która nie dość, że groziła utratą życia, to jeszcze mogła być opłacona fałszywymi pieniędzmi. Amerykanie oczywiście nie zrezygnowali z płatnych informatorów, rozbili nawet kilka drukarni fałszywych banknotów, ale system stracił swą pierwotną efektywność.

Wtedy z pomocą przysłała technika. Oddział, po otrzymaniu informacji i miejscu przebywania konkretnych osób, na piechotę i w nocy otaczał wieś, po czym rozstawiał dookoła niej bardzo czułe mikrofony kierunkowe. Nasłuch pozwalał stworzyć precyzyjną mapę adresową i zidentyfikować poszukiwane osoby z dokładnością nawet nie co do chałupy, a do konkretnego pomieszczenia. W nocy, tuż przed świtem żołnierze na paluszkach wchodzili do wsi i wyjmowali talibów z łóżek.

Takie działanie w końcu przyczyniło się do zidentyfikowania kryjówki Osamy w górach ToraBora. Jak wiadomo, oblężenie iszturm nie doprowadziły do schwytania przywódcy AlKaidy, trzeba jednak pamiętać, że były to początki walki z terroryzmem na taką skalę i przy użyciu tak ogromnych środków. Wszyscy się uczyli, z Amerykanami na czele. W efekcie tych wszystkich doświadczeń w maju 2011 roku udało się wreszcie dopaść bin Ladena, co pewnie nie byłoby możliwe bez akcji takich, jakie przeprowadzał dowodzony przez mego rozmówcę TASK.

Facet, gdy skończył pracę w CIA, czuł się jeszcze na tyle przydatny i pełen energii, że zaczął wykładać w Quantico, dzieląc się swym bogatym doświadczeniem z młodymi adeptami zawodu. Przy okazji warto wspomnieć o panującym w Akademii sympatycznym zwyczaju: po zajęciach można pójść z instruktorem na piwo i pogadać w bardziej niezobowiązujących

warunkach. Restauracje i bary w okolicy akademii niemal w każdy wieczór zapchane są słuchaczami i wykładowcami z zapałem dyskutującymi o złożonych aspektach policyjnej, wywiadowczej i kontrwywiadowczej roboty.

Znaleźć się w Quantico to szczyt marzeń niemal każdego policjanta, także polskiego, co jest paradoksem, ponieważ kilku naszych skończyło akademię i jak to u nas często bywa, niestety, nie najlepiej zrobiło to ich karierom zawodowym w Polsce...

Wyczerpujący kurs w Quantico skończył się akurat tuż przed 4 lipca - Dniem Niepodległości, który jest wielkim amerykańskim świętem. Przypadający zaraz potem weekend powodował, że Amerykanie, co nieczęsto się zdarza, mieli cztery dni wolne od pracy i niebędące urlopem. W takich razach instytucje i administracja państwowa nie funkcjonują, wszystko jest pozamykane: Amerykanie bawią się i świętują na łonie rodziny albo biorą udział w ulicznych paradach. Gość Polak w zasadzie tylko przeszkadza w celebrowaniu święta.

Okazało się jednak, że organizatorzy mojego pobytu poczuli się mimo wszystko do pewnej odpowiedzialności, zaproponowali mi bowiem wycieczkę w Góry Skaliste. Prawdziwej intencji, jaką była chęć pozbycia się mnie z Waszyngtonu, nawet specjalnie nie ukrywano. Machnąłem na to ręką, bo wyjazd zapowiadał się atrakcyjnie, i potraktowałem go jako formę bardzo pożądanego przerywnika po intensywnym okresie funkcjonowania w świecie amerykańskich służb specjalnych, administracji, policji i wojska. Mój opiekun Mark umówił się ze mną na lotnisku: większą część trasy mieliśmy pokonać samolotem, a następnie w jednej z firm typu rent a car wypożyczyć samochód terenowy i rozpocząć wakacyjnorelaksacyjną przygodę.

Wylądowaliśmy zgodnie z planem, po czym przesiedliśmy się do samochodu. Mieliśmy do przejechania około dwustu kilometrów. Mijaliśmy gęsto rozsiane motele oraz przydrożne bary, jakie wszyscy znamy z amerykańskich filmów drogi czy horrorów: wymusiłem na Marku, abyśmy się zatrzymali przy jednym z nich, by spróbować lokalnego jedzenia. Podano mi porcję, która w Europie wystarcza do nakarmienia wygłodzonej czteroosobowej rodziny. Kiedy człowiek już zacznie stołować się w amerykańskich barach i restauracjach, nader łatwo jest w stanie pojąć, dlaczego przeciętny Amerykanin ma pięćdziesiąt kilo nadwagi. Zasiadłem wygodnie (choć wygoda w tym konkretnym przypadku to nader relatywne pojęcie) na stolku wykonanym z indiańskiego siodła i obserwowany przez nieruchome oko indiańskiego kelnera, zaatakowałem stek wielkości koła ciężarówki oraz Kilimandżaro frytek i sałaty.

Mark nie komentował, ja jadłem, Indianin patrzył.

Poradziłem sobie, choć porażka była blisko. Odsunąłem talerz, uregulowałem rachunek, po czym nieco chwiejnym krokiem wyszedłem na zewnątrz. Słabym głosem poprosiłem Marka, by przejął ode mnie prowadzenie samochodu. Mark był człowiekiem dobrze wychowanym: wziął kluczyki i pojechaliśmy w dalszą drogę.

W końcu, po pokonaniu któregoś z rzędu zakrętu, zobaczyliśmy majaczącą na horyzoncie imponującą panoramę Gór Skalistych. W opowieściach o ich majestacie nie ma grama przesady. W miarę jak się do nich zbliżaliśmy, robiły się coraz potężniejsze, bardziej posępne, imponujące. W leżącym u stóp gór maleńkim miasteczku czekała mnie pierwsza niespodzianka: pokaz filmu w 3D na temat Wielkiego Kanionu. Sala kinowa pełna była piszczących, gadających i jedzących popcorn dzieciaków. Podłoga lepiała się od rozlanej cocacoli, okulary do trójwymiaru były stare i spadały z nosa, a film okazał się kompletną klapą, cepeliadą na kiczowatym poziomie. Jedyna rzecz warta uwagi to obraz Wielkiego Kanionu z lotu ptaka: rzeczywiście imponujący, ukazujący, jak gigantycznych sił musiała użyć natura, by wyrzeźbić tę wielką dziurę w ziemi.

Gdy lekko zniesmaczony z ulgą opuściłem rozwrzeszczane kino, Mark zapytał lekkim tonem:

- Gotów na następną niespodziankę?
- Zawsze - odparłem. - Byle z dala od bachorów.
- Masz to jak w banku - roześmiał się. - Zamówiłem przelot helikopterem nad Kanionem.

Gwałtownie wypuściłem powietrze, po czym nerwowo przełknąłem ślinę. Nie lubiłem latać, bardzo nie lubiłem latać. No cóż, nawet najwięksi twardziele mają swoje drobne słabostki. Mark zdawał się nie zwracać uwagi na mój stan. Ciągnął lekkim, niezobowiązującym tonem:

- Zastanów się. W Kanionie są cholernie kapryśne prądy powietrzne, czasami bardzo niebezpieczne, zwłaszcza dla awionetek i śmigłowców. Często dochodzi do katastrof. A zatem jeśli chcesz zrezygnować...

Teraz już musiałem polecieć, choćby za sterami miało siedzieć pięcioletnie dziecko.

- Jedziemy - powiedziałem. - Już się nie mogę doczekać.

Okazało się jednak, że na lot musieliśmy czekać blisko cztery godziny. Do dziś nie jestem pewien, czy był to kolejny trik Marka czy po prostu kolejka. Tak czy inaczej, gdy w końcu wsiedliśmy do maszyny, miałem już wszystkiego dosyć. Słońce wypalało mózg, koszula lepiała

mi się do ciała, helikopter był mały i wyglądał na mocno zużyty, pilot żuł gumę i nie budził nadmiernego zaufania.

Jednak to, co nastąpiło potem, całkowicie zrekompensowało dotychczasowe obawy. Widok był nieprawdopodobny, zapierający dech w piersiach. Rozmiar Kanionu budził grozę i fascynację zarazem. W nazwaniu tego dzieła natury siódmym cudem świata nie ma żadnej przesady.

Kiedy w końcu płozy helikoptera dotknęły betonu, nieopodal lądowiska zobaczyłem dwóch facetów, którzy już z daleka wyglądali na gliniarzy. Podeszli do nas, spojrzeli poprzez wielkie okulary przeciwsłoneczne, po czym przedstawili się jako oficerowie FBI. Wyższy stwierdził, że są tu z wizytą służbową, której celu nie określił. Ponieważ dysponują informacją, że przebywam tu w ramach programu Leadership, interesuje ich, czy nie zechciałbym się wraz z nimi udać na wycieczkę w góry. Było to co najmniej dziwne, niemniej po steku, siodłanym stołku i kinowych oraz helikopterowych atrakcjach przestałem się czymkolwiek przejmować. Było mi w zasadzie wszystko jedno.

Ruszyliśmy.

Pierwsze pół kilometra pokonaliśmy pieszo, po czym czekała mnie kolejna - nie ostatnia, jak się wkrótce okazało - niespodzianka. Dalsza część podróży, niemal na dno Kanionu, miała się odbyć na... osłach.

Gdy zobaczyłem te sympatyczne zwierzaki i zostałem poinformowany o nowym środku lokomocji, parsknąłem śmiechem. Ważę sto dwadzieścia kilo, osioł jest znacznie mniejszy od konia i z pewnością nie wygląda na siłacza. Jednak zarówno przeznaczony dla mnie wierzchowiec, jak i współtowarzysze podróży spojrzeli na mnie z politowaniem (mogę się założyć, że osioł nawet z odrobiną pogardy), wskoczyłem więc (no: wgramoliłem się, to miała być moja pierwsza w życiu podróż tego typu) na grzbiet czworonoga i ruszyliśmy. Już po chwili okazało się, że moi nowo poznani znajomi jeżdżą, jakby urodzili się w siodle, a osioł doskonale nadaje się do tego typu eskapad. Z pewnością nie dało się tego powiedzieć o mnie. Niemal przez całą drogę, prowadzącą na dodatek ostro w dół, walczyłem, by nie spaść. Nie było mowy o podziwianiu widoków czy prowadzeniu konwersacji.

W końcu teren zrobił się płaski. Byłem spocony z emocji i marzyłem, by obyło się bez dalszych niespodzianek. Przed naszą małą karawaną ukazały się zabudowania, wyglądające jak wioska indiańska. Po obu stronach drogi wyrosły stragany z wyrobami miejscowego rękodzieła

artystycznego: nożami, wisiorkami, kamieniami, amuletami, figurkami wojowników, pióropuszcami...

Ogarnąłem to znużonym spojrzeniem i nagle jakby poraził mnie prąd elektryczny. Owszem, sprzedawcy byli jak najbardziej prawdziwymi Indianami (i Indiankami): smagłymi, orlonosymi, często długowłosymi, słowem: klasycznymi przedstawicielami swej rasy, tyle że większość z nich miała przez plecy przewieszony słynny w świecie pistolety maszynowe Heckler & Koch MP-5, na udach kabury kryjące broń krótką, a na piersiach lornetki. Przyglądali nam się uważnie, a ich wzrok nie pomijał najdrobniejszego szczegółu.

Nie zdążyłem jeszcze ochłonąć po dokonaniu tego niezwykłego odkrycia, gdy dojechaliśmy do wielkiej, sterowanej elektrycznie bramy, na której wisiał wymowny napis: ZAKAZ WSTĘPU. Przy bramie czekał mocno zbudowany facet o kamiennej twarzy i orlim nosie, który przedstawił się jako oficer Centralnej Agencji Wywiadowczej i komendant ośrodka szkoleniowego.

W tym momencie stały się jasne aluzyjne uśmieшки dwóch oficerów FBI i pytania Marka, co myślę o następnych niespodziankach. Moi gospodarze postanowili połączyć przyjemne z pożytecznym: przy okazji oglądania Wielkiego Kanionu pokazać mi specjalistyczny ośrodek szkoleniowy kadr CIA oraz FBI, po którym miał mnie oprowadzić jego szef we własnej osobie.

Spojrzałem na Marka.

- Gdybyś mi powiedział, mógłbym się jakoś przygotować.

Mark roześmiał się.

- Zobaczyłeś Góry Skaliste i Kanion? Zobaczyłeś. Przeleciałeś się helikopterem? Przeleciałeś.

Zmarszczyłem brew. Jeśli facet zacznie pytać o osła...

Mark jednak nie dał mi szansy.

- Polecenie z góry, stary - wyjaśnił. - Miała być niespodzianka, więc była niespodzianka.

Machnąłem ręką. Dalsza dyskusja nie miała sensu. Facet nie poczuwał się do winy.

Gospodarz poszedł przodem, a my za nim.

Ośrodek zajmował spory teren. Zbudowano go na planie dość regularnego prostokąta. Pośrodku plac apelowy, okolony parterowymi budynkami ze spadzistymi dachami. Komendantura, centrum operacyjne, dwa blaszane hangary w kształcie litery L, lądowisko dla helikoptera oraz część podziemna, do której mnie zresztą nie zaproszono.

Jednak to, co było nad ziemią, okazało się dostatecznie interesujące.

Ośrodek przeznaczony był dla około pięćdziesięciu kursantów. Co ciekawe, przypadało na nich dwadzieścia pięć osób kadry instruktorskiej, a co jeszcze ciekawsze: kadra w ogromnej większości składała się z Indian. Kursanci ubrani byli w spodnie w kamuflażu pustynnym i zielone koszulki, instruktorzy zaś w czarne koszulki z napisem CIA. Wszyscy wykładowcy - głównie mężczyźni, zauważyłem może ze trzy kobiety - byli uzbrojeni w broń krótką.

Głównym budynkiem treningowym okazał się jeden z hangarów, podzielony w środku na szereg jednoosobowych boksów wyposażonych w blaty, ekrany komputerowe i słuchawki. Pod sufitem ogromny telewizor plazmowy, a na nim, zmieniające się cyklicznie, zadania dla kursantów.

Drugi hangar pełnił funkcję garażu: krył w sobie imponującą kolekcję samochodów i motocykli. Wszystkie wyglądały na bardzo intensywnie użytkowane. Obok, oczywiście, znajdowała się wydzielona płytą z dykty sala wykładowa. Na moje uprzejme pytanie, po co organizować salę wykładową w garażu, nie otrzymałem jednoznacznej odpowiedzi.

W pozostałych budynkach także mieściło się kilkanaście mniejszych i większych sal wykładowych. W jednej z nich były tablice, na których znajdowały się piktogramy śladów daktyloskopijnych, na drugiej tablica ilustrująca budowę antropologiczną twarzy: nietrudno się domyślić, że sale wykorzystywano do nauki profilowania. Grupy były małe: pięć - siedmioosobowe. Zajęcia trwały non stop.

Za budynkami - obszerny porośnięty drzewami teren. Trasa do biegania, strzelnica. Każdy kursant, gdy miał chwilę wolnego i ochotę, mógł postrzelać: limitów amunicji nie było (to, przyznam, była dla mnie dość szokująca informacja, zważywszy na ilość pocisków, które może wystrzelić w czasie szkolenia polski policjant). Lądowisko dla helikoptera. Słowem, pełna samowystarczalność.

Oczywiście nie pokazano mi wszystkiego, ale to, co widziałem, robiło wrażenie.

Ośrodek szkolił oficerów CIA i FBI w bardzo szerokim zakresie. Uczono czytania z ruchu warg i interpretowania ludzkiej mimiki. Włączano do głów system sygnalizacji i przekazywania informacji ruchami rąk, rodzaj specyficznego języka migowego, zrozumiałego tylko dla adeptów szkoły. Uczono rozpoznawania i interpretowania śladów w terenie oraz tropienia zarówno zwierząt, jak i ludzi, i to nie tylko w lesie, ale też w miejskiej dżungli. Istotnym dla oficerów przygotowujących się do wyjazdu na misję zagraniczną elementem była wiedza na temat kultur

różnych narodów. Te zagadnienia studiowano naprawdę bardzo starannie. Oprócz tego nauczano języków obcych: każdy wykładowca, oprócz angielskiego, swobodnie posługiwał się dwoma - trzema językami.

Spędziłem w tym miejscu dwie doby. I już zawsze na hasło Góry Skaliste albo Wielki Kanion będę miał przed oczyma podróż na osłach, udających sprzedawców indiańskich strażników z pistoletami maszynowymi oraz zagubiony wśród pustkowi ośrodek szkoleniowy wyposażony w ultranowoczesną technikę.

NCTC

Po 11 września Amerykanie doszli do wniosku, że problem bezpieczeństwa narodowego nie polega na tym, iż nie mają kompetentnych służb, tylko że te służby nie umieją się dogadać, czyli skoordynować informacji. Wtedy zapadła decyzja o utworzeniu Narodowego Centrum Kontrterrorystycznego.

Tak pod Waszyngtonem powstał ogromny, silnie zabezpieczony kompleks zabudowań. Do rozsianych na łagodnym zboczu rozległego wzgórza budynków prowadzi bardzo kręty dojazd. Każdy jego metr jest monitorowany przez kamery, a na poboczu dziwnym trafem stoją zepsute samochody, które usiłuje zreperować kilku facetów, mających to do siebie, że stosunkowo niewiele zainteresowania poświęcają awarii silnika, bardzo pilnie natomiast rozglądają się na boki i przyglądają przejeżdżającym pojazdom. Jest przy tym regułą, że ci mechanicy amatorzy są bardzo dobrze zbudowani, w ich ruchach wyczuć można zdecydowanie i wyglądają na szybkich w decyzjach.

W ośrodku pracuje około tysiąca dwustu osób i są to ludzie zajmujący się, najogólniej rzecz ujmując, koordynacją informacji. Robią to na dwóch poziomach.

Pierwszy z nich ma charakter analitycznooperacyjny. W Centrum Operacyjnym działającym dwadzieścia cztery godziny na dobę siedzą analitycy z różnych służb: FBI, CIA, NSA, policji i wielu innych. Mają dostęp do baz danych swoich macierzystych organizacji. Opracowują albo analizują materiały spływające non stop z całego świata. Pod sufitem wiszą potężne telebimy, na których wyświetlane są obrazy ze szpiegowskich satelitów.

Przy każdym stanowisku analityka jest rurka z trzema światłami (zielonym, żółtym, czerwonym). Jeżeli system informatyczny zanotuje, że co najmniej trzech ludzi pracuje na

podobnych lub tych samych danych, zapalają się czerwone światła. Wtedy kierownik zmiany wie, że sprawa jest poważna, i nadaje jej wysoki priorytet.

Drugą funkcją analityków jest wsparcie bezpośrednie. Tu mogę opowiedzieć ciekawą historię, której byłem świadkiem.

Odbywałem dyżur nocny (od 20.00 do 2.00) razem z oficerem FBI jako szefem zmiany. W pewnym momencie otrzymaliśmy informację, że kilkanaście tysięcy kilometrów stąd, w Afganistanie, operatorzy SEALs zatrzymali konwój samochodów i zaczęli przeszukiwanie. Mieli kamery w hełmach, z których obraz był przekazywany do Centrum w czasie rzeczywistym i wyświetlany na monitorach w rozdzielczości HD. W momencie, w którym żołnierz zaczynał oglądać dokumenty sprawdzanego człowieka, my mieliśmy od razu jego dane na ekranie. Analityk natychmiast dokonywał sprawdzenia takiej osoby. SEALsi mieli z nami, rzecz jasna, również łączność głosową. W pewnym momencie jeden z zatrzymanych stwierdził, że przyleciał w interesach i leciał takim a takim samolotem. Analitycy od razu sprawdzili listę pasażerów i potwierdzili podany przez zatrzymanego fakt. Żołnierz otworzył bagażnik samochodu. Były w nim nawozy sztuczne. Oficer FBI w Centrum wystukał na klawiaturze nazwy tych nawozów. Po kilku sekundach system podał informację, że dokładnie takich samych środków rolniczych użyto jakiś czas temu podczas zamachu w Bagdadzie. Wiadomość pofrunęła do Afganistanu. Na jej podstawie żołnierze podjęli decyzję, żeby aresztować kierowcę i dwóch pasażerów samochodu. Później potwierdziło się, że wszyscy trzej byli poszukiwanymi członkami siatki terrorystycznej.

Technika i szybki dostęp do różnorodnych baz danych były w tej sytuacji kluczem do sukcesu.

Drugi ze wspomnianych poziomów pracy NCTC stanowią różne komórki przypisane do konkretnych zagadnień albo nawet poszczególnych spraw: jest biuro do spraw AlKaidy, terroryzmu bliskowschodniego, wsparcia technicznego, taktycznego. Specjaliści analizują, kategoryzują, weryfikują wszelkie spływające z całego świata dane i opracowują raporty lub prognozy strategiczne dotyczące obszaru znajdującego się w ich zakresie odpowiedzialności. Następnie raporty i prognozy trafiają do rozmaitych służb i na tym rola Centrum się kończy, NCTC nie posiada bowiem własnego aparatu wykonawczego.

Na koniec ciekawostka świadcząca o tym, jak Amerykanie traktują kwestie związane z zachowaniem poufności danych. Podczas pierwszej wizyty w Centrum zauważyłem, że wszędzie na korytarzach stoją żółte tabliczki z napisem: „Uwaga! Na terenie jest obcokrajowiec”, całkiem

takie same jak te, które w hotelach wystawia obsługa hotelowa, tyle że tam napis brzmi: „Uwaga! Śliska podłoga”. Procedura jest taka, że z ogromnych, zawieszonych pod sufitem telebimów znikają wtedy dane wywiadowcze, a leci program CNN, CBS czy FOX NEWS, czyli przebywający w Centrum gość może sobie co najwyżej pooglądać telewizję.

Gdy już zacząłem tam odbywać staż na zasadach członka zespołu, oczywiście wszystko wróciło do normy.

Tortury

Jednym z elementów szkolenia był wyjazd do Guantanamo, żebym zobaczył z bliska, jak to więzienie wygląda. Działo się to w okresie, kiedy Amerykanie poważnie zastanawiali się, czy go nie zamknąć. Guantanamo jest wbrew pozorom po prostu normalnym pierdłem. Oczywiście pomarańczowe ubranka więźniów i klatki, w których siedzą, robią dość ponure wrażenie, ale podyktowane są okolicznościami.

Wkraczając do Afganistanu jesienią 2001 roku i chwytając pierwszych jeńców, którzy zostali uznani za terrorystów, Amerykanie nie byli przygotowani na to, co ich czeka. Skutkiem owej niewiedzy była między innymi decyzja, by klawiszami w Guantanamo uczynić żandarmów wojskowych, dotychczas pracujących z żołnierzami amerykańskimi, których przewinienia polegały na wszczeniu bójki albo klepnięciu kelnerki po tyłku. Potraktowano terrorystów jak normalnych przestępców, a to w żadnej mierze nie są normalni przestępcy. Efekt był taki, że w ciągu pierwszego tygodnia pracy punktu odosobnienia (bo tak oficjalnie ten przybytek się nazywa) odnotowano ponad trzysta czynnych napaści na strażników i tyle samo okaleczeń. Dla większości zatrzymanych pobyt w Guantanamo był kontynuacją walki: terroryści napadali na strażników, bili ich, drapali paznokciami, pod którymi mieli kał zmieszany ze śliną, stosowali czynny i bierny opór.

Amerykanie zaczęli reagować nerwowo, więc siłą rzeczy dochodziło też do patologii. Do Departamentu Stanu, który nie miał pomysłu co do sposobu dalszego postępowania, zgłosił się pewien profesor z jakiegoś zapyziałego uniwersytetu w Teksasie i ogłosił, że zajmuje się technikami NLP (programowania neurolingwistycznego) naukowo i jest pewien, że będą skuteczne w zakresie wyciągania informacji z więźniów. Departament Stanu podpisał stosowną umowę. Facet przyjechał do Guantanamo, po czym niemal natychmiast okazało się, że jego techniki są niewiele warte. Ale gość był nader ambitny i nie miał zamiaru rezygnować z

lukratywnego kontraktu. Zaczął chodzić wieczorami do kasyna i stawiać piwo klawiszom, którzy się tam spotykali po zakończeniu zmiany. Byli sfrustrowani, więc chcieli się wygadać. Profesor był znakomitym, współczującym słuchaczem. Przekonał ich, że stres musi mieć ujście, a przy okazji mogą się przysłużyć ojczyźnie. Klawisze szli na nocną zmianę i tłukli wskazanych przez profesora więźniów. Ten, wypoczęty i pachnący, zjawiał się rano w więzieniu, brał delikwenta na przesłuchanie i mówił: „Albo zeznajesz, albo dzisiaj w nocy czeka cię to samo”.

Tak to początkowo wyglądało. Oczywiście z czasem wydobywanie informacji przybrało bardziej profesjonalne formy, również w zakresie tak zwanych technik specjalnych.

Trzeba jedno zaznaczyć wyraźnie: przekonanie, że tortury stosuje się po to, aby terrorysta przyznał się do popełnionego przestępstwa, to mit i bajki wyssane z palca przez dyletantów. Techniki specjalne stosuje się wyłącznie wobec ludzi, którzy mają albo zachodzi wysoce prawdopodobne podejrzenie, że mają, informacje o następnych zamachach. Techniki specjalne możesz zastosować tylko wtedy, kiedy istnieje bezpośrednie zagrożenie życia i zdrowia obywateli państwa, do których ochrony jesteś zobowiązany. Jest to tak zwany casus tykającej bomby: masz informację, że w mieście jest ukryta bomba. Schwytaleś terrorystę, który wie, kiedy zostanie odpalona i gdzie się znajduje. By zapobiec nieszczęściu, musisz od niego wydobyć tę informację.

Amerykanie wypracowali sobie pewne instrukcje i algorytmy postępowania. Oficera prowadzącego przesłuchanie obowiązuje stosowanie się do wskazówek zawartych w trzech stustronicowych książkach. Nie wolno mu zmienić nawet linijki. Przesłuchiwany musi przejść badania lekarskie stwierdzające, czy techniki specjalne nie naruszą jego zdrowia psychicznego i fizycznego. Przesłuchujący może zastosować daną technikę tylko raz. Oczywiście, mimo procedur to nie jest przedszkole: szczucie psami, hałas, światło, gogle, worek na głowę, podtapianie, powodowanie zmęczenia, pozbawianie snu. Do tego stosuje się oczywiście wszystkie elementy techniki behawioralnej, elementy manipulacji, socjotechniki.

Okrutne?

Po drugiej stronie mamy zabawę w dobrego i złego policjanta. Ten dobry może terrorystę powiedzieć: „Chcesz słodzoną kawę?”, a zły kolega wejdzie i powie: „Nie. Dostaniesz gorzką”. To mniej więcej można zrobić.

A bomba tyka.

Terrorysty są to faceci odpowiednio zindoktrynowani ideologicznie, przygotowani do przesłuchań, potrafiący wprowadzić się w trans poprzez recytację Koranu. Ich zwykłe przesłuchanie nie rusza.

A bomba tyka i oficer prowadzący przesłuchanie wie, że jeśli w porę jej nie odszuka, zginie kilkadziesiąt albo kilkaset niewinnych osób. Mężczyzn, kobiet i dzieci.

Techniki specjalne stosuje się po to, by zapobiegać takim sytuacjom.

Jak zostałem bohaterem Nowego Jorku

Jednym z elementów moich amerykańskich wojaży był pobyt w Nowym Jorku i złożenie wraz z pracownikami ambasady kwiatów w Strefie Zero. Po tej uroczystości wraz z jednym z moich ludzi, Chudym, byliśmy gośćmi polskojęzycznych policjantów ze Związku Pułaskiego. Wieczorem poszliśmy z nimi na piwo, towarzyszyło nam wielu policjantów pochodzenia irlandzkiego, bo te dwie nacje często trzymają się razem. No cóż, zabawa była przednia, powiem tylko, że w opiniach dotyczących pewnego rodzaju pobratymstwa Polaków i Irlandczyków jest sporo prawdy.

Potem wracaliśmy sześciuosobową grupą do hotelu: czterech amerykańskich kolegów po fachu w mundurach, Chudy i ja - po cywilnemu. Droga wypadła przez park. Było ciemno, ale wokół sporo ludzi. Przed nami szła młoda kobieta. Niosła na ramieniu torbę z laptopem. Nagle naprzeciw pojawił się zakapturzony koleś na rowerze do figurowej jazdy, bez siodełka, na małych kołach; wyhamował gwałtownie, puścił rower, wyrwał jej torbę, po czym z rozmachem huknął ją w twarz krótką pałką. Krew zaczęła się lać, kobieta z krzykiem upadła, bandziorek wsiadł na rower i „wcisnął gaz do dechy”. Wszystko działo się jakieś pięćdziesiąt metrów przed nami. Pobiegliśmy.

Jeden z amerykańskich policjantów zatrzymał się przy kobiecie i zaczął udzielać jej pierwszej pomocy. Reszta, w tym, rzecz jasna, Chudy i ja, rozpoczęła pościg za łobuzem. Facet najwyraźniej spanikował, bo zamiast uciekać na tym idiotycznym rowerze, na którym tak czy siak miałby nad nami przewagę (wzmocnioną przez fakt, że wskutek licznych wypitych uprzednio piw nasza trasa nie wypadła idealnie po linii prostej), porzucił ów środek transportu i dał dyla w duży klomb krzaków. W tym momencie jeden z Amerykanów podniósł rękę i zatrzymał się. Nam również kazał stanąć. Była noc, a przestępca mógł być uzbrojony w broń palną, amerykańscy policjanci nie wchodzą w takich sytuacjach w krzaki. Gość wyjął telefon i w

ciągu sześciu minut przyjechało osiem radiowozów, po czym rozpoczęło się znane z tyłu filmów regularnie policyjne obłężenie; trzaskające drzwi, migające bulaje, krzyżujące się w powietrzu rozkazy i przekleństwa, grzechot krótkofalówek, szczęk repetowanej broni...

Staliśmy z Chudym nieopodal. Zarządzone przygotowania wydały nam się niewymownie nudne. Piwo mocno szumiało w głowach. Zaaferowani organizowaniem obłężenia Amerykanie zapomnieli o nas zupełnie, popatrzyliśmy więc po sobie, po czym po cichutku wycofaliśmy się, a gdy już zupełnie zniknęliśmy z widoku, wleźliśmy w krzaki od drugiej strony. Wyjęliśmy komórki, żeby choć trochę oświetlić sobie drogę. Nie zdołaliśmy zrobić nawet pięciu kroków, gdy w mdłym blasku wyświetlaczy ukazała nam się pociągająca nosem kupka nieszczęścia. Ktoś, kogo postrzegaliśmy jako krwiożerczego bandziora z przekrwionymi oczami i nożem w zębach, miał nie więcej jak szesnaście lat, siedział skulony i zapłakany, a czapczkę nasunął tak głęboko na oczy, jakby chciał się pod nią schować.

On grzecznie, więc i my grzecznie. Powiedzieliśmy, że jest aresztowany, dostał dla ostudzenia dwa plaskacze, a ponieważ się nie bronił i wyglądało na to, że zaraz rozplacze się na dobre, wzięliśmy go za kaptur i wyprowadziliśmy z krzaków.

Gdy tak we trójkę, ze złapanym łobuzem pośrodku, stanęliśmy oświetleni migającymi bulajami przed frontem sił szturmowych, w oblegających jakby piorun strzelił.

Może nie liczyliśmy, że będą nas nosić na rękach i fetować jak bohaterów wojennych, ale takiej reakcji się nie spodziewaliśmy. Początkowa konsternacja szybko ustąpiła miejsca oburzeniu i pretensjom. Kto nam kazał tam wchodzić bez broni, wsparcia i rozkazu? Czy nie wiemy, że życie policjanta jest najważniejsze? Czy nie zdajemy sobie sprawy, że po to wymyślono procedury, aby ich przestrzegać i stosować się do nich? Że najpierw się czeka na negocjatora i dopiero kiedy negocjacje zawiodą, wzywa się oddział SWAT, który ma za zadanie obezwładnić i schwytąć przestępcę?

Staliśmy i nie mieliśmy pojęcia, czy śmiać się, czy płakać.

Kiedy w końcu kurz opadł, a radiowozy udały się wraz ze schwytanym łobuzem w swoją drogę, podszedł Wojtek, jeden z tych amerykańskich Polaków, i poklepał nas po ramieniu.

- Mieliście szczęście - mruknął.

- Człowieku - wypaliłem, bo poczułem nagły przypływ złości. - U nas, jakbyśmy takiego obsrańca nie wyjęli, to nawet na komisariacie w byle pipidówce byłby wstyd i śmiech przez dwa tygodnie. Nas nie stać na to, by kilka jednostek specjalnych przyjeżdżało do zwykłego złodzieja.

Wojtek pokiwał głową i nawet się zaśmiał, ale nie wyglądał na specjalnie przekonanego. Zmęczeni i nadal nieco pijani poszliśmy do hotelu.

Rano, zaspani i nękani przeciągłym bólem głowy, zostaliśmy wyciągnięci z łóżek i postawieni na baczność. Fakt, program przewidywał, że mieliśmy wizytować Wydział do Walki z Terroryzmem jednej z miejscowych komend policji. Więc schodzimy, nasi gospodarze wsadzają nas do samochodu, a ich kamienne miny mogą świadczyć równie dobrze o tym, że o wczorajszym incydencie już nie pamiętają, jak i że właśnie otrzymali polecenie, by wsadzić nas do najbliższego samolotu i dopilnować, byśmy bezpiecznie poleceli hen za ocean, do dalekiej i dzikiej Polski, w której nie rozumie się, jak wygląda łapanie przestępców.

Więc jedziemy i jedziemy, w końcu jeden z gliniarzy pękł i mówi, że czeka nas niespodzianka. Po czym auto zajeżdża pod okazały budynek, wychodzimy, trzaskają flesze kilku reporterów, niemal wpychają nas do wielkiej sali, w której siedzi kilkadziesiąt osób. Witają nas oklaski, po czym jakiś facet, wiceburmistrz, jak się okazało, przypina nam do dumnie wypiętych piersi honorowe odznaki za męstwo i odwagę. I nadaje tytuł Bohatera Nowego Jorku.

W ten oto, nieco przypadkowy, sposób wpisaliśmy się wraz z kolegą Chudym w poczet amerykańskich bohaterów.

Amerykanie posunęli się nawet do tego, że na każdym większym posterunku policji jest Wydział do Walki z Terroryzmem. Miałem okazję, po wizycie u wiceburmistrza, obejrzeć taki wydział w działaniu.

Około pięćdziesięciu funkcjonariuszy po cywilnemu siedzi, jak na filmach, w boksach. Nieustannie dzwonią telefony, huczą kserokopiarki, słychać głośne rozmowy, ludzie chodzą i biegają we wszystkie strony. Harmider jak na tureckim bazarze.

Funkcjonariusze wydziału, ponieważ znają jak własną kieszeń teren, za który są odpowiedzialni, analizują wszystkie informacje napływające od CIA, FBI i NCTC pod kątem terroryzmu w swoim rejonie. Tworzą agentury nastawione na konkretny obszar. Bardzo ich interesuje przestępczość okółoterrorystyczna, na przykład handel bronią albo napady z bronią w rękę. Szukają powiązań takich przestępstw z terroryzmem. Do ich zadań należy również zabezpieczanie mających się odbyć na ich terenie oficjalnych wizyt czy imprez masowych: dokonują rozpoznania posesyjnego, osobowego, węszą i wtykają wszędzie nos. I naprawdę znają się na robocie, i są jej oddani.

Wszyscy mają w pamięci widok dwóch walących się w obłokach sinoburego dymu wież WTC. Nikogo nie trzeba specjalnie motywować do pracy. Funkcjonariuszami tego wydziału są wyłącznie doświadczeni policjanci, a służba w nim jest uznawana za wyróżnienie i nagrodę.

Londyn

Już kilka miesięcy przed zamachami w Londynie w lipcu 2005 roku Anglicy posiadali informacje, że w najbliższym czasie w stolicy Wielkiej Brytanii szykowany jest atak terrorystów. Przypuszczano także, że z dużą dozą prawdopodobieństwa zostanie on dokonany w metrze.

Samo przewidywanie nadchodzącego zamachu jednak nie wystarczy. Należy jeszcze wiedzieć, kto i kiedy zaatakuje. W mieście mieszka ponad osiem milionów ludzi, w metropolii - czternaście; wielka część z nich korzysta ze środków transportu publicznego. Populacja jest niezwykle zróżnicowana etnicznie. W tak gigantycznym tyglu nie sposób mieć stuprocentowej pewności, że zapobiegnie się atakowi, nawet jeśli znany jest jego cel. Można tylko szlifować procedury i liczyć na to, że w krytycznym momencie nie zawiodą.

Kilka miesięcy przed zamachami do mojego zespołu przyszło zaproszenie z Londynu na specjalne ćwiczenia, podczas których miały być sprawdzane strategie działania w obliczu ataku terrorystycznego. W celu ich skontrolowania sprowadzano specjalistów z całego świata, w tym Chudego i mnie.

Całość ćwiczeń zaplanowano na trzy dni. Nikt nie zamierzał marnować czasu, nie przewidywano żadnych bankietów i oficjalnych przyjęć. O 7.00 byliśmy jeszcze na Okęciu, a krótko po 12.00 pod hotel w centrum Londynu podjeżdżał już samochód terenowy z oficerem Scotland Yardu na pokładzie. Facet miał pełnić funkcję naszego opiekuna. Repertuar na dzień pierwszy: ewakuacja metra.

Kiedy dotarliśmy na stację, nie dostrzegłem niczego nadzwyczajnego. Wszystko w komunikacji miejskiej funkcjonowało jak co dzień. Spytałem o to mojego angielskiego kolegę po fachu. Spojrzał na mnie zaskoczony.

- Przecież o to chodzi. - To znaczy? - Żeby procedury sprawdzały się w codziennym środowisku. Ćwiczenia w pustym metrze nie mają sensu. Poza tym rozwiesiliśmy plakaty i podajemy informacje przez głośniki.

Rozejrzałem się. Rzeczywiście, na ścianach wisiało kilka plakatów, a przez system nagłaśniający co kilka minut leciała informacja o planowanych w ciągu najbliższych kilku dni ćwiczeniach.

Londyńskie metro bardzo różni się od warszawskiego. Jest najstarszym, liczącym sto pięćdziesiąt lat tego rodzaju systemem linii kolejowych na świecie. Składa się nań ponad czterysta kilometrów tras, blisko trzysta stacji i setki starych, ciasnych korytarzy, po których w godzinach szczytu poruszają się w niesamowitym tłoku tysiące ludzi.

- Idealne miejsce na zamach - powiedziałem do Chudego, kiedy zobaczyliśmy kłębiący się przed nami tłum.

- Nie wyobrażam sobie lepszego - przyznał.

Prowadzący nas Anglik wskazał głową na wjeżdżający na stację pociąg.

- Wsiadamy.

Przepchnęliśmy się przez blokujących nas ludzi.

Skład ruszył, za oknami wagonu pojawiła się ciemność tunelu, po czym nagle szarpnęło nami gwałtownie. Pociąg hamował przy akompaniamencie upiornego zgrzytania. Większość pasażerów chwyciła się uchwytów i poręczy, ale jak zwykle w takich sytuacjach kilka osób upadło na ziemię.

Chwilę później zgasło światło.

Ciemności trwały kilkanaście sekund, potem włączył się system awaryjny, słaby blask lampek halogenowych odrobinę rozproszył mrok. Nastąpiła cisza i pełne napięcia oczekiwanie.

Poczułem lekkie ukłucie niepokoju.

Naturalnie, miałem niezłe pojęcie o tym, co się dzieje, ale próbując spojrzeć na wydarzenia oczyma zwykłego pasażera, zdałem sobie sprawę, jak bardzo stresująca musi być ta sytuacja z jego punktu widzenia. Wagony były ciasne, a tunele wąskie. Do tego znajdowaliśmy się kilkadziesiąt metrów pod ziemią, gdzie dawały o sobie znać wszelkie odmiany klaustrofobii i atawistycznego strachu przed ciemnością i zamknięciem. Takie właśnie emocje dostrzegałem na twarzach współpasażerów, którzy zaczęli już nerwowo szeptać między sobą.

Na szczęście w porę padł z głośnika oficjalny komunikat.

- To tylko ćwiczenia! To tylko ćwiczenia! Proszę zachować spokój i wykonywać polecenia służb miejskich. To tylko ćwiczenia!

Ludzie odetchnęli z wyraźną ulgą. Dostrzegłem, że z przodu wagonu wydobywa się dym, który dość szybko rozprzestrzenił się w naszą stronę. Kilka osób zaczęło kaszleć.

Spojrzałem pytająco na naszego Anglika.

- Sztuczne zadymienie - stwierdził cicho. - Chcemy, żeby wszystko jak najbardziej przypominało realną sytuację.

Dymu było coraz więcej, poczułem drapanie w gardle. Wyjrzałem przez okno. Między wagonikami poruszali się pracownicy metra. Widziałem poświatę ich latarek, gdy od czoła składu zmierzali w naszą stronę.

- Proszę zachować spokój - padł kolejny komunikat przez głośniki. - Nastąpiła eksplozja. Proszę zachować spokój. Ewakuacja będzie prowadzona przez tylne drzwi wagonów. Proszę podążać za pracownikami metra. Proszę nie opuszczać pociągu do czasu wydania polecenia.

Zgodnie z brytyjskimi procedurami, o ewakuacji składu zawsze decyduje maszynista. Być może ma to coś wspólnego z tym, że jest on kimś w rodzaju kapitana statku, nam podano jednak znacznie bardziej praktyczny powód. Tylko maszynista wie, kiedy zostaje wyłączona znajdująca się pod napięciem trzecia szyna. Dotknięcie jej wcześniej równa się usmażeniu żywcem.

Opuszczenie wagonu zajęło najwyżej półtorej minuty. Nieco przestraszony, ale zdyscyplinowany tłum ruszył tunelem w ciemność, podążając za wymachującymi latarkami pracownikami metra. Podświetliłem tarczę zegarka.

- Dwadzieścia minut - powiedziałem do Chudego. Tyle czasu minęło od momentu zatrzymania wagonów do chwili opuszczenia ich przez podróżnych. Dostrzegłem, naturalnie, rosnące podenerwowanie pasażerów i wdzierający się gdzieś chaos. Gęstniejący dym także nie pomagał. Mimo wszystko ewakuacja przebiegała nadzwyczaj sprawnie.

Ponieważ pociąg po opuszczeniu stacji jechał tylko kilkadziesiąt sekund i pokonał nie więcej jak trzysta metrów, marsz tunelem nie zajął nam dużo czasu. Wkrótce dostrzegłem światła stacji. Na miejscu podstawiono specjalne schodki umożliwiające wejście na peron, na którym czekała duża grupa przedstawicieli służb ratunkowych i policji. Większość ludzi ewakuowano na ulicę, my z Chudym i angielskim przewodnikiem zostaliśmy na dole i obserwowaliśmy dalszą część akcji.

Ratownicy zajęli się „rannymi”. Zwróciłem uwagę, że każdy z pozorantów ma przyklejoną naklejkę imitującą ranę. Uśmiechnąłem się.

- Część można na razie leczyć na miejscu, innych należy natychmiast zabrać do szpitala - wytłumaczył mi Brytyjczyk z pełną powagą. - W przypadku prawdziwego zamachu selekcja tych dwóch typów pacjentów jest bardzo ważna. Błąd może kosztować życie wielu osób.

Zostaliśmy jeszcze około trzydziestu minut, w trakcie których dowiedzieliśmy się, że oprócz przetestowania procedur celem ćwiczeń było sprawdzenie, na ile skutecznie da się przeprowadzić ewakuację bez sprawnego systemu oddymiania. W londyńskim metrze wprawdzie takowy istniał, pochodził jednak z zamierzonych czasów i w gruncie rzeczy równie dobrze mógłby nie istnieć wcale. Na szczęście ewakuację dało się sprawnie przeprowadzić bez niego.

Kiedy sytuacja wyglądała na opanowaną, Anglik wcale nie zamierzał kończyć dnia pracy.

- Letsgo - stwierdził flegmatycznie. - Już na nas czekają.

- Gdzie? - spytałem, kiedy zmierzaliśmy w stronę ruchomych schodów.

- Jedziemy obejrzeć izraelskie trójki w akcji - odparł.

Spojrzałem na Chudego. Jego mina prezentowała się prawdopodobnie równie głupio jak moja, uznałem więc, że skoro żaden z nas nie wie, czym są owe „izraelskie trójki”, można zadać pytanie, nie narażając się na pełne politowania spojrzenie naszego opiekuna.

- To system walki z zamachami samobójczymi, w momencie gdy są już w fazie wykonania.

Podrapałem się po głowie.

- Mówiąc krótko, kiedy facet w kamizelce z trotylu trzyma palec na detonatorze, tak?

- Mniej więcej.

- Jaka jest taktyka?

- W teorii prosta. Dwóch policjantów musi przytrzymać zamachowca za ręce, uniemożliwiając mu odpalenie ładunku.

- A trzeci? - spytał Chudy. Jechał z tyłu i najwyraźniej odczuł potrzebę wzięcia udziału w rozmowie.

Anglik wzruszył ramionami.

- Trzeci strzela mu w głowę oczywiście.

- Oczywiście. - Chudy kiwnął głową.

Nie wydało mi się to oczywiste, zwłaszcza w polskich realiach. Nie wyobrażałem sobie polityka, który wziąłby na siebie odpowiedzialność za wprowadzenie w życie procedury

umożliwiającej policjantowi decydowanie, czy ma w takiej sytuacji nacisnąć spust, czy nie. Zatrzymałem jednak tę uwagę dla siebie.

Ośrodek treningowy, do którego jechaliśmy, znajdował się na terenie bazy wojskowej, trenowali w nim jednak przede wszystkim oficerowie Scotland Yardu i oddziałów specjalnych policji. Przed bramą wylegitymowano naszego przewodnika, następnie minęliśmy pierwsze zabudowania i znaleźliśmy się na wielkim, wypełnionym trenującymi ludźmi placu.

Gorączkowy ruch przypominał przygotowania do inwazji na Normandię.

Dostrzegłem co najmniej kilkanaście trzy - lub czterosobowych grup szlifujących walkę wręcz i techniki obezwładniania terrorystów. Kolejni ćwiczący wspinali się po linach, a jeszcze inni pokonywali tor przeszkód. Z głębi placu słychać było huk broni palnej, zarówno krótkiej, jak i automatycznej. Najwyraźniej znajdowała się tam strzelnica.

- Witam - usłyszeliśmy głos zza pleców.

Jego właścicielem był wojskowy, major, o twarzy tak młodej, że z początku nie mogłem uwierzyć w stopień, na który wskazywały pagony. Przywitaliśmy się i wymieniliśmy zwyczajowe uprzejmości. Potem gospodarz w kilku zdaniach opowiedział historię ośrodka. Znał ją całkiem nieźle. W końcu nim dowodził.

- Większość kursantów to policjanci, z bardzo nielicznymi wyjątkami. Z kolei instruktorzy to przede wszystkim żołnierze SAS, których wiedza jest absolutnie bezcenna.

- Sami wojskowi? - spytał Chudy. - Specyfika zadań policyjnych jest odrobinę inna.

- To prawda - przyznał major. - Niestety, jest to też jeden z powodów, dla którego terroryści są tak niebezpieczni. Wymykają się codziennej rutynie policjanta. Przecież tó nie wojskowi strzegą codziennie ulic. Mimo wszystko dostrzegł pan ważne zagadnienie, dlatego staramy się czerpać ze sprawdzonych wzorców.

- Izrael? - spytałem.

- Dokładnie.

Z izraelskimi trójkami zapoznaliśmy się najpierw na filmie, a potem w trakcie prezentacji na żywo. Jak się okazało, ważny i odpowiednio zaplanowany powinien być każdy ruch, począwszy od momentu podjęcia decyzji o interwencji. Znaczenie miał przede wszystkim sposób podejścia do zamachowca, by ten miał jak najmniej czasu na odpalenie ładunku.

Akcję wieńczył strzał w głowę. Technika mało humanitarna, ale w momencie zagrożenia życia dziesiątków ludzi konieczna. Głowa jest dosyć trudnym celem, ale jednocześnie dającym największą gwarancję, że śmierć postrzelonego nastąpi niemal natychmiast.

Taktykę tę wykorzystano w realnych warunkach krótko po zamachach w londyńskim metrze. Trzech policjantów dostrzegło mężczyznę o arabskich rysach, który zachowywał się nerwowo i nie reagował na wydawane przez nich polecenia. Podjęto decyzję o zastosowaniu wzmiankowanej wyżej techniki. Sprawdziła się ona w stu procentach, w ciągu zaledwie kilku sekund mężczyznę uśmiercono, nie dając mu żadnych szans na odpalenie ładunku. Okazało się jednak, że zabity nie miał na sobie żadnych ładunków. Wybuchł szeroko nagłaśniany przez media skandal.

Dowódcą grupy interwencyjnej był Ahmed, wykładowca, którego poznałem kilka lat wcześniej podczas pierwszej wyprawy do Scotland Yardu.

Z tej pouczającej historii istotny wniosek jest taki, że to nie technika obezwładniania zawiodła. Zawiodła ocena sytuacji, co niestety zdarza się w realiach walki z terroryzmem, gdzie śmiertelnym zagrożeniem może być niemal każdy, a decyzję trzeba nieraz podejmować w ułamku sekundy.

Izraelskie trójki były najmocniejszym akordem wyprawy do Londynu. Dwa dni później wróciliśmy do domu.

Zamach

Był upalny letni dzień. Wychodząc rano do ministerstwa, zastanawiałem się, jak przy tej pogodzie dam radę wytrzymać w pracy osiem godzin. Pewną pociechę stanowiło to, że w sezonie ogórkowym na ogół i tak niewiele się działo, a fakt pójścia dużej części kolegów z wydziału na urlopy dość poważnie zmniejszył szansę, że ktoś będzie miał do mnie jakąś sprawę. Liczyłem więc na dzień pełen nieprzyjemnego gorąca, ale spokojny.

Był 7 lipca 2005 roku.

Dzień razem z tymi, którzy nie uciekli na urlop, zaczynaliśmy zwyczajowo od pogaduszek i kawy. Ten codzienny rytuał pozwalał uruchomić szare komórki i przy okazji wymienić najważniejsze informacje z poprzedniego dnia. Gadaliśmy więc leniwie, gdy z rozmachem wpadła do pokoju Paulina.

- Co robimy? - spytała, trzaskając drzwiami, aż zatrzęsły się szklanki na stole.

Spojrzelismy na nia zdziwieni. Dostrzegla wyłączony telewizor i zrozumiala wszystko.

- Londyn - powiedziala, łapiąc oddech. - W radiu mówili, że doszło do wybuchu. Włączcie telewizor.

Dziś każdy pamięta o zamachu w Londynie. Wiedza na ten temat, choć często niepełna, jest dość powszechna. Jednak w dniu gdy do tych wydarzeń doszło, dane napływały bardzo powoli i często przeczyły sobie nawzajem.

... Wedle wstępnych informacji w stolicy Anglii mogło dojść do wybuchu gazu, w wyniku zaniedbań przy konserwacji starych instalacji. Nie ma ofiar w ludziach... - mówiła spikerka, tylko po to by dwie minuty później podać inną, sprzeczną z poprzednią wersję.

To banalna prawda, ale obserwowanie podobnych wydarzeń pokazuje, jak bardzo niedoinformowane i chętne do czczych spekulacji są media. Przez pierwsze pół godziny wypowiadali się rozmaici eksperci od wszystkiego, a prezenterzy powtarzali w kółko te same kilka zdań, dopóki ludzie odpowiedzialni za prompter nie przygotowali im nowej śpiewki. Wszystko na ogół pokazywano na tle zupełnie niezwiązanych z wybuchem zdjęć Londynu.

Przeszukiwanie internetu również nie przyniosło konkretniejszych ustaleń. Obraz sytuacji był nadal niejasny.

Wreszcie, krótko po 11.00, podano oficjalną informację.

- O godzinie 8.51 na terenie Londynu doszło do serii eksplozji, które były prawdopodobnie skutkiem zamachu terrorystycznego. Nieznana jest liczba ofiar. Większość wybuchów miała miejsce w metrze.

Wkrótce potem pojawiło się zdjęcie obiektu, który nie należał do „większości”: zniszczony, wypalony do cna autobus komunikacji miejskiej. Na bardziej szczegółowe materiały z metra musieliśmy jeszcze poczekać.

Gdy się dziś analizuje ten zamach, wybór przez terrorystów daty wydaje się oczywisty, co jest zresztą smutną konkluzją: większość rzeczy wydaje się oczywistymi, gdy patrzeć na nie z perspektywy czasu. Organizatorzy zamachów terrorystycznych myślą w sposób podobny do twórców programów typu talent show: liczy się oglądalność. Miejsce, ofiary i sposób przeprowadzenia zamachu muszą wzbudzać emocje, a czas... Czas powinien zapewniać jak największą widownię. W przypadku programów telewizyjnych jest to sobotni wieczór.

W przypadku zamachu w Londynie czynnikami decydującymi były szczyt G8 w Gleneagles i ogłoszenie gospodarza igrzysk olimpijskich. Świeże mianowanie Londynu miastem

kolejnej olimpiady, a przede wszystkim szczyt największych mocarstw w Szkocji sprawiły, że kamery całego świata zwrócone zostały na Wielką Brytanię. Terrorystom wystarczyło skupić uwagę tych wszystkich dziennikarzy, którzy i tak się tam znajdowali.

Zamach był pokazem siły.

W ministerstwie odbyła się odprawa.

Niewiele niestety mogę na jej temat powiedzieć. Wiedza, którą dysponowaliśmy, siadając w pokoju razem z całym zespołem, doradcami ministra i grupą specjalistów, na dobrą sprawę niewiele wybiegała poza to, co rozgarnięty użytkownik komputera zdołałby znaleźć w internecie. Do tego oczywiście dochodziły nasze analizy, ale wobec faktu, że mało kto z ekipy był w Londynie więcej niż raz, o braku szczegółowej znajomości topografii metra nie wspominając, składały się one raczej na ogólniki, które można streścić w jednym zdaniu: kilkudziesięciu zabitych, kilkuset rannych, szczegółowych informacji brak.

Wreszcie, tuż przed końcem odprawy jeden z doradców ministra powiedział wreszcie coś ważnego.

- Odezwała się do nas ambasada Zjednoczonego Królestwa. Jest prośba, abyśmy jeszcze dziś wysłali któregoś z naszych ekspertów.

Tym ekspertem miałem być ja.

Formalności trwały krótko, odrobinę dłużej zorganizowanie mi lotu (z początku wszystkie zawieszono), ale wkrótce znalazłem się w samolocie do Londynu. Była to istna jazda bez trzymanki, mało kto bowiem orientował się w komunikacyjnym chaosie, który opanował stolicę Anglii. Tuż po starcie pilot przyznał rozbijając, że nie ma pewności, kiedy i na którym lotnisku uda się nam wylądować, informacje płynące z Wysp są bowiem sprzeczne.

W czasie podróży ponownie próbowałem przeglądać analizy zamachu przygotowane w Polsce.

Zwyczajowo przy każdej akcji terrorystycznej na terenie Wielkiej Brytanii podejrzanym jest IRA. Tym razem założenie to odpadło na dość wczesnym etapie. Irlandzka Armia Republikańska była w gruncie rzeczy graczem stosunkowo niewielkiego kalibru. Jej przedstawiciele lubili zwracać na siebie uwagę, czasem balansowali na granicy, ale raczej nie posunęliby się do zamachu, który całkowicie skreśliłby ich szanse w procesie pokojowym.

Drugim podejrzanym byli oczywiście terroryści szeroko pojętego światowego dżihadu. Zwykle ludzie myślą w takich sytuacjach o AlKaidzie, tyle że organizacja ta jest w gruncie

rzeczy szyldem, za którym ukrywają się dziesiątki autonomicznych grup. O połączeniach między nimi można by napisać solidną książkę.

Jednak wylądowaliśmy w Londynie. Łącznicy czekali na mnie na pasie startowym. Kiedy nieliczni pasażerowie samolotu (wiele osób na wieść o zamachach zrezygnowało z podróży) wsiadali do lotniskowego autobusu, ja pakowałem bagaże do czarnego jeepa.

Złożyłem dwóm angielskim policjantom krótkie wyrazy współczucia (w końcu jesteście profesjonalistami, ale też ludźmi), po czym przeszliśmy do rzeczy.

- Były cztery wybuchy. Trzy w metrze i jeden w autobusie na powierzchni. Na razie o zamachach nie wiadomo wiele więcej, próbujemy ogarnąć cały ten syf, który zaczął się po nich - powiedział mój przewodnik.

- To znaczy? - Zaraz zobaczysz. Kiedy wjechaliśmy na jedną z ulic prowadzących do centrum wiedziałem już, co łącznik miał na myśli. Ponieważ wprowadzono szczegółowe kontrole pojazdów, miasto zakorkowało się niemal całkowicie. Tysiące samochodów stały w upale, trąbiąc. Nawet nasz pojazd, choć uprzywilejowany, miał problem, żeby dotrzeć do celu.

Miasto sprawiało upiorne wrażenie. Było jednocześnie zatłoczone i... wymarłe. Pojazdy, owszem, stały w korkach, ale na chodnikach prawie nie dostrzegało się ludzi. Zablokowano całe kwartały ulic.

- To dopiero początek - oznajmił Anglik.

- Co dalej?

- Cobra zdecydowała, żeby wieczorem na ulice miasta wysłać wojsko.

Cobra była potoczną nazwą sztabu kryzysowego.

- Jest aż tak źle? - spytałem.

- Mamy doniesienia, że doszło już do pierwszych ataków na muzułmanów. Bóg jeden wie, co się stanie, kiedy zapadnie noc. Prosty człowiek nie odróżnia islamisty od terrorysty.

W jego wypowiedzi pojawiły się nowe informacje odnośnie do sprawców.

- Muzułmanów? Czemu akurat na nich?

Anglik uderzył się ręką w czoło.

- No tak, w samolocie nie mieliście telewizora. Do zamachu przyznała się Tajna Grupa Dżihadu AlKaidy w Europie.

Zmarszczyłem brwi.

- Pierwszy raz słyszę tę nazwę - powiedziałem.

- Nie ty jeden. Ale wkurwionym Anglikom to wystarczy.

Dojazd do Scotland Yardu zajął nam ponad godzinę.

Chaos, który zastaliśmy na miejscu, przypominał filmy o maklerach z Wall Street. Setki ludzi rozmawiały ze sobą lub przez telefon albo jednocześnie ze sobą i przez telefon. Na biurkach i stołach zalegały rosnące z każdą chwilą stosy papierów. Panowała atmosfera silnego podenerwowania.

- Cormac, dowodzę tu - przedstawił się jeden z policjantów. - Przepraszam, ale mamy tu lekki bałagan, a najwyraźniej ode mnie oczekują, że go ogarnę. Dlatego w tej chwili mogę panu co najwyżej znaleźć odrobinę miejsca i komputer.

- Nie ma sprawy - odparłem. - Nie chcę przeszkadzać.

Oficer ucieszył się, powiedział, że w razie jakichkolwiek pytań mogę się do niego zwrócić, po czym natychmiast zniknął w przepływającym przez siedzibę Scotland Yardu tłumie.

Zostałem sam na sam z komputerem.

Kilka godzin spędziłem, oglądając zdjęcia i nagrania z monitoringu miejskiego, ale tak naprawdę nie robiłem niczego konkretnego. W międzyczasie potwierdziły się informacje, które usłyszałem od łączników. Późnym wieczorem zadzwoniłem do Polski, do ludzi z zespołu. Jak się okazało, dowiedzieli się więcej w kraju - tylko oglądając wiadomości - niż ja w rozgardiaszu siedziby Policji Metropolitalnej.

To na szczęście nie potrwało długo. Krótco po 23.00 pojechaliśmy na miejsce wybuchu. Akcja ratunkowa wciąż trwała. Kilka miesięcy wcześniej, będąc uczestnikiem ćwiczeń mających przygotować mieszkańców i służby na podobną sytuację, miałem wrażenie, że skala przedsięwzięcia była ogromna.

Mylłem się.

To, co zobaczyliśmy, przypominało kolejny uliczny korek, korek wozów policji, straży pożarnej i karettek. Wszystko owinięte pajęczyną żółtych taśm policyjnych. Widok ten był jeszcze bardziej przerażający niż same zdjęcia, które widziałem w telewizji, może przez panującą wokół noc, przecinaną czerwono-niebieskimi błyskami kogutów. Tragedia, która zaangażowała taką masę służb ratowniczych, musiała być ogromna.

Na dół zjeżdżaliśmy w zupełnym milczeniu. W starych i wąskich tunelach londyńskiego metra uczucie niepokoju jeszcze się potęgowało. Czulem swąd dymu i smród spalenizny. Na peronie trwała selekcja rannych i poparzonych. Lekarze udzielali pierwszej pomocy medycznej,

po czym uszkodzonych transportowano na górę. Nigdzie jednak nie dostrzegłem ani pociągu, ani efektów wybuchu. Co chwilę podjeżdżały małe drezyny i zatrzymywały się w miejscu, gdzie zwykle zatrzymywało się metro. Potem dowiedziałem się, że patent ten wymyślono już w czasie akcji. Liczba ofiar była tak ogromna, że ratownicy zwyczajnie nie wytrzymywali fizycznie wynoszenia rannych i zabitych. Musieli posiłkować się drezynami.

- Gdzie jest skład? - spytałem oficera, który zabrał mnie na dół.

- W tunelu. Czteryście jardów stąd.

Terrorysty wykorzystali więc wariant, który służby przerabiały na ćwiczeniach.

Jakiś czas przyglądałem się akcji ratowniczej, aż w końcu zdałem sobie sprawę, że moja obecność tylko utrudnia Brytyjczykom wykonywanie obowiązków. Zwalczyłem więc ciekawość.

- Myślę, że mi wystarczy - powiedziałem. - Nie ma sensu, żebym szedł do tunelu. Tylko będę wam przeszkadzał.

Oficer kiwnął głową. Widziałem, że jest mu to na rękę.

- Okej. Poczekaj tu chwilę - stwierdził, po czym zszedł do tunelu.

Nie mając nic innego do roboty, zająłem miejsce na stojącej pod ścianą ławce. Tuż obok siedział mężczyzna w mundurze ratownika. Nie rozmawiałem z nim, jestem przekonany, że nawet mnie nie dostrzegł. Do dziś pamiętam jednak jego zmęczoną twarz i puste, wyzute z życia i nadziei spojrzenie, które kierował gdzieś w miejsce usytuowane pomiędzy własnymi stopami.

Kiedy wracaliśmy do Scotland Yardu, po ulicach Londynu poruszało się wojsko. Jest coś, co sprawia, że człowiekowi przechodzą ciarki na widok setek umundurowanych mężczyzn z karabinami w samym centrum miasta. Mimo tego wszystkiego właśnie budziło się ono do życia. Około północy odblokowano większość ulic, a na niedotkniętych atakiem liniach metra wznowiono ruch.

W siedzibie Policji Metropolitalnej wciąż panował bałagan. Na telebimach w pokoju operacyjnym pojawiały się zdjęcia zwyczajnie nie wytrzymywali fizycznie wynoszenia rannych i zabitych. Musieli posiłkować się drezynami.

- Gdzie jest skład? - spytałem oficera, który zabrał mnie na dół.

- W tunelu. Czteryście jardów stąd.

Terrorysty wykorzystali więc wariant, który służby przerabiały na ćwiczeniach.

Jakiś czas przyglądałem się akcji ratowniczej, aż w końcu zdałem sobie sprawę, że moja obecność tylko utrudnia Brytyjczykom wykonywanie obowiązków. Zwalczyłem więc ciekawość.

- Myślę, że mi wystarczy - powiedziałem. - Nie ma sensu, żebym szedł do tunelu. Tylko będę wam przeszkadzał.

Oficer kiwnął głową. Widziałem, że jest mu to na rękę.

- Okej. Poczekaj tu chwilę - stwierdził, po czym zszedł do tunelu.

Nie mając nic innego do roboty, zająłem miejsce na stojącej pod ścianą ławce. Tuż obok siedział mężczyzna w mundurze ratownika. Nie rozmawiałem z nim, jestem przekonany, że nawet mnie nie dostrzegł. Do dziś pamiętam jednak jego zmęczoną twarz i puste, wyzute z życia i nadziei spojrzenie, które kierował gdzieś w miejsce usytuowane pomiędzy własnymi stopami.

Kiedy wracaliśmy do Scotland Yardu, po ulicach Londynu poruszało się wojsko. Jest coś, co sprawia, że człowiekowi przechodzą ciarki na widok setek umundurowanych mężczyzn z karabinami w samym centrum miasta. Mimo tego wszystkiego właśnie budziło się ono do życia. Około północy odblokowano większość ulic, a na niedotkniętych atakiem liniach metra wznowiono ruch.

W siedzibie Policji Metropolitalnej wciąż panował bałagan. Na telebimach w pokoju operacyjnym pojawiały się zdjęcia z monitoringu, pierwsze rysopisy możliwych sprawców i nazwa, którą usłyszałem jadąc w samochodzie z lotniska: Tajna Grupa Dżihadu AlKaidy w Europie.

Nikt w Scotland Yardzie nie wiedział, o kim mowa, i wywoływało to wiele nerwowych rozmów. Z zasłyszanych wymian zdań dowiedziałem się także, że wojska wycofują się właśnie z Londynu na bezpośrednie polecenie ministra spraw wewnętrznych. Nie tylko mnie niepokoił ich widok. Policja odbierała setki telefonów od przerażonych mieszkańców. Postanowiono nie potęgować paniki i zamiast tego do utrzymania porządku wykorzystać rezerwy policyjne. Pojawiały się kolejne doniesienia o atakach na muzułmanów i nowe pogrożki dotyczące mających jeszcze nadejść zamachów.

Nie widząc dla siebie żadnej przydatnej roboty, zadzwoniłem do Polski.

Moi ludzie nadal siedzieli w pracy. Po krótkiej rozmowie ustaliliśmy, że nie ma sensu, bym tu dłużej siedział. W ojczyźnie nie mogło się wydarzyć nic, co wpłynęłoby na sytuację tutaj, z kolei wszystko wskazywało na to, że i Anglicy mieli na razie za dużo własnych problemów, by była mowa o jakimś bardziej zorganizowanym dialogu.

Gdy odłożyłem słuchawkę, podszedł do mnie oficer, z którym byłem w metrze.

- Są wieści o waszych - powiedział. - Kilku rannych, są już w szpitalach. Wszyscy w dobrym stanie.

- To wszystko? - spytałem, czując falę ulgi. Przedwcześnie.

- Jest jeszcze to - powiedział, kładąc na biurku niewielką kartkę papieru.

Monika Suchocka, 23 lata

Karolina Glyk, 29 lat

Anna Brandt, 33 lata

Trzy nazwiska. Trzy młode Polki, które zginęły w jednym z wybuchów w metrze.

Do pokoju hotelowego wróciłem o 6.00. Usiadłem na fotelu, wiedząc, że po tak pełnym przeżyć dniu nie zasnę łatwo. Wciąż towarzyszył mi obraz udręczonego ratownika i wszechobecny smród dymu i spalenizny. Czułem go na ubraniu, na rękach i we włosach.

Przymknąłem na chwilę oczy. Obudziłem się o 12.00, w tym samym miejscu, w którym usiadłem. Zdecydowałem, że czas już wracać do Polski.

Sarin

Sarin to związek chemiczny. Występuje w formie ciekłej, jako przejrzysty, bezwonny płyn, który na pierwszy rzut oka bardzo trudno odróżnić od wody. Wzrok się w tej kwestii nie przyda. Wystarczą za to dwa, trzy wdechy i różnica stanie się dostrzegalna momentalnie. Pytanie, czy po tym eksperymencie będzie miał jeszcze kto o niej opowiedzieć. Kilkanaście miligramów (jedna trzecia kieliszka wódki) wchłonięte drogą oddechową albo przez skórę, powoduje bolesną śmierć w ciągu kilku minut.

Sarin miał zostać wykorzystany do ataku na jedno z warszawskich przejść podziemnych. Przy Rotundzie. W samym centrum miasta.

Zaczęło się od telefonu. Często tak właśnie się zaczyna, tym razem jednak nie zadzwoniono do mnie. Zadzwoniono do Komendy Stołecznej Policji. Dopiero kilkadziesiąt minut później zaterkotał aparat na moim biurku.

- Zaręba, słucham.

Ktoś po drugiej stronie wypluł z siebie zbitkę słów tak szybką, że nie rozróżniłem, co w niej jest stopniem, a co imieniem i nazwiskiem. Tylko miejsce, z którego dzwoniono, było dla mnie jasne. Wydział do spraw Walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw.

- O co chodzi? - spytałem.

- Dzwoniono do nas z TVN. Przekazano interesującą informację.

- TVN przekazał wam informację?

- Tak jest.

Pierwszy raz w życiu spotkałem się, żeby media o tak szerokim zasięgu zamiast domagać się od policji jakiejś informacji, przekazywały ją. Przedstawiciele owych mediów na ogół nie należeli do największych wielbicieli służb mundurowych.

- No to słucham - stwierdziłem, nie bardzo wiedząc, czego się spodziewać.

- Dostali email z nieznanego adresu. W tej wiadomości znajduje się pogróżka odnośnie do ataku na jeden z węzłów komunikacyjnych stolicy.

- Podano rodzaj ataku?

- Sarin. Taki gaz.

- Wiem, co to sarin - mruknąłem. W głowie kłębiły mi się sprzeczne myśli. Atak sarinem w Warszawie?

- Kto wysłał wiadomość? - zapytałem.

- Ten ktoś się nie podpisał. Tefalenowcy uznali jednak informację za niebezpieczną na tyle, że postanowili jej nie publikować i powiadomić nas.

Alleluja, pomyślałem.

- Ten zamach. Kiedy ma się odbyć?

- Za pięć dni. - Proszę przesłać mi tego emaila. Komunikat nie był zbyt szczegółowy. Zawierał sposób dokonania ataku, miejsce: przejście podziemne przy warszawskiej Rotundzie oraz datę: 10 czerwca.

Trudno powiedzieć, na co liczył nadawca tej wiadomości. Służby dostają wiele podobnych gróźb. Na ogół są to głupie żarty dorosłych lub dzieci, dla których jest to coś w rodzaju sposobu na zdobycie sławy albo walkę z systemem. Jeszcze inne są wytworem chorej wyobraźni różnej maści maniaków, osobników niezrównoważonych psychicznie lub nawiedzonych, którzy wszędzie dostrzegają spiski kosmitów albo pogrobowców KGB lub Stasi.

Jednak na sto fałszywych alarmów jeden może być prawdziwy, dlatego zasada mówi, że takich informacji nigdy się nie lekceważy. Natychmiast postawiliśmy więc na nogi wszelkie możliwe służby. Cały mój zespół wziął się do roboty. Każdy dostał zadanie i na kilka godzin zniknęliśmy sobie z oczu.

Przy obiedzie podsumowaliśmy efekty.

- Psycholog, który analizował wiadomość, twierdzi, że facet jest prawdopodobnie zrównoważony psychicznie i lepiej wziąć go na poważnie - powiedział Chudy, pałaszując bułkę z serem.

- Coś więcej?

- Nie za dużo. Treść zerznął prawdopodobnie z internetu. Może nie słowo w słowo, ale ewidentnie wzorował się na tym, co jest już znane.

- Znaczący, wie co robi?

- Aż tyle to nie. Raczej: nie wysłał tego po pijaku i nie ma czternastu lat. Podpisał się pseudonimem, który nie ma żadnych konkretnych powiązań ani konotacji. Przekaz brzmi sucho i konkretnie, jest napisany poprawną polszczyzną. Nie ma w nim żadnej zagadki.

Kiwnąłem głową. Ludzie tego typu na ogół inspirowani są powieściami sensacyjnymi i tworzą skomplikowane historyjki.

- Powiadomiliśmy straż pożarną - oznajmił kolejny z moich współpracowników. - Jednostka do skażeń chemicznych już się szykuje. Gliniarze ze Stołecznej z kolei mają do jutra rana przygotować wstępny plan ewakuacji.

- Dobra. A najważniejsze? Co z IP?

Nikt nie jest anonimowy. Haker dokonujący włamań z komputera we własnym domu to bujda. Każdego da się namierzyć. To tylko kwestia czasu.

- Sukces jest, tyle że częściowy - powiedziała Paulina. To była jej działka.

- To znaczy? - Bezpośredni dostawca internetu dla połączenia, z którego wysłano emaila, świadczy usługi dla sporej ilości firm, w tym państwowych. Ustalono, że wiadomość prawdopodobnie wyszła z Mińska Mazowieckiego, możliwe, że z któregoś z biur PKP. Na razie nic więcej nie wiadomo.

- Kiedy to ustalą?

- Dowiemy się pierwsi.

Tego wieczoru nie mieliśmy sobie już nic więcej do powiedzenia. Prawdziwa praca dopiero się zaczynała. Sztuką działań w podobnych warunkach jest wykonywanie dużej liczby czynności jednocześnie. Nie można sobie pozwolić na stratę czasu. Ujęcie pryszczatego nastolatka albo na wpół szalonego frustrata sprawiłoby, że cała sprawa rozwiązałaby się sama, my jednak nie mogliśmy liczyć tylko na to.

Jednocześnie szukaliśmy nadawcy ostrzeżenia oraz przygotowaliśmy plany ewakuacji przejścia podziemnego i połowy centrum miasta. Słowem: szykowaliśmy się na najgorsze.

Z punktu widzenia zamachowca, wybrana lokalizacja prezentowała się fenomenalnie. Z przejścia podziemnego koło Rotundy PKO korzystały co dzień tysiące ludzi. Krzyżowały się tam dwie najważniejsze linie tramwajowe na kierunkach Okęcie-Praga i Mokotów-Żoliborz, tuż obok leżała stacja metra, cztery przystanki autobusowe i dworzec kolejowy Warszawa Śródmieście, wykorzystywany przez mieszkańców podwarszawskich miejscowości dojeżdżających do pracy. Wisienkę na torcie stanowiło połączenie dwóch wielkich ulic - Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich - oraz obecność w okolicy hoteli, sklepów i siedzib dużych firm. Miejsce było centrum stolicy w ścisłym znaczeniu tego słowa.

Liczyliśmy się również z tym, że wiadomość podawała fałszywe dane i zamiast gazu zamachowcy użyją ładunków wybuchowych. W tym wypadku istniało poważne zagrożenie zaważenia się przechodzącego tuż obok kolejowego tunelu średnicowego, a także naruszenia konstrukcji znajdujących się w pobliżu budynków.

Mając to wszystko w głowie, pół nocy spędziliśmy, analizując kolejne możliwości przeciwdziałania albo ewentualnej akcji ratunkowej. Zimno się robiło na samą myśl. Polskie służby nie miały w tamtym okresie praktycznie żadnych schematów postępowania na wypadek ataku terrorystycznego. Gdyby, nie daj Boże, do niego doszło, bylibyśmy jak dzieci we mgle.

Mój zespół, wydzielona ekipa CBS i Stołecznej gorączkowo pracowali nad jak najszybszym nadrobieniem tych zaniedbań. Poiliśmy się kawami i red bullami. Paliliśmy nieprzytomne ilości papierosów. Pracowaliśmy z telefonicznymi słuchawkami przyklejonymi na stałe do uszu.

A kiedy myślałem, że nie mam już siły na nic więcej, odebrałem kolejne połączenie.

- Mamy go - usłyszałem schrypnięty ze zmęczenia, ale pełen satysfakcji głos kolegi ze Stołecznej.

Natychmiast pojechałem do Pałacu Mostowskich.

Mój rozmówca wyglądał jak przepuszczony przez wyżymaczkę. W palcach trzymał papierosa. Biurko zaważone było kubkami po kawie i pudełkami po pizzy.

- Zatrzymany jest Polakiem. Ma trzydzieści jeden lat. Przyznał się - powiedział, jakby mówił o pogodzie. Dobrze go rozumiałem. - Przyznał się do wszystkiego praktycznie od razu, nie próbował też uciekać. W ogóle był bardzo spokojny.

- Powiedział, że to żart?

- Nie.

- A chemia? Znaleźliście sarin?

Policjant prychnął.

- Facet nie ma nawet proszku do prania, a co dopiero toksyn. Ale jest cała masa główna, które drukował z sieci. Informacje o zamachach, działalności AlKaidy, ładunkach i tym podobne. Wszystko zabezpieczone.

- Gdzie jest?

- Na dołku.

- Mogę?

- Jasne.

Kiedy dotarłem do pomieszczenia sąsiadującego z pokojem przesłuchań, niedoszły zamachowiec był przesłuchiwany przez dwóch policjantów. Zeznaniom przysłuchiwało się dwóch policyjnych psychologów.

W zeznaniach pojawiły się nowe wątki. Po pierwsze, zatrzymany upierał się, że naprawdę miało dojść do zamachu. Nie obrócił całej sytuacji w żart, nie wycofał się. Po drugie, psychologowie orzekli, że nic nie wskazuje, by był nie zrównoważony. Po trzecie wreszcie, zatrzymany zachowywał nieprzystający wręcz do sytuacji spokój. Śledczy próbowali różnych standardowych numerów - od dobrego gliny na straszeniu gwałceniem w pace kończąc - ale młody mężczyzna wydawał się w ogóle nie zwracać na to uwagi. Nie zmieniał wersji, nie kluczył, nie próbował migać się od odpowiedzialności.

Twierdził jednak, że jest tylko narzędziem. Właściwym zleceniodawcą miał być nieznanemu bliżej Irakijczyk, którego poznał przez Rosjanina o imieniu Borys na Dworcu Centralnym. Zatrzymany miał tylko rozłożyć w przejściu podziemnym pojemniki z sarinem. Naprawdę zamierzał to zrobić. Odmówił jednak dalszych zeznań. Nie chciał zdradzić ani tożsamości Borysa, ani źródła pochodzenia gazu.

W tej sytuacji zdecydowałem, że sprawa musi się oprzeć o wyższą instancję. Wieczorem spotkałem się z Ryszardem Kaliszem, ministrem spraw wewnętrznych. Szczegółowo zreferowałem sytuację. Szef zamyślił się.

- Rozumiem, że jeśli chodzi o ten zamach, to koniec?

Pokręciłem głową.

- Na razie nie mamy więcej informacji na temat zleceniodawców, ale można przyjąć, że groźba ataku została usunięta.

- Dobrze. Rozpracowujcie gościa dalej. Coś jeszcze?

- Tak - powiedziałem. - Naszym zdaniem powinniśmy mimo wszystko przeprowadzić ewakuację.

Kalisz spojrzał na mnie podejrzliwie.

- To zapobiegliście temu zamachowi czy nie?

- Nie o to chodzi - odparłem. - Rzecz w tym, że sama groźba zamachu obnażyła nasz brak przygotowania.

- To znaczy?

- Od lat w realnych warunkach terenowych nie przeprowadzano prób ewakuacji. Procedury nie są w żaden sposób sprawdzone w praktyce. Skoro już postawiliśmy wszystkich na nogi, warto byłoby to wykorzystać.

Kalisz poprawił okulary.

- No dobrze. Nie widzę przeszkód.

10 czerwca 2005 roku, w upalny letni dzień, oddziały policji i straży pożarnej zablokowały dużą część centrum Warszawy i przeprowadziły ewakuację przejścia podziemnego przy Rotundzie, stacji metra Centrum oraz kilku okolicznych budynków. Ruch kołowy i pieszy został wstrzymany. Wkrótce po usunięciu ludzi do pracy przystąpili funkcjonariusze w kombinezonach przeciwchemicznych. Akcja trwała nieco ponad dwie godziny. Niczego nie znaleziono.

Ponieważ, o dziwo, ludzie lepiej reagują na wieść, że gdzieś została podłożona bomba, niż na informację, że być może właśnie w tej chwili nieświadomie wdychają śmiertelnie trujący związek chemiczny, służby kolportowały komunikat, że ewakuacja jest przeprowadzana na wypadek podłożenia ładunku wybuchowego. Obyło się bez hysterii.

W akcji współpracowali przedstawiciele MSWiA, Komendy Stołecznej Policji i Centrum Zarządzania Kryzysowego Warszawy. Choć z perspektywy czasu oceniam zadanie jako wykonane pomyślnie, nie zabrakło potknięć, które w warunkach realnego zagrożenia mogłyby się skończyć tragicznie.

Pierwsze problemy pojawiły się zaraz na początku. W Polsce jest niska świadomość zagrożenia atakiem terrorystycznym, co w połączeniu z niezbyt wysokim szacunkiem dla policji i

nader często występującym brakiem asertywności jej przedstawicieli skutkowało kłótniami, czasami przybierającymi postać typowej warszawskiej pyskówki. Sam byłem świadkiem, jak wysoki mężczyzna w garniturze oświadczył, że nie opuści terenu, ponieważ mu się śpieszy i ma gdzieś naszych zamachowców.

Konflikty miały wręcz komiczny przebieg w przypadku sporej części najemców sklepów znajdujących się w przejściu podziemnym.

- Paaanie, co pan! Ja tego wszystkiego nie zostawię, bułki mi sčerstwieją do jutra.

- Leżą tu od tygodnia. Akurat dzisiaj sčerstwieją?

- I cały tydzień są świeże, a jutro się popsują. Dokładnie tak. Znam się, to wiem. Czyja was pouczam, jak mandaty wystawiać?

Drugim kłopotem były zawirowania komunikacyjne. Z ruchu wyłączono cały kwartał, w tym metro, tramwaje i autobusy, co oznaczało, że gromadzący się w okolicy centrum tłum stracił możliwość szybkiego opuszczenia miejsca zdarzenia. Akcja miała miejsce w godzinach popołudniowych; tysiące wracających z pracy ludzi utknęło tuż przy strefie potencjalnego ataku.

Na koniec wreszcie dostaliśmy po tyłku od mediów. Nikt nie wpadł na to, żeby w porę uruchomić rzecznika prasowego, w efekcie telewizja pokazywała kłębowisko zdeorientowanych ludzi i grupy zdenerwowanych policjantów, ale z własnym - opartym na domysłach - komentarzem, na który nie mieliśmy wpływu.

Generalnie jednak nie zmienia to mojej opinii o tej precedensowej operacji. Osiągnięty został najważniejszy cel - ewakuowano ludzi. Przede wszystkim zyskaliśmy ogromny materiał do dalszej pracy i przesłanki do usprawniania procedur. Nastąpiły zmiany w wyposażeniu jednostek antyterrorystycznych (wcześniej nie miały sprzętu do pracy w środowisku skażonym chemicznie) oraz szkoleniu (bo w kombinezonie zupełnie inaczej wykonuje się wszelkie czynności, od trzymania broni począwszy). Szczegółowe opracowania dokonane na podstawie tamtych doświadczeń trafiły do większości najważniejszych resortów. Wedle mej wiedzy, wiele korzysta z nich do dziś.

Godziny wyteżonej pracy umysłowej i dziesiątki szczegółowych analiz teoretycznych prawdopodobnie nie dałyby nam tego, co osiągnęliśmy dzięki kilku godzinom w podziemiach koło Rotundy PKO.

Niedoszły zamachowiec został skazany na dwa i pół roku więzienia. Esbek Odkąd pamiętam, mieliśmy problem z oszołomami. Nasza komórka w MSWiA odgrywała dość istotną

rolę w najważniejszych sprawach państwa, byliśmy więc idealnym celem dla pokaźnej gromady świrów. Nie pomnę, ilu wariatów przychodziło do nas dzielić się teoriami spiskowymi, wnikliwymi analizami rzeczywistości czy apokaliptycznymi przepowiedniami.

Wszystko, naturalnie, w trosce o dobro ojczyzny.

W 2006 roku, tuż przed wizytą w Polsce papieża Benedykta XVI, można było spodziewać się tylko natężenia ilości oszołomów. Odwalałem całą masę roboty, a wizyty wrózek i spiskowców wcale nie poprawiały mi humoru.

Gdy zadzwonili z dyżurki, miałem ochotę wstać i rzucić w kogoś komputerem.

Na szczęście nikogo nie było w pokoju.

- Następny - powiedział strażnik przepraszającym tonem.

- Spław go.

- Próbuje od dwóch godzin. Ale usiadł i mówi, że nie, on poczeka.

- Młody, stary?

- Stary. Z siedem dych. Albo więcej.

- Ślini się, gada w przestrzeń, ma Biblię pod pachą?

- Nie, jest raczej spokojny. Elegancko ubrany, normalny.

- Dobra, nie wyganiajcie go. Ale niech jeszcze posiedzi.

Dokończyłem, co miałem do zrobienia, po czym, tracąc przerwę na kawę, zszedłem na dół. Rzeczywiście, mężczyzna był dość wiekowy, może nawet straszy, niż podejrzewał strażnik, ale trzymał się prosto. Zaprosiłem go do pokoju, gdzie zazwyczaj urzędował radca prawny. Pomieszczenie było akurat puste.

Przedstawiłem się i zaproponowałem kawę. Starszy pan wziął do reki filiżankę, po czym przeszedł do rzeczy.

- Znam ten budynek - powiedział. - Trochę się tu pozmieniało, ale układ pokoi jest ten sam.

- Tak? Skąd pan go zna?

- Pracowałem tu, wiele lat temu. W departamencie numer cztery.

- W SB? - spytałem.

- W stopniu pułkownika - potwierdził.

Departament czwarty zajmował się rozpracowywaniem kleru. Ciekawe. - Co pana do mnie sprowadza? - Zabezpieczałem pielgrzymki, wie pan? Byłem w Częstochowie więcej razy

niż którykolwiek ksiądz w tym kraju. Mieliśmy własne sutanny, Biblie, wszystko. Opanowałem ten czarny bełkot lepiej niż większość z nich. Osiemdziesiąt dwa lata w marcu skończyłem, z czego połowa w zawodzie.

- No dobrze, ale co pana do mnie sprowadza?

Emerytowany pułkownik zmarszczył brwi z lekką irytacją.

- Jak to co? Zabezpieczacie wizytę papieża, tak? Wiedza moja imoich kolegów będzie wam potrzebna. Powiedziałbym nawet, że niezbędna - stwierdził stanowczo.

Na kilka sekund odjęło mi mowę. Esbek jednak zdawał się nie zwracać uwagi na moją konsternację.

- Dużo czytam, wie pan? Wiadomości też oglądam, to i wiem, że zagrożenia trochę się zmieniły. Koledzy też. Ale niech pan pomyśli, kto to zrobi lepiej od nas? Wmieszamy się w tłum z księżmi i wyłapiemy każdego, komu na myśl by przyszło coś brzydkiego. Zresztą, pan spojrzy.

Sięgnął do teczki, a sekundę później na stoliku przede mną leżały sutanna i koloratka.

- Jestem gotowy do akcji nawet teraz! - oznajmił.

Ja tymczasem bardzo powolutku przetykałem kawę przez ściśnięte gardło. Musiałem wyzwoić w sobie wszelkie dostępne zasoby silnej woli, by nie wybuchnąć zgoła niestosownym w tej sytuacji śmiechem.

- Ekhm... dobrze - wydukałem w końcu. - To może pan mi da namiary na siebie, a ja przekażę je kolegom, którzy odpowiadają za zabezpieczenie wizyty, co?

Był starym lisem. Znał te chwytaki. Nie dał się spławić tak łatwo.

Zasypał mnie szczegółami świadczącymi, że rzeczywiście nie najgorzej orientował się zarówno w topografii budynku, jak i w niuansach zawodu. Opowiadał, gdzie była kiedyś winda, gdzie toaleta, podzielił się ze mną wspomnieniem, że na ogół brakowało w niej papieru, a na koniec wygłosił pesymistyczną refleksję, że dzisiejsza młodzież na niczym się nie zna. Zapewnił, że pomimo dziewiątego krzyżyka na karku nadal chce służyć ojczyźnie, bo młodzi są przeważnie amatorami i mają wszystko gdzieś.

Kiedy wreszcie udało mi się zakończyć spotkanie i za esbekiem zamknęły się drzwi, westchnąłem z ulgą, mając szczerą nadzieję, że sprawa jest już zakończona.

Całe szczęście, że wziąłem od niego namiary. Podczas podejmowanych wielokrotnych prób kontaktu dyżurny wiedział dokładnie, z jakiego numeru nie odbierać połączeń.

Służba

Spotkanie z emerytowanym funkcjonariuszem resortu spraw wewnętrznych było jednym z ostatnich zabawnych akcentów mojego zatrudnienia w MSWiA. Zmiany polityczne w polskich urzędach nigdy nie są łatwe dla pracujących w nich ludzi, bardziej przypominają rewolucje niż ewolucje - a jak wiadomo, rewolucja ma zwyczaj pożerać swoje dzieci. Z zasady.

Jeśli do zasad doda się kompetencyjne rozgrywki i oznaczanie nowych terytoriów - jakim podówczas było zwalczanie terroryzmu - przez rywalizujące ze sobą urzędy i instytucje, powstają okoliczności, które w sposób doskonały ilustrują powiedzenie, że nie da się zrobić omletu, nie rozbijając kilku jajek. Zanim zatem kompetencyjne spory ustały, a sytuacja w miarę się ustabilizowała, odbyło się kilka biurokratycznopolitycznych potyczek, wśród których i ja się - trochę z własnej inicjatywy - znalazłem.

Kiedy okazało się, że koncepcja tworzonego przeze mnie wydziału nie pasuje do niektórych innych koncepcji, trzeba było podjąć decyzję, czy zmienić zdanie, czy też pracę. Postanowiłem, jak powiada klasyk, ze sceny zejść niepokonanym i pożegnałem się Ministerstwem Spraw Wewnętrznych i Administracji, ale nie z resortem - wróciłem bowiem na stare śmieci, do Legionowa. Po czterech latach na nowo przywitałem się z policyjną służbą, choć - jak się okazało, nie na długo. Po jakimś czasie odszedłem ostatecznie.

Przesłużyłem w polskiej policji dwadzieścia lat. Zaczynałem jako osiemnastolatek, kończyłem przed czterdziestką. Wszedłem w szeregi tej formacji, będąc chłopcem, wyszedłem jako ukształtowany mężczyzna.- Wszedłem, choć miałem potencjał do dalszej służby. Co się zatem stało?

Tych dwadzieścia lat kształtowało nie tylko mnie, był to okres formowania także nowoczesnej struktury policyjnej w Polsce. Nietrudno domyślić się, że byłem w związku z tym świadkiem niezliczonych reform, tworzenia i doskonalenia procedur, przepisów; słowem: zmian, jeszcze raz zmian oraz kolejnych zmian tego, co właśnie przed chwilą zostało zmienione. Reformatorzy często nie byli w stanie zakończyć żadnego z procesów, które miały konstituować ostateczną formę struktur policji. Udało się dokonać przejścia od komunizmu do demokracji, ale uzgodnić, jak ta demokracja ma wyglądać - już nie.

Wynikało to częściowo z ciągłych zmian politycznych, częściowo z postępującej edukacji społeczeństwa, które zaczynało być świadome, jakie powinno mieć oczekiwania wobec policji będącej narzędziem demokratycznego państwa; w końcu sama policja powoli dostosowywała się pod względem zarówno mentalnym, jak i organizacyjnym do nowych wymogów i zadań. Niewątpliwie nastąpiła ogromna zmiana jakościowa - pod względem formy działań, jak również metod stosowanych przez policjantów. Wiele doświadczeń i wzorców trzeba było „pożyczyć” z zagranicy - ale przecież nawet najlepsze z nich wymagały dostosowania do polskich przepisów i polskiej rzeczywistości.

Dodatkowym czynnikiem były dynamiczne zmiany środowiska, w którym policja funkcjonowała. Zmieniały się wyzwania, zmieniali się również przeciwnicy, którzy je stawiali. Pojawiała się przestępczość zorganizowana, nie tylko polska zresztą, także ta z importu, przede wszystkim zza wschodniej granicy.

Na dodatek pięćdziesiąt lat funkcjonowania w powszechnej świadomości pałki milicyjnej jako „gumowego przedłużenia konstytucji” sprawiło, że nikt tej formacji nie lubił oraz, co gorsza, nie szanował. Za czasów PRLu szacunek skutecznie zastępowany był strachem; demokratyzacja życia publicznego sprawiła jednak, że mundur przestał być straszakiem, a na szacunek „nowa” policja jeszcze nie zdążyła sobie zasłużyć.

To wszystko składało się na wspomniane wcześniej trudności ze stabilizacją reformującej się struktury. Niby wrosła się w krajobraz, wymieniany był i sprzęt i ludzie, ale systemowo coś nie wychodziło. Szczególnie w połowie pierwszej dekady XXI wieku w policji zaczęły się dziać prawdziwe cuda nad Wisłą: najpierw komendantem głównym został strażnik graniczny (na emeryturze!), później prokurator. Coraz więcej było w tym wszystkim polityki, coraz mniej okazji do pracy, którą traktowałem bardziej jako okazję do „zbawiania świata” niż zarabiania na chleb.

Kiedy po dwudziestu latach okazuje się, że całe moje doświadczenie to okres niemal samych „błędów i wypaczeń”, że wszystko trzeba zacząć od nowa - bo to, co do tej pory ja i moi koledzy budowaliśmy, było nie do zaakceptowania, wtedy... cóż, człowiek zaczyna się poważnie zastanawiać, czy jest dla niego nadal miejsce w firmie, z którą może się utożsamiać w coraz mniejszym stopniu.

Nie tylko ja tak czułem. Polską policję opuściło wielu ludzi z pokolenia moich mistrzów i ich wychowanków. Gdzieś po drodze, o czym chyba zapomniano w gorączce wiecznego dążenia

do doskonałości, służba utraciła ciągłość dziedziczenia doświadczeń, szczególnego procesu przekazywania czeladnikowi/młodemu/kotu tych wszystkich zasad, sztuczek i sposobów, które sprawiają, że z rzemieślnika może stać się w swoim fachu wirtuozem. Tej luki długo nie uda się wypełnić, a tracą na niej młodzi adepci policyjnej służby, najbardziej zaś traci społeczeństwo, które mają chronić.

W 2008 roku, z nielekkim sercem, zdecydowałem się na emeryturę. Nie odszedłem całkiem z państwowej i publicznej działalności, staram się, żeby każdy dzień był wyzwaniem personalnie dla mnie, ale z korzyścią również w trochę szerszym wymiarze. Chciałbym oddać to, co otrzymałem od swoich mentorów, od tych, którzy uczyli mnie, co znaczy praca, będąca jednocześnie służbą. Zresztą, moim zdaniem, taki stosunek do życia zawodowego sprawdza się nie tylko w policji: poczucie misji sprawia, że praca nie staje się nudnym procesem odwzorowującym mechanikę taśmy produkcyjnej.

A żeby nie kończyć patetycznie, szczerze i po prostu powiem: nie zmieniałbym w swoim życiu niczego - nawet gdybym mógł. Ani jednej decyzji, żadnego doświadczenia. Lubię siebie - a to właśnie doświadczenia ukształtowały mnie takim, jaki jestem.

Słownik policyjnej polszczyzny

ABC - Centralne Biuro Śledcze

abwera - Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego

agentura - agencja towarzyska

antki, kominiarze, ateciaki, ate, czarni - antyterrorysty

baleron - spasiony, gruby cwaniak, najczęściej ubrany w skórzaną kurtkę i obwieszony złotymi łańcuchami banan;

donald, kredka - krótka pałka patrolowa

baton - pałka teleskopowa

blacha - odznaka policyjna przytwierdzana do legitymacji

blachara - prostytutka, dziwka najniższej klasy, najczęściej do tego brudna i pijana

borowik - funkcjonariusz BOR (Biura Ochrony Rządu)

chlor, nur, nurek, menel - osoba z marginesu społecznego, najczęściej pijana

ciągnie kitę - szybko jedzie, za nim radiowóz

dezodorant, sprej - gaz obezwładniający

dii - diler narkotyków

doliniarz – kieszonkowiec

domówka - interwencja domowa

dwukropek - podkomisarz

dyskoteka, świetlica - większy radiowóz policyjny (większy od „suki”, kiedyś star)

dziesiona - rozbój

dzięcioł - młody niedoświadczony policjant

elektryczny - ktoś czujny, zachowujący się nerwowo

fabryka, baza, pałac - komenda lub komisariat

fanty - przedmioty pochodzące z przestępstwa

gnój, glut - nieletni z przeszłością kryminalną

góra, bomba, bulaj - światła błyskowe radiowozu

iść pod pały - najczęściej bar, do którego chodzą policjanci; w Warszawie kiedyś obok kina Muranów przy Pałacu Mostowskich

jeniec - osoba zatrzymana

kajet - notatnik służbowy

kark, BMWABS, koks - dresiarz

komediant - komendant jednostki

komitet powitalny - grupa policjantów oczekująca na podejrzanego

kółka - samochód, najczęściej policjantów kryminalnych

krakersy - pracownicy komend rejonowych

lewy - kierowca radiowozu

leżak - pijany nieprzytomny

ma druty, założymy druty - włączony podsłuch telefoniczny

na patykach - przemieszczanie się pieszo

nabojka - grupa przestępców (dresiarzy) uzbrojona w niebezpieczne narzędzia, w tym broń palną, która przyjechała w celu siłowego wyrównania porachunków, najczęściej z konkurencją

nielegalny ubój - zabójstwo, najczęściej rozszerzone

niepotrzebny - w rozmowie z dyżurnym, osoba niefigurująca w rejestrze poszukiwanych

nn, eny - osoby albo zwłoki, których tożsamości nie można ustalić

ogon, łapy - pies tropiący

osiemdziesiątka - długa pałka szturmowa

pałacowi - określenie używane w Warszawie w stosunku do policjantów z Komendy Stołecznej Policji z siedzibą w Pałacu Mostowskich

panterka - dziewczyna, prostytutka wyższej klasy

plecak - policjant, który przyszedł do pracy z koneksjami

pływak, spławik - zwłoki w wodzie

pokemon - karta magnetyczna służąca do wejścia do Komendy Stołecznej

pokład - wnętrze radiowozu

prawy - ten, kto siedzi na miejscu pasażera obok kierowcy, w patrolu pieszym obaj są „prawi”

prorok - prokurator

przejściówka - miejsce w komendzie, gdzie przetrzymywany jest zatrzymany przed sprowadzeniem do aresztu

przeskoczył na kolorze - przejechał na czerwonym świetle

przewozówka, wesoły autobus - samochód przeznaczony do przewożenia nietrzeźwych do izby wytrzeźwień

rabarbar - rodzaj pałki policyjnej

ruchacze - policjanci ruchu drogowego

sanki - tymczasowy areszt

siedzi na uchu - jest policyjnym informatorem

siedzieć na pedale - mieć dyżur przy radiostacji w komendzie

sierściuch - policjant w korpusie podoficerów

skoczek - samobójca, który wyskoczył z okna

skuć - założyć kajdanki

skwara - kradzione radio

spadochroniarz - policjant, który przyszedł (najczęściej z innego miasta) do pracy na stanowisku kierowniczym

spodnie - mężczyzna

spódnica - kobieta

spuścić na dołek - sprowadzić zatrzymanego do aresztu

ssaki, jagodzianki, tirówki, koleżanki - prostytutki przydrożne

suka - oznakowany radiowóz policyjny (niegdyś nyska, obecnie np. Volkswagen transporter)

szaszłyk - policjant w korpusie aspirantów

szczekaczka - manetka radiostacji policyjnej

szmata - legitymacja (np. wyjechać ze szmaty)

śmigło - helikopter policyjny

świeżyzna - trup

trolownia - miejsce przebywania śmierdzących pijanych kilku osób

trzepanie sierści - użycie środka przymusu bezpośredniego

trzymać na krótko - prowadzenie obserwacji bezpośrednio

uchol - informator policyjny

wchodzić na plecach - wejście gdzieś bezpośrednio za kimś

wędką - coś kradzionego, najczęściej samochód

wieszak - wisielec samochodzicy

wjazd na ostro, wjazd z drzwiami - dynamiczne wejście do obiektu z wyważeniem drzwi

wrzucić na bęben - sprawdzić w policyjnej bazie danych

wyrwa - techniczny sposób kradzieży (najczęściej torebki)

zaliczenie blondyną - uderzenie pałką policyjną

zgniłek - trup, który już śmierdzi

znęta - znęcanie się nad drugim członkiem rodziny

zrobić palce - pobierać odciski palców

zółw - kamizelka kamieniodporna